



BARBARA GOWDY



ROMANTYCZNA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przeszłość nie jest zamknięta, jeśli wciąż powraca. W jaki sposób ją zachować w niezmienionej postaci? Jeżeli nie została pogrzebana, żyje - jak zazwyczaj mówimy - w naszych wspomnieniach, jest więc podatna na zniekształcenie.

Wkrótce po śmierci Abla każde wspomnienie o nim było takie świeże, że wydawało się częścią trwającej historii - jak zapach dymu z papierosa albo czyichś perfum jeszcze unoszący się długo w pustym pokoju. Wciąż spodziewałam się usłyszeć jego głos. Na każdy dźwięk telefonu moje serce biło przyspieszonym rytmem, jakby to on mógł dzwonić.

Ale po kilku dniach te wrażenia zaczęły się zacierać i na pierwszy plan wysunęły się starsze wspomnienia. Słyszysz się czasem od innych o nawiedzającej ich powodzi wspomnień; moja zalewała mnie falami w dziwnych momentach i spadała fragmentami jak szczątki rozbitego samolotu. Myłam zęby i nagle przed oczami pojawiały mi się jego dłonie na klawiaturze fortepianu, gdy grał na nim dwadzieścia lat temu, chłopięce, o kanciastych palcach i nierówno obciętych paznokciach. Wtedy przez chwilę rozumiałam - jeśli w ogóle tego rodzaju sprawy można pojąć - co jego matka miała na myśli, kiedy zadzwoniła i powiedziała: „On odszedł”.

Przed Bożym Narodzeniem, ilekroć przywoływałam w myślach zdarzenia sprzed lat, z perspektywy czasu dostrzegałam w nich zapowiedź tego, co miało nastąpić. Pamiętam, jak bardzo fascynowały go opustoszałe krajobrazy i z jaką niechęcią zawsze się bronił. Łagodny głos Abla, jego sympatie, pograżonych w upadku przyjaciół i napady przesadnej wielkoduszności zaczęłam traktować jako wyraźne dowody autodestrukcji. Tkwiło w nim pragnienie śmierci, być może nosił je w sobie od dnia narodzin. Na przekór wszelkiej logice, właśnie dlatego mógł być takim optymistą.

A potem przyszły miesiące wspomnień z niczym nie związanych i nic mi nie mówiących. Poddając się temu dziwnemu nastrojowi, przestałam myśleć o Ablu jak o kimś, nad kim zawisło fatum. Wspomnienia były raczej przyjemne. Co najmniej tydzień przeżywałam na nowo chwile, kiedy to chirurgiczną pęsetą wyciągał mi drzazgę ze stopy. To dziwne: przez ten sam tydzień, za każdym razem, gdy wyszłam do miasta, nie

wiadomo skąd pojawiał się przy mnie czarny labrador i towarzyszył mi do metra albo sklepu spożywczego. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ktoś chce przekazać mi wiadomość, ale za pośrednictwem zagadkowego medium, nie sposób więc było jej odebrać.

Teraz, trzy lata po śmierci Abla, przebrnęłam przez swoje wspomnienia już tak wiele razy, że im nie dowierzam. Trudno mi sobie wyobrazić, że gdy je odtwarzam, nie zmieniają się minimalnie, jak fotokopie z kopii, a potem kopie fotokopii z kopii i tak dalej. Albo bledną, albo za sprawą tych wielokrotnych powrotów utrwalają się w pierwotnej formie, zupełnie jakby każde z nich było jedynie czyjąś mało wiarygodną wersją zdarzeń. Słyszę siebie mówiącą o Ablu czy o matce i dziwię się, że moje słowa brzmią tak pewnie. Zadaję sobie pytanie: „Czy to wszystko rzeczywiście się wydarzyło?”

Jestem przekonana, że moja matka, przynajmniej ona, powiedziałyby, że źle to wszystko interpretuję. Podobnie Abel, on myślałby tak samo, tyle tylko że niewiele by sobie z tego robił. Spoglądanie wstecz na własne życie nigdy nie przychodziło mu łatwo, a on sam, chcąc uniknąć przykrości, jaką mu to sprawiało - ale też dlatego, że w zasadzie do niczego nie przywiązywał wagi - poddałby się wspomnieniom każdego, w takim kształcie, w jakim ten czy ów je o nim zachował.

Nawet moim, tym wciąż powtarzającym się wskrzeszeniom. Chociaż wiedział, że zbyt rozpaczliwie go kocham, by kiedykolwiek stać się wiarygodnym świadkiem.

Richterowie wprowadzają się na nasze osiedle ósmego grudnia 1960 roku. Pamiętam tę datę tak dokładnie, ponieważ w tym samym dniu wypada rocznica mojego poczęcia. Kiedy matka jeszcze mieszkała z nami w domu, żaden ósmy grudnia nie minął bez wspomnienia wielkiej awarii prądu w całej prowincji i butelki francuskiego wina, które przyczyniły się do mojego przyjścia na świat. Bardzo wcześnie doszłam do przekonania, że to wydarzenie, którego kwintesencją było podanie jej przez ojca nasienia, wytrąśniętego z papierowej torby i umieszczenie go, jak sobie wyobrażałam, na jej języku, miało związek z interwencją rządu i rozpustnym francuskojęzycznym szefem mojego ojca, panem LaPierre. Prawdą jest, że w wieku dziesięciu lat, a więc w czasie, gdy pojawiają się Richterowie, wciąż uważam, że mam egzotyczne pochodzenie i dlatego wiele mnie łączy z tymi nowymi zagranicznymi sąsiadami.

Zakochuję się w pani Richter od razu, w Ablu - następnego lata. Wiem, jak mało prawdopodobnie to brzmi, dziesięcioletnia dziewczynka zakochująca się w ogóle, a tym bardziej w dojrzałej kobiecie. Ale mówiąc, że się zadurzyłam, nie oddałabym siły i zmysłowości swoich uczuć. Wędruję za nią do sklepu spożywczego i dotykam grejpfrutów, które ona wcześniej obracała w dłoniach. Przyglądam się jej flanelowej koszuli nocnej nadymającej się na sznurze od bielizny i czuję uniesienie jak za sprawą muzyki. Pod pretekstem powitania jej w dzielnicy, zapytania, czy udziela lekcji gry na pianinie albo czy słyszała o wyprzedaży bibelotów w kościele - każdy z nich jest dobry - piszę listy informujące o gotowości i kwalifikacjach do przyjęcia roli córki. „Wyciągnij pomocną dłoń!” - piszę z tyłu na kopertach, jakby to było moje motto. Na marginesach listów rysuję obrazki dziewczynki zmywającej naczynia, szorującej podłogę, ścierającej kurze. Rysuję dziewczynkę leżącą w łóżku z zamkniętymi oczami i z sierpem księżycy za głową, by dać do zrozumienia, że w przeciwieństwie do Abła nigdy nie zniknęłabym z domu w środku nocy.

On robi to co najmniej dwa razy w tygodniu. Wszyscy o tym wiemy, ponieważ ona snuje się po okolicy, wołając jego imię drżącym sopranem, który brzmi nienaturalnie głośno, jakby dobiegał przez mikrofon.

Nocami, gdy mnie budzi, siadam przy oknie sypialni i czekam, aż pojawi się w świetle latarni przy naszym domu. Zaskakuje mnie zawsze jej niezłomny, dramatyczny wygląd. Prócz białej narzutki z jagnięcej wełny na nocnej koszuli nie ma na sobie okrycia, które chroniłoby ją przed zimnem, jest w botkach, ale z gołą głową, ciemne włosy opadają jej miękko do talii. Kiedy woła „Abelard!”, pies Dingwallów zaczyna wyć.

Nikt nigdy nie krzyczy, żeby przestała. Abel jest adoptowany Dziewczynka - jedyne dziecko, które pani Richter urodziła wiele lat temu - miała dziurę w sercu i żyła krótko. Nasi sąsiedzi nie mają wątpliwości, że wędrowki Abła i jej nocne poszukiwania są związane z tymi zdarzeniami, nie mówiąc już o mrocznych echem wojny, które przypuszczalnie zaciążyły na atmosferze ich domu. Nic więc dziwnego, że chłopiec w jego wieku czuje potrzebę ucieczki.

Wiele oddałabym za to, by usłyszeć własne imię wymawiane z taką pobłażliwością i miłością. Przypisuję jej największe zalety: uprzejmość, mądrość, odwagę. Ułożyłam sobie

w głowie, że podczas wojny ukrywała żydowskie dzieci pod spódnicą i przeprowadzała je w bezpieczne miejsce. To nieprawda, chociaż jak się później dowiedziałam, uratowała przed śmiercią rabiego, który zostałby zmiądzony, gdy puścił lewarek podczas zmiany opony. To się stało już po wojnie, na drodze wyjazdowej z Halifaxu. By go ocalić, podniosła cały przód samochodu. Nietrudno w to uwierzyć. Jest mocno zbudowaną kobietą, słusznego wzrostu, o głowę wyższą od pana Richtera i mniej więcej piętnaście lat od niego młodszą. Jest więc około dziesięciu lat starsza od każdej z matek w naszej okolicy. Jej ubrania są nietutejsze, tak jak pana Richtera, ale o ile on sprawia wrażenie dostojnego, o tyle ona, w tych swoich sznurowanych botkach i długiej, szerokiej spódnicy, z włosami spływającymi do pasa albo upiętymi dookoła głowy, mogłaby uchodzić za hiszpańską tancerkę. Ma ciemne krzaczaste brwi i wydatny nos z dziurkami w kształcie dziurek od klucza, rozszerzający się ku dołowi.

Niewątpliwie żaden z niej cud natury. Ale uroda u matek wcale się dla mnie nie liczy.

Moja matka, dawna królowa piękności, odeszła mniej więcej rok przed pojawieniem się Richterów. Wyobraźcie sobie Grace Kelly i już będziecie wiedzieli, jaka była, przynajmniej pod względem wyglądu. Nosila też takie samo imię. Wprawdzie w jej metryce urodzenia widnieją dwa: Helen Grace, ale ona zawsze używała tego ostatniego.

Co do powodów jej odejścia i tego, czy kiedykolwiek wróci, ojciec i ja mamy różne zdania. On mówi: „Zawsze cię kochała i troszczyła się o ciebie”, z wyraźną sugestią, że mam moc przyciągnięcia jej z powrotem do domu. Zupełnie możliwe, że kochała mnie i troszczyła się o mnie, jednak nigdy tego wyraźnie nie powiedziała. Ale lubiła mnie, tego jestem pewna. Kiedy sprzątała w domu, chciała, żebym była przy niej, potrzebowała mnie nie do pomocy (miała tak wysokie wymagania, że tylko sama mogła im sprostać), ale do towarzystwa. „Louise wie, kiedy milczeć”, słyszałam, jak kiedyś powiedziała ojcu. Innym razem: „Z Louise naprawdę można się pośmiać”.

Miała skrzekliwy śmiech, do którego nigdy nie zdołałam się przyzwyczaić, a mimo to starałam się go wywołać. Żeby ją rozbawić, wyuczyłam się na pamięć kilkuset dowcipów z książki *Tysiąc i jeden dowcipów, że boki zrywać*, którą znalazłam w gabinecie ojca. Zamiast opowiadać ten czy inny, który akurat przyszedł mi do głowy, zręcznie

wplatałam je w rozmowę i zazwyczaj w ten sposób wykręcałam się od ujawnienia, co naprawdę sędzę, na omawiany temat. Jeśli zastanawiała się (a często się jej to zdarzało), dlaczego nasz sąsiad, pan Dingwall, ożenił się z panią Dingwall, mówiłam: „Dla pana Dingwalla małżeństwo to wyrok dożywotniego pozbawienia wolności”. Albo: „Piękno najłatwiej dostrzec przez ścianki kufla z piwem”. Nie rozmawiałyśmy zbyt wiele. Słusznie zauważyła - wiedziałam, kiedy trzymać język za zębami. Przy mnie przejawiała skłonność do wyrażania poglądów o świecie, a z nie znanych mi powodów te pesymistyczne, lecz raczej obojętne spostrzeżenia przekształcały się w prawdziwe tyrady w czasie zmywania podłogi w kuchni. Zaczynała wyżywać się, jakby chciała ukreślić komuś głowę, rzucała ją na linoleum i z pasją wycierała nią podłogę. Kto doprowadzał ją do takiej furii? Winowajcą mógł być każdy: kobiety, które same sobie szyją ubrania, platynowe blondynki, obdarte łazęgi, członkowie rodziny królewskiej. Niemowlaki.

Małe dzieci doprowadzały ją do szaleństwa. Może nie tyle one, ile kobiety, które ich pragnęły. Mówiła, że każda krowa może zajść w ciążę, że świat jest przeludniony przez takie „żałosne płaksy” jak pani Dingwall, która po urodzeniu czwórki bliźniąt poroniła i jeszcze po wielu latach wylewała potoki łez na każde wspomnienie tego zdarzenia.

Zaciągała się papierosem i patrzyła na mnie ze złością. Siedziałam na kuchennym blacie. Jej bladoniebieskie oczy, wzbudzające podziw innych, wydawały mi się niebezpiecznie obojętne i dlatego niezdolne do dostrzegania pewnych rzeczy o zasadniczym znaczeniu dla mojego dobra.

„A słyszałaś ten kawał o głupiej matce?” - zapytałam. (Zawsze na wszelki wypadek miałam przygotowanych kilkanaście dowcipów o dzieciach.)

Czekała. Zdarzało się to najczęściej wtedy, gdy jej przemowa osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy wzburzenie było tak potężne, że ledwo mogła mówić i tylko czekała na to, by ktoś dostarczył jej rozrywki.

„Była do tego stopnia głupia, że musiała przestać karmić piersią, bo za bardzo ją bolało, kiedy gotowała brodawki”, dokończyłam.

Moja matka wybuchwała tym swoim skrzekliwym śmiechem i triumfalnie rozglądała się po pokoju, tak jakbym rzuciła na kolana nie tylko ją, ale całe zastępy cyników.

Gdy nawiedza mnie tęsknota za panią Richter, przychodzą mi do głowy dwa związane ze sobą fakty: że jej mała córeczka zmarła, zwalniając miejsce córki, i że pani Richter wybrała Abła nie jako nieporadnego niemowlaka, ale - zdaniem mojego ojca - jako w pełni ukształtowanego trzylatka. Prawdopodobnie w sierocińcu powiedziała: „Poproszę tego. Tak, właśnie tego wysokiego, z kręconymi ciemnobrązowymi włoskami. O takiego mi chodziło”.

Idealny jak na chłopca. Liczę, że dziewczynkę wybrałaby drobną i wiotką, taką, która byłaby fizycznym przeciwieństwem Abła. To znów wyobrażam sobie, że chciałyby, żeby Abel i dziewczynka byli podobni do siebie, a ja doskonale się nadaję, ponieważ on i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Oboje zbieramy kamienie, jesteśmy jedynakami, żadne z nas nie ma przyjaciół. Chciałabym, żeby pewnego dnia w czasie dużej przerwy pani Richter pospacerowała w pobliżu szkoły i zobaczyła, że nie tylko Abel wędruje w odległy zakątek boiska i trzęsie ogrodzeniem z siatki jak skazaniec.

Jestem w piątej klasie, on w czwartej, widuję go więc tylko poza klasą, podczas przerw, gdy idzie do szkoły albo w drodze powrotnej do domu. Czasami wypatrzę, go w wąwozie, gdzie poza zbieraniem kamieni szukam indiańskich artefaktów, które, jak powiedział komendant obozu, Wielki Niedźwiedź, mogą znaleźć tylko ci o sokolim wzroku i czystym sercu. (Podczas wakacji dzienny obóz dla dzieci, Obóz Wanawingo, rozbija się na południowym krańcu wąwozu, na brzegu rzeki, na wprost oczyszczalni ścieków.

W tym roku, w którym zniknęła moja matka, spędziłam tam dwa deszczowe tygodnie, udając Indiankę, to znaczy zbierając mokre gałązki na ognisko i pieląc obumarły w znacznej części ogródek warzywny, założony przez obozowiczów z pierwszego turnusu.)

Abel chwyta kamienie w biegu, nie zatrzymując się. Strome, porośnięte lasem wzgórze, na które mogę się wdrapać tylko wtedy, kiedy łapię się korzeni i gałęzi, on pokonuje w dół i w górę zwinnie jak Indianin albo jak robili to Indianie z opowieści Wielkiego Niedźwiedzia: ukradkiem, rozglądając się na lewo i prawo. Macham do niego, czasem wołam: „Cześć!” W wąwozie zdobywam się na odwagę i próbuję nawiązać z nim kontakt. Spogląda na mnie z taką samą czujną obojętnością jak na wiewiórkę. Jeśli on dla

mnie nie jest nikim więcej niż tylko potencjalnym pośrednikiem, ja dla niego liczę się jeszcze mniej. Jestem tamtą istotą ludzką. Chudą, płci żeńskiej, nie stanowiącą zagrożenia.

Ale pewnego dnia, w majowe niedzielne popołudnie, pojawia się w odległości kilku metrów od miejsca, w którym kopię przy rzece w poszukiwaniu artefaktów.

- Cześć - mruczy pod nosem. Oczy ma utkwione w kupce kamieni za moimi plecami, nad brzegiem.

- Cześć - mówię, wstając. - Ty nazywasz się Abel Richter, prawda?

Potwierdza skinieniem głowy.

- Mieszkam na tej samej ulicy co ty.

Kolejne kiwnięcie głową. To kamienie go interesują. Zaczyna odwracać niektóre z nich, układać każdy dokładnie w takim położeniu, w jakim był poprzednio.

- Czego szukasz?

Wciąż odwraca kamienie, w końcu znajduje coś, co podnosi bardzo delikatnie, więc myślę, że znalazł artefakt.

Okazuje się, że to tylko ropucha. Trzyma ją na dłoni i wyciąga rękę w moją stronę. Odsuwam się krok do tyłu.

- Nie zrobi ci krzywdy - uspokaja mnie. Ma miękki, dziwnie zachrypnięty głos. Głos sieroty, stwierdzam, snując mroczne wyobrażenia o porażkach i ubogich zawilgoconych dzielnicach, które z pewnością przyczyniły się do tej chrypki. - Pokażę ci coś - mówi.

Ropucha ma zamknięte oczy. Siedzi na jego dłoni zupełnie bez ruchu, tylko jej gardło pulsuje rytmicznie.

- Co? - pytam w końcu.

- Poczekaj.

Nie potrafię zdobyć się na to, by na nią patrzeć, więc podnoszę wzrok i zatrzymuję go na przedramieniu Abla, trochę opalonym. Wyobrażam sobie panią Richter, jak w sierocińcu ocenia jego rękę i, pomimo nieprzyjemnych doświadczeń, na które mnie teraz naraża, czuję przypływ serdeczności dla niego, jakby zamiast niej.

- No dalej - ponagla ropuchę, lekko popychając ją palcem.

Jej oczy otwierają się. Lśnią złością jak cekiny.

Jestem niemile zaskoczona. Nie mogę się nadziwić, jak coś tak olśniewającego może być zawarte w czymś tak wstrętnym. Uważam, że to nie jest w porządku, i czuję, że całkowicie załamuje się moje i tak jeszcze słabo ugruntowane pojęcie o związku przyczynowo-skutkowym.

- Jest niesamowita - stwierdza. - Nie sądzisz?

Niesamowita. Słowo dorosłych. Pamiętam, o co toczy się gra (o moje spotkanie z jego matką), staram się więc zachować spokój i mówię:

- Rzeczywiście.

Wpuszcza ropuchę z powrotem do jej kryjówki i odkłada kamień na miejsce.

- Jest jak ropucha z Marsa - oświadcza, prostując się.

Patrzymy na siebie.

W jego oczach, również złocistych, choć o nieco ciemniejszym odcieniu, w kolorze syropu klonowego, nie dostrzegam cienia przebiegłości ani wyrafinowania, a jednak mimo to mam wrażenie, że ocenia mnie istota zaliczająca się do inteligencji wyższej od tej, którą ja reprezentuję. Inteligencji marsjańskiej. Patrzę na piegi na jego nosie, dołek w policzku, piękne włosy. Mam lalkę o takich włosach... podobnej gęstej czuprynie ciemnobrązowych loków. Ma wydatne i spierzchnięte usta. Kiedy zaczyna żuć dolną wargę, uświadamiam sobie, że cały czas mu się przyglądam, więc przesuwam wzrok na łąkę na kolanie jego niebieskich dżinsów. Ona je zacerowała, rozpamiętuję z rozczuleniem. Myślę o tym, ile trudu zadaje sobie pani Richter: reperuje jego dżinsy, gotuje z niczego (albo tak to sobie wyobrażam), rozwiesza pranie na sznurze zamiast używać automatycznej suszarki, rozciąga dywan na ganku i czyści go miotłą, a potem jeszcze raz omiata, gdy pies zaciągnie go za frędzle na podjazd.

Na myśl o tym psie pytam:

- Masz dalmatyńczyka, prawda? - Zamierzam powiedzieć, że bardzo lubię dalmatyńczyki, i dowiedzieć się, czy mogłabym zobaczyć jego psa.

- To krzyżówka z ogarem - odpowiada.

- Ach tak - zbija mnie z tropu. - Uwielbiam dalmatyńczyki.

- Jest bardziej ogarem niż dalmatyńczykiem.

- Jak się nazywa?

- Pso. To skrót od psowaty.
- Nigdy wcześniej nie słyszałam takiego imienia.
- Psy należą do rodziny psowatych. Podobnie jak ludzie należą do rodzaju

ludzkiego.

- Tak jak ptaki są stadem?

Patrzy w górę, na wronę przelatującą z łopotem skrzydeł nad naszymi głowami.

- Ptaki są gromadą.
- Kiedyś mieliśmy papużkę falistą.

To prawda, mieliśmy, prawie zupełnie o tym zapomniałam. Była jasnozielona, tylko główkę miała cytrynowożółtą. Kiedy moja matka trzymała ją w jednej ręce, by przyciąć jej pazurki, papużka bezgłośnie otwierała i zamykała dziób.

- Nazwaliśmy ją Ptaszek - mówię, jakby to imię oryginalnością dorównywało Psowatemu.

W rzeczywistości moja matka nigdy nie potrafiła spośród wielu imion wybrać dla niej jednego.

- Wiesz - Abel zwraca się do mnie, wciąż patrząc w górę - chyba już pójdę.
- Zginęła w tajemniczych okolicznościach - dodaję. Ale on już się oddala.

Zdechła po dwóch tygodniach. Zaraz po tym, jak wyskubała sobie wszystkie piórka, z których kilka przechowywałam przez lata w różowej plastikowej portmonetce.

ROZDZIAŁ DRUGI

Abel zmarł w moje dwudzieste szóste urodziny. Zapił się na śmierć, twierdzą wszyscy, i czasami ja też tak mówię, tak jest prościej. Ludzie wiedzą, co masz im do powiedzenia: odebrał sobie życie, ale zrobił to powoli i pośrednio, być może nawet nie mając takiego zamiaru. Rozumieją, że prawdopodobnie w tej historii jest o wiele więcej do dodania, niż chcesz przed nimi odkryć.

Od pierwszego kryzysu do końca minęło niewiele ponad rok i przez ten czas widywałam się z nim prawie każdego ranka, odwiedzając go w drodze do pracy. Na ogół był jeszcze w łóżku, ale wstawał, a ja zapalałam mu papierosa, gdy się kołysał, starając się utrzymać równowagę. Miał na sobie piżamę w granatowo-białe pasy, w której wyglądał jak jeniec wojenny. O dziwo piżama była czysta, nie brakowało w niej ani jednego guzika, rozdarcie na ramieniu zacerował własnymi rękami, które gdy trzymał papierosa, tak się trzęsły, że musiałam mu pomóc podnieść go do ust.

Nie mogłam patrzeć, jak pali. Krążyłam po jego mieszkaniu, czując, jak serce mi pęka na widok śladów odkurzacza w postaci pasów równo układających się na dywanie, opróżnionych popielniczek. Zawsze był pedantem, ale ta cecha nabrała teraz innej wymowy: dbał o to, byśmy - jego rodzice i ja - nie martwili się jeszcze bardziej.

Był taki wąły, szczupły. Nie wychudzony - raczej z wyraźniej zarysowanymi kośćmi; jego twarz, nagle wyrzeźbiona, dawała wyobrażenie twarzy przystojnego dojrzałego mężczyzny, którym nigdy się nie stanie.

Dlaczego nie potrafiłam go uratować? A jeśli ja nie zdołałam, czemu nie udało się Bachowi albo astronomii, dlaczego nie pomogły drzewa? „Nie jestem ważny”, mówił, i na nic zdały się moje próby przekonania go, że jest inaczej. „No dobrze, jestem ważny, i co z tego?” Patrzył na mnie tak, że poczułam się, jakbym błagała go, żeby nie odchodził z inną kobietą. Kochał mnie, współczuł mi, wiedziałam, że tak jest, ale otaczała go aura nieobecności niczym tęsknota za przyszłością, do której już się przeniósł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gorąca, wietrzna noc pod koniec czerwca 1968, a ja jestem w drodze na imprezę, na której znajdę w ciąży. Nic jeszcze o tym nie wiem, zupełnie nie mam takich planów.

Umówiłam się z Timem Toddem, synem Bena Todda, zwanego Big Benem, który wypijał całą żytnią na corocznym turnieju kalamburów, organizowanym przez moich rodziców, a potem zachęcał innych małżonków, by pięściami zadawali mu ciosy w brzuch. Od kiedy był ich szefem, współwłaścicielem firmy prawniczej, kolejno każdy z nich miał obowiązek spełnić jego życzenie. Oczywiście nie uderzali go mocno, co tylko wprawiało Big Bena w bardziej wojowniczy nastrój.

- No dalej! - ryczał. - Wysilcie trochę mięśnie! Tim jest drobnokościsty i powściągliwy, bardziej przypomina matkę. Ma tyle lat co ja, prawie osiemnaście, ale z tą znużoną twarzą i zapadniętymi oczami mógłby uchodzić za dwudziestopięciolatka. Prowadzi samochód, zgarbiony za kierownicą, i oddaje się rozmyślaniom. Zawsze, gdy jestem odwrócona od niego, tak jak teraz (wychylam się przez szeroko otwarte okno, wyobrażając sobie, że jadę kabrioletem), on uważa, że myślę o Ablu. Najczęściej ma rację. Jego ponure wyrzuty na ten temat ignoruję. Najbardziej wyprowadzają mnie z równowagi długie, pełne urazy przemówienia, w których odwołuje się do dzieł Ayn Rand albo generała Ulyssesa S. Granta. Zawiała argumentacja, dlaczego w zasadzie szanuje moje przywiązanie do faceta, od którego od lat nie miałam żadnych wieści.

Tak naprawdę bardzo niewiele u niego nie doprowadza mnie do szału. Nabrałam zwyczaju szturchania go w ramię, a on znosi to cierpliwie, by podtrzymać tradycję zapoczątkowaną przez ojca. Kiedy jesteśmy na miejscu i Tim naciska dzwonek, szturcham go akurat w chwili, gdy odwraca się w moją stronę, i zupełnie nieoczekiwanie trafiam go w szczękę.

- Och, przepraszam - mówię. - Nic ci się nie stało?

- Za co to było?

- Drzwi są otwarte. Możemy wejść do środka.

Biedny Tim Todd, który nosi imię bohatera dziecięcych wierszyków ze źle wychowaną dziewczyną. Zastanawia się pewnie, co my dwoje tu robimy, skoro mogliśmy

grać w tryktraka w świetle lampki jego akwarium z tropikalnymi rybkami. Zdecydowanie stroni od ludzi, ja też nie jestem towarzyska, a właściwie nie byłam do wczoraj, kiedy to w autobusie usiadłam za uderzająco piękną dziewczyną, która zapraszała wszystkich, łącznie z kierowcą, na imprezę w jej domu położonym w jednej z zamożniejszych części miasta. „Przyprowadźcie fajnych facetów”, powiedziała, zwracając się szczególnie do mnie.

Od razu wiedziałam, że ma na myśli facetów z długimi włosami. Innymi słowy, nie Tima Todda, ale ponieważ obawiałam się, że nie będę miała się do kogo odezwać, przyciągnęłam go ze sobą.

Żałuję, że to zrobiłam.

- Mafijna forsa - oznajmia, wchodząc za mną do przestronnego holu wyłożonego białym marmurem. Ciągle drapie się po brodzie. Gdy stajemy w progu zatłoczonego pokoju gościnnego mówię:

- Ciekawe, gdzie jest Gena. On prycha i odpowiada:

- Z pewnością nie przy drzwiach, by witać gości.

Z drugiego pokoju albo z zewnątrz dobiega muzyka - *White Rabbit* w wykonaniu Grace Slick.

- Och - zachwycam się. - Uwielbiam tę piosenkę.

- Od kiedy? - dziwi się Tim.

- Od teraz. - Zaczynam się poruszać w rytm melodii.

- Tu jest jak w wędzarni - mamrocze. Unosi brodę i głęboko wciąga nosem powietrze. - Czy to nie marihuana?

- Nic nie czuję.

- Chyba jednak mam rację - stwierdza z naciskiem. - Marihuana.

- No i co z tego? Patrzy na mnie zdumiony.

- Może przyniosłbyś coś do picia? - proponuję.

- Nie chce mi się pić.

- No to pokręć się tu i tam. - Zaczynam przeciskać się przez grupkę gości stojących przed nami. - Może znajdziesz akwarium.

- Myślisz, że mają tu akwarium?

- Bogaci ludzie zawsze mają akwaria. - Kiwam do niego ręką. - Do zobaczenia później.

Zmierzam w kierunku palących marihuanę. Stoją w kręgu i przekazują sobie fajkę wielkości klarnetu. Jedno z nich (nie potrafię rozpoznać od tyłu, czy to jest dziewczyna czy chłopak) ma burzę włosów sterczących spiralnie we wszystkie strony. Facet, który na nowo rozpala fajkę, ma na głowie bandankę jak Che Guevara. Na widok ich wszystkich przeszywa mnie dreszcz podniecenia, są tacy szokujący i pełni nonszalancji. Staję bliżej i wdycham dym wędrujący w moją stronę. Może za chwilę zbiorę się na odwagę i dołączę do kółka. Dzisiaj wieczorem jestem w dziwnym, beztroskim nastroju. Ogarnia mnie nieznane mi dotąd uczucie wyczekiwania. Dziewczyna przyciskająca do piersi kilka gałązek fioletowego bzu puka mnie w ramię, a ponieważ patrzy na mnie tak osobliwie, badawczo, mam wrażenie, że chce mi przekazać ważną wiadomość, mnie osobiście. Ale ona tylko podaje mi kwiaty i odchodzi.

Przybliżam je do twarzy. Pachną tajemniczo, zachwycająco. Rozglądam się za Timem, który stoi w towarzystwie trzech krótko ostrzyżonych facetów i przechyla głowę, by lepiej słyszeć, co mówią. Odwracam się, zanim zdąży napotkać mój wzrok. Trzymając w dłoni gałązkę bzu jak papierosa, przechodzę przez rozsuwane drzwi na taras.

Muzyka zmienia się w bluesa, z wyraźnie dominującym fletem. Na dole, na trawniku, mniej więcej dwadzieścia osób, wśród nich Gena, tańczy wokół fontanny w kształcie posągów nagich kobiet wylewających wodę z dzbanków. Woda rozpryskuje się na boki i czuję na sobie mgiełkę z drobnutkich kropelek. Podchodzę do balustrady. Po drugiej stronie rozciąga się trawnik wielkości pola golfowego, z którego wyrastają w równych odstępach krzewy okrągłe jak planety, a z domu wypływają strumienie białego światła i rozlewają się dookoła aż do arystokratycznych, starych wierzb majaczących na końcu posiadłości. By zejść na dół, muszę przekroczyć nogi dziewczyn siedzących naprzeciwko chłopaków. Dziewczyny mają tak krótkie sukienki, że w światłach werandy można zobaczyć ich bieliznę. Są bardzo sympatyczne: „Przepraszamy”, mówią, przesuając się na bok. „Zmieścisz się?”

Idę do fontanny i siadam na jej krawędzi. Taniec Geny jest raczej tańcem jej włosów, które są naprawdę wspaniałe, czarne i lśniące jak smoła. Kiedy ona powoli się

obraca, one płynnie poruszają się na wietrze. W pewnej chwili otwiera oczy i patrzy w moją stronę. Podnoszę rękę, ale chyba tego nie dostrzega. Wstaję i idę wzdłuż granicy posiadłości. Gdy zbliżam się do wierzb, nieco dalej, za kamiennym murem, widzę wodę, podążam więc w jej stronę. W murze jest furtka, otwieram ją i kieruję się do drewnianej ławki stojącej obok misternie kutej lampy ulicznej. Siadam i zdejmuję buty. Czuję chłód bijący od stawu. Pąki lilii wodnych wyglądają jak płomienie świec. Kaczki, niczym nieruchome przynęty, kołyszą się na falach.

Ale to nie są kaczki, stwierdzam po chwili, lecz gęsi. A staw... okazuje się rozlewiskiem strumienia.

Nic nie jest takie, jak się wydaje, myślę. Jestem głęboko poruszona tym spostrzeżeniem. Po mojej lewej stronie pojawia się nikły błysk światła; wstrzymuję oddech, zastanawiając się, czy to anioły. Odkąd pamiętam, zawsze widzę promyczki białego światła w kąciakach oczu, szczególnie wtedy, gdy jestem spięta. Nazywam je aniołami, ponieważ powietrze wokół mnie staje się bardziej przejrzyste i puste. Niecodzienne uczucie. Teraz właśnie mną owładnęło. Odwracam się.

Nic. Nic tam nie ma.

Nie, jednak jest, chłopak. Idzie jak po linie po wystających kamieniach, które tworzą szczyt muru. Ma ciemne włosy do ramion i nagi tors lśniący srebrzyście jak metal. Jest wysoki i szczupły. Trzyma w jednej ręce białą część garderoby, w drugiej butelkę piwa. Kiedy dochodzi do miejsca, w którym siedzę, zeskakuje, i wtedy, po pełnym wdzięku lądowaniu, go rozpoznaję.

- A więc to byłeś ty - mówi. Ten sam miękki, szorstki głos, tylko głębszy. Zbliża się i staje na wprost mnie. Część garderoby okazuje się podkoszulkiem. W srebrnej sprzączce paska od jego spodni, która znalazła się na poziomie moich oczu, odbija się światło.

Czuję, jak robi mi się słabo.

- Wszystko w porządku? - Chwyta mnie za ramię. Kiwam głową.

- Na pewno?

- Tak, tylko trochę zakręciło mi się w głowie. Pewnie myśli, że jestem pijana albo naćpana.

- Możesz wstać?

- Po co?

- Chcę ci coś pokazać.

Podnoszę się. Gałązka bzu wypada mi z dłoni, a on wciska podkoszulek za pasek i bierze mnie za rękę. Przechodzimy przez mur.

- Tam - wskazuje, puszcżając moją dłoń.

Na kamieniach i wokół nich, w szczelinach połyskują dziesiątki zielonych żaróweczek.

- Co to takiego?

- Robaczki świętojańskie. Popatrz, ile ich tutaj jest.

- Robaczki świętojańskie - powtarzam, przypominając sobie, że są larwami tropikalnych chrząszczy i że pokazywał mi je już kiedyś w wąwozie. - Są jak małe lampki choinkowe - mówię.

Odwraca się. Jego młodzieńczą twarz przepelnia szczęście, a w oczach rozpoznaję tego samego chłopca, którym był dawniej. Oto jest. Przymyka oczy i w jednej chwili wydaje się onieśmielony.

- Zauważyłem cię na trawniku, twoje plecy. Nie byłem pewien. Ale ten sposób poruszania się. Znam ten chód, pomyślałem.

Nie potrafię spojrzeć mu prosto w oczy. Patrzę więc na buty kowbojskie, dzinsy dzwony. Zatrzymuję wzrok na poziomie jego uda. W pamięci zachowałam jego bardziej chłopięcą postać, nie przypuszczałam, że może być taki wysoki. Przystojny, oczywiście, ale nie aż do tego stopnia. Cała drzę i niewiele brakuje, bym się rozplakała. Wracam do ławki i siadam.

- Co ty tu robisz? - pytam.

- Gospodyni jest przyjaciółką mojego kumpla. A więc ma kumpli.

- A ty?

- Skąd się wziąłeś w Toronto? Siada przy mnie.

- Mój tata przyleciał w interesach. Zabrałem się z nim przy okazji.

Jego tata. Wyobrażam go sobie, pewnie do tej pory bardzo się postarzał i zmizerniał.

Kiedy wyjeżdżali z Greenwoods, pani Richter powiedziała, że klimat Vancouveru będzie lepiej służył jej zreumatyzowanemu mężowi.

- Jak on się miewa? - pytam.

- Dobrze. Za ciężko pracuje.

Łzy zaczynają mi spływać po twarzy.

- Hej! - Dotyka mojego ramienia. - Płaczesz?

- Chyba tak.

- Co się dzieje?

- To tylko...

- Co?

Podaje mi podkoszulek, biorę go i wycieram oczy.

- Myślałam, że nigdy cię już nie zobaczę.

Patrzy na mnie, a potem spuszcza wzrok. Trzyma butelkę między kolanami.

- Trudno mi uwierzyć, że jesteś - dodają.

- Tak, upłynęło sporo czasu - przyznaje.

- Cztery lata. Pociąga łyk piwa.

- Czemu nigdy mi nie odpowiedziałeś? Napisałam do ciebie tyle listów, a ty na żaden nie odpisałeś.

- Wiem. Przepraszam.

- Ale dlaczego nie pisałeś?

- Niezbyt... - Wzdycha.

- Co?

- Niezbyt dobrze idzie mi pisanie listów.

Wygląda na tak udęconego, że serce mi mięknie i mówię:

- No dobrze już, ważne, że teraz jesteś. Było, minęło. - Biorę go za rękę. - Abel Richter. We własnej osobie.

Stawia butelkę z piwem na trawie i podnosi moją rękę ku lampie. Ma duże dłonie, długie chłodne od piwa palce. Ja mam szczupłe i kościste, ale wiem, że mu się podobają. Kiedyś powiedział, że przypominają mu palce mangaby, małej afrykańskiej małpki.

Innym razem, tym samym zafascynowanym głosem, stwierdził, że moje włosy są jak puszek mlecza.

Marszcząc brwi, uważnie przesuwa palcem po bliźnie na moim kciuku. Wszystkie końcówki nerwów mego ciała skupiają się w tym jednym miejscu.

- Od czego to masz? - pyta.

- Kroiłam cebulę - odpowiadam bez zastanowienia.

- Wciąż cię kocham.

Palec zatrzymuje się. Patrzymy na siebie. A potem się całujemy.

To długi, czuły pocałunek. Nigdy nie sądziłam, że można się całować w ten sposób, dotykając się nawzajem tak bardzo delikatnie, poruszając tylko ustami. Kiedy pocałunek się kończy, mówię:

- Kochamy się. Nigdy nie przestaliśmy.

Kiwa głową na potwierdzenie.

- Nigdy nie przestaliśmy. - Gładzę go po włosach w przyływie ogromnej tkliwości.

Sięga po butelkę.

- Chcesz trochę?

- Nie, dzięki.

Przytulam się do jego piersi. Za naszymi plecami goście na przyjęciu wtórują Beatlesom śpiewającym *All You Need Is Love*. Tutaj cykanie świerszczy rozchodzi się w powietrzu jak impulsy elektryczne, których pulsowanie ledwie odróżniam od drżenia własnego ciała. Czuję się tak, jakbym została na rękach wyniesiona z własnego życia. Zaledwie kilka godzin temu byłam smutna i zdruzgotana, teraz należę do najszczęśliwszych osób na świecie. Cud, którym jest obecność Abla, działa na mnie jak magiczna siła, jak szepczące głosy w niepokojącym śnie. „Wszystko w porządku, wszystko w porządku. Mimowolnie, jak w transie, nie dbając o nic, myśląc jedynie o własnym szczęściu, zaczynam rozpinać bluzkę.

- Co robisz? - pyta cicho.

- Rozbieram się.

Wstaję, zdejmuję bluzkę i wieszam ją na poręczu ławki.

- Chcę, żebyśmy byli razem - mówię. Sięgam ręką do tyłu i rozpinam biustonosz, pozwalam mu opaść na ziemię. Jestem bardzo spokojna, ale jednocześnie podniecona. Wiem, co widzi. To, że bez skrupowania się rozbieram. Widzi, jaką białą mam skórę, na której wietrzyk od wody wywołuje gęsią skórę.

Staje naprzeciwko mnie. Wygląda na przestraszonego. Czyżby nigdy tego nie robił?

- Jesteś taka piękna - mówi, jakby chciał, żeby było inaczej.

Leżymy na trawie nieopodal rozszerzającego się strumienia, z dala od światła. Chwilę przed tym, gdy wchodzi we mnie, ogarnia mnie gwałtowne uczucie, płacząc oszłamiona, a potem zatracam się, gdy ono rozprzestrzenia się na nogi i przekształca w cudowne, zanikające drgania. Ból towarzyszący penetracji odczuwam tak, jak gdyby łamało się we mnie mnóstwo małych kostek, ale trwa zaledwie kilka sekund.

- Dobrze? - dyszy. - Czy tak dobrze?

Po wszystkim, oboje już ubrani, wypalamy jointa. Trzymając buty w dłoniach, przechodzimy przez strumień i wspinamy się po skarpie na trawnik, gdzie, tak jak z upodobaniem robiliśmy to dawniej, kładziemy się i oglądamy gwiazdy. Są na swoim miejscu: Droga Mleczna, Gwiazda Polarna, Mały Wóz. Wymienia kolejno nazwy gwiazdozbiorów: Pegaz, Kasjopeja, Wielka i Mała Niedźwiedzica, Herkules. Uczył mnie ich, a ja zapomniałam.

Widzę nie konstelacje, ale napis zaszyfrowany alfabetem Braille'a. Wszystkie gwiazdy znajdują się w takim położeniu, jakby chciały nam przekazać ważną informację. Pytam go, jak myśli, co to może być, a on odpowiada:

- Patrz. Patrz w górę.

Tylko tyle. Kładzie rękę na moim brzuchu. Przyciągam go na siebie. A potem widzę błąd, przypominającą statek kosmiczny twarz Tima Todda, który pojawia się nad nami. To on, odwożąc mnie do domu, pyta:

- Skąd wiesz, że nie wpadłaś?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Greenwoods wzięło nazwę od dębowych i klonowych lasów, które wycięli przedsiębiorcy budowlani. Jak każda kanadyjska miejscowość, ma parterowe domki, szerokie, kręte ulice, młode żonki otoczone gromadkami dzieci. Jako jedynaczka jestem uważana za dziwną i rozpieszczoną. Wprawdzie nie mogę odmówić słuszności opinii dotyczącej dziwactwa, jednak mniemanie, że dostaję wszystko, czego zapragnę, uważam za mocno przesadzone. Dostaję wyłącznie ubrania, a na nich nigdy mi nie zależało.

Ubrania to słowo, którego ja używam. Moja matka rzadko się nim posługuje, jest bardziej precyzyjna i mówi: „twoja tunika”, „twoja sukienka z organdy”, „twój różowy bawełniany sweter”. Jeśli mówi o moich ubraniach jako całości, nazywa je garderobą. „Przejrzyjmy twoją garderobę”. Robimy to codziennie. Przekopujemy się przez nią, dbamy o nią, dokupujemy, wyrzucamy.

W mojej szafie wisi około dwudziestu kompletów, jeden na każdy szkolny dzień w miesiącu. Niektóre z nich są dziecięcą wersją kobiecych kostiumów. Mam spódniczkę i żakiet w leopardzie cętki, moja matka ma taki płaszcz i kapelusik w stylu szekspirowskiej Julii. Ciekawe, jak możemy sobie na to pozwolić? Mój ojciec nie jest prawnikiem z pełnymi uprawnieniami, tylko urzędnikiem sądowym, ale jak się zdaje, raczej nie martwi się o pieniądze. Skąd bierzemy te wszystkie ubrania, wiem aż nazbyt dobrze. Z katalogów domu handlowego Eatona i dzięki temu mamy gwarancję pełnej satysfakcji. Jeżeli coś choćby w najmniejszym stopniu nie spełnia naszych oczekiwań, na przykład dopatrzymy się minimalnej nierówności ściegu, ubranie wraca do sklepu. Łatwość, z jaką zawiera się te transakcje, wydaje się mojej matce zadziwiająco śmieszna i nedorzeczna. Często się zdarza, że nosi sukienkę przez cały dzień, a następnego odsyła ją z powrotem „tym naiwniakom”.

Serce zamiera mi w piersi, kiedy ciężarówka Eatona pojawia się przed naszym domem, wysiada z niej kierowca i zaczyna wyładowywać paczki. Spędzanie całego ranka albo popołudnia na przyglądaniu się, jak matka przybiera różne pozy przed lustrem na całą ścianę, opiera się o framugę drzwi czy tańczy czaczę z ręką na brzuchu, byłoby zabawne, gdybym nie wiedziała, że za chwilę przyjdzie kolej na mnie. Nigdy nie czuję się bardziej

kościstym, genetycznym wyrzutkiem niż wtedy, gdy obracam się powoli przed zachwycająco piękną matką, która śmieje się z mojego straszego wyglądu: „Przypominasz szpilkę z dużym łebkiem” albo „jesteś jak Zazu Pitts!” Swoją drogą, ciekawe kto to taki.

Niektóre koleżanki ze szkoły też mają rzeczy z Eatona. Stwierdzam to, gdy Julie MacVicker pojawia się w szkockiej spódnicy, takiej samej jak moja. Ale ich matki nigdy nie posuwają się tak daleko, by kupować do kompletu bluzkę, żakiet, beret i rękawiczki. I żadna z dziewczyn nie ma takiego mnóstwa strojów jak ja. Dziewczynki z mojej klasy zwykle chodzą w tej samej sukience co najmniej dwa dni w tygodniu. Te, które mają starsze siostry, donoszą sukienki po nich. Trudno się dziwić, że je irytuję.

Właściwie to nie ja, jestem zbyt pospolita, tylko moja garderoba robi na nich wrażenie. Gdy tylko dowiadują się o zniknięciu mojej matki, to właśnie moją garderobę starają się pocieszać. Dotykają krótkiego sweterka z angory, futerka z królika, błagają mnie, bym włożyła marynarską sukienkę albo kloszowaną spódnicę w parasolki. Potężna i apodyktyczna rudowłosa Maureen Hellier powiadamia mnie, że w wyniku głosowania zostałam przyjęta do założonego przez nią Klubu Eleganek. Jego członkinie zajmują się kartkowaniem katalogów mody, wycinaniem zdjęć i wlepianiem ich do albumów. Podczas spotkań w czwartkowe wieczory muszę udawać, że zachwycam się dziewczynkami modelkami wyglądającymi tak, jak zapewne moja matka chciałaby, żebym ja wyglądała, i dorosłymi modelkami, od których ona naprawdę niczym się nie różniła. W najnowszym katalogu Eatona modelki prezentują kilka strojów, które mam, o czym Maureen nigdy nie omieszka wspomnieć. Podpisy - czyta je na głos - są szczególnie irytujące, gdyż wskazują, dla jakiej osoby określony strój nadaje się najbardziej: „Kostiumik z kloszową spódniczką - idealny dla rezolutnej panienci”. „Powabny, rozpinany sweterek dla młodej, wyrafinowanej osóбки”.

- Och, Louise! - błaga. - Wytnij ją!

Ponieważ jeszcze mam matkę, z powodu moich ubiorów uchodzę za osobę, która chce imponować i zadziera nosa.

- Panna La-di-da - oznajmia Maureen, gdy przychodzę do szkoły w nowym stroju. W dniu, w którym pojawia się w jasnozielonym rozpinanym swetrze z kołnierzem

zdobionym pomponami, stwierdza, że każdy doskonale wie, że ten kolor pasuje tylko do rudych włosów.

Zdejmuję go i podaję Maureen.

- Proszę - mówię. - I tak jest na mnie za duży.

Zastanawia się, a potem bierze sweter ode mnie, łapiąc za jeden z pomponów.

- Jest przesiąknięty jej bakteriami - informuje inne dziewczyny. Niesie go w stronę kałuży i wrzuca w sam środek.

Mogę go tam zostawić. Wiem, że i tak nigdy więcej tego swetra nie włożę. Moja matka oddaje do pralni wszystkie nasze ubrania oprócz bielizny, skarpet i piżam, a jeśli którekolwiek jest zbyt brudne na pralnię, drze je na szmaty albo wyrzuca do śmieci. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Na swoje szczęście nie ponoszę kary, gdy rozleję sok z winogron na białą sukienkę, ale nie mogę się nadziwić, jak matka szybko potrafi przejść od zachwyty do obojętności. Jednego dnia ładny nowy sweter jest marzeniem jej życia. Ten sam sweter z małą plamą w jednej chwili przestaje dla niej istnieć.

Kiedy pokazuję jej zabłocony jasnozielony sweter, wkłada go do metalowego pojemnika na śmieci i przykłada zapalną. „Widzisz, jak się pali?” - pyta. - Skwierczy jak włosy. We włóknie jest domieszka nylonu, wiedziałam. Od razu wiedziałam, że znak czystej wełny na metce to oszustwo”.

Następnego dnia, na oczach Maureen, rozmyślnie brudzę smarem z łańcucha od roweru swoją różową szenilową kurtkę.

- Jesteś kompletnie pomyłona! - krzyczy Maureen, ale przynajmniej awansuję z godnej pogardy na taką, której stan budzi niepokój.

Po tym zdarzeniu czasami robię ołówkiem dziurę w kieszeni spódnicy, wylewam lakier do paznokci na aksamitną sukienkę. Moja matka jest zirytowana tylko tym, co uznaje za przejaw niezdarności, której ja, córka wielokrotnej królowej piękności, obsypanej nagrodami, wśród nich także dwiema za zręczność i nienaganne maniery, nie powinnam mieć ani krztyny. Niszczenie ubrań przyjmuje niemal z radością, ponieważ pociąga ono za sobą konieczność kupowania nowych. I w tym właśnie tkwi szkopuł. Za każdym razem, gdy coś zniszczę (a jeśli zmarnuję bluzkę, trzeba też wyrzucić spódnicę od kompletu),

muszę przymierzyć co najmniej pół tuzina innych strojów, zanim ona zdecyduje, że akurat w tym jednym nie wyglądam jak nieszczęście.

Właściwie po co są te wszystkie stroje? Mam na myśli ubrania matki. Opuszcza dom tylko wtedy, kiedy naprawdę musi iść do sklepu po artykuły spożywcze, do fryzjera, czasami ze mną do dentysty albo lekarza. W przeciwieństwie do innych matek nie chodzi do kościoła, nie jest członkiem żadnego komitetu ani klubu. Jej przyjaciółka, Phyllis Bently, zawsze do nas wpada na kawę.

Moja matka właściwie nigdzie nie chodzi, zarówno w tym sensie, że jest domatorką, jak i w tym, że potem, kiedy pakuje walizki i nas porzuca, udaje się do miejsca tak tajemniczego, że równie dobrze mogłoby nie istnieć.

Ale ubrania jej nie towarzyszą. Nawet detektyw z policji jest oszołomiony na widok tego, co zostawiła. „Czy to prawdziwe futro z norek?” - zapyta.

Matka zabiera swoją biżuterię, korony królowej piękności i trofea (które same zajmują pewnie jedną walizkę), oprawioną w ramkę fotografię swego ojca jako młodego mężczyzny w wojskowym mundurze (wybrane spośród moich zdjęć z czasów niemowlęctwa, które wisiały obok) i białą, jedwabną pościel. Ojciec jest przekonany, że nakłonił ją „komplementarz”, „przystojniak Dan, uwodziciel dam”. Ale właściwie, jak to możliwe? Gdy jestem przesłuchiwana w sprawie ewentualnych kandydatów na jej uwodzicieli, mogę tylko podsunąć dostawcę z Eatona i pana LaPierre, który ma na imię Daniel, zawsze całuje ją w szyję na corocznym przyjęciu towarzyszącym grze w kalam-bury.

Każdego roku, aż do zniknięcia mojej matki, w sobotę najbliższą osiemnastego stycznia, wieczorem, zapraszamy do nas gości na turniej kalamburów. Nie są to ani nasi sąsiedzi, ani przyjaciele (matka nie znosi sąsiadów i ma tylko jedną przyjaciółkę), lecz współpracownicy ojca, którzy przychodzą wraz z żonami. Dzień osiemnastego stycznia nie jest żadną godną uczczenia datą, chyba że jest się moim ojcem i obchodzi się rocznicę urodzin Petera Marka Rogeta, twórcy pierwszego tezaurusa. Ojciec uwielbia synonimy. Rzadko kiedy udaje mu się powiedzieć „kocham” bez dodawania „miłuję” albo „uwielbiam”, ale zawsze robi to w taki sposób, jakby parodiował siebie z teatralną przesadą, potrafi więc tym rozbawić każdego. Matka śmieje się, gdy słowa ewoluują w

kierunku frywolnych lub absurdalnych. Czasem sama potrafi nas zadziwić doborem synonimów, dając zazwyczaj upust ironii. Pamiętam, jak pewnego ranka smażyła jajka i ojciec zapytał: „Jajecznicza? Tylko czy dobrze roztrzepana?” A na to ona, nakładając mu porcję na talerz, wyrzuciła z siebie jednym tchem: „Nie, jeśli chodzi o ścisłość, jest zmieszana, zakłopotana, skonsternowana” i tak dalej aż do „kompletnie zdezorientowana”, ale już wtedy ojciec siedział oniemiały z wrażenia.

Na ogół podejmowane przez nią próby wkroczenia na jego terytorium wprawiają go w zachwyt, tak jak wszelkiego rodzaju zabawy słowami, poczynając od trudnych form wierszowanych (w wieku dziewięciu lat jestem zaznajomiona ze spenserowskimi strofami i przerzutniami) poprzez krzyżówki, anagramy, dowcipne teksty piosenek, brawurowe kalambury aż po manipulację własnym imieniem -Sawyer - które, gdy rozpoczął życie zawodowe, skrócił do Sawa tylko po to, by mógł się przedstawiać jako Kirk Saw strażnik praw. Jest uzależniony od gry w scrabble i wolałby organizować przyjęcia połączone z turniejem scrabble'owym, ale matka mówi, że żony są na to za głupie.

Rankiem, w dniu przyjęcia z kalamburami, matka idzie do salonu piękności, tak jak w każdą sobotę, ale z tej okazji zamiast prostej fryzury, którą nosi na co dzień, robi sobie francuskie loki, które uwydatniają jej małe uszy i białą szyję, tak długą, że grozi jej, moim zdaniem, przedwczesne zwiotczenie. Po powrocie do domu myje mi włosy i upina loczki, po czym zabiera się do normalnych domowych czynności: szorowania podłóg, zlewów i muszli klozetowej, odkurzania dywanów i weneckich rolet, machania ssawką odkurzacza w powietrzu, by wciągnąć kurz, zanim osiadzie, chociaż i tak nie da się temu zapobiec. Jej nastrój pogarsza się na myśl o żonach z farbowanymi włosami w elastycznych gorsetach, snujących się po jej domu. Po obiedzie, gdy ojciec zaszywa się w swoim gabinecie, matka zabiera się do gruntownych porządków, jakich wymaga wieczór kalamburów. Nożem do obierania warzyw wydłubuje brud pomiędzy parkietowych klepek. Zapala kinkiety na wszystkich ścianach, by w ich świetle ukazały się ślady palców, a ponieważ mam lepszy wzrok, służę pomocą w ich zlokalizowaniu. Stanowimy zgraną parę - gorliwą, zawziętą i nieustraszoną. „Tam!” Ja pokazuję, a ona likwiduje.

Kiedy ściany lśnią nieskazitelną czystością, nie jestem już potrzebna do czasu nasypywania precelków i orzeszków do misek i ozdabiania kawałków selera

naciowego pastą serową. Późnym popołudniem matka przymierza co najmniej kilka kompletów, zanim w końcu się zdecyduje, co włożyć. Wpada przy tym w ponury nastrój i wtedy mogę ją rozśmieszyć, opowiadając niektóre z zapamiętanych dowcipów najtrafniej nawiązujących do dwóch żon, którymi najbardziej pogardza: pani LaPierre i pani Todd. „Jeśli niewiedza jest szczęściem, to pani LaPierre powinna być zadowolona, że się do niej uśmiechnęło”, „Pani Todd jest tak brzydka, że nawet gdy robi herbatę, nie zdoła zmusić czajnika, by zagwizdał”. Uważam te dowcipy za płytkie i raczej mało zabawne, ale wiem, że w żartach jest wiele okrucieństwa. Wiem też, jak postępuje zdrajca, więc gdy żony przychodzą i podziwiają moją sukienkę i już żałośnie zwisające loczki, mam ponurą minę, natomiast moja matka wymachuje papierosem i mówi, by nie zwracały na mnie uwagi.

Na ostatnim przyjęciu, niecałe dwa tygodnie przed swym zniknięciem, mówi do pani LaPierre: „Louise wcale nie jest taką panną Przyjemniczką”.

Pod warunkiem że będę cicho, mogę zostać i przyglądać się grze. Bierze w niej udział pięć par, łącznie z moimi rodzicami. Zawsze wygrywa ten zespół, w którym gra moja matka. Nie mogę się nadziwić, jak szybko potrafi przełożyć nawet drobny gest na tytuł książki albo filmu. Obserwując grę, widzisz, jak jeden z jej uczestników, żona lub mąż, przygotowuje się do odegrania pantomimy, uśmiecha się szeroko, stroi mądre miny, zatacza pięścią koła przy jednym uchu („Film!”), podnosi cztery palce („Cztery słowa!”), potem trzy palce („Trzecie słowo!”), w końcu otwiera pięść i oczy, by pokazać, że chodzi o przyjemną niespodziankę.

- To *It's a Wonderful Life* - mówi moja matka, z lekkim znużeniem i trochę lekceważąco.

- Tak - potwierdza z zaskoczeniem prezenterka.

- Sprzeciw! - żartuje jeden z mężów.

- Podtrzymany! - przyłącza się ktoś z pozostałych gości.

- Zgłaszam wniosek o odroczenie!

Mężowie żartują i piją mocne trunki, raz po raz posyłając mojej matce wymowne spojrzenia. Pan LaPierre zaczyna bełkotać i podmacuje ją, gdy ona przechodzi zbyt blisko jego krzesła, podąża za nią do kuchni i ślini jej szyję, a ona, będąc myślami gdzie indziej, otwartą dłonią odsuwa jego brodę. Pan Todd zachęca ją do zadawania mu ciosów w

brzuch. Jest jedyną żoną, która dostępuje tego zaszczytu. Pięścią dotyka lekko jego ust, a on całuje kostki palców jej ręki. Jeśli nawet takie zachowanie wzbudza w ojcu zazdrość, nie okazuje tego. Jest zbyt szczęśliwy podczas wieczoru kalamburów, chce, żeby wszyscy świetnie się bawili. Spośród mężów obecnych na przyjęciu on jest najprzystojniejszy, ma gładko przylegające, jak farba czarne włosy, mocno zarysowany podbródek. Jest wysoki i zręczny, ma gęste ruchliwe brwi i długie rzęsy. Jego brązowe oczy są zdolne do wyrażania tylko gwałtownych uczuć: radości, przerażenia, cierpienia. Przyjemnie prezentuje się w swoim niebieskim, gabardynowym garniturze podczas gry albo gdy przechadza się po pokoju, co robi nieustannie, ponieważ mamy za mało krzeseł.

Jeśli mężowie grają przeciw żonom, moja matka - wyraźnie to zauważyłam - nigdy nie zajmuje miejsca blisko którejś z kobiet. Gdy wszystkie cisną się na kanapie, ona przysiadła obok na kuchennym stołku. Każda z nich jest na swój sposób atrakcyjna, ale przy mojej matce, która ma kształtną głowę, włosy w kolorze złocistego szampana, szczupłe białe ręce i nogi, one wyglądają pospolicie, ogorzałe i przywidłe, i dobrze o tym wiedzą. Można to wyczytać z ich spojrzeń, które kierują w jej stronę, niepewnych albo zbyt roziskrzonych, a w wypadku pani LaPierre - w chwilach, gdy jej się zdaje, że nikt nie zwraca na nią uwagi, kompletnie zdruzgotanych.

Moja matka natomiast zazwyczaj rozgląda się po pokoju. Przypuszczam, że ocenia efekt przestawienia mebli i pochowania nagród królowej piękności w szafce na szczotki do zamywania. (Pewnego dnia dojdę do wniosku, że to błędzenie wzrokiem, w każdym razie na ostatnim przyjęciu, towarzyszyło rozważaniom, czy ten dom wart był nudy, jaką okazało się życie z moim ojcem i ze mną.) Po co więc chować trofea do szafki na szczotki, dlaczego nie wyeksponować dowodów uznania jej fizycznej doskonałości? Czy dlatego, że ona się boi, że podchmieleni mężowie pozrzucają je z chwiejnych stolików? Być może. Przynajmniej częściowo. Częściowo również dlatego, że jest nieśmiała.

Tak, nieśmiała. Stwierdzam to nie z punktu widzenia dziecka oglądającego zabawę z podłogi, wciśniętego między ścianę od jadalni a szafkę ze sprzętem grającym, ale jako kobieta, która ma zaledwie cztery lata mniej, niż miała jej matka, w czasie gdy zniknęła. Wiem teraz więcej o jej życiu, ojciec w końcu mi opowiedział. Wiedziałam, że jest jedynaczką. Myślałam, że wyrosła w luksusie i że jej ojciec zmarł, gdy już wyprowadziła

się z domu. Okazało się jednak, że odszedł, kiedy miała zaledwie sześć miesięcy i że biały dom, który raz mi opisała - z białymi ścianami w środku i na zewnątrz, białymi płytkami na podłogach - nie mógł pozostać jej w pamięci, ponieważ rok po pogrzebie babcia Hahn sprzedała go, by spłacić wierzycieli. Matka i babcia przeprowadziły się do dużego mieszkania w szacownej dzielnicy nieopodal śródmieścia Montrealu i mniej więcej w tym samym czasie babcia wycofała się z czynnego życia. „Przeszła w stan spoczynku”, jak to ujął ojciec. Bez reszty pochłonęły ją seanse spirytystyczne, w czasie których mogła przyzywać dziadka Hahna i robić mu wyrzuty, że zapadł na raka mózgu przez czytanie francuskiej poezji, o czym była przekonana. Nie miał kto zająć się domem: nie pozmywane naczynia leżały w zlewie, sterta brudnych ubrań piętrzyła się przy łóżku babci Hahn od tak dawna, że zaczęła używać jej jako podręcznego stolika na popielniczki i buteleczki z pigułkami. Administrator kilkakrotnie musiał zarządzić dezynfekcję.

Ile upokorzenia musiała znosić moja matka. Ale właśnie dzięki temu postanowiła zrobić coś ze sobą, przynajmniej tak uważa ojciec. Nigdy jednak nie przechwalała się sukcesami, które przez wiele lat odnosiła jako królowa piękności, a potem najbardziej znana modelka w Montrealu. Wcale nie popisywała się poza domem ani nawet nie zamawiała ubrań w ekskluzywnych sklepach. Komplementy irytowały ją, a ojciec po pewnym czasie odkrył, że woli miażdżącą krytykę. „I to ma być sukienka? Myślałem, że to torba na ziemniaki, worek pokutny...” „Co ty wygadujesz!”, śmiała się skrzekliwie. Dobrze wiedziała, jak wygląda, nie mówiąc o tym, że w Greenwoods nie było osoby, która miałaby tyle gustu, by móc wpływać na jej opinię o niej samej. O tak, potrafiła zachowywać się arogancko, to trzeba przyznać. Ale była nieśmiała. Prawdopodobnie zawsze niełatwo przychodziło jej zdobywanie przyjaciół z wyjątkiem pani Bently (kolejny odmieniec) - stroniła od ludzi, nie dając im możliwości wtrącania się w jej życie, plotkowania o niej, osądzania.

A ten skrzekliwy śmiech? Czy o kimś, kto ma taki śmiech, można powiedzieć, że jest nieśmiały? Przypuszczam, że zależy to od tego, czy słyszy się siebie. Nie sędzę, żeby moja matka słyszała. Nie miała słuchu, co wcale nie przeszkadzało jej nucić bluesowych piosenek nadawanych w radiu (o kobietach z rozpacznie zalewających się łzami, lecz

żyjących dalej - zachowaniu, które na pewno wydrwiłaby, gdyby zetknęła się z nim w prawdziwym życiu).

Efekt, jaki na przyjęciach z grą w kalambury wywoływał jej śmiech - sprowokowany wyjątkowo niedorzecznym skojarzeniem albo nietrafną uwagą - był piorunujący. Zaskoczone żony mimowolnie podnosiły dłonie do ust, mężowie odrzucali do tyłu głowy. Słyszeli ten śmiech przy innych okazjach, musieli się go spodziewać. A jednak - od chwili gdy rozległ się po raz pierwszy, atmosfera stawała się bardziej swobodna, takie przynajmniej odnosiłam wrażenie. Śmiech, który rozkruszyłby szkło, potrafi też przełamać lody.

Kilka miesięcy po jej zniknięciu ojciec, ku mojemu zdumieniu, powiedział: „Najbardziej brakuje mi jej śmiechu”.

„Zniknąć” to czasownik, którego używa mój ojciec, tylko tego jednego, choć mijają kolejne miesiące. Dla niego jej ucieczka jest tak nagła i niespodziewana, że jeśli ktokolwiek mówi „odeszła” albo „uciekła”, musi wysłuchać rozwlekłego sprostowania. Odejście i ucieczka, jak podkreśla, wymagają wcześniejszych przygotowań. To, co zrobiła moja matka - rozmroziła zamrażalnik jednego dnia, a następnego zostawiła na drzwiach lodówki list pożegnalny (tak naprawdę nie było w nim słów pożegnania, tylko informacja: „Wyszłam. Nie wracam. Louise wie, jak obsłużyć pralkę”) - najlepiej świadczy tym, że decyzję, której przesłanki pozostają wielką tajemnicą, podjęła pod wpływem impulsu.

Ojciec nie wątpi, że mężczyzna, przystojniak Dan, w mniejszym lub większym stopniu ją omotał. Szybko tworzy jego wizerunek. „Świński blondyn”, twierdzi. „Zdecydowanie blondyn”. Mówi, że matka miała słabość do jasnych blondynów, takich jak ona, i do wąsów, więc Dan otrzymuje wąsy, wąskie wąsiki w kształcie ołówka. Jest drobnym kombinatorem, wyciąga studolarowe banknoty z grubego, zatłuszczonego zwitka, nosi krawaty z czystego jedwabiu i kaszmirowe kapelusze. Dan zna się na uwodzeniu kobiet, ale to tylko kanciarz i nicpoń, a najgorsze jest to, że matka nie jest pierwszą szczęśliwą mężatką, która zniknęła z jego powodu.

Rozpłynąć się, zdematerializować, ulotnić. Do wakacji nietykalny czasownik obrósł synonimami.

Ale nawet wtedy, gdy wstrząs przeradza się w przygnębienie, ojciec trzyma się swojej teorii, że uległa komuś, bo miała taki kaprys: „Przecież nie rozmraza się zamrażalnika jednego dnia, żeby następnego...”

A jednak. Podobnie jak jednego ranka kupuje się sukienkę, żeby ją nazajutrz odesłać. Nie chcę tu wyrażać własnego zdania. Ale po przeczytaniu jej pożegnalnego listu wiem, że na wieczorze kalamburów odliczała dni. Kiedy drzwi się zamknęły za ostatnim małżeństwem, powiedziałam: „Mamusi, byłaś najlepsza”, a ona rozpędziła ręką dym z papierosa, żeby lepiej mnie widzieć, pogładziła po twarzy koniuszkami palców i powiedziała: „Skarbie (nigdy przedtem w ten sposób się do mnie nie zwracała), nikt by nie uwierzył, że jesteś moją córką”.

Gdyby zabrała mnie ze sobą - to miała na myśli.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W samochodzie, w drodze z imprezy nie usprawiedliwiam się, mówię tylko: „Nie miałam pojęcia, że tam będzie”. Tim prychnął, potem milknie, pozwalając mi tkwić w oknie i oddawać się rozmyślaniom o Ablu.

Mam się z nim spotkać jutro rano, o dziewiątej na peronie stacji metra BloorYonge, ale będziemy mieli dla siebie zaledwie godzinę, bo o drugiej odlatuje z ojcem do Vancouveru. Jak zniosę to kolejne rozstanie?

- O mój Boże - wzdygam.

- Trochę za późno na opamiętanie - odzywa się Tim, uznając to moje westchnienie za przejaw wyrzutów sumienia.

Spoglądam na niego.

- To znaczy, Jezus Maria. - Uderza dłonią w kierownicę. - Skąd wiesz, że nie wpadłaś?

Parkujemy przed moim domem. Jestem *wciąż* tak odurzona, że nawet się nie zorientowałam, kiedy samochód zatrzymał się przed znakiem stopu ani kiedy skręcił w moją ulicę. Otwieram drzwi.

- Nie martw się - mówię, wysiadając.

- Wcale się nie martwię - mamrocze.

Ja też nie. A w każdym razie nie bardzo. Przez całą noc niepokoją mnie jego słowa „Skąd wiesz, że nie wpadłaś”, ale staram się opanować, tłumacząc sobie, że przecież właśnie skończył mi się okres i nie jestem w płodnej części cyklu. Przewracam się w łóżku, rozkopując pościel, zadziwiona sobą, własną przemianą w dojrzałą kobietę. Nie jestem już dziewicą. Zostałam kochanką Abła. Abel i ja kochaliśmy się.

Wkrótce przed świtem wstaję i zaczynam zwęzać nogawki workowatych, niemodnych džinsów, a ponieważ nie mamy maszyny do szycia, robię to ręcznie. Gdy kończę, okazuje się, że nie mam już czasu, by umyć włosy, zwijam je więc na czubku głowy, przypinając dwoma drewnianymi grzebykami matki. Znajduję czarną kredkę wśród jej kosmetyków i maluję nią oczy, potem zjadam garść płatków kukurydzianych prosto z pudełka i wybiegam z domu, żeby zdążyć na autobus o siódmej trzydzieści.

Półtorej godziny później, zaledwie kilka minut po dziewiątej, docieram do stacji BloorYonge. Abel już tam jest, stoi oparty o filar i czyta gazetę. Z daleka przypomina dwudziestopięcioletniego muzyka rockowego, ale kiedy podchodzę bliżej, podnosi wzrok i wygląda już na swoje lata. W oczach nie ma takiej pewności siebie, jaką powinien mieć ktoś równie przystojny jak on.

- Cześć - mówi i wrzuca gazetę do śmietnika.

- Cześć.

Uśmiechamy się do siebie. Dotykam nierównej blizny nad jego prawym okiem, która pozostała mu po tym, jak Jerry Kochonowski rzucił w niego cegłą. Dotyka grzebyków w moich włosach. Ujmuję jego dłoń i przyciskam do ust, a on otacza mnie ramieniem i wychodzimy ze stacji na ulicę zalaną porannym słońcem. Pod sandałami czuję rozgrzany chodnik. Abel ma na sobie to samo ubranie co wczoraj: džinsy dzwony i biały T-shirt, na którym pozostał zapach marihuany; na nogach buty kowbojskie. Kiedy mu to mówię, odpowiada, że to inny podkoszulek, ale zamiast śniadania wypalił jointa i wypił kilka butelek piwa.

- Naprawdę? Co na to twój ojciec?

- Jeszcze spał, ale i tak by się tym nie przejmował. W każdym razie nie piwem. W Niemczech nawet małe dzieciaki je piją. Tyle że rozwodnione.

- Na śniadanie?!
- To stara, rodzinna tradycja.
- Akurat. - Śmieję się.
- Miałem na myśli moją prawdziwą matkę.
- Ach tak. - Wypuszczam powietrze.
- Zmarła. W zeszłym miesiącu. Zatrzymuję się.
- Skąd wiesz?
- Ktoś z kościoła zadzwonił do moich rodziców.
- Z jakiego kościoła?
- W którym mieszkalem, zanim zostałem adoptowany.

Kiedy miał osiemnaście miesięcy, matka zostawiła go w sierocińcu, który działał w podziemiach kościoła w centrum Toronto. Dowiedziałam się od pani Richter. Opowiadała o tym miejscu z pełnym czci zdumieniem, wspominała, jak tam było czysto i cicho. Nie mogła się nadziwić wypolerowanym do połysku wykładzinom na podłogach i nieskazitelnej bieli pościeli. „Można było usłyszeć szpilkę!” - powiedziała, i oczywiście miała na myśli to, że można było usłyszeć szpilkę spadającą na podłogę, ale przez wiele lat wyobrażałam sobie tak niesamowitą ciszę, że słyhać w niej było szpilki w kapeluszach kobiet i ubraniach sierot brzęczące jak kamertony.

- Myślę, że od czasu do czasu tam chodziła - mówi Abel.

Schyła się i podnosi gałązkę, którą zaczyna szybko przesuwać między palcami, od kciuka do małego palca i z powrotem.

- Powiedzieli ci, w jaki sposób zmarła?
 - Nie. - Upuszcza gałązkę.
 - Ale myślisz, że dużo piła. Potrząsa głową.
 - Sam nie wiem, po co o tym wspomniałem.
 - Chociaż ci powiedzieli, że umarła. Przynajmniej wiesz. Kiwa głową.
- Serce mi pęka. Obejmuję go na wysokości pasa.
- Tu niedaleko jest park.
 - Gdzie? - Nieco się ożywia.
 - Przy następnej przecznicy.

Niezupełnie park, raczej skwer, od czasu, kiedy po tej stronie ulicy wybudowano domy. Pośrodku rośnie rozłożyste drzewo, podchodzimy do niego.

- Dąb - mówię, by zrobić na nim wrażenie. Jestem pewna, że to dąb.

- Buk - poprawia mnie. Przygląda mu się z zachwytem, a mnie się wydaje, że pośród milionów dzieciaków, postępujących jak kochający przyrodę pacyfiści, on jest jednym z niewielu wiarygodnych. Kiedy zdjęli mu szwy z czoła, a ja planowałam odwet na Jerrym Kochonowskim, on cały czas go usprawiedliwiał, twierdząc, że to z pewnością starsi bracia go namówili, że Jerry wcale nie chciał rzucić tak mocno, i w końcu - doniosłe wyznanie jak na chłopca w tamtym czasie - że nie lubi się bić.

Przesuwa ręką po gładkiej korze drzewa.

- Czy nie przypomina ci ona tych srebrzystych zasłon, które wisiały w pokoju gościnnym, kiedy byliśmy dziećmi?

Obejmuję go od tyłu, przytulam twarz do jego pleców. W rogu skweru rosną bujne krzewy forsycji i właśnie wśród nich się chowamy, by zapalić jointa i poleżeć na trawie. Całuje mnie w kącikach ust, co jest bardzo przyjemne, ale wydaje mi się to zbyt wyrafinowaną pieśczęcią, za bardzo wystudiowaną, i mimo obaw, że wydam mu się zaborcza, odsuwam się i pytam najswobodniej jak potrafię:

- Masz zamiar powiedzieć o mnie swojej dziewczynie?

- Jakiej dziewczynie?

- W Vancouverze.

- Nie mam dziewczyny.

- Nie masz?

- A co z twoim chłopakiem? Co mu powiedziałaś? - Podnosi się na łokciu.

- Timowi? - Kiedy wypowiadam to imię, nawet nie mogę przywołać w pamięci jego twarzy. - Och, nie martw się. To już przeszłość.

- Robił wrażenie poważnie zmartwionego.

- Tak naprawdę wcale nie chodziliśmy ze sobą. Tylko czasami się spotykaliśmy.

Nigdy z nim nie spałam, nic z tych rzeczy.

Abel podchwytuje ten temat.

- Wczoraj wieczorem był twój pierwszy raz?

- Zdeflorowałeś mnie - mówię pompatycznie, uśmiechając się. - Odebrałeś mi dziewictwo.

Jest trochę wstrząśnięty. Czyżby naprawdę myślał, że nie byłam dziewicą? A może dlatego, że w ten sposób sobie żartuję? Dawniej byłam pewna, że umiem czytać w jego myślach. „Kochasz mnie”, powiedziałam mu kilka lat temu, zanim sam sobie to uświadomił. „Kochasz mnie bardzo, bardzo mocno”.

Teraz, chociaż wcale nie jestem taka pewna jak wczorajszego wieczoru, mówię:

- To był też twój pierwszy raz.

Przytakuje.

- No to jest remis.

- Ale ty... - Skubie trawę. - Ale ty bierzesz pigułki?

- Nie, ale nie martw się. To nie ta pora miesiąca.

Podnosi wzrok.

- Nie mogę być w ciąży. To niemożliwe. - Łapię go za ramię. - Daj spokój. -

Pociągam go z powrotem na dół.

Całujemy się. Nie możemy robić nic więcej, ktoś może tędy przechodzić. Całujemy się i rozmawiamy.

Powiedziałabym, że z mojej strony rozmowa bardziej przypomina przesłuchanie. Czy kiedykolwiek miał dziewczynę? (Spotykał się z kilkoma, ale to nie było nic poważnego.) Czy były do mnie podobne z wyglądu? (Jedna z nich, troszeczkę.) Czy była szczupła? (Nie aż tak bardzo.) Czy w dalszym ciągu gra na pianinie? (Codziennie. Teraz nawet uczy w szkole i udziela prywatnych lekcji.) Czy wciąż maluje? (Nie tyle, ile dawniej. Chociaż robi dużo rysunków piórkiem.) Czy kiedykolwiek o mnie myślał? (Cały czas.) W takim razie czemu nie pisał? (Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem.) Co teraz zrobimy? (Nie wie.) A gdybyśmy, w każdy niedzielny wieczór, o siódmej jego czasu, dziesiątej mojego, kiedy opłaty za połączenie są niższe, dzwonili do siebie, na zmianę, w jedną niedzielę on do mnie, w następną ja do niego? (Dobry pomysł.) A gdybym odwiedziła go w czasie Bożego Narodzenia? (Rzeczywiście mogłabym przyjechać?) Pracuję na pół etatu w sklepie z damską odzieżą w Greenwoods Shopping Plaza. Mogłabym odłożyć na podróż.

- Pokochałabyś Vancouver. To takie piękne miasto - mówi.

- Może więc tam zostanę. Będę mieszkać z tobą i twoimi rodzicami. Powiem innym, że jestem twoją siostrą.

Jego twarz przybiera obojętny wyraz. Jestem zbyt natrętna, myślę, ale słyszę zegar bijący w oddali i dochodzę do wniosku, że to na jego dźwięk tak reaguje.

- Lepiej już pójdę. - Patrzy na zegarek.

- Kocham cię - mówię.

Przesuwa palcem wzdłuż moich brwi. W trudnym do zniesienia milczeniu.

- A ty mnie kochasz? - pytam w końcu. Palec podąża w dół linii mego podbródka.

- Możesz to powiedzieć? Tak bardzo chcę od ciebie usłyszeć te słowa.

Dotyka mojej dolnej wargi.

- Powiedz. Powiedz, że kochasz mnie bardzo, bardzo mocno.

- Kocham cię za mocno. Patrzę na niego.

- Nie możesz. - Chwytam jego dłoń i zaczynam ją całować. - Nie możesz. Nie możesz.

- Louise, muszę już iść.

- Nie możesz kochać mnie za mocno. Jestem studnią bez dna.

- Nie ma czegoś takiego. - Uśmiecha się.

Idziemy do metra. Każde źdźbło trawy, każda czerwona cegła w wiktoriańskich budynkach ubogiej dzielnicy, która rozciąga się po drugiej stronie ulicy, wszystko wydaje mi się wyjątkowe i cenne. Wiem, że jestem odurzona, ale czuję, jakbym patrzyła na świat jego oczami. Zawsze widział go w światłach reflektorów, jak spektakl rozgrywający się na jego oczach, a będąc z nim, odczuwałam podobnie. Gdy jednak przeprowadził się na zachód, otoczenie straciło barwę. Bez Abła nie miałam nic, jemu pozostały owady, jaszczurki, chmury zmieniające kształty, muzyka, wszystko, na co zwrócił uwagę. A więc, jeśli kocha mnie za mocno, to cierpi bardziej, niż kiedykolwiek mogłam oczekiwać, a wobec tego jego powrót do Vancouveru jest romantycznym rozstaniem. Można je znieść.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy śni mi się, że otwieram pudełko, a w środku nie ma nic prócz następnego pudełka i że w jego wnętrzu znajduję kolejne pudełko, w którym mieści się następne i tak dalej, bardziej odczuwam ulgę niż zawód. Podobnie dzieje się, gdy widzę rzędy wolnych ławek na opustoszałym stadionie lub puste podium dla chóru - nigdy się nie staram wyobrazić ich sobie wypełnionych. Wolne krzesła w pustym pokoju wywołują we mnie uczucie, które można porównać do miłości. Nie jest to widok, za jakim tęsknię, ani taki, który uspokaja, ale wydaje mi się znany. Dobrze znany.

Przypuszczam, że ma to jakiś związek z dość skromnym umeblowaniem naszego mieszkania w Greenwoods. Były w nim krzesła, stoły i lampy, ale tylko tyle, ile potrzeba, kilka zdjęć oprawionych w ramki i trofeów królowej piękności. Do czasu, kiedy mieszkała z nami matka, wolnego miejsca w domu nie zajmowały przedmioty, które dla innych są wazonikami, pamiątkami, roślinami, bibelotami, a które ona nazywała duperelami. To, że zaśmiecila drzwi lodówki pożegnalną kartką, zdziwiło mnie prawie tak bardzo jak sama kartka. Kilka lat wcześniej przyczepiłam w tym samym miejscu rysunek rolnika, który zrobiłam kredkami w szkole i nawet zyskał uznanie nauczycielki za to, że mężczyzna miał brwi i kawałek słomki w ustach.

Matka natychmiast go zdjęła. „To nie jest galeria sztuki”, powiedziała, chcąc wyrządzoną przykrość pokryć pochwałą nie wprost (tak jak często komplement starała się przytłumić pośrednią inwektywą).

Jeśli na mój sentyment do pustych krzeseł i pomieszczeń miało wpływ jej zniknięcie, to fakt, że jestem jedynaczką, także nie może być bez znaczenia. Przez kilka lat wyobrażałam sobie, jak by to było, gdybym miała młodszą siostrę, ale nie mogłam się ostatecznie zdecydować, jaka miałyby być. W każdym razie nie taka jak ja. Bardzo piękna też nie. Nie potrafiłam nawet wybrać dla niej imienia. Kitty? Nadine? Laura? Każda Kitty była bystra i śmiała i czasami chciałam, żeby moja siostra taka właśnie była. Ale kiedy w wyobraźni dochodziłam do czesania jej włosów, wołałam, żeby była Laurą. To imię usłyszałam w jakiejś piosence nadawanej w radiu: „Laura! Lecz ona jest tylko snem...”

Nie przypominam sobie dokładnie, skąd wytrzasnęłam Nadine. Podobała mi się akcentowana końcówka; uważałam, że brzmi wytwornie.

Nie musiałam pytać matki, dlaczego nigdy nie miała drugiego dziecka. Od kiedy pamiętam, wałkowałam temat kobiet takich jak pani Dingwall, które przyczyniały się do przeludniania świata. Ale pewnego dnia okazało się, że było drugie dziecko. Prawie. Dowiedziałam się o nim tylko dlatego, że matka zwierzyła się pani Bently, wspomniała o tym zupełnie przypadkowo, jak gdyby to była sprawa, o której już wcześniej byłam poinformowana.

W czwartkowe popołudnie pani Bently i moja matka siedziały przy naszym kuchennym stole i piły kawę - pani Bently z dodatkiem whisky (przyniosła własną piersiówkę) - raz po raz sięgając do dużej puszki z orzeszkami ziemnymi. Moja obecność - czasem przysiadalam się, jeśli pani Bently była jeszcze u nas, gdy wracałam ze szkoły - nie miała wpływu na przebieg ich rozmowy. Pani Bently w dalszym ciągu używała wulgarnych słów i uskarżała się na pana Bently'ego, który był dwa razy starszy od niej, źle wychowany i unieruchomiony na wózku inwalidzkim. Zastanawiam się, dlaczego w ogóle za niego wyszła. Gdyby nie cera (miała ospowata), mogłaby uchodzić za bardzo ładną kobietę. Miała takie tajemnicze, wyraziste rysy, urodą dorównywała mojej matce.

Narzekania na mojego ojca, zwyczajowo i wyłącznie, dotyczyły tego, że pozwala wszystkim deptać sobie po głowie. „Jest wycieraczką”, mówiła. „Tym miłym, usłużnym facetem, który zawsze zostaje na szarym końcu”. Jednak przede wszystkim zajmowały się rozdzieraniem na strzępy innych kobiet i snuciem opowieści na temat ich życia płciowego. O własnym wyrażały się raczej oględnie, choć raz pani Bently powiedziała: „Cholera, wolałabym już zjeść jabłko”.

Matka była najbliższej kwestii współżycia z ojcem, gdy wspomniała pani Bently o drugim dziecku. Powiedziała, że zaraz po tym, jak wróciła ze mną ze szpitala, ojciec nie mógł oderwać się od niej, i kiedy miałam sześć miesięcy, myślała, że znowu jest w ciąży. Okazało się, że alarm był fałszywy, ale w ciągu kilku dni przed wizytą u lekarza przeżywała chwile grozy.

- Przysięgam, czułam, jak rośnie - powiedziała. - Wiedziałam, że to będzie dziewczynka. Mogłam ją sobie nawet wyobrazić. Wybałuszone oczy Sawyera i jego po-

zółkła cera. Co za koszmar. Pamiętam, jak stałam nad zlewem, zmywałam naczynia i wypłakiwałam oczy.

- Zupełnie nie wyobrażam sobie ciebie roniącej łzy - stwierdziła pani Bently. - A cóż dopiero mówić o wypłakiwaniu oczu.

- A jednak tak było - zapewniała ją matka, sama zadziwiona. - Nigdy nie zapomnę, jak łzy kapały do wody od zmywania.

Zaraz po wyjściu pani Bently zapytałam matkę, jakie imię dałaby temu dziecku, gdyby się urodziło. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Grace?

- Nienawidzę ludzi, którzy dają dzieciom własne imiona.

- Phyllis? Po pani Bently.

- Chyba żartujesz? Wyrosłaby na alkoholiczkę z twarzą jak puszcza robaków.

- A może Laura?

- Chwileczkę, co to za przesłuchanie? - obruszyła się. Nie mogłam jednak teraz przestać.

- Dobra - mówię. - A jeśli ja umrę? Może wtedy zdecydujesz się na kolejne dziecko, dziewczynkę. Jak ją nazwiesz?

Obrzuciła mnie pustym spojrzeniem.

- Louise - powiedziała w końcu. - Nazwałabym ją Louise.

- Kogo? - Byłam zdezorientowana.

- A jak myślisz? No dziecko.

- Przecież to moje imię.

- Ale to jedyne imię, które mi się podoba. Po co je marnować? - Zgasiła papierosa w popielniczce. - Poza tym - dodała surowo - ty nie umrzesz.

Wzmianka o mojej śmierci poruszyła ją do głębi! Dla mnie to była tak niespodziewana, przejmująca informacja (doskonale wiedziałam, że nie chce, żebym umarła, ale nigdy nie potrafiłam sobie uzmysłwić, jaką ma korzyść z mojego istnienia), że wizja małej siostrzyczki kompletnie wyleciała mi z głowy. I nigdy do niej nie powracałam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W dniu świętego Walentego z Houston przyjeżdża do nas ciotka Verna, starsza siostra ojca, by przejąć domowe obowiązki i pomóc w odnalezieniu matki. Jako młoda kobieta ciotka Verna zrezygnowała z dobrze płatnej pracy sekretarki i przeniosła się do Houston, by się opiekować swoimi rodzicami (oczywiście także rodzicami mojego taty), którzy po przejściu na emeryturę osiedlili się tam pół roku wcześniej, wierząc, że nieznośne upały rozrzedzają krew. Na niewiele się to zdało, ponieważ i tak oboje zmarli na zawał, w ciągu kilku tygodni od przyjazdu ciotki i tylko w trzy dni jedno po drugim. Babcia i dziadek Kirk, Mutt i Jeff, wspomina ojciec, patrząc na czarno-białą fotografię z dnia ich ślubu. Dziadek był co najmniej trzydzieści centymetrów wyższy od filigranowej babci. Doskonale się dobrali pod względem atrakcyjnego wyglądu, on z ciemnymi włosami i wystającymi kośćmi policzkowymi, ona zaś o okrągłej drobnej twarzy pod szopą jasnych włosów ułożonych w kok przypominający monumentalną świątynię. Na ślubnym zdjęciu każde z nich trzyma rękę na sercu, by przypieczętować przysięgę małżeńską, tak twierdzi ojciec. Jak dla mnie ten gest i ich poważne miny są raczej ostrzeżeniem przed przyszłością. „Zobaczycie. Nasze serca nas zabiją”.

Po pogrzebie ciotka Verna pozostała w Houston i dostała pracę sekretarki prywatnego detektywa, pana Crimpa. To był jej pomysł, by poobcinać w ząbki brzegi jego wizytówek profilowanymi nożycami krawieckimi. Mój ojciec był tak zachwycony, że zaczął nosić jedną z nich w portfelu wraz z kolorowym zdjęciem ciotki, na którym aktorka Sophie Tucker całuje ją w szyję z wdzięczności za to, że ciotka Verna samodzielnie odnalazła jej porwanego kota syjamskiego, związanego i zakneblowanego, ale żywego, w hotelowym koszu na brudną bieliznę.

Osoby, którym ojciec pokazuje tę fotografię, niezmiennie pytają: „To pewnie twoja siostra bliźniaczka?”, i nawet trudno im się dziwić. Gdyby miał włosy w kolorze asfaltu, krótkie i poskręcane jak sierść pudła, byłiby podobni jak dwie krople wody. Wcale nie jestem do końca przekonana, że ciotka nie jest mężczyzną. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, żylasta, biust płaski jak deska, bez makijażu, nawet odrobiny szminki, kostki palców dłoni wielkości winogron. Jej trzy spódnice, beżowa, brązowa i ciemnozielona, są

uszyte z jakiegoś ciężkiego, szorstkiego materiału, z którego wcześniej widziałam tylko obicia na kanapach. Przyjechała z kufrem z parowca, należącym kiedyś do mojego dziadka, który przybył tu jako młody emigrant z Cheltenham w Anglii. Kiedy zauważyliśmy ją na lotnisku, dźwigała kufer na plecach, a ludzie odwracali się i nie mogli oderwać oczu od kobiety siłaczki.

W drodze na parking ciotka i tata nieśli kufer za uchwyty zamocowane po jego obu stronach.

- Co jest w środku? - pytam.

- Namiastka biura! - krzyczy ciotka Verna. Cały czas mówi podniesionym głosem z wyraźnie południowym akcentem, choć do dwudziestego piątego roku życia mieszkała w Toronto. Nazywa mnie Lou-Lou albo skarbem. Okazuje się, że spotkałyśmy się już, kiedy miałam trzy lata.

- Miałaś kompletnego bzika na punkcie moich żyłaków - wrzeszczy. - Ciągle chciałaś je dotykać. - Łapie za jeden, średniej grubości, na gęsto zarośniętej łydce, która wygląda, jakby ją oplatały fioletowe robaki. - Widzisz, skarbie, teraz jest więcej do podziwiania.

Odsuwam się o krok do tyłu.

Śpi na rozkładanej kanapie w gabinecie ojca. Jej stopy zwisają poza brzeg kanapy, a chrapanie wędruje kanałami wentylacyjnymi i budzi mnie z koszmarów, w których złoczyńcy wyposażeni w ciężką maszynę próbują włamać się do domu. Pracuje w kuchni, przemieszczając się od telefonu, do stołu, potem do zlewu na drewnianym fotelu na kółkach, który także ze sobą przywiozła, ponieważ specjalnie wyprofilowane oparcie utrzymuje jej chrzęszczący kręgosłup we właściwej pozycji. Żeby zmieścić fotel do kufra, odkręciła nogi, które potem przymocowała własnoręcznie za pomocą własnego śrubokręta. Mój ojciec ma wprawdzie maszynę do pisania, remingtona, ale w jej kufrze znalazło się dość miejsca na underwooda, więc też jest tutaj.

- Łomoczę w te klawisze już od tak dawna, że doskonale wiedzą, co mam zamiar napisać, zanim jeszcze to zrobię. Ta maszyna jest jak stary koń, który zawsze zna drogę do domu.

- Masz konia tam, gdzie mieszkasz? - pytam (myśląc o Teksasie).

- Ja jestem koniem tam, gdzie mieszkam! - rechocze na całe gardło.

Teraz przypominam sobie, jak matka mówiła, że Verna jest ekscentryczna. To prawda, rzeczywiście jest, ale w sposób, do którego nie jestem przyzwyczajona, ponieważ żartuje sama z siebie. Jest niezdarna, wpada na meble, zapina guziki od bluzki w przypadkowej kolejności i nosi skarpetki nie od pary, każda innego koloru. Gdy zwracam jej na to uwagę, ona klepie się po twarzy i wyje: „O Boże, ależ ze mnie baba z ptasim mózdzkiem!” Regularnie przypala potrawy na kolację. Tłuszcz pryska na ściany i sufit, kipi z garnków, a spaghetti zbija jej się w wielką lepłą kulę „przypominającą mózg”, jak sama zauważa. „Mogłabym przypalić lód!” - pokrzykuje. Gdy się śmieje, jej wargi wędrują powyżej zębów i odsłaniają dziąsła, od których odwracam wzrok z uczuciem wstydu, jak gdyby na widok ukradkiem dostrzeżonej nagości.

Ale mimo to cieszę się, że tu jest. Dokłada mnóstwa starań, by podtrzymać nas na duchu, chociaż niewiele mam wspólnego z tą usychającą z tęsknoty sierotą, za którą mnie uważa. Zaciska wielkie teksańskie dłonie na moich ramionach i wydiera się: „Trzymam rękę na pulsie!” Przynajmniej raz dziennie pociesza: „Nie bądź taka załamana, kochana”.

- Wcale nie jestem załamana - odpowiadam.

Pytam, co zrobi, jeśli znajdzie moją matkę, a ona powie, żeby się od niej odczepić.

- Niektórzy nie chcą być znalezieni - kończę, cytując słowa policyjnego detektywa.

- To zależy, czy odeszła z własnej woli - wyrokuje ciotka Verna oschłym tonem, ze znawstwem profesjonalisty.

- Chodzi ci o to, że mogła wpaść w pułapkę?

- Coś mogło jej odebrać zdrowy rozsądek. Albo ktoś?

- Przystojniak Dan - podsuwam.

- Kto wie, może rzeczywiście jakiś podstępny padalec. Albo szantażysta. A może chodzi o narkotyki.

- Co to są narkotyki?

Ciotka Verna milknie w jednej chwili. Nie chciała, żeby to słowo się jej wymknęło.

Ja zawsze zwracam uwagę na to, co mówię. Jestem całkowicie przekonana, nawet jeśli inni twierdzą inaczej, że moja matka odeszła wyłącznie dlatego, że nie znosiła Greenwood. Powtarzała to nieustannie. Pewnego dnia poszła sobie, z mężczyzną czy bez, ale

naprawdę liczy się to, że nikt nigdy nie mógł podporządkować jej swojej woli. Zresztą, po co miałyby wracać? Radzimy sobie dobrze bez niej. Codziennie po kolacji gramy w scrabble, oglądamy telewizję i żadne z nas nie wyśmiewa się z aktorów ani z ubrań kobiet występujących w reklamach. Kiedy budzę się w środku nocy z migreną, ciotka Verna, zamiast wpychać mi na siłę do gardła aspirynę, pociera mi skronie, aż znów zasnę. Już sama myśl o powrocie matki przyprawia mnie o ból głowy, tak samo jak nieuchronnie zbliżający się koniec wakacji. Żeby opóźnić, a nawet uniemożliwić jej ewentualny powrót, jestem skłonna podsuwać fałszywe tropy. Na pytanie ciotki Verny, czy Grace wymieniała jakieś miejsce, do którego tęskniła całym sercem, odpowiadam, że Australię.

- Australię? - dziwi się ojciec, oszołomiony.

- Także Japonię - dodaję.

Dochodzenie przebiega hałaśliwie. Ciotka Verna przerzuca z miejsca na miejsce materace i poduszki. Opróżnia wszystkie szuflady, schowki i szafki, przekopuje się przez ich zawartość, a potem upycha wszystko z powrotem. Na początku jestem przerażona, układam swetry na miejsce i starannie ustawiam puszki na półkach.

- Jesteś podobna do matki - orzeka ciotka Verna.

To stwierdzenie jest dla mnie tak paraliżujące - absolutnie w niczym nie przypominam matki - że upuszczam na podłogę otwarte pudełko z cukrem, które akurat trzymam w rękach.

Tak więc dom jest wywrócony do góry nogami, ja się nie przejmuję, a ojciec chyba tego w ogóle nie zauważa. Ciotka koncentruje się na poszukiwaniach pamiętnika, notatki, mapy, listu, tajemnej skrytki, podejrzonej recepty od lekarza. Na nic takiego nie natrafiamy. Ale w środku oprawionej w białą skórę Biblii, którą moja matka dostała w dzieciństwie i, jak utrzymywała, od tamtej pory jej nie otworzyła, znajdujemy świadectwo urodzenia. Następuje swego rodzaju przełom w dochodzeniu. Ciotka Verna twierdzi, że jeśli ktoś ucieka i nie zabiera ze sobą świadectwa urodzenia, w dziewięciu przypadkach na dziesięć chce przybrać nową tożsamość.

A to, jej zdaniem, „dziecinna zabawa”. Tłumaczy nam zasadę postępowania. Idziesz do biblioteki miejskiej i prosisz o strony z nekrologami z gazety wydanej w roku twojego urodzenia. Szukasz wzmianki o zgonie dziecka tej samej płci, które żyło zaledwie kilka

godzin. Jak już takie znajdujesz, zapisujesz imię, imiona rodziców oraz dokładną datę i miejsce urodzenia. Potem udajesz się z tymi informacjami do urzędu i podajesz jako własne. Jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy, żeby je dokładnie sprawdzić, a rzadko się to zdarza, znajdzie tylko potwierdzenie, że rzeczywiście w takim miejscu i czasie urodziło się dziecko. Dostajesz świadectwo urodzenia. Potem moczysz je w kawie i suszysz na słońcu, by nadać mu wygląd dokumentu, który ma swoje lata.

- Grace nie miałyby pojęcia, że tak trzeba zrobić - oświadcza ojciec, skrobiąc się po nie ogolonej brodzie.

Ojciec, podobnie jak nasz dom i ciotka Verna, jest w strasznym stanie. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, chodzi w nie wyprasowanych koszulach. Mimo to codziennie rano idzie do pracy, po kolacji zmywa po sobie naczynia, wygrywa w scrabble. To więcej, niż gdyby tylko sobie radził, tak mi się wydaje. W środku nocy, kiedy budzi mnie chrapanie ciotki, słyszę skrzypienie podłogi w korytarzu, lecz wcale nie staje mi wtedy przed oczami postać ojca z udęczonym, złamanym sercem (ponieważ jeszcze nie wiem, że tęskni za śmiechem matki) przemierzającego pokój wzdłuż i wszerz. Doskonale wiem, że potrafi przez kilka weekendów z rzędu, wyłącznie z powodu irytacji, jaką wywołuje u niego ostatnie nie rozwiązane hasło w krzyżówce, krążyć po swoim gabinecie, próbując znaleźć odpowiednie słowo. Przechadza się, oczywiście, wyraźnie to sobie wyobrażam. Zaciska pięści. Szuka odpowiedzi.

- Ona mogła wiedzieć - mówi ciotka, nawiązując do świadectwa. - Chociaż równie dobrze mogła nie wiedzieć. Jednego możemy być pewni, miała tajemnice i dobrze je ukrywała. Tak czy inaczej, jej sprzymierzeniec mógł być dobrze poinformowany.

- Wredna gadzina. - Ojciec kiwa głową. Ponieważ używa tych rynsztokowych określeń, tylko gdy mówi o przystojniaku Danie, od razu domyślam się, kogo uważa za jej sprzymierzeńca. - Artysta-kanciarz - dodaje, a w jego oczach pojawia się iskierka szaleństwa.

- Oszust - podpowiadam. - Kieszonkowiec. - Dla mnie to już nie jest prawdziwa historia, tak jak dla mojego ojca. Jakimś cudem wiem jednak, że im bardziej beznadziejne staje się poznanie losów matki, tym bardziej rzeczywisty musi być Dan, dlatego uczestniczę w tworzeniu jego wizerunku.

Tak samo zachowuje się ciotka Verna.

- W całym swoim życiu nie przepracował uczciwie ani jednego dnia! - dorzuca gromkim głosem.

- Naciągacz - mruczy pod nosem ojciec.

On i ja niewiele możemy pomóc. To w czasie naszej nieobecności w domu ciotka Verna wykonuje największą część roboty. Zadzwoniła policję, szpitale, agencje modelek, salony piękności, sklepy z ubraniami, bada rozmaite dawne montrealskie kontakty matki, robi kopie jej dokumentacji lekarskiej i dentystycznej. Sporządza notatki i codziennie rano przepisuje je na maszynie, potem wpina do harmonijkowej teczki w kolorze miedzianym z etykietką „Raport ze śledztwa: Helen Grace Kirk, z domu Hahn”. Przez kilka godzin, niemal każdego popołudnia, w swojej szaroburej spódnicy, skarpetach nie do pary, buciorach wielkości wioseł i męskim tweedowym palcie przemierza ulice Greenwoods, dobijając się do drzwi domów i przesłuchując gospodynie domowe. Kiedy czasem w drodze powrotnej ze szkoły słyszę jej grzmiący głos: „Nie zajmę pani wiele czasu... jestem siostrą Sawyera Kirka. Nazywam się Verna”, chowam się w krzakach, by mnie nie dostrzegła i nie zawołała „Lou-Lou!”

Potem, kompletnie wycieńczona, wyciąga się w salonie na podłozie, chcąc złagodzić ból bioder. Kładę się obok niej. Tłumaczy mi, że śledztwo nie tyle polega na gromadzeniu dowodów, ile na wykluczaniu ewentualności. Stopniowo ich zakres się zawęża. Demonstruje mi to, powoli przybliżając dłonie jedną do drugiej i gwałtownie je zamykając. Informuje mnie na bieżąco o tych ewentualnościach, które można z całą pewnością wyeliminować: moja matka nie jest osadzona w żadnym kanadyjskim więzieniu ani szpitalu psychiatrycznym. Nie jest poszukiwana przez kanadyjską policję. Pod prawdziwym nazwiskiem nie zapisała się do żadnej biblioteki, nie kontaktowała się z ambasadą kanadyjską ani ze szwajcarskim bankiem. Jest tak rozpoznawalna, że nawet w peruce byłaby zauważona i zapamiętana. Z całą pewnością osobiście nie kupiła biletu lotniczego, autobusowego ani na pociąg w żadnej agencji w Toronto. Nie zameldowała się w hotelu czy motelu w całym południowym Ontario. Nie zastawiła biżuterii. Jej współnik, przystojniak Dan, nie jest głową rodziny mieszkającej w okolicy. Nie jest także dostawcą z Eatona.

Podczas kolacji relacjonuje ojcu to, czego zdołała się dowiedzieć w ciągu dnia, a jego reakcja ewoluuje od niepokoju poprzez refleksyjny cynizm (skierowany na osobę Dana) aż do kompletnego osłupienia. Na koniec niezmiennie mówi: „Nie wierzę”. Nie wierzy, że zniknęła bez śladu. Bez słowa, nawet do pani Bently.

Oczywiście, dzwonił do niej. „Ta podstępna suka”, pani Bently, warczała na tyle jadowicie, by przekonać go, że ona nic nie wie. Potem podsunęła kilka osób, do których należałoby dotrzeć w ramach dalszych poszukiwań: modelkę pijaczkę z Flin-Flon, w Manitobie. Jane albo Anne, albo Joanne. I ukochanego mojej matki z liceum, faceta z pletwą skórną między palcami stóp i niewiarygodnym w tej sytuacji nazwiskiem Duck, czyli Kaczor. Tom albo John, albo Ron, albo Rob Duck. „Ślepy zaulek” - zawyrokowała ciotka Verna, ale zadzwoniła do każdego faceta w prowincji Quebec i Ontario, który nosił to nazwisko. Zatelefonowała także do każdej z osób, z którą wcześniej telefonicznie kontaktował się ojciec. Nawet z matką mojej matki, babcią Hahn, która przez dziesięć lat mieszkała w przyczepie kempingowej na przedmieściach St Petersburga na Florydzie i której coroczne prezenty gwiazdkowe - trzy czerwono-zielone szydełkowe serwetki, rok w rok identyczne - moja matka wyrzucała do śmieci, zawsze pamiętając o tym, by przedtem wytknąć nedoróbki i plamy oraz zaznaczyć: „Ta kobieta zupełnie postradała zmysły”. Tak się złożyło, że babcia Hahn stwierdziła to samo, kiedy ojciec przekazał jej ostatnie wieści.

- Nie może być inaczej, skoro porzuca solidne życie - uzasadniła.

Dodała, że matka zawsze miała pstro w głowie.

- Panna Postrzelona - powiedziała. - Panna Fiu Bździu. Panna Diabli Ją Wiedzą.

Cóż, jak dla mnie, to jest Panna Diabli Ją Wzięli. Panna Nie Przychodź do Mnie z Płaczem, Jak Wylądujesz w Rynsztoku. - Te coraz bardziej rozbudowane epitety zrobiły wrażenie na moim ojcu, który przyjął je z lekkim zdumieniem.

Kilka tygodni później, nawiązując do tej rozmowy telefonicznej, ciotka Verna oznajmiła:

- Osobiście wcale nie uważam, że twoja matka jest zwariowana czy pomyłona, absolutnie nic z tych rzeczy.

Leżymy obok siebie na podłodze w pokoju gościnnym. Po wielu tygodniach bez odkurzania dywan jest upstrzony kolorowymi drobinkami, których źródła nie potrafię zi-

dentyfikować; są na nim także nitki, włosy i zdechłe muchy rozświetlone promieniami słońca wpadającego przez weneckie rolety.

- Ma tylko zmienne nastroje - kontynuuje ciotka Verna. - Piękne, szczuplutkie istoty takie właśnie są. Zbyt nerwowe i szybko się załamują.

- Nigdy na mnie nie krzychała - mówię. - Ani mnie nie uderzyła.

Teraz jest to tylko zwykła informacja. Jeszcze nie wiem, czy mam bronić matkę, czy ją oskarżać, czy też wyteżać umysł, by zgadnąć, gdzie może być.

- A kto powiedział, że cię biła? - krzyczy głęboko poruszona ciotka Verna. - Mój Boże, mam nadzieję, że nigdy tego nie zrobiła!

Zwykle leżę na boku, zwrócona twarzą do ciotki, zasłaniając rękoma uszy, w które wdziera się jej donośny głos. Czasami poklepuje mnie po nodze albo chwyta za kolano. W każdej mojej wypowiedzi doszukuje się smutku sieroty albo lojalności córki. Czasem zastanawiam się głośno, co może teraz robić matka:

- Ciekawe, czy sama zakręca sobie włosy. A ciotka Verna wrzeszczy:

- Kochanie, zakręciłabym ci włosy, ale mam dwie lewe ręce!

- Lou-Lou, jesteśmy na końcu sznurka - oświadczyła pewnego popołudnia, na początku marca.

- Co masz na myśli?

- Skończyły nam się tropy.

- Naprawdę?

- Nie znaczy to oczywiście, że zamknęliśmy sprawę! - Ścisza mnie za kolano. - Sprawa w dalszym ciągu pozostaje otwarta. UFO. Umorzona, Formalnie Otwarta.

- A więc uciekła. Nie mogę w to uwierzyć. Jednak zniknęła.

- Zgodnie z dzisiejszym stanem wiedzy tak, panienko, uciekła.

Leżymy, spoglądając na siebie. Niewiele czasu potrzebuje, by się zorientować, że niepowodzenie w odnalezieniu mojej matki jest dla ciotki Verny tylko najświeższym rozczarowaniem. Troski pocziwej starej panny, której największym osiągnięciem jest to, że wciąż ma nadzieję, pojmuję na swój sposób, naiwnym i czystym umysłem dziewięciolatki.

- Nie martw się - uspokajam ją, czując ucisk w gardle (ponieważ, mimo że nie w pełni rozumiem to, co się dzieje wokół mnie, nauczyłam się już w oczach ludzi rozpoznawać błysk zapowiadający ich zbliżające się odejście). - Umiem gotować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W głowie mojego ojca rodzi się nieskończenie wiele analogii, za pomocą których odwołuje wszystko do wszystkiego innego. Pod warunkiem że jego umysł jest w normalnym, aktywnym stanie. W ciągu pierwszych tygodni po odejściu matki „wszystko” ogranicza się do złodziei i bajerantów, a „wszystko inne” obejmuje rekiny, węże, pijawki, szczury, karaluchy, kwaśne deszcze, latające balony, elokwentnych prowokatorów.

Lecz kiedy uwagę przenosi z winowajcy na stratę, wtedy jego świat rozpada się na kawałki i cały tragizm widać jak na dłoni. Wzdycha i użala się nad każdą rzeczą, która znika (a w naszym przewróconym do góry nogami domu wielu przedmiotom się to przytrafia), która spada na podłogę czy się kończy, jak na przykład płatki śniadaniowe. Podczas posiłków siedzi przygarbiony; pogrążony w smutku wpatruje się w stół, na którym przysiadła matka, przygotowując kolację. Czekanie na nią jest filarem wiary. Bastionem nadziei. Albo użala się nad czasem, całą jego przestrzenią: teraźniejszością, bo jest opustoszała, przeszłością, bo pozostała niezmienna, i przyszłością, ponieważ jest niewiadomą.

Mimo to, podobnie jak jego siostra nie traci nadziei, jest przekonany, że pewnego dnia moja matka powróci do swoich swetrów i butów, niebieskiego słoiczka kremu do twarzy. Żadnej z tych rzeczy nie uważa za pozostałość po niej. Nawet jeśli na ich widok łzy napływają mu do oczu, afiszuje się z nimi, jakby chciał dowieść, że nieobecność matki jest jedynie tymczasowa. Każda z jej rzeczy jest tak niezaprzeczalnie tam (jeśli nie znajduje się w tym samym miejscu, w którym ją zostawiła), tak niezmiennie tą rzeczą, że - choć wзира z niej tęsknota za matką - to, że istnieje, zdaje się podtrzymywać go na duchu. Będzie otwierał drzwi do szafy w korytarzu i wyjmował z pudła jej kapelusz, którykolwiek, to bez znaczenia. Obróci go w dłoniach, uważnie obejrzy. Jeśli okaże się

nim jej matador, wyciągnie szpilkę i powie: „Hodowlana perła”. Oczarowany, trzymając perłę pod światło, powtórzy: „Prawdziwa hodowlana perła”.

Mniej więcej w czasie, gdy ciotka Verna ogłasza zamiar wyjazdu, ojciec powoli zaczyna się wycofywać z tego bałwochwalstwa. Przestaje w ogóle mówić o matce. W odpowiedzi na sugestię ciotki, by ubrania zmagazynować w piwnicy lub oddać na cele charytatywne, ogranicza się do krótkiego stwierdzenia: „Ona wróci”. Dwa rodzinne albumy z fotografiami, które dawniej miały swoje miejsce na półce szafy z bielizną pościelową, wypełnione w znacznej części zdjęciami matki ze studia fotograficznego, pochodzącymi z czasów, gdy pracowała jako modelka, przenosi do dolnej szuflady swojego biurka, zamykanej na klucz. Jak przypuszczam z obawy, by ciotka nie skonfiskowała ich do celów dochodzeniowych. Przez całe lata nie będę potrafiła go sobie wyobrazić, jak przegląda zdjęcia, zatapia się we wspomnieniach, wściekłości, pożądaniu. Winie. Będę miała dwadzieścia sześć lat, a Abel nie będzie już żył, kiedy zrozumiem, że nawet wina może stać się memento.

Przed odjazdem ciotka Verna angażuje się w jeszcze jedno poszukiwanie. Gosposi domowej, oczywiście na okres przejściowy, ponieważ sprawa jest Umorzona, Formalnie Otwarta.

- Sama przecież potrafię przypalić potrawę - zapewniam i dowiaduję się, że zgodnie z prawem dzieci w moim wieku muszą być pod opieką dorosłych i nie mogą być pozostawione same sobie. Ale niepotrzebnie się martwię, na pewno nie będę zbyt rygorystycznie nadzorowana. Gospoia będzie przychodziła przed południem, posprząta, zrobi zakupy, przygotuje mi lunch, zrobi pranie, poprasuje i przygotuje kolację. Jak tylko ojciec wróci o osiemnastej, ona pójdzie do domu.

- Nie ma powodu, by się tu objała przez cały wieczór - stwierdza ciotka Verna. - I nie będziesz musiała znosić jej w czasie weekendów. - Wydaje się zirytowana, jakby jej następczyni już obnosiła się ze swoją nadwagą po naszym domu.

Zgłasza się wiele kandydatek. W trzy kolejne popołudnia spotykam się z trzema finalistkami, które są zupełnie jak trzy misie: jedna zażywna blondynka, druga chuda i ciemnowłosa, trzecia średniego wzrostu, ładna brunetka. Można je scharakteryzować inaczej: jedna radosna gaduła, druga nerwowa prawie-niemowa (zniszczono jej błonę ślu-

zową krtani podczas nieudanej operacji migdałków), trzecia mówi ze spokojem tyle, ile się od niej oczekuje. Wielka blondyna, czyli radosna gaduła, nie wzbudza mojej sympatii. Przypomina mi Maureen, koleżankę ze szkoły, typ potajemnego prześladowcy; z nadmiernym zapalem wypowiada się na temat mojego tuczenia. Ta średnia, spokojna i ładna, wydaje się idealną kandydatką aż do chwili, kiedy ma wyjść i jej wzrok pada na lustro w korytarzu, w którym widzi własne odbicie. Widzę po jej oczach, jak momentalnie traci zainteresowanie światem i koncentruje się tylko na sobie, i cierpnie mi skóra.

A więc pozostaje ta drobna, ciemnowłosa, nerwowa prawie-niemowa. Pani Carver. Mimo wszystko może się okazać najlepszą kucharką. Na kolejnej rozmowie kwalifikacyjnej (podczas której również byłam obecna) pojawiła się z kawałkiem zimnej pieczeni zawiniętej w folię aluminiową, sałatką ziemniaczaną w słoiku i papierową torbę pełną kruchych ciasteczek własnej roboty. Każdy z tych wiktuałów wydobywała z przepastnej granatowej torby i podawała ciotce Vernie w taki sposób, jakby przekazywała jej towary pochodzące z przemytu. Tego wieczoru ciotka Verna, ojciec i ja pochłonęliśmy wszystko, co przyniosła, i zgodnie stwierdziliśmy, że było przepyszne (mogło nawet nie być tak doskonałe, zauważyła ciotka, podkreślając, że w porównaniu z jej własnymi wytworami herbatniki dla psów mają smak najprzedniejszej potrawy), ale z przykrością uznaliśmy, że ograniczone możliwości porozumienia się z panią Carver przemawiają przeciwko niej. Następnego dnia ładna brunetka odpadła z konkursu i doszliśmy do wniosku, że nieduża, cicha kobieta może być właśnie taką osobą, o jaką nam chodzi: nie wprowadzi nam zamętu własnymi porządkami, nie zanudzi nas opowieściami ze swojego życia.

- Nawet nie zauważycie jej obecności! - krzyczała ciotka Verna. - Będziecie musieli uważać, żeby na nią nie nadepnąć!

Pierwszy kwietnia, prima aprilis. Mój ojciec o świcie odwozi ciotkę na lotnisko, pani Carver przychodzi jakiś czas po moim wyjściu do szkoły. Wracam do domu w południe i nie muszę popychać drzwiami sterty butów i pantofli. Rzeczy z półpiętra zniknęły. Linoleum lśni. Ponieważ są to nieomyślne oznaki działalności mojej matki, na chwilę kolana uginają się pode mną, ale zaraz dostrzegam panią Carver stojącą na szczycie schodów.

- O, dzień dobry - mówię. Zdejmuję buty i przerzucam kurtkę przez poręcz, jak mi już weszło w zwyczaj.

Pani Carver załamuje ręce. Jej oczy, powiększone przez grube szkła do rozmiaru brązowych kałuż, zataczają szerokie koła.

- Co się stało? - pytam przestraszona.

Wskazuje palcem na szafę. Pomyślałam, że chce mi dać znak, że ktoś tam siedzi.

Intruz!

- Powieś - szepcze.

- Ach, o to chodzi. - Odzyskuję oddech. - Jasne. Przepraszam. - Otwieram drzwi szafy i spotyka mnie kolejna niespodzianka. Płaszcz na wieszakach. Wieszaki na drążku. Buty na podłodze stoją równiutkim szeregiem.

Kuchnia wciąż jest w trakcie przywracania do porządku. Drzwiczki piekarnika otwarte, suszarka na naczynia oparta o ścianę. Na blacie stoją filiżanki i talerze, ponieważ pani Carver wyklada półki czystym papierem. Ale na stole (gdzie jeszcze wczoraj trzeba było rozsuwać na boki nie zapłacone rachunki, ogryzki ołówków, brudne naczynia i kto wie co jeszcze, by wygospodarować dla siebie odrobinę miejsca) nie ma nic poza lunchem dla mnie: szklanka mleka, przekrojona na dwa trójkąty kanapka z pastą jajeczną, kilka kawałków obranej marchewki, dwa małe kwadraty ciasta czekoladowego i wydrążone jabłko pokrojone na ćwiartki.

- Wszystko pokrojone na kawałki - dziwię się. Daje mi znak, bym usiadła.

- A pani nie będzie jadła? - pytam.

Pokazuje na pusty talerz i szklanką przy zlewozmywaku.

- Aha, już pani zjadła.

Kiwa głową na potwierdzenie. Czuję, że jest szansa na nawiązanie nici porozumienia między nami. Zaczynam ją rozgryzać.

Siadam, a ona energicznie wspina się na krzesło i powraca do szorowania półek w szafkach. Jest nieduża i ruchliwa, jak mały dzieciak, ale już nie pierwszej młodości, ma czterdzieści pięć lat. Wyczytałam w notatkach ciotki Verny, które sporządzała podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Wiem, że pani Carver urodziła się w Kingston i jest wdową po zbankrutowanym wynalazcy (którego najlepsze koncepcje - elektrycznej maszyny do

pisania i elektrycznej lokówki - skradziono mu sprzed nosa). Wiem również, że ma dwudziestopięcioletnią córkę, która wyszła za mąż w zeszłym roku, w czerwcu, i mieszka w Port Hope.

Czekam na sygnał: pytające spojrzenie albo bezpośrednie pytanie. Jestem przyzwyczajona do zdawania podczas lunchu relacji z pierwszej części dnia, albo w formie rzetelnych sprawozdań, jakich wymagała ode mnie ciotka, albo lubianych przez matkę, żartobliwych i przerysowanych wersji zdarzeń. Ale pani Carver nie przerywa sprzątanania i zanim kończę obie części kanapki, już wiem, że rozmowy nie będzie. Z ulgą rozpieram się na krześle i bacznie się jej przyglądam.

Gdy stoi tyłem, wyraźnie widać, że jej krótkie czarne włosy niepokojąco przerzedzają się na czubku głowy. I że są farbowane. W obrębie łysiejącego placka od prześwitującej przez nie różowej skóry odcinają się siwe odrosty. Jest ubrana w tę samą żółtą bluzkę z krótkimi rękawami, którą miała na sobie podczas drugiego spotkania. Zaplamioną pod pachami, nylonową. Czarna spódnica jest z cienkiej flaneli. Nędzny materiał, myślę, ale bez cienia drwiny charakterystycznej dla mojej matki. Biedna pani Carver ze zniszczonym gardłem, wdowa po człowieku oszukany przez życie. Jeździ rozpadającym się fordem sedanem, musi szorować kuchenne szafki obcym ludziom, by zapłacić czynsz za mieszkanie w śródmieściu. Kilka tygodni temu, kiedy ciotka Verna i tata dyskutowali na temat gosposi, słyszałam, jak ciotka mówi: „Dziewczynka w wieku Louise potrzebuje kobiecej ręki”.

No i oto ona, kobieta, która jest mi potrzebna. Lepsza ta niż jakaś flądra, myślę. Albo gaduła. Wolę już ją od tamtej apodyktycznej, roztrajkotanej paniusi. Zastanawiam się, kto inny mógł mi się trafić. Pani Bently! To lepsza już ta. Lepsza niż alkoholiczka z twarzą jak puszka robaków.

W ciągu trzech dni pani Carver doprowadza dom do porządku, a nawet osiąga stan zbliżony do norm mojej matki. Jak na takie nieustanne sprzątananie, pani Carver brakuje perfekcjonizmu, jaki cechuje anioła czystości, który ma świadomość, że kurz wzlatuje, zanim opadnie, i że osiada nawet na pionowych powierzchniach. A zatem należy odkurzać powietrze i ściany. W miarę możliwości trzeba pozbywać się drobiazgów: ramek do zdjęć, bibelotów. A ostatnią rzeczą jest przeniesienie z zakamarków kredensu na sam środek

stolika misternego chińskiego koszyczka z trzema chińskimi kotami. W dniu, w którym koszyczek się pojawia, podnoszę go i mówię prowokująco: „Magnes dla kurzu”.

Pani Carver energicznie wyciera ręce w fartuch, co odczytuję jako szybką ripostę: „Tak, wiem, i nie jestem z tego powodu zadowolona, ale próbuję trochę ożywić to miejsce”. Potem sunie z powrotem do kuchni.

Za czasów panowania matki byłam tak uporządkowana, by nie dawać powodów do sarkastycznych uwag. Obawiam się, że będę dla pani Carver jeszcze jednym zmartwieniem, których i tak ma już niemało. Nie jest to jednak obawa, która by mnie powstrzymała. Jak nigdy przedtem, teraz zostawiam rzeczy na toalecie - talię kart, pudełko kredek. Bawiąc się lalkami, nie poprzestaję na ich przebieraniu, czesaniu i odłożeniu z powrotem do pudełka z zabawkami, ale noszę je po całym domu, sadzam przed telewizorem. Bywa, że jadam lunch przed telewizorem, a pani Carver denerwuje się tylko wtedy, gdy nie wezmę sobie talerza. Daje mi nawet czas na to, bym zauważyła jej irytację (sygnalizowaną głębokimi westchnieniami albo zacieraniem rąk) i sama poszła po talerz, zanim ona popędzi do kuchni, by mi go przynieść.

Ojciec, który widuje ją nie więcej niż kilka minut dziennie, ciągle próbuje nawiązać z nią rozmowę. Wyrzucam mu to później, a on sprawia wrażenie dotkniętego i tłumaczy się, że przecież tylko stara się być uprzejmy. Ale ona go wzrusza, i nic dziwnego. Pomaga jej włożyć wyświechtany wełniany płaszcz. Stojąc przy drzwiach wejściowych, patrzy za nią, gdy odjeżdża olbrzymim fordem, i zastanawia się, jak ona może cokolwiek widzieć znad kierownicy.

A potem, zaraz następnego popołudnia, wita ją pytaniem:

- Co mamy na kolację, pani Carver?

- Kotlety wieprzowe, groszek, ziemniaki - odpowiada szeptem, tocząc oczami za szkłem okularów.

Na to on:

- Co takiego?

Ona znowu próbuje:

- Kotlety wieprzowe, groszek, ziemniaki.

On jednak w dalszym ciągu nie słyszy. Albo słyszy i beztrąsko docieka, jaką formę mają mieć te ziemniaki, a wtedy muszę interweniować.

- Ziemniaki zapieczone w sosie - wyrzucam z siebie. - Smażone kotlety wieprzowe, gotowany mrożony groszek. Wystarczy?

- Świetnie - mówi zakłopotany. - Brzmi zachęcająco.

Tak samo dobrze radzę sobie z tłumaczeniem jej gestykulacji. Nawet nie wiem, kiedy nauczyłam się rozumieć jej znaki. Swój sukces zawdzięczam technikom śledczym, które przejęłam od ciotki Verny. Przekazała mi cenne informacje: kłamca zazwyczaj pociera nos i mruga za często lub za rzadko, osoby, które nie kłamią otwarcie, ale czasami mają coś do ukrycia, drapią się po brodzie i zerkają w lewą stronę. Obserwuj oczy, usta, dłonie, radziła ciotka Verna. Robię tak i nie mam wątpliwości, że pani Carver jest uczciwa i pełna tajemnic.

Doszłam także do wniosku, że boi się umrzeć na zawał serca spowodowany nadmiernym hałasem, tak jak skończył jej mąż. Jeśli zdarzy mi się upuścić łyżeczkę albo z trzaskiem zamknąć szufladę, ona łapie się za serce. Zawsze jest w najwyższej gotowości, na wypadek gdyby rozległo się pukanie do drzwi, mimo że zdarza się to niezwykle rzadko i - jeśli w ogóle - trwa krótko, ponieważ pani Carver ma niezwykłą zdolność wyławiania z dużym wyprzedzeniem odgłosu kroków. Rzuca się do drzwi, otwiera je, a przybysz staje jak wryty w milczeniu, którego ona nie przerwie. Inne ostre dźwięki przyciągają ją do okna. Jeśli to, co zobaczy, ją zainteresuje, syczy i macha do mnie, i wtedy razem wyglądamy na zewnątrz jak więźniowie czy szpiedzy.

Czasem okazuje się, że za oknem hałasował tylko pies albo jeden z synów Dingwallów. „Tylko” - dla słabo zorientowanego obserwatora. Dla pani Carver, która niejedno wie na temat znaków opatrności, czarny pies przed domem jest zwiastunem najgorszego. Żółty pies przynosi szczęście, zresztą jak wszystko tego koloru: żółty ptaszek, żółty płaszcz albo czapka przechodnia, żółty samochód, który przejeżdża ulicą. Żółty samochód z numerem rejestracyjnym zawierającym co najmniej jedną trójkę jest szczególnie dobrym znakiem - to trójka, wcale nie siódemka, jest szczęśliwą liczbą. Prawie wszędzie, gdzie tylko się spojrzy, są jakieś znaki. Dostrzegając dobre, pani Carver się uśmiecha - jest to jedyna okazja, przy której na jej twarzy pojawia się uśmiech - i

wtedy w jej policzkach tworzą się dołeczki, a między rozchylonymi wargami połyskują proste, białe zęby, które zapewne zachwyciły jej męża.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dzięki pani Carver informacje o Richterach mam od dnia, w którym przyjeżdżają. Pewnego czwartkowego popołudnia w grudniu, wracając do domu ze spotkania Klubu Utalentowanych, spotykam przed wejściem do domu panią Carver w płaszczu. Wskazuje palcem, a ja odwracam się i widzę dużą żółtą półcieżarówkę i trzech ubranych na żółto mężczyzn, którzy właśnie zniknęli w jej wnętrzu.

- Nie wytrzymam - mówię na widok tak wielu oznak szczęścia naraz.

Z wnętrza samochodu wynurza się szafa z lustrzanymi drzwiami i sunie ponad żywopłotem, który zasłania dźwigających ją mężczyzn. Lustro sprawia wrażenie skrawka nieba, który spadł z góry, zawisł w powietrzu i przesuwa się na pewnej wysokości nad ziemią.

- Wygląda na to, że państwo O'Hearn się wyprowadzili - stwierdzam. Ocknęłam się wyrwana z marzeń (wcieliłam się w nich w piękną egipską księżniczkę, a członkowie Klubu Utalentowanych byli moimi niewolnikami) i zupełnie nie zwróciłam uwagi na półcieżarówkę.

- Och! - wzdycha pani Carver.

W lustrze nagle pojawia się zachodzące słońce.

- Jest jak pomarańcza... - podziwiam.

Pomarańczowe promienie rozbłyskują, ale już po chwili nie widać ich w lustrze, gdy szafa dociera do końca żywopłotu i pod nią znów pojawiają się mężczyźni.

Spoglądam na panią Carver, która się uśmiecha, tak jak można było się spodziewać.

- Na pewno będą mili - mówię o nowych sąsiadach, zastanawiając się, w jakiej formie ujawni się szczęśliwy los.

Pani Carver skwapliwie kiwa głową.

- Bardzo mili - dodaję.

Następnego popołudnia wracam ze szkoły i zastaję zupełnie nieoczekiwaną sytuację: sąsiadów w naszym domu. Jedną z nich jest pani Dingwall, która, jak mawiała moja matka, przekroczy nasz próg po jej trupie. Dwaj pozostali goście to czteroletni synowie pani Dingwall, bliźniacy, Gord i Ward, których zastaję na podłodze w salonie rozciągniętych przed migającym ekranem. Przechodzę przez pokój i ściszam telewizor, a oni podnoszą na mnie oczy nie wyrażające żadnych emocji. Ponieważ mają skłonności do zapadania w milczenie i bezmyślnego gapienia się przed siebie, a w dodatku zupełnie nie mają brwi, nie jestem przekonana, czy są całkiem normalni.

- Chyba nie chcecie ogłuchnąć - rzucam, chociaż chodzi mi raczej o biedną panią Carver.

Z kuchni dobiega mnie głos pani Dingwall.

- Och - wzdycha, kiedy wchodzę i mówię „dzień dobry”. - Jest Louise.

Mruga do mnie. Jej oczy są tak samo wodniste i bez wyrazu jak oczy bliźniaków, w kolorze imbirowego piwa, jednak w przeciwieństwie do chłopców świdruje mnie nimi na wylot. Zwraca w moją stronę nalaną, świecąca twarz i nie spuszcza wzroku, chce wydrążyć najskrytsze tajemnice. Ma na sobie jedną ze starych koszul swojego męża, wypuszczoną na workowate czerwone spodnie, które moja matka zwykła obraźliwie nazywać „gaciami klauna”. Mówiła także, że panią Dingwall ktoś powinien zastrzelić za samo posiadanie takich gaci, nie mówiąc już o pokazywaniu się w nich na ulicy.

Zajmuję miejsce za stołem obok pani Carver, która siedzi na krześle wyprostowana jak struna i z pasją rozgniata grudki czerwonego barwnika spożywczego w opakowaniu po margarynie, wpatrując się niespokojnie w porozsypywane okruszki, cukier i rozchłapane mleko wokół filiżanki pani Dingwall. W pudełku zostały tylko dwa cytrynowe ciasteczka, mimo że w czasie lunchu było pełne. Pytam, czy mogę się jednym poczęstować.

- Nie krępuj się - odpowiada pani Dingwall. - Zajrzałam tylko na chwilę do pani Harver.

- Carver - poprawiam.

- Carver? Możliwe. Trochę niedosłyszę, to skutek uboczny kropli, które kiedyś wpuszczałam z powodu częstych infekcji ucha. Jak nie jedno nieszczęście, to drugie. Przy tej chłodnej pogodzie płuca też odmawiają mi posłuszeństwa. - Kaszle na dowód, że tak

jest w istocie. - Swoją drogą, pytałam właśnie, co twój ojciec powiedział ci o tych, którzy kupili dom po O'Hearnach?

- Czemu miałyby cokolwiek o nich wiedzieć? - dziwię się.

- Zdaniem pana Dingwalla... - zaczęła, zerkając na panią Carver - ' czyli oczywiście mojego męża od dziewiętnastu lat... No więc Bill powiedział, że oni, nie pamiętam, jak tam się nazywają, sporządzali akt własnościowy w kancelarii, w której pracuje twój ojciec.

Pan Dingwall jest urzędnikiem służby cywilnej i z racji swojej pracy czasami zagląda do kancelarii prawniczej mojego ojca.

- Pracował wczoraj do późna - wyjaśniam, mając na myśli ojca. - Poszłam spać, zanim wrócił do domu.

- Wprowadzili się wczoraj. Musiałaś widzieć ten wóz meblowy. Leżałam przez cały dzień przez te cholerne płuca i straciłam całe widowisko. Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi Dora O'Hearn, a ona spotkała się z nimi tylko raz. Są Niemcami, wiesz. Przyjechali po wojnie, czyli jakieś piętnaście lat temu, ale wciąż mają ten okropny ciężki akcent. Dora ledwie rozumiała tę kobietę, Gretę, tak się nazywa. To znaczy, ta kobieta tak ma na imię. On jest Karl. Greta i Karl Richterowie. Brzmi z niemiecka, chociaż znałam jedną Gretę w Strathroy, gdzie mieszkałam w dzieciństwie. Był tam też Karl, Karl Stock, starszy pan, ale żadne z nich nie pochodziło z Niemiec. O ile sobie przypominam, nigdy nie zetknęłam się z nazwiskiem Richter. Zapytałam Billa, skąd możemy wiedzieć, czy nie są nazistami? A on na to, że nie mamy też pojęcia, czy nie walczyli w ruchu oporu. Bill zawsze widzi lepszą stronę każdej sprawy. Mają chłopca, adoptowanego.

- Adoptowanego? - ozywiam się.

- Jest chyba twoim rówieśnikiem, Louise. Zdziwiłam się, kiedy Bill mi o tym powiedział, ponieważ oni są w takim wieku, że mogliby być dziadkami. Poszłabym nawet do nich, powitać ich w nowym miejscu i tak dalej, ale chyba padłabym trupem, gdybym usłyszała „Heil Hitler”.

- Nigdy nie znałam nikogo, kto byłby adoptowany - mówię.

- Pewnie z jakiegoś powodu nie mogła mieć własnych dzieci - sąsiadka zwraca się do pani Carver. - Nie wiem, czy już pani mówiłam, że straciłam dziecko, w walentynki miną cztery lata. Lekarze uważają, że to dlatego, że byłam kompletnie wyczerpana, i

twierdzą, że powinnam się cieszyć, że w ogóle przeżyłam. - Zakrywa oczy otwartymi dłońmi.

Zanim się zorientowałam, że ona płacze, pani Carver już podnosi się z krzesła, obchodzi pośpiesznie stół i zaczyna poklepywać panią Dingwall po gwałtownie unoszących się i opadających ramionach.

- Mam przynieść chusteczki higieniczne? - pytam.

Brak odpowiedzi.

Spoglądam na kalendarz - jest przypięty pinezką do ściany obok telefonu - i uświadamiam sobie, że wczoraj, ósmego grudnia, była rocznica mojego poczęcia. Czując się upoważniona, sięgam po ostatnie ciasteczko.

Z nich dwóch to pani Carver wydaje mi się wzruszająca, jak zaniepokojona raz po raz poklepuje tamtą, choć moim zdaniem trudno sobie wyobrazić, by w ten sposób można było kogokolwiek pocieszyć. Natomiast pani Dingwall wzbudza we mnie jedynie niechęć. Ogryzam brzeg ciasteczka i przyglądam się jej obskubanym paznokciom, obserwuję brud wrośnięty w zagłębienia skóry na palcach i czuję narastającą odrazę do tragedii dorosłych. Bałaganu, jaki potrafią stworzyć wokół siebie.

Następnego dnia, zamiast jak zwykle niespokojna, budzę się szczęśliwa. Wracam myślami do zdarzeń poprzedniego dnia, by w nich znaleźć przyczynę takiego nastroju, ale jej nie znajduję. Dziwne, bezsensowne szczęście, niemal nie do zniesienia. Radość, myślę. Może to uczucie jest zwykłą radością.

Spoglądam na zegarek stojący przy łóżku. Jest piętnaście po ósmej. A więc to nie ojciec odgarnia śnieg tak wcześnie w sobotni poranek. Wstaję i rozsuwam zasłony.

Szyba jest zamarznięta. Kciukiem próbuję rozgrzać lód i zrobić czystą plamkę, ale jego warstwa jest zbyt gruba, w końcu więc podnoszę zapadkę i otwieram okno.

Wszędzie leży pierzynka śniegu. Na samochodach, krzewach, żywopłotach. Jedyne ścieżki - przecinają także nasz trawnik w odległości kilku metrów od okna - zrobił ktoś, kto przeszedł po trawnikach przed każdym z domów, na wprost przez zaspy. Kto? Pan Parker, który odgarnia śnieg po przeciwnej stronie ulicy. Wśród wszechobecnej bieli jego czerwona czapka wygląda jak otwarta rana. Przebija się nowy dzień, przychodzi mi na myśl w związku z chrzęstem łopaty pana Parkera.

Jeszcze szczęśliwsza z powodu śniegu podchodzę do szafy, wkładam szlafrok i ciepłe kapcie. Szlafrok ma taki sam kolor i krój jak ten, który wisi w szafie mojej matki. Ilekroć ubieram się w swój, przypominam sobie, jakie matka przeżywała katusze, nie mogąc się zdecydować, czy powinnyśmy je kupić w kolorze złocistym czy chabrowym. Skończyło się na złocistym, ponieważ lepiej harmonizował z jej włosami. „Niebieski pasuje do twoich oczu” - zauważyłam wtedy i usłyszałam chłodną odpowiedź, że jej oczy są w kolorze kobaltowego błękitu.

Otwieram drzwi sypialni i cichutko przemykam się korytarzem. Zatrzymuję się przed drzwiami prowadzącymi do pokoju ojca i przez chwilę nasłuchuję. Jego ciche chrapanie przywodzi mi na myśl mężczyzn oddychających przez maski do nurkowania albo przeciwgazowe, których widziałam w telewizji. Chciałabym mu powiedzieć, że spadł śnieg, ale nigdy nie wchodziłam do sypialni rodziców, kiedy drzwi były zamknięte. Teraz, gdy matka odeszła, a ja wiem, że ojciec tęskni za jej śmiechem, obawiam się, że mogłabym go ujrzeć w stanie niewyobrażalnego przygnębienia.

Idę do łazienki i po skorzystaniu z toalety, umyciu twarzy i rąk czeszę włosy szczotką matki ze szklaną rączką. Potem nanoszę po jednej kropelce jej oliwki dla dzieci pod każde oko i wcieram krem nawilżający w łokcie. Mówię sobie, że walczę ze zmarszczkami (matka zawsze powtarzała, że mam cienką skórę ze skłonnością do przedwczesnego starzenia), ale jednocześnie myślę, że nigdy nie dopuściłabym się czegoś takiego, gdyby istniał choć cień obawy, że matka mnie przyłapie. A więc skoro pozwalam sobie na takie zabawy, to znaczy, że ona na pewno już nigdy nie wróci. Zamykam wieko jej trumny. Brzdęk. (Chociaż wcale nie uważam jej za zmarłą.) Czasami zastanawiam się, czy nie użyć jej perfum albo szalika, ale musiałabym stawić czoło ojcu, jego złudnym nadziejom.

Kilka minut później idę holem do drzwi wejściowych i z wysiłkiem otwieram je, pokonując opór nagromadzonego na zewnątrz śniegu. Tak jak przypuszczałam, nie ma ani porannej gazety, ani mleka; widziałabym ślady stóp, gdyby ktoś szedł do nas podjazdem. Ale zabranie mleka i gazety sprzed drzwi, a potem nalanie dwóch szklanek soku pomarańczowego stały się moimi rutynowymi czynnościami. W ciągu tygodnia zaparzam kawę dla ojca, ale w soboty i niedziele nie robię tego, ponieważ wtedy on wstaje późno.

Wypijam sok, stojąc w kuchennym oknie. Wszystkie rupiecie, krzesła i zepsuty rowerek na trzech kółkach stojące na trawniku Dingwallów, są pokryte śniegiem. Nawet nie widać ogrodzenia dzielącego nasze działki. Dziś prywatna własność przestała istnieć. Przysypane śniegiem cztery cedry stojące przed naszym domem przywodzą na myśl postać ciotki Verny, która niesie swój podróżny kufer. Kiedy żegnała się ze mną wieczorem, w przeddzień swego powrotu do Teksasu, uchyliłam się przed pocałunkiem tylko dlatego, że nie byłam przyzwyczajona do całowania, a ona powiedziała wtedy: „Och, wiem, że gniewasz się na mnie za to, że wyjeżdżam!”, i jej oczy poczerwieniały. Myślę o płaczącej pani Dingwall i tej niemieckiej rodzinie, o Richterach. Postanawiam, że po śniadaniu przejdę się obok ich domu.

Gdy zaczynam szykować się do wyjścia, ojciec wstaje i wędruje od okna do okna, wymachując skrobaczką.

- I jak mają przejechać wozy strażackie? - wykrzykuje. - A ambulansy? - Zeskrobuje trochę szronu z okna. - Tylko nie miej ataku serca, Louise! Ani ataku wyrostka robaczkowego!

- Nie będę miała - obiecuję, wkładając zimowy kombinezon. Od czasu, kiedy matka odeszła, nie widziałam go w takim radosnym nastroju.

- Gdyby się tak zdarzyło, musiałbym sam cię zoperować! - W rozwianym szlafroku i z nastroszonymi włosami zbiega na dół i skrobie szybę w oknie przy drzwiach.

- Potrafiłbyś? - pytam zaciekawiona. Zastanawia się.

- Musiałbym przejrzeć atlas anatomii człowieka. I naostrzyć nóż. - Przyciska czoło do szyby. - Dziewiczy śnieg - stwierdza. - Nieskazitelny.

- Ktoś chodził po naszym trawniku - mówię. Wydrapuje większą dziurę w lodzie.

- Założę się, że to był ten niemiecki chłopiec - dodaję. Rozmawialiśmy o Richterach poprzedniego wieczoru.

Pani Dingwall miała rację: ojciec zna ich prawnika, który istotnie jest pracownikiem z jego biura. Sześć lat temu to właśnie mój ojciec sporządzał dokumenty adopcyjne tego chłopca, ale nie pamiętał jego imienia. Przypomniawszy sobie natomiast, że Richterowie chcieli adoptować małą dziewczynkę, ponieważ dziesięć lat wcześniej stracili córkę. Ostatecznie jednak z kościelnego sierocińca wzięli chłopca, w dodatku nie niemowlę, lecz

już trzyletnie dziecko. Ojciec uważał, że podjęli słuszną decyzję. Powiedział, że ludziom w wieku Richterów trudno byłoby doczekać się zdrowego potomstwa.

- Abelard - mówi teraz. - Ten chłopiec ma na imię Abelard.

Wychodzę z domu i przecieram szlak w stronę wydeptanej ścieżki. Kiedy już się na niej znajduję, o wiele łatwiej jest mi się poruszać. Niemal przed każdym domem sąsiedzi zaczęli już odgarniać śnieg. Synowie sąsiadów, Larry i Jerry, bliźniacy, ale starsi od małych Dingwallów, oczyszczają dach, równocześnie zagarniając śnieg pełnymi szuflami, tak że widzę białe skrzydła rozpościerające się, gdy biały puch wzbija się w powietrze, i zwijające się, gdy opada powoli na ziemię. Ponad nimi niebo jest tak czyste, że czuję, jak przyciąga mnie w górę z taką siłą, z jaką może wciągać głębia przejrzyste błękitnego jeziora.

Rzeczywiście - wydeptana ścieżka prowadzi mnie wprost do domu O'Hearnów. Obecnie domu Richterów. I oto są, pan Richter i chłopiec. Abelard. Mam starą książkę - wcześniej należała do mojego ojca, kiedy był w moim wieku - pod tytułem *Narody świata* i teraz nie mogę się nadziwić, że ci dwaj nie mają na sobie krótkich skórzanych spodni, szelek i kapelusików Robin Hooda, tak jak ojciec i syn na obrazkach w książce. Abelard jest ubrany jak każdy tutejszy chłopiec, w niebieskie dżinsy, brązową kurtkę i brązową czapkę. Pan Richter w długim czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu wygląda jak sędzia.

Mijam ich i zmierzam w kierunku domu państwa Gorysów, położonego po drugiej stronie ulicy, gdzie w grupce małych dziewczynek zjeżdżających z górki na sankach stanę się anonimowa. Abelard odgarnia śnieg silnymi, szybkimi ruchami. Pan Richter zamiata to, co pozostało. Przychodzi mi do głowy, że być może Richterowie adoptowali chłopca, by wykonywał cięższe prace wokół domu, i właśnie w chwili gdy mu zaczynam współczuć, w drzwiach domu pojawia się pani Richter.

Chociaż ubiorem nie przypomina niemieckiej żony z mojej książki, wygląda wyraźnie obco, dość szokująco. Jak na kobietę jest wysoka, znacznie przewyższa wzrostem swego męża. Ma na sobie pomarańczowo-czerwoną spódnicę i czerwony szal. Jest bez płaszcza i rękawiczek. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że na głowie ma zwinięty kilkakrotnie warkocz, a nie brązowy kapelusz. Trzyma tacę z dwiema parującymi szklankami. Pan Richter i Abelard przestają pracować i sięgają po herbatę. Pani Richter

stawia tacę na balustradzie werandy. Abelard, pewnie mocno rozgrzany, zdejmuje czapkę, a ona roztrzepuje mu włosy, tak samo jak jej brązowe. W czasie gdy on i jego ojciec piją herbatę, pani Richter wykonuje kilka kroków skocznego tańca i wywija kolorową spódnicę. Wskazuje na wzór, w jaki ułożyły się jej ślady na śniegu. Zaczynają rozmawiać, zapewne po niemiecku (wśród wrzawy dziewczynek z sankami nie mogę wychwycić ani słowa), na temat tych śladów. Abelard odstawia szklankę na tacę i wydeptuje własny wzór. Pani Richter owija go w swój szal i oboje przytulają się do siebie. Powiedział coś do niej, a ona klasnęła w dłonie, odrzuciła głowę do tyłu i zanuciła coś. Słyszę ją wyraźnie. Słyszą ją też małe dziewczynki, które przestają krzyczeć. Jej głos brzmi jak z radia. Powtarza tę samą frazę, bez słów, tylko „la, la, la, la, la, la”.

Abelard spogląda w moją stronę. Wkłada czapkę i bierze do ręki szufłę. Za moimi plecami dziewczynki znów zaczynają krzyczeć, ciągnąc sanki pod górkę.

Pani Richter odwraca się. Otwiera ramiona, jakby chciała ogarnąć nimi cały śnieg, potem obraca się jeszcze raz pełna zachwyty, a ja odnoszę wrażenie, że chce objąć teraz wszystkie rozkrzyczane dziewczynki świata i mnie. W przyływie uczucia, najbardziej przypominającego cierpienie, uśmiecham się do niej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czy Abel często powtarzał: „Dość interesujące”? Tak twierdzi pani Richter. W kilka miesięcy po jego śmierci powiedziała mi, że przyłapała się na używaniu tego powiedzenia przez cały czas, „tak jak Abel”. Zapytała mnie, czy pamiętam ten jego zwyczaj.

Nie, nie pamiętam, ale udałam, że rzeczywiście sobie przypominam.

Zauważyłam natomiast, że ona, ja i pan Richter zachowujemy się tak jak Abel, przejmując jego drobne przyzwyczajenia i upodobania. Zachwycał się żabami nadrzewnymi i ja także teraz bardzo je lubię. Podobają mi się ich smukłe sylwetki na niezgrabnych nóżkach. Nawet specjalnie wybieram się na wycieczki do wąwozu, by móc je obserwować. Gdy był zdenerwowany, pocierał płatek ucha. Słuchając rozmówcy, przechylał głowę w prawo. Tak samo robi teraz pani Richter, a pan Richter pociera płatek ucha.

Przykłady można mnożyć. Sposób, w jaki układał książki na półkach: najcieńsze po lewej stronie, najgrubsze po prawej - ekscentryczny nawyk, który sama przejęłam. A palenie! Żadne z nas do tej pory nie sięgało po papierosa, tymczasem już w tydzień po pogrzebie jego ojciec i ja paliliśmy playersy, tak jak Abel. Zaobserwowałam nawet, że pan Richter trzyma papierosa tak samo jak on, między sztywno wyprostowanymi palcami.

Zupełnie jakby jego dusza ulatywała kawałkami w powietrze, a my zbieraliśmy te, które opadły na ziemię. Wbrew sobie, zupełnie mimowolnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nigdy nie chodziliśmy do kościoła, nie odmawialiśmy ani dziękczynnych, ani wieczornych modlitw. W mojej rodzinie nie było takiego zwyczaju. Zdaniem matki, religijni są tylko przesądni słabeusze. Dla niej Bóg, Chrystus, niebo i piekło to były „same bzdury”.

Ojciec, który jest wnukiem anglikańskiego biskupa, opowiedział mi kiedyś, jak wygląda wnętrze kościoła, wyjaśnił, co to jest ambona, ołtarz i tak dalej, a także podstawowe doktryny religii protestanckiej, bym wiedziała, co większość osób z naszego sąsiedztwa robi w niedzielne poranki i dlaczego zadają sobie tyle trudu. Biorąc pod uwagę mój wiek - miałam wówczas siedem lat - odnalazłam w religii bardzo istotne, niemal magiczne elementy: narodziny Jezusa, Zmartwychwstanie i anioły. Zapytałam ojca, skąd wie, że tego wszystkiego nie było naprawdę.

- Nie wiem - odparł.

- Więc dlaczego nie wierzysz w to? - dociekałam.

- Ponieważ wierzę w ludzkość - brzmiała jego wówczas niezrozumiała dla mnie odpowiedź.

Jak się później dowiem, wierzy także w cud życia. Życie, które powstaje z niczego i do nicości powraca. Stwierdził, że każdy, kto usiłuje wyjaśnić ten cud (na przykład w formie przypowieści), dopuszcza się świętokradztwa, ponieważ podstawową cechą cudów jest to, że nie ma dla nich żadnego logicznego ani racjonalnego wyjaśnienia.

Ten pogląd, jak sądzę, sprowadza się do nieco bardziej złożonej wersji punktu widzenia mojej matki.

Ale mam siedem lat i ojciec mówi mi tylko, że wszyscy w naszej rodzinie są niewierzący i że gdyby nauczyciel zapytał mnie o moje wyznanie, powinnam odpowiedzieć: „świecka humanistka”. Odpowiadam: „protestantka”. Co więcej, zaczynam modlitwę od „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”, tak jak mnie nauczyli w szkole, a potem proszę Pana Boga o to, żebym była albo sławna, albo niewidzialna. Od dnia, w którym po raz pierwszy zobaczyłam panią Richter, modłę się o to, by zechciała mnie zaadoptować.

Jestem chora z miłości. Czasami, kiedy myślę o pani Richter, przed oczami pojawia mi się białe światło o kształcie anioła, młoda kobieta-anioł. Nazywam ją Aniołem Miłości, ponieważ ona zdaje się jeszcze bardziej desperacko niż ja zabiegać o to, by pani Richter zwróciła na mnie uwagę. Pod naciskiem Anioła Miłości piszę listy:

„Droga pani Richter. Witamy w Oaktree Terrace. Mieszkam pod numerem 4. Podczas burzy śnieżnej słyszałam pani śpiew i uważam, że ma pani piękny głos...”

„Droga pani Richter. Niech się pani nie martwi, że nas pani budzi, gdy wychodzi pani po nocy i woła syna. Nie przeszkadza nam pani! Najważniejsze, żeby się pani ciepło ubierała. Chyba nie chce się pani przeziębć...”

„Droga pani Richter. Nie musi się pani obawiać, że inne dzieci będą wyśmiewały się z pani syna dlatego, że jest adoptowany. Na pewno nikt nie będzie tego robił. Nie śmieją się ze mnie, mimo że jestem prawie sierotą. Moja matka zniknęła i dotychczas jej nie ma. Myślę, że już się nie znajdzie. Gdy była dziewczynką, nosiła nazwisko Hahn, niemieckie nazwisko...”

Spaceruję przed jej domem w porze kolacji, czekam do zmroku, by móc zajrzeć do rozjaśnionego światłem salonu. Nigdy dotąd nie widziałam takiego pokoju, zagraconego ekscytująco romantycznymi, staromodnymi meblami: stoją tam krzesła o wysokich oparciach, rubinowoczerwona skórzana kanapa, ciemne drewniane stoły, lampy z abażurami w odcieniach głębokiej zieleni i granatu, ozdobionymi frędzlami. Jest też pianino, na którym Abelard - albo Abel, jak nazywano go w szkole - prawdopodobnie często grywa („Droga pani Richter, uwielbiam muzykę...”). W kieszeni mojej kurtki mam list, który obiecywałam sobie wrzucić do jej skrzynki pocztowej. Zrobię to dzisiaj, nieodmiennie

postanawiam w myślach, ale za każdym razem nie potrafię się zdobyć na odwagę. Nawet żeby wejść na teren jej działki.

Modłę się o przypadkowe spotkanie, a potem, kiedy mijam ją na ulicy, spuszczam wzrok. Czasami zawracam i podążam za nią albo „staję się jej cieniem”, jak nazywała ciotka Verna taki sposób działania. W przeciwieństwie do wszystkich dorosłych, których znam, pani Richter chodzi na spacer. Przechadza się w swoich czarnych, wysoko sznurowanych bucikach i długim, sięgającym łydek, fioletowym płaszczu, patrzy w niebo, a potem zagląda w kratki ściekowe, zatrzymuje się i podziwia domy, a jeśli ich właściciele są na zewnątrz, odgarniają śnieg lub pracują w ogródkach, uśmiecha się i macha do nich, jakby byli jej starymi przyjaciółmi. Oni odpowiadają jej tym samym, trochę zdziwieni. Odgaduję ich myśli: „To ta dziwna Niemka, która obudziła nas zeszłej nocy...” i czuję, jak serce zamiera mi w piersiach, tak bardzo jestem gotowa jej bronić.

W marcu dowiaduję się, że państwo Richter chodzą do kościoła. Nowina pochodzi od Maureen Hellier, którą podsłuchałam przypadkiem w szkolnej toalecie, kiedy mówiła: „Ona zagłusza cały chór” i dziwnym trafem zaraz wiedziałam, że „ona” to pani Richter. Dzięki kilku pytaniom, zadanych od niechcienia, poznaję szczegóły. Msza o dziewiątej rano, kościół prezbiteriański pod wezwaniem św. Marka.

Informuję ojca, że w następną niedzielę muszę pójść do kościoła prezbiteriańskiego, ponieważ nauczycielka muzyki stwierdziła, że powinnam posłuchać tamtejszego wspa-
niałego chóru.

- Interesujesz się muzyką chóralną? - pyta ojciec z tą swoją, czasem niepokojącą, dociekliwością.

Potwierdzam skinieniem głowy.

- Czemu wcześniej nic mi nie powiedziałaś?

No i jestem zmuszona wysłuchać fragmentów nagrań z jego kolekcji płyt, podczas gdy on przechadza się po pokoju i dyryguje.

- A niech tam, właściwie mogę pójść z tobą i dotrzymać ci towarzystwa - mówi potem, nawiązując do niedzieli. Ponieważ jednak, zgodnie ze swoim planem, mam siedzieć w zasięgu wzroku pani Richter i wyglądać na porzuconą, wymawiam się wcześniej umówioną wyprawą z kilkoma koleżankami.

- Ach - wzdycha i wsadza ręce do kieszeni, a ja po raz pierwszy uświadamiam sobie, że jeśli zamieszkać z panią Richter, on prawdopodobnie poczuje się tym głęboko dotknięty i co gorsza, ku mojemu zmartwieniu, może nawet zwolnić panią Carver.

No cóż, kiedy nadejdzie ten czas, będę musiała tylko rozwiązać kilka kwestii. Odwiedzać go codziennie, oczywiście, że będę, zawsze chciałam, żeby tak było. Od początku w mojej wizji przyszłości przypada mu rola zaprzyjaźnionego sąsiada, którego wizyty są zawsze mile widziane. Pani Carver jest oddaną mu gospodynią i partnerką do gry w scrabble, jak tylko nauczy ją w to grać.

Ani pan Richter, ani Abel nie mieszczą się w scenariuszu. Widzę ich w osobnych pokojach albo poza domem, z wyjątkiem pory posiłków, kiedy to jedzą szybko i w milczeniu, niczym wynajęci robotnicy. Cała moja wyobraźnia koncentruje się na pani Richter i na mnie. Razem pieczemy ciasta i ciasteczka, obie z umączonymi rękami i w identycznych fartuszkach w falbanki. Ona uczy mnie grać na pianinie. Ja zaplatam jej włosy. Nazywa mnie Gretą, imieniem, które sama nosi, „Małą Gretą”. Leży obok mnie w moim łóżku i opowiada historie ze swojego życia, w których (tak sobie przynajmniej myślę) jej ojciec został przejechany przez powóz, a matka, siostry i bracia umarli podczas zarazy, mimo że ona ich pielęgnowała.

Problem wyboru ubrania, w którym mam pójść do kościoła, zaprzęta mnie od kilku dni. Powinnam wyglądać na dobrze wychowaną, ale zaniedbaną. Obdarta, ale czysta i warta zainteresowania. Ostatecznie decyduję się na żółtą wełnianą sukienkę (żółty to kolor szczęścia) z zielonymi haftowanymi dziurkami wokół dekoltu i na mankietach. Już z niej wyrosłam, jak z większości moich ubrań, a to już świadczy o pewnym zaniedbaniu, chociaż nie takim, by zwracało powszechną uwagę. W sobotę po południu, w czasie nieobecności ojca, który wybrał się do sklepu z narzędziami, nadrywam w paru miejscach brzeg sukienki i wypruwam haft z kilku dziurek. Początkowo zamierzałam zniszczyć także żółte wdzianko od kompletu, ale ostatecznie rezygnuję, kiedy przypomina mi się, jak włożyłam je, idąc do dentysty, a ojciec powiedział: „Cudnie wyglądasz w tym kolorze”.

Tego dnia matka miała na sobie kołnierz z białego lisa. Na myśl o tym kołnierzu z odrażającą głową zwierzęcia idę do sypialni rodziców, otwieram cedrową skrzynię i wyciążam go spod stosu koców. Próbuję oderwać głowę rękami, ale nic z tego. Niosę go

więc do gabinetu ojca, biorę nożyczki z jego biurka i zaczynam ciąć. Niełatwo przedrzeć się przez takie grube futro, kiedy więc w końcu głowa odpada, uderzając mnie w stopę spiczastym nosem, w przyływie rozdrażnienia okręcam pełną garść futra wokół jednego ostrza nożyczek i dociskam drugie. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż wreszcie odrzucam kołnierz daleko od siebie. Chwytam lisią głowę i ciskam nią o ścianę.

Kłaczki futra fruwią po pokoju, poruszane powietrzem z otworu wentylacyjnego. Kołnierz leży smętnie pod biblioteczką. Głowa lisa wylądowała na szafce z dokumentami, a jedno czarne oko ze szklanego koralika patrzy prosto na mnie. Kogo to obchodzi, myślę ze złością.

Nie moja matkę, to pewne. Może ojciec się przejmie, jeśli się dowie o tej dewastacji, co jest raczej wątpliwe. Przestał zaglądać do jej rzeczy. Przypuszczam, że nawet już nie pamięta tak jak ja, w najdrobniejszych szczegółach, co wśród nich było.

Biorę papierową torbę, wkładam do niej głowę lisa i resztki futra, po czym wynoszę prosto do pojemnika na śmieci. Wracam do swojego pokoju, przymierzam kołnierz i dochodzę do wniosku, że doskonale się nadaje: jest postrzępiony, zniszczony, a mimo to wciąż pozostaje prawdziwym futrem z lisa. Przychodzi mi na myśl, że może zamiast kapelusza powinnam włożyć jedną z chustek mojej matki, w której bardziej wyglądałabym na Niemkę.

Następnego ranka wstaję za kwadrans siódma. Korzystam z łazienki, nie zapalając światła, a potem na palcach idę do kuchni i nasypuję sobie płatki śniadaniowe do miski, ale na widok jedzenia czuję rewolucję w żołądku. Siedzę więc tylko przy stole i ssę kciuk na przemian raz z zewnętrznej, raz z wewnętrznej strony.

Nie spałam dobrze. Kilka razy budziłam się ze złych snów. Raz wyrwał mnie z nich głos pani Richter, która nawoływała Abła, podeszłam więc do okna i obserwowałam ją, jak wyłania się z ciemności. Za drugim razem zerwałam się i usiadłam wyprostowana na łóżku na myśl o tacy na datki. Wstałam, wytrząsnęłam ze skarbonki w kształcie świnki kilka drobnych monet, owinęłam je w chusteczkę do nosa i schowałam do kieszeni żółtego wdzianka.

Wylewam nie ruszone płatki z mlekiem do zlewu i wracam do pokoju. Mimo że jest dopiero piętnaście po siódmej, wkładam sukienkę, a na głowę czerwoną chustkę,

czerwoną, żeby pasowała do szala pani Richter. Siadam na brzegu łóżka. Po kilku minutach czuję chłód, otulam się więc kołnierzem z lisa i wyciągam się, podkładając go sobie pod policzek.

Futro pachnie moją matką. Czuję delikatny zapach mieszaniny różanych perfum i dymu papierosowego, ale wydaje mi się zaskakujące, że jest tylko i wyłącznie jej.

Odrzucam kołnierz na podłogę. Ona odeszła, myślę. O tak, wiem, że odeszła i nigdy nie wróci. Uderza mnie ta nieubłagana prawda: nigdy więcej jej nie zobaczę.

Głośno wypowiadam te słowa:

- Nigdy więcej jej nie zobaczę.

Pokój nagle staje się większy, a ja czuję woń wybielacza, którego pani Carver zawsze dodaje do prania pościeli, i wydaje mi się, że zaoferowano mi w wystarczającym stopniu otwartą i antyseptyczną przestrzeń, w której mogę rozmyślać o matce bez sprowadzania jej z powrotem do naszego życia za pomocą magicznych sztuczek. Niemal z melancholią wspominam jej srebrną satynową suknię bez pleców, którą miała na sobie któregoś roku w sylwestra. Mam przed oczami obraz matki, jakiego nigdy nie widziałam w rzeczywistości: uśmiecha się i macha na pożegnanie. Pozwalam mu odpłynąć, aż widzę tylko małą machającą dłoń w białej rękawiczce, która zmniejsza się coraz bardziej, do rozmiarów gwiazdki, a wtedy za oknem gaśnie uliczna lampa.

Jest wpół do ósmej. Wciąż dużo za wcześnie, ale w korytarzu rozlega się już pokasywanie ojca, chwytam więc kołnierz i wymykam się z pokoju. W holu wkładam zimowe buty i uświadamiam sobie, jak niedorzeczna jest myśl, że pani Richter mogłaby chcieć mnie adoptować. Ale nie mam żadnych racjonalnych podstaw, by zrewidować swój plan, nie mówiąc już o jego odwołaniu. Plan mam jeden i właśnie przystępuję do jego realizacji.

Chłodny, bezwietrzny, szary świt. Z ulicy widzę światło w łazience Richterów. Jestem pod wrażeniem słów, które kiedyś wypowiedziała matka, że Europejki nigdy nie biorą kąpieli ani prysznic. Na ich wspomnienie pojawia mi się przed oczami obraz pani Richter w gorsecie, stojącej przy umywalce i myjącej gąbką gołe ręce. Wizja jest niepokojąca - duży biust pani Richter (matka miała mały), ciemny rowek między piersiami i same piersi, okrągłe jak bochenki chleba. W myślach dorzucam ubranie... na przykład

szlafrok. Przez całą drogę do kościoła wyobrażam sobie panią Richter w sukniach różnych krojów. Kiedy zbliżam się do celu, ona ma na sobie oszłamiający, lamowany gronostajami płaszcz z kapturem, narzucony na sięgającą do ziemi suknię w kolorze czerwonego wina - strój, który, jak sobie wyobrażam, mogłaby nosić w niedziele królowa.

Ale nie do tego kościoła.

Staję przed nim i mu się przyglądam. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy Bóg w ogóle wie, co to za budowla. Gdyby nie ostro zakończony dach zwieńczony krzyżem z gładkiego drewna, mogłaby to być fabryka. Na parkingu stoją dwa samochody. Drzwi do kościoła są prawdopodobnie otwarte, więc mogłabym wejść. Ale nie robię tego. Biorąc pod uwagę swój wygląd (w jednej chwili tracę pewność siebie, która nie opuszczała mnie w moim pokoju), uznaję, że lepiej będzie, jeśli postąpię zgodnie z planem: wśliznę się w ostatniej chwili ze spóźnialskimi, nie ściągając na siebie od razu powszechnej uwagi. Przechodzę na drugą stronę ulicy i zatrzymuję się przy niskim budynku mieszkalnym. Przysiadam na jego frontowych schodach, wciskam dłonie pod pachy, przechylam głowę na bok i przytulam się do kołnierza. W pobliżu nie ma nikogo, na drodze nie widać żadnego samochodu. Zaczynam cichutko śpiewać piosenkę, którą ojciec nuci pod prysznicem i którą śpiewał głośno, kiedy matka jeszcze była z nami: „Tam w Brazylii, która obfitością kawy słynie...” i „Chciałbym zdobyć czarującą miss, i niech moje życie u jej boku płynie...”

Na skraju mojej świadomości najwyraźniej zamigotał Anioł Miłości.

Mija pół godziny, zanim zjawia się jeszcze ktoś. Z budynku, przed którym siedzę, wychodzi kobieta. Wygląda groźnie, typ motocyklistki - jest ubrana w brązową skórzaną kurtkę i czerwone obcisłe spodnie. Odsuwam się, żeby ją przepuścić. Spogląda na mnie przez ramię. To przynosi pecha, myślę i szukam wzrokiem zwiastunów szczęścia: czarnej wiewiórki, żółtej ciężarówki Royal Mail albo czegośkolwiek w tym kolorze.

Powoli zaczynam tracić czucie w dłoniach i stopach. Już mam wstać i sprawdzić, czy drzwi do budynku są otwarte, by wejść do środka, kiedy na drodze zaczynają się pojawiać ludzie. Pięcioosobowa rodzina przemierza oszroniony trawnik, a na parkingu zatrzymują się dwa samochody. Podjeżdża następny samochód... i następny. W krótkim czasie płynie już prawdziwy potok wiernych, wśród których nie widać jednak wysokiej,

smukłej kobiety. Ale kościół ma tylne wejście, możliwe więc, że Richterowie z niego skorzystali.

Kiedy ludzi idzie już coraz mniej, wstaję. Boże, proszę, myślę. Schodzę ze schodków. Czuję się, jakbym zmierzała w kierunku otwartego włazu kanalizacyjnego, przechodnie krzyczą „Stój!”, ale ja ich nie słyszę, ponieważ wypięłam truciznę, jestem zahipnotyzowana, jestem już żywym trupem. W chwili, kiedy przy drzwiach kościoła wyciągam rękę, by je otworzyć, jakaś męska dłoń w rękawiczce łapie klamkę. Skąd się tu wziął? Jest też kobieta. „O Boże” - mówi. Mężczyzna pociąga drzwi, a ja wpadam do środka, potracając inną kobietę, która rzuca przez zęby: „Uważaj trochę”.

Skostniałymi palcami naciągam chustkę głęboko na czoło.

W kruchcie wciąż stoi co najmniej dwadzieścia osób. Miałam nadzieję, że wszyscy pójdą prosto do swoich ławek. Przeciskam się powoli do przodu, w stronę nawy, w której grają organy. Słyszę, jak jedna z kobiet pyta: „Kto to?”, a inna jej odpowiada: „Córka Kirka”. Za plecami dobiega mnie znajomy głos: „Louise?”

To Maureen Hellier wraz z trzema innymi dziewczynami z mojej klasy. Stoją i blokują przejście do schodów prowadzących do podziemi. Dziewczęta i chłopcy w różnym wieku przepychają się przy nich, by dostać się na dół, a ja powoli się orientuję, że dzieci idą zupełnie gdzie indziej niż ich rodzice. Szkółka niedzielna, myślę. Zupełnie zapomniałam, że istnieje coś takiego.

Zakłopotana oglądam się do tyłu, na koleżanki, które chwyciły się za ręce i szepczą coś między sobą, a potem zwracają w moją stronę twarze wyrażające współczucie i życzliwość. Z ich min można wyczytać, że to zniknięcie mojej matki popchnęło mnie do tego przedstawienia, że one rozumieją. Nie mnie należy winić, przyczyną jest moja tragedia. (Mówiąc ściśle, winą należy obarczyć panią Carver, dowiaduję się nazajutrz w szkole, od Maureen, która podchodzi do mnie i mówi: „Ta kobieta, która się tobą opiekuje, powinna ci powiedzieć, jak ludzie ubierają się do kościoła. Czemu nie naprawiła ci tej sukienki? Twój ojciec powinien ją zwolnić”. A ja odpowiadam, z uczuciem strachu, że na szkolnym boisku sprzeniewierzam się tym, którzy są mi bliscy: „To ona kazała mi włożyć ten kołnierz z lisa. Jest kompletnie pomyłona”.)

Ale teraz, tutaj w kruchcie, czuję się nieswojo. Co za sens iść na dół, do podziemi? Pani Richter tam nie będzie. Jednak czy wolno mi pozostać w miejscu, gdzie są dorośli? Trzecia ewentualność - wyjść z kościoła - nie przychodzi mi do głowy. Ruszam przed siebie. Przekraczam drzwi.

Jestem w środku.

Staję z boku i przebiegam wzrokiem wzdłuż rzędów ławek. Nie widzę ani jej, ani pana Richtera, ale trudno się dokładnie zorientować, mając przed sobą tyle kobiet w kapeluszach i kilkanaście osób, które zasłaniają widok. Odnoszę wrażenie, że wszyscy na mnie spoglądają, przesuwam się więc w stronę bocznej nawy, zerkając spod chustki naciągniętej na oczy. Docieram do drugiego rzędu i tam siadam, ponieważ nie potrafię się zdobyć na odwagę, żeby znów przejść do tyłu.

Nie ma jej tutaj.

Jeszcze tylko jedna osoba siedzi w mojej ławce. Zgarbiona, starsza pani. Odwraca się do mnie i kiwa głową. Odpowiadam jej tym samym, zsuwając przy tym kołnierz z ramion. Podwijam brzeg sukienki w naderwanych miejscach. Chciałabym także zdjąć krzykliwą czerwoną chustkę z głowy - zdaję sobie sprawę z tego, że wszyscy siedzący za mną są wstrząśnięci jej widokiem - ale nie jestem pewna, czy pokazanie włosów w kościele nie jest większym grzechem.

Pochylam głowę. Przychodzi mi na myśl, że może powinnam skorzystać z okazji i się pomodlić. „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...” - wypowiadam pierwsze słowa modlitwy, gdy w jednej chwili na dźwięk organów prostuję się jak struna. Słyszę, że zgromadzeni w tylnej części kościoła zaczynają śpiewać. Rozglądam się dookoła. Chórzyci wychodzą parami z bocznej nawy, ubrani w niebieskie stroje. Zbliżają się do ołtarza, wchodzą po schodach i kierują się do ławek ustawionych na podium. Teraz widzę mężczyznę, kuśtykającego powoli za nimi. Czy to pastor? Raczej nie. A jednak tak. Wejście po wąskich schodach wydaje się bardzo trudnym zadaniem dla niego, a jednak nikt się nie wyrywa, żeby mu pomóc, podać rękę. Pewnie dlatego, że sam sobie poradzi, Bóg nie pozwoli mu upaść.

Odwraca się, gdy jest już przy ołtarzu. Patrzy po zgromadzonych i jego oczy na krótką chwilę zatrzymują się na mnie. Zsuwam się niżej w ławce.

- Módlmy się - mówi pastor.

Zamykam oczy i wreszcie uświadamiam sobie, co czuję. Ciężkie pulsowanie w głowie. Silny ból w zmarzniętych palcach rąk i nóg. Ulgę.

Jej tutaj nie ma.

Gdyby tylko była! Wyobrażam ją sobie siedzącą w samym środku, wysoką, strzelistą jak wieża kościelna, ale bynajmniej nie zakłopotaną tak jak ja. Miałyby wyprostowane plecy, byłaby zadowolona z tego, jak się prezentuje w fioletowym płaszczu, chociaż, właśnie przychodzi mi do głowy, że może nie wybrałaby się w fiolecie do kościoła. Nieruchoma i spokojna, niezależnie od tego, czy wie czy nie, że ją lekceważą (matka Maureen powiedziała, że pani Richter zagłusza cały chór) i że przez okrągły tydzień obserwują ją ciekawie, lecz z pewną niechęcią.

Chór ponownie powstaje, organy grają. Wszyscy wokół mnie również się podnoszą, robię więc to samo.

- Pssst - słyszę głos siedzącej obok kobiety.

Trzyma w rękach otwartą małą, granatową książeczkę do nabożeństwa i gdy spoglądam na nią, daje mi znak głową, skłaniając ją w kierunku pulpitu przede mną. W schowku leży podobna książeczka. Wyjmuję ją.

- Numer pięćset czterdzieści jeden - szepcze kobieta. „Powstańcie, powstańcie dla Jezusa”, śpiewa chór, „wy, żołnierze krzyża”.

Odnajduję hymn i przyłączam się: „Od zwycięstwa do zwycięstwa swą armię poprowadzi Pan...”

W połowie drugiej strofy podchwytyuję melodię i śpiewam już nieco pewniej. Przy czwartej ogarnia mnie radosne uniesienie i myślę, że dzieje się tak za sprawą Ducha Świętego.

Ale to panią Richter, nie Jezusa wyobrażam sobie maszerującą naprzeciw jej nieprzeliczonym wrogom. A więc to jej należą się laury po wiekopomnym zwycięstwie. Śpiewam najgłośniej jak potrafię, do wtóru najwyższemu z głosów w chórze.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dzień, w którym Abel pokazuje mi w wąwozie złotooką ropuchę, jest przełomowy. Odtąd czuję się uprawniona do mówienia mu w szkole „cześć”. On mi odpowiada, mrużąc pod nosem. Czasami nawet skłania głowę. To kiwnięcie wydaje się dziwne, takie nietutejsze, być może dlatego, że następuje trochę nie w porę i towarzyszy mu nienaturalny przechył głowy, a jednak dostrzegam w nim uprzejmość, skromność, współczucie - cechy, których nie potrafię precyzyjnie określić, ale które wyraźnie u Abła wyczuwam. Oczywiście przy świadkach nie wykraczamy poza te ostrożne pozdrowienia. Chłopiec bez przyjaciół jest jak trędowaty. Chłopiec bez przyjaciół, rozmawiający z dziewczynami, jest jak trędowaty, który aż się prosi, by mu dokuczano. Przechadzam się po szkolnym boisku i nie spuszczam go z oczu, wyobrażając sobie zdarzenia (znajduję notatkę po niemiecku, podsłuchuję spiskowców, którzy zamierzają zamordować jego ojca), które mogłyby go skłonić do tego, by zaprosił mnie do swojego domu. On tymczasem opiera się o ogrodzenie z siatki i obserwuje chłopców ze swojej klasy. Teraz, kiedy zrobiło się cieplej, jego zainteresowanie koncentruje się na chwastach, które rosną wzdłuż podmurówki ogrodzenia. Czasami podniesie jakiś przedmiot i obraca go w palcach, jakby to była moneta.

Jest mi go żal bardziej niż siebie. Wzrastałam w przyzwyczajeniu do braku popularności. Wiem, skąd się wziął. Nie jestem ładna, zawsze mówię niewłaściwe rzeczy z takim przekonaniem, że ilekroć otwieram usta, zapada grobowa cisza, nie umiem tańczyć szkockich tańców, jak większość dziewcząt w naszej szkole, chociaż mam najprawdziwszy kilt i w ogóle najdroższe ubrania, co rzecz jasna jest kolejnym powodem niechęci do mnie, chociaż już nie tak istotnym jak przed odejściem matki. Wciąż jednak irytującym dla Maureen Hellier, która wraz z upływem kolejnych miesięcy potrzebuje coraz więcej czasu, by na mój widok nadać twarzy życzliwy wyraz.

Ale Abel...

On jest przystojny. Cichy. Wszystko, co przemawia przeciwko niemu, wynika z okoliczności, na które on nie ma żadnego wpływu (gdy tymczasem okoliczności pozostające poza moją kontrolą - zniknięcie matki - liczą się zdecydowanie na moją

korzyść). W żadnym razie nie można go winić za to, że jego matka w niczym nie przypomina innych matek, a o ojcu krążą pogłoski, że podobno jest rosyjskim szpiegiem i byłym nazistą. Nigdy nie widziałam Abła z rękawicą do baseballu albo kijem hokejowym, a ponieważ trudno mi sobie wyobrazić, by pani Richter czegokolwiek i kiedykolwiek mu odmawiała, przyjmuję - a słuszność moich podejrzeń potwierdzi się w przyszłości - że nikt nie uczył go, jak uderzać piłkę czy krążek. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że on może się czuć samotny, do czasu aż pewnego popołudnia spotkałam go w wąwozie, kiedy podrzucał kamień i starał się trafić go kawałkiem metalowej rury, którą zapewne znalazł w oczyszczalni ścieków.

Jest zbyt zaabsorbowany, by mnie zauważyć, więc po kilku minutach obserwowania go cichutko się wycofuję, zastanawiając się nad tym jego brakiem wiary w siebie. A może powinnam zaproponować, że będę rzucać mu kamień? Nie, to byłoby zbyt śmiałe. Nawet „cześć” w tym wąwozie byłoby nie na miejscu. Obserwując go, zaczęłam rozumieć, jak bardzo odrębne są jego dwa światy - jeden, w którym poważny chłopiec stoi nieruchomo, opierając się o ogrodzenie z siatki, tak drastycznie kontrastuje ze światem Tarzana z wąwozu, że tę drugą naturę można uznać za wcielenie utrzymywane w tajemnicy. Być może właśnie tak jest. Jeśli pan Richter rzeczywiście zajmuje się szpiegostwem dla Rosjan, Abel może być jego pomocnikiem, który przetrząsa lasy w poszukiwaniu... Czego? Ukrytych ładunków wybuchowych? Zamaskowanych bomb? Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Nie zdradzę go. Wydaje mi się, że te jego kiwnięcia głową w szkole są po części wyrazem uznania dla mojej gotowości do współpracy i... dyskrecji, cech, dla których nie znajduję właściwych słów, chociaż jako początkujący szpieg, instynktownie je cenię. Ale nawet jeśli nie pracuje dla Rosjan, mógłby docenić, że zostawiłam go samego w miejscu, które najwyraźniej należy do niego. Gdy widzę, jak chwyta się gałęzi i przeskakuje ponad skalną szczeliną, mam przed oczami kogoś, kto przebiega przez dom i wciska po drodze włączniki świateł, nie patrząc nawet na ścianę. Intruzów - mnie, chłopców bawiących się na zboczach - toleruje, ponieważ nie ma wyboru. Kiedy w szkole odmawiamy Modlitwę Pańską, przy wersie „I odpuść nam nasze winy”, myślę o nim. On wie, że obserwuję jego kryjówki, wie, że w nich bywam. Oczywiście zachowuje dystans od czasu zdarzenia ze złotooką ropuchą (może poczuł się dotknięty moim źle udawanym

entuzjazmem?), ale trzeba też przyznać, że nie stara się mnie unikać. Raz widziałam, że chcąc się ukryć przed innymi chłopcami, wszedł na drzewo dzikiej wiśni równie zwinnie jak uczestnicy zawodów wspinania się po słupach. Widziałam też, że potrafi biec szybciej od psa. Jest jak światło - rozbłyśnie w jednym miejscu, po chwili połyskuje już w innym, znacznie dalej, niż się to w ogóle wydaje możliwe.

Przypuszczam, że właśnie do wąwozu wymyka się w nocy, i nie potrafię się nadziwić, że pani Richter jeszcze tego nie odkryła. Mój ojciec nie rozumie, dlaczego Richterowie nie zamykają go na noc w jego pokoju.

- Pani Richter nigdy by nie zrobiła czegoś takiego! - gorączkuję się z oburzeniem. - Ona jest miła!

Wyobrażam sobie, że kiedy rankiem, po nocy spędzonej na obchodzeniu okolicznych ulic, pyta go, gdzie był, on odpowiada wymijająco:

- Tylko tu niedaleko. Spacerowałem sobie.

W wąwozie. Gdy kończy się rok szkolny i nadchodzą wakacje, spędza tam całe dnie, niezależnie od pogody. Poza sobotnimi przedpołudniami, także tam bywam.

W soboty przed południem pani Richter robi zakupy w sklepie spożywczym, mam więc okazję co najmniej godzinę poobserwować ją z bliska.

Czekam po drugiej stronie ulicy, ukryta za cedrowym żywopłotem państwa Gorysów. Wychodzi z domu około dziesiątej z małym wózkiem na kółkach, który ciągnie za sobą. Podążam za nią. Przy sklepie Dominion stoję niemal tuż przy niej. O, gdybym tylko potrafiła zdobyć się na odwagę, mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć jej spódnicy. Nie sądzę, by w ogóle się zorientowała. Wszyscy mogliby chodzić nago, a ona nie zwróciłaby uwagi, tak jest zaprzątnięta zastanawianiem się nad tym, co kupić. Przykłada palec do policzka, przechyla głowę. Przypomina mi kogoś, kto uczestniczy w grze w kalambury. Chciałabym jej pomóc. Mogłabym pchać metalowy wózek po sklepie albo ciągnąć za nią do domu ten jej wózeczek wypełniony zakupami. Ale i tak robię, co w mojej mocy - staram się telepatycznie wpłynąć na wybory, jakich dokonuje. „Mekintosze, weź je, jabłka delikatesowe są zbyt cierpkie...” Dziewięć razy na dziesięć robi właśnie to, co jej w myślach podpowiadam. Wtedy myślę: Odwróć się i spójrz na dziewczynkę w różowych spodenkach, pokochaj ją, zechciej ją zaadoptować. Ale bez skutku.

W wąwozie oddaję się marzeniom, w których jestem osieroconą indiańską księżniczką nazywaną Małym Piórem. Pani Richter przypada w nich rola porwanej niemieckiej osadniczki, którą wódz plemienia przezwał Słowikiem i wziął sobie za żonę. Ponieważ pani Richter jest już za stara na to, by urodzić dziecko, a ja jestem dla niej jak córka, ona i wódz mnie adoptują. Uczę panią Richter indiańskich piosenek, tych, których nauczyłam się ostatniego lata na Obozie Wanawingo - „Indianie są prawi”, „Należymy do czerwonej rasy”, „Pow-Wow, indiański chłopiec”. Ona z kolei uczy mnie niemieckiego i niemieckich zwyczajów. Wszystko układa się cudownie, aż pojawia się Maureen Hellier. Maureen jest odstręczającym podłym mieszańcem, nosi imię Biała Świnia. Gdy zaczyna sprzedawać swoje ciało, wódz każe przywiązać ją do drzewa i zakneblować. Czasem w ogóle nie pojawia się w moich wizjach, ponieważ została wygnana i przebywa gdzieś w dzikich ostępach. Innym razem wyobrażam sobie, że wszyscy, także pani Richter, odchodzą. Zostaję sama w moim tipi jako jedyna Indianka, która ocalała po masakrze dokonanej przez białych ludzi.

Wybudowałam dla siebie szałas na szerokim występie skalnym, na wschodnim zboczku wąwozu, i chociaż nazywam go tipi, dobrze wiem, że jest tylko małą kryjówką z kilku zielonych gałązek (dla kamuflażu) wspartych na stosie z konarów, przywiązanych do najwyższej położonego za pomocą kawałków grubej wełnianej włóczki, także zielonej dla kamuflażu. Wyprułam ją z ręcznie robionego na drutach swetra mojej matki, który miała na sobie w czasie ostatnich spędzonych wspólnie świąt Bożego Narodzenia. By rozpruć sweter, musiałam przepalić włóczkę za pomocą zapalek, które też należały do matki, uratowanych przed ciotką Verną, kiedy robiła przegląd kieszeni. Gdyby się na nie natknęła, mogłaby podążyć tropem napisów na opakowaniach zapalek i dotrzeć do Satine Doll Lounge, Bart's Esso. Z pięciu książek od Bart's Esso większość jest do niczego.

Teraz mam nóż, na wypadek gdybym musiała coś przeciąć. Scyzoryk ojca, który wyjęłam z szuflady jego biurka, a którego zniknięcia jeszcze nie zgłosił. W moim tipi, wśród promieni słońca prześwitujących przez gałęzie, porządkuję kolekcję kamieni i karmię mrówki galaretką owocową w proszku. Czasami wysoko nad głową słyszę delikatne pojękiwanie i myślę, że jest to odgłos chmur przesuwających się po niebie. Zdarzają się chwile tak głębokiej ciszy, że słyszę tupot mrówek. Wydają brzęczący

odgłos, jak gdyby na nóżkach miały pozawieszane dzwoneczki. Kiedy leżę z uchem przy ziemi, odnoszę wrażenie, że pracy dżdżownic przekopujących tunele towarzyszy odgłos przypominający odległe grzmoty. Sosnowe gałęzie osłaniają mnie ze wszystkich stron. Znajduję się w samym sercu fortyfikacji, której nie sposób sforsować. Bezpieczna.

Także dla Abła dolinka i jej chłodne zbocza są ulubionym miejscem w wąwozie. Jego pozostała część, tam gdzie dolina się kończy, jest otwarta, drzewa się przerzedzają, tu i ówdzie rosną jedynie krzewy sumaków, karłowatych jabłoni i kilka wierzb. Niżej płynie rzeka, a kąpiący się w niej chłopcy dostają wysypki i ciągną za sobą smród taki jak ten, który dolatuje z oczyszczalni ścieków i unosi się nad obozem Wanawingo, kiedy wiatr wieje z południa. Ten obóz jest przerażająco cichy, myślałam sobie nawet podczas mojego krótkiego w nim pobytu. Teraz ze swego tipi słyszę tylko obozowy okrzyk wznoszony w południe: „Yip yap honika wonika! Tip tap eenika si!” - prawdopodobnie zaczerpnięty z języka Huronów - co znaczy: „Jesteśmy odważni i sprawiedliwi! Najlepsi ze wszystkich plemion!”

(Ojciec, kiedy opowiedziałam mu o niedostatku wody pitnej i o tym, jak nas zmuszano do pielienia warzywnego ogródka, zmienił tłumaczenie na „Jesteśmy smutni i zniewoleni! Spragnieni, znudzeni, upośledzeni!”)

Moje tipi znajduje się w zasięgu wypraw uczestników obozu, ukryte wśród konarów i gałęzi, których na skalnym występie przybywa od lat. Chłopcy chodzą zboczem powyżej i poniżej występu i nie mają pojęcia, że ktoś tu coś zbudował. Tylko Abel wie, że tu jestem. Tak sędzę, ponieważ występ skalny to jedyne miejsce w wąwozie, którego unika. Widzę go czasem, jak idzie po przeciwległym zboczach doliny, i chciałabym mieć wtedy ważny powód, żeby go zawołać. Mogłaby to być jedna z tych złotookich ropuch, ale oczywiście w promieniu stu metrów nie znajdzie się kamienia, którego bym nie podniosła, żeby sprawdzić, czy jakiejś pod nim nie ma. Mógłby to być indiański artefakt albo chociaż bardzo ładny kamień.

Albo ludzkie ciało.

W pewne czwartkowe popołudnie, pod koniec lipca, znajduję mężczyznę leżącego twarzą do ziemi przed moim tipi.

Jest wielki i stary, w każdym razie niemłody. Ma na sobie brudny, zielony kombinezon, jest bez koszuli, podeszwy jego butów są zdarte na wylot, ale białe włosy ma gęste i jedwabiste.

- Dzień dobry - zagaduję.

Na ramieniu jego prawej ręki widzę tatuaż. Wieniec splecionych węży wokół słowa, którego nie potrafię odczytać z tej odległości, ostrożnie więc podchodzę do leżącego z drugiej strony. „Greta”, czytam. Cofam się poruszona. Nie, to niemożliwe. Chociaż? Ale nawet jeśli to inna Greta, imię jest niemieckie. Szpieg, myślę, szpieg przebrany za bezdomnego. Teraz już jestem przerażona nie na żarty i rozglądam się po dolince w poszukiwaniu Abla.

Znów przenoszę wzrok na mężczyznę.

Nie umiem stwierdzić, czy oddycha. Prawą pięść ma zaciśniętą. Nie spuszczaając z niej oczu (może przecież trzymać w dłoni granat), sięgam po patyk i szturcham nim leżącego w łydkę.

- Proszę się obudzić - mówię.

Szturcham go ponownie, tym razem w szerniałą stopę prześwitującą przez dziurę w podeszwie.

- Niech się pan obudzi. - Mój głos narusza świętość pustki i ciszy otoczenia.

Podchodzę do niego od strony głowy i pochylam się nisko, ale niemal w tej samej chwili odrzuca mnie do tyłu jego wstrętny zapach.

- Proszę pana... - Podejmuję kolejną próbę, a po chwili wołam głośniejszym głosem: - Proszę pana! Niech się pan obudzi!

Wielki czarny robak wynurza się z jego włosów tuż przy uchu.

Krzyczą z całej siły.

Mężczyzna nie reaguje, ani drgnie.

Krzycząc, biegnę wzdłuż skalnego występu, zeskakuję i pędzę dalej w dół, po stoku.

Zanim docieram do podnóża wzniesienia, dostrzegam Abla przedzierającego się wśród drzew. Na widok jego przerażonej twarzy uświadamiam sobie, że mój krzyk musiał wywołać mrozący krew w żyłach efekt.

- Tam jest człowiek. - Wskazuję palcem. - Tam, na zboczu. Martwy człowiek.

- Nie żyje?
- Nie oddycha. Leży. Nie porusza się. Abel spogląda w stronę skalnego występu.
- Szturczałam go patykiem.
- Krwawi?
- Nie. Może. Nie wiem.

Wciąż patrzy na zbocze. Pełne napięcia opanowanie bierze górę nad jego innymi cechami. Wygląda na to, że ma pomysł, pewną koncepcję. Patrząc na niego, uspokajam się.

- Czy powinniśmy zadzwonić po policję?

- Nie. Jeszcze nie. - Drapie się po ramieniu. Ma na sobie koszulkę w czerwono-żółte paski i nowe niebieskie dżinsy, do których musi jeszcze dorosnąć: są zawinięte kilkakrotnie u dołu w szerokie mankiety. Za pasek służy mu przewiązany kawałek liny. Do szlufki spodni, pod prawą ręką, ma przytroczoną lupę i nóż myśliwski. - No dobrze - mówi, podciągając dżinsy, i rusza w górę zbocza.

Idę za nim.

- Jest stary. Strasznie brudny. I ma tatuaż... - urywam. Abel sam zobaczy ten tatuaż.

Jest na skalnym występie. Kiedy docieram na miejsce, on już pochyła się nad leżącym mężczyzną. Po chwili staje obok Abla. Przygląda się tatuażowi.

- Twoja mama ma na imię Greta, prawda? - pytam. Przenosi na mnie wzrok. Kiwa głową.

- Ale to nie może chodzić o nią - dodaję natychmiast. Brak odpowiedzi.

- Kim on może być? - zagaduję, jakbym sama się nie domyślała.

- Włóczęgą.

Serce zaczyna mi bić szybciej.

- Z innego kraju?

- A skąd mam wiedzieć?

- Kto to jest włóczęga? - dociekam.

- Ktoś, kto nie ma gdzie mieszkać.

- Bezdomny - wzdycham. Rzeczywiście, wygląda na kogoś, kto nie ma domu.

- Już go kiedyś widziałem.

- Naprawdę?

- Tam, na dole, przy oczyszczalni ścieków. Jeden z robotników daje mu papierosy. Niechętnie odstępuję od teorii o szpiegu.

- Wydaje mi się, że on coś trzyma. Może granat?

Abel zupełnie nie bierze tego pod uwagę. Przykuca i kładzie dłoń na ramieniu nieznajomego.

- Nie jest zimny - stwierdza, po czym grzecznie zwraca się do leżącego: - Proszę pana? Proszę pana? - Potrząsa go za ramię. Gdy mężczyzna nie daje znaku życia, Abel przyciska dwa palce, najpierw do jego szyi, potem przy żuchwie.

- Co robisz?

- Sprawdzam tętno.

Przenoszę wzrok z leżącego człowieka na Abła i mimowolnie zaczynam go oceniać. Gdy patrzę na niego z tak bliska, nabiera cech towaru, staje się sierotą jedną z wielu, którą wybiera pani Richter. Dołeczek w podbródku... czyżby on się jej spodobał? Ludzie lubią dołeczki. A może o tym, że go wybrała, przesądziły włosy, takie same ciemnobrązowe jak jej.

- On żyje - oznajmia Abel, wstając.

- A więc pewnie jest ranny. - Beznadziejne przypuszczenie. Teraz, kiedy okazuje się, że ten mężczyzna nie jest ani szpiegiem, ani nieboszczykiem, wydaje mi się jeszcze bardziej odpychający.

- Na pewno nie spadł ze wzgórza.

- Skąd wiesz?

- Gałęzie nie są połamane. - Wskazuje na część zbocza wznoszącego się ponad nami. - Widzielibyśmy ślady, tam gdzie się toczył.

- A więc wdrapał się tutaj?

- Prawdopodobnie szukał miejsca do spania. Żeby mu nie przeszkadzano.

- Więc uważasz, że wspinał się tutaj, a potem rzucił się twarzą do ziemi?

- Nie zrobił tego specjalnie. Był pijany. Stąd ten smród.

- To... moczomorda - oświadczam. Tego określenia moja matka zawsze używała w stosunku do pani Bently.

- No tak... - Abel znów podciąga spodnie. - Myślę, że powinniśmy go zostawić.

- Oszalałeś? Spogląda na mnie.

- Co ja teraz zrobię? - krzyczę. - Mam tu tak stać i czekać? Może przecież narobić w gacie! A jeśli obróci się na bok? Zniszczy moje tipi!

Abel mruga i składa ręce na piersiach. Najwyraźniej go przestraszyłam. Ja. Leży tu wielki pijany facet, ale to ja go przeraziłam. Oburzające. Ale czuje też, że urosłam w jego oczach.

- Podpalmy mu spodnie - rzucam niedbale. - Możemy użyć twojego szkła powiększającego.

Dotyka ręką lupy, jakby w obawie, że mu ją wyrwę. Ten jego gest jeszcze bardziej mnie prowokuje.

- Możemy kopnąć go w tyłek - zachęcam i podchodzę do włóczęgi. Nagle, ku swemu zaskoczeniu, wymierzam mu kopniaka w pośladek, choć niezbyt mocno.

- Hej! - protestuje Abel. Zamierzam się jeszcze raz.

- Przestań! - powstrzymuje mnie poruszony do głębi. Waham się, słysząc dezaprobatę w jego głosie.

- Niby co mam przestać? - pytam zaczepnie, ale zamiast mężczyzny kopię swój plecak. - Ledwie go dotknęłam.

Abel podnosi plecak.

- Masz tu wodę?

- Dlaczego pytasz?

- Jeśli damy mu się napić, może się obudzi. Prawdopodobnie jest odwodniony, a to bardzo niebezpieczny stan.

- Mam tylko sok winogronowy.

- Może być.

- Nic z tego. Abel czeka.

- Jego zarazki - wyjaśniam. - Obsiądą mi cały kubek.

- Nie musimy nim dotykać jego ust. Ale niech ci będzie. Ja mam wodę. Zaraz ją przyniosę.

- Nie! - powstrzymuję go przerażona na samą myśl, że miałabym zostać sama.

Wzdycham. - Niech już będzie mój sok.

Abel otwiera mój plecak, wyjmuje termos i stawia go na ziemi.

- Musimy położyć go na plecach - instruuje. - Obrócimy go, ja otworzę mu usta, a ty wlejesz trochę soku. - Podchodzi do mężczyzny z boku. - Popchnę jego ramię. Ty popychaj tutaj. - Wskazuje głową na nogi leżącego.

Klękam. Odór jest nie do zniesienia.

- Zaraz zwymiotuję - mamroczę, dotykając nogawek kombinezonu mężczyzny.

- Nie, Louise, nie tak.

Zna moje imię. Właściwie dlaczego miałyby go nie znać? Mieszkam po sąsiedzku, mógł je też usłyszeć w szkole. Może rozmawiają o mnie w domu. Na samą myśl o tym czuję, jak kręci mi się w głowie. „Kim jest ta dziewczynka, która całymi dniami krąży przed domem?” „To Louise”. „Tam idzie Louise”. „Louise nie ma matki”.

- Musisz zastosować dźwignię - poucza Abel. Odwodzi do tyłu zgięte w łokciach ręce i wsuwa dłonie pod ramię włóczęgi.

- Dźwignię - powtarzam. Nie mam pojęcia, co to oznacza.

- Dobrze. Raz, dwa... trzy!

Pchamy. Stękamy z wysiłku. Udaje się nam obrócić go o kilkanaście centymetrów, ale ręce odmawiają mi posłuszeństwa i rezygnują.

- No dalej! - sapie Abel. - Pchaj!

- Nie mogę. Mężczyzna jęczy.

- Proszę pana? - zagaduje go Abel. Zrywam się na równe nogi.

- Jeeezu Chryste - mamrocze włóczęga. Abel wstaje i odstepuje o kilka kroków.

Tamten podnosi się na łokciach, po czym chrząkając, dźwiga się na kolana.

- Pieprzony Jezu... - mruczy.

Cofam się zbulwersowana na pewną odległość.

- Gdzie jest piep... - Dostrzega Abła. - Hej! - zwraca się do niego.

- Może chce się pan napić? - pyta go Abel.

- A co tam masz dobrego?

- Sok winogronowy.

Mężczyzna mruczy coś pod nosem i maca się po klatce piersiowej.

- Masz może dymka?

- Nie, przykro mi - tłumaczy się Abel.

Trudno zgadnąć, w jaki sposób ten włóczęga wyczuwa moją obecność za swoimi plecami, w każdym razie odwraca się i burczy:

- A ty nie masz? Zaprzeczam ruchem głowy.

- Ha! - Siedzi wsparty na rękach i uśmiecha się do mnie obrzydliwie. - Co jest, mała, nie lubisz mnie?

Patrzę na Abła. Oczy ma utkwione we włóczędzie.

- Tam, w oczyszczalni, mają papierosy - mówi powoli.

- No to na co jeszcze czekamy? - ożywia się mężczyzna. Próbuje się podnieść, ale opada z powrotem na ziemię.

- Pomogę panu - proponuje Abel.

Podtrzymuje włóczęgę pod ramię. Ten się krzywi. Obawiam się, że Abel się pośliznie i upadnie, ale mężczyzna wspiera się na ramieniu chłopaka, który chwieje się pod jego ciężarem.

Tygodnie, miesiące, lata później często będę myśleć o tym, jak pomagał tamtemu mężczyźnie. Po śmierci Abła o tym jego zachowaniu będę myślała nie jako o przejawie odwagi i siły, choć oczywiście takie było (tamten człowiek był co najmniej cztery razy potężniejszy od niego), ale jako o moim pierwszym zetknięciu z jego poświęceniem, którego nikt od niego nie wymagał. Tkwiałby tak, póki by mu kręgosłup nie pękł. Tylko po co? Facet i tak prędzej czy później podniósłby się sam. To było nieszczęście Abła - jedno z wielu - że nie mógł się powstrzymać od pomagania ludziom, których ledwie znał, którym niczego nie zawdzięczał i których mógł spokojnie zostawić samym sobie, bo i tak by sobie poradzili.

Teraz jednak jestem szczęśliwa, że jest obok mnie. Przypuszczam, że podobnie jak ja chce tylko, by ten mężczyzna poszedł sobie stąd jak najszybciej.

- Wszystko w porządku, trzymam pana - zapewnia nieznajomego.

- Pieprzyć, pieprzyć... - powtarza w kółko mężczyzna, aż w końcu staje w miarę stabilnie na własnych nogach. Odpycha Abła, obraca się dookoła własnej osi, w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od mojego tipi, potyka się o termos.

- Tam jest ścieżka w dół - mówi Abel. - Pokażę panu.

- Nie tak ostro! - Włóczęga patrzy na mnie, a na jego twarzy znów pojawia się bezmyślny uśmiech. Sięga między nogi, rozpina rozporek i wyciąga coś, co wygląda jak brudna różowa skarpetka. Potrząsa tym czymś kilka razy i oddaje mocz.

Odwracam się gwałtownie.

- Co jest, mała? Nigdy nie widziałaś ptaszka? Twój młody przyjaciel jeszcze ci nie pokazał?

Jego śmiech brzmi chrapliwie i mechanicznie, przypomina odgłos silnika, który nie chce zapalić. Czuję ostrą woń moczu. Już wydaje mi się, że skończył, gdy jednak okazuje się, że sika dalej.

- Mam dziewczynę w Kalmazoo! - podśpiewuje na fałszywą nutę. - To nie przechwałki, ale mówią mi, że całe Kalmazoo-zoo-zoo-zoo o niej śni!

W końcu słyszę, że zapina rozporek.

- Jeśli chce pan papierosa - mówi Abel - musimy już iść.

Rusza pierwszy, by wskazać drogę. Mężczyzna, potykając się, chwiejnym krokiem podąża za nim. Stoję i ani drgnę. Nawet gdy już ich nie słyszę. Czekam. Po dłuższej chwili dociera do mnie krzyk jakiegoś ptaka, przypominający rozpaczliwe wołanie rannych. Podchodzę do miejsca, w którym włóczęga oddał mocz, ze złością kopią ziemię i zasypuje moką plamę. Potem wczołguję się do mojego tipi.

Myślę, że Abel nie wróci, ale jednak wkrótce się zjawia.

- Jesteś tam? - pyta z niewielkiej odległości.

Próbuję wydostać się na zewnątrz. Klęcząc jeszcze tuż przy wejściu do szałas, wyciągam rękę i natrafiam na moką ziemię.

- Dotknęłam jego sików! Dotknęłam jego sików! - krzyczę na całe gardło i zrywam się na równe nogi.

Po chwili rzucam się z powrotem na kolana i zaczynam wycierać dłoń o suchą ziemię.

- To tak nie zejdzie.

Abel chwyta moją rękę i polewa ją sokiem winogronowym.

- Wytrzymaj ją o trawę - mówi.

- Wszystko zniszczył - rozpaczam. - Teraz to miejsce jest kompletnie zdewastowane!

- Dużo tu jest takich dobrych miejsc.

- Wcale nie!

- Ależ są. - Zakręca mój termos. - Takie, których on nigdy nie znajdzie.

- Niby gdzie?

- Chodź, pokażę ci.

Pokaże mi je. Przestaje płakać.

- Jest nawet jaskinia. Byłaś w niej kiedyś? Potrząsam głową.

- A chcesz ją zobaczyć? Kiwam głową.

- Teraz?

- Może... - Czuję, że głos znów mi drży. - Może jutro.

- Dobrze. - Wstaje.

- Teraz... - stękam niepewnie - mam ochotę na szklanek mleka. Zawsze dobrze mi robi. Ale mleczarz dziś do nas nie dotarł. - To akurat było prawdą.

- Do nas też nie - mówi Abel. - Ale chyba mamy jeszcze jedną butelkę. Chodź, zobaczymy.

A więc oto jest: zaproszenie. W głowie słyszę głuchy łomot. Rozbłyskuje światło.

- Naprawdę? - pytam oszołomiona.

- Jasne, dlaczego nie? - Lekki rumieniec występuje mu na policzkach.

Podrywam się i w pośpiechu zbieram swoje rzeczy - pudełko galaretki w proszku i kolekcję kamyków - i chowam wraz z termosem do plecaka, który Abel, nie patrząc na mnie, oferuje się nieść.

Ruszamy.

Jako dorosła osoba zawsze przy przeprowadzce do innego mieszkania (co będzie się zdarzało na tyle często, że nie będę rozmrażać lodówek) będę czuła to samo co teraz: że w miejscu, w którym dotąd mieszkałam, spotkał mnie zawód, ponieważ nie dało mi

oczekiwanego poczucia spokoju i braku zagrożenia. Będę miała przed oczami sytuację, kiedy podążam za Ablem w dół wzniesienia, na którym połamane gałęzie, pasy zdartej ściółki i trawy przypominające obnażone mięśnie i stratowane krzaki sprawiają wrażenie, jakby ten włóczęga jeździł po nim buldożerem. Łatwiej dzięki temu schodzić, to także zapamiętam.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przez całe lato i w ciągu pierwszych tygodni września Abel przestrzega umowy, którą zawarliśmy następnego ranka po przyjęciu, że będziemy dzwonić do siebie nawzajem, każde z nas co drugą niedzielę wieczorem. Kiedy przychodzi moja kolej i telefonuję do niego, nawet jeśli zgłasza się jedno z jego rodziców, on zawsze czeka w pobliżu.

Słyszając w słuchawce głos jego matki, czuję w sercu lekki ucisk. Uwielbiam jej konspiracyjnie brzmiące „Słucham?“, po którym następuje pytanie: „Jak się masz, Louise?“ zadane z wyraźnym zadowoleniem i ożywieniem. Odpowiadam, że dobrze, dziękuję, i pytam, jak ona się miewa: „Cudownie“ - mówi wesoło. A potem, niczym prezenter w telewizji, oznajmia: „Tak, jest tutaj z nami, właśnie podchodzi. Abel, telefon do ciebie“.

W czasie naszych pierwszych dwóch czy trzech rozmów głównie ja rozprawiam. W przeciwieństwie do niego nienawidzę przedłużających się chwil milczenia w rozmowie. Te telefony przypominają mi o moich próbach zawarcia z nim znajomości siedem lat temu, kiedy to trajkotałam bez przerwy, a on stał i przyglądał mi się grzecznie i z uwagą jak widz, który śledzi przedstawienie.

Gdy ktoś poświęca tyle uwagi temu, co do niego mówisz, zazwyczaj w dwójnasób zastanawiasz się nad wypowiedzianymi słowami nawet wtedy, gdy właśnie wychodzą z twoich ust. Na przykład, kiedy opowiadam mu o spotkaniu z Timem Toddem w cukierni. Było to w pierwszy weekend września. Niestety Tim zauważył mnie, zanim ja go dostrzegłam, zawołał, po czym przedstawił kasjerowi i drugiemu pracownikowi. Potem wyjaśnił mi, że został zatrudniony na pół etatu do wycierania stołów. Zachowywał się

inaczej niż zwykle, był wyjątkowo uprzejmy i przyjacielski. „Świetnie, gratuluję” - powiedziałam i odwróciłam się, żeby wyjść, ale on złapał mnie za ramię i wyszeptał, że chciał do mnie zadzwonić, że już prawie postanowił mi wybaczyć. „To nie twoja wina - mruknął. - Wszystko przez tych hippisów, którzy dali ci popalić marihuanę... Więc znów przybrał przyjacielski ton - mam nowe akwarium słodkowodne, może wpadłabyś kiedyś obejrzeć?”

Na co ja stwierdziłam, że wolałabym spędzić dziesięć lat, paląc marihuanę z hippisami, niż dwie sekundy na oglądaniu jakiegoś idiotycznego pojemnika na ryby.

Już w chwili, gdy wspomniałam o tym, że Tim mnie zawołał, dochodzę do wniosku, że ta historia wcale nie jest taka zabawna, jak mi się z początku wydawało.

- Skąd u niego tyle tupetu - kończę bez przekonania. - Przecież chodziliśmy ze sobą zaledwie kilka miesięcy.

W długiej ciszy, która wtedy zapadła między nami, na łączach dały się słyszeć odgłosy innych rozmów „...filiżanka syropu klonowego... można też wziąć w zamian podwójną ilość brązowego cukru...”

- Jesteś tam jeszcze? - pytam.

- Jestem.

- Nie mogłam pozwolić, żeby uszło mu na sucho, jak cię wtedy nazwał. Zresztą nigdy do niczego mnie nie zmuszałeś.

- To tylko dlatego, że jego przyjaciele tam byli.

- Ależ to nie byli jego przyjaciele. Czuję się jednak zawstydzona.

Zawsze zapominam, że Abel jest taki uprzejmy. Kiedy opowiada o swoich przyjaciółach, w jego relacjach ci, których najbardziej lubi, wydają się wyrzutkami i ekscentrykami. Jeden z nich, Lenny jakiś tam, uciekł z domu i mieszka w piwnicy u Richterów, i zamiast chodzić do szkoły, całe dni spędza na sporządzaniu tabel profesjonalnych statystyk sportowych. W głębi duszy, zdaniem Abela, jest jak kosmolog poszukujący fundamentalnych zasad logiki.

Abel uważa, że w głębi duszy każdy jest kimś zupełnie innym niż na zewnątrz, kimś lepszym, a przynajmniej zasługującym na współczucie. Na przykład o moim odwiecznym

życiowym wrogu, Maureen Hellier, którą pamięta ze szkoły, mówi, że jego zdaniem zawsze pod skórą była przerażonym małym dzieckiem.

- Za to - wyrzucam z siebie - na wierzchu wielką, tłustą zdziurą.

Cisza.

- Ale rozumiem, o co ci chodzi - dodaję szybko. - Nigdy tak naprawdę nie wiadomo, jacy są ludzie.

Staram się w to uwierzyć, ponieważ chcę być taka jak on. Patrzą - chociaż przestałam to robić po tym, jak wyprowadził się do Vancouver - w niebo, na ślimaki, psie odchody, pomarszczone dłonie starych kobiet i niezależnie od tego, co widzę, staram się tym zachwycać. Mówi mi, że ćwiczy *Wariacje Goldbergowskie* Bacha, a ja natychmiast po odłożeniu słuchawki rzucam się do kolekcji płyt ojca i znajduję nagrania w wykonaniu Glenna Goulda z 1954 roku, a potem słucham ich przez pozostałą część wieczoru. Wyobrażam sobie Abła siedzącego przy fortepianie, a w ruchach jego silnych ramion odczytuję tęsknotę za mną.

Ojciec, który od czasu pamiętnego przyjęcia musiał znosić *Białego Królika*, singla, którego słuchałam bez końca, komentuje:

- Ruszyłaś z miejsca.

- Poczyłaś postępy - ciągnę. - Osiągnęłam poziom zaawansowany.

- Zrobiłaś milowy krok do przodu - dorzuca, podejmując grę. - Rozwinęłaś się.

- Wykrystalizowałam.

- Aha! - wykrzykuje. To słowo dowodzi, że czytałam przewodniki wycieczkowiec, które przez cały czas podkradałam z jego gabinetu. Nawet więcej niż czytałam, zapamiętywałam całe obszerne fragmenty: klasyfikację owadów, nazwy księżyców Jowisza, znaczenie takich słów jak „jajożyworodny” i „pierzasty”. I „krystalizacja”. Na marginesach listów, które wysyłam do Abła, odtwarzam wzory ze skór węży i dwanaście różnych kształtów czulek owadów.

Właśnie w tych listach wylewam przed nim swoje uczucia (czy raczej dawkuje je, kropla po kropli): „Wstałam z uczuciem beztroski i pewności siebie. W głębi serca wiedziałam, że nic już nie może nas rozdzielić. Potem, przy śniadaniu, ojciec zapytał, jak się ostatnio miewa Abel. Uświadomiłam sobie, że mogę mu tylko powiedzieć, jak się

czułeś w zeszłą niedzielę, pięć długich dni temu. A więc jednak coś nas dzieli - dwie trzecie szerokości kontynentu! I wtedy samotność nagle dała o sobie znać".

Po wysłaniu pierwszego listu mówię mu przez telefon, że korespondencja jest w drodze. „Nie musisz mi odpisywać”, dodaję.

Więc kiedy dwa tygodnie później nadchodzi list z odpowiedzią, boję się go otworzyć. Koperta jest mała, w jasnoblękitnym kolorze jak jaja drozda. Wewnątrz znajduje się pojedyncza kartka, również niebieska w odcieniu pasującym do koperty, przesiąknięta papierosowym dymem. Nawet nie jest to list, tylko wiersz przepisany kaligraficznym pismem. *Romans* Arthura Rimbauda.

*Ach, nie jest się poważnym w siedemnastej wiosnie.
Wieczorem, wśród bomb piwa, szklanek lemoniady,
Kawiarni oświetlonych i gwarnych radośnie,
Aleja lip ocienia promenady.*

*Powietrze takie słodkie przymyka powieki,
Tak dobrze pachną lipy w czerwcowe wieczory,
Wiatr obciążony gwarem - miasto - niedalekie,
Ma w sobie zapach winnic i piwa odory.*

*Nagle malutki skrawek nieba gdzieś widnieje,
Granatowy, oprawny w drobniutkie gałązki,
Przepięty gwiazdką małą, co słodko topnieje
I jak dreszczyk przesyła swój promyczek wąski*.*

* Tłum. Jarosław Iwaszkiewicz w. *Poezje wybrane*, W-wa 1949.

Pod spodem, własnoręcznie, drukowanymi literami Abel pisze: „Nie jesteś sama, więc nie bądź samotna. Ty jesteś gwiazdką oprawną w drobniutkie gałązki. Kocham - Abel".

I nieco niżej: „Piękno jest prawdą, prawda - pięknem”.

Kurczowo przyczepiłam się do tytułu wiersza, podpisu pod listem „Kocham - Abel” i do sugestii, że to ja jestem jego gwiazdką.

Następny list przychodzi tego samego lata, pod koniec sierpnia. Tak jak pierwszy na błękitnym papierze. Tym razem w kopercie znajduję dwie kartki, także z wierszem Rimbauda, z którego twórczością już się zdażyłam zapoznać. W antykwariacie w śródmieściu znalazłam tomik jego wierszy wybranych i wiedziałam, że w pierwszym liście Abel przysłał mi tylko fragment poematu. Dlaczego nie przepisał ostatniej zwrotki, która opowiada o tym, że chłopiec zakochuje się w młodej dziewczynie?

„Nie wystarczyło miejsca na kartce” - brzmi jego odpowiedź.

Ten następny wiersz, pod tytułem *Wieczność*, jest na tyle krótki, że zamieszcza go w całości.

Odnaleziono w końcu! Ale co?

Wieczność! Ona fest morzem,

Co się łączy ze słońcem.

Dusza ma wiecznotrwała

Spełnia twoje życzenie,

Choć noc osamotniała,

A dzień trawia płomienie.

Pożegnałeś się zatem

Z wyrokującym światem,

Stadnych odczuć potrzebą!

Wzlatujesz w niebo...

- Nigdy więcej orietur.

Żadnego urojenia.

Nauka i czekanie



Mąk nie do uniknienia.

Nigdy jutra, płomieni

Atlasu, co się mieni,

Twoja żarliwość

To jedyne prawo.

Odnaleziono w końcu!

- Ale co?

- Wieczność!

Ona Jest morzem,

Co się łączy Ze słońcem.*

* Tłum. Artur Międzyrzecki w: *Sezon w piekle*, W-wa 1999.

Jest bardziej romantyczny, w bardziej oczywisty sposób nawiązuje do nas. Wieczność odnaleziona ponownie, atlasowy żar. Nie ma nadziei tutaj, nie ma jej w Vancouverze, tak daleko ode mnie. Wzlatywanie w niebo, to odurzenie narkotykiem, to nasze rozstanie. Ale „orientur”? Nie mam pojęcia, co to jest. Nie ma tego słowa w moim słowniku francusko-angielskim.

U dołu strony znajduję obrazek narysowany atramentem, przedstawiający rozrastającego się morskiego anemona, który przypomina kiść robaków wypełzających z woreczka w prążki. Jest wypracowany w najdrobniejszych szczegółach. Abel poświęcił mu zapewne kilka godzin. Ale to rysunek na następnej stronie, nad którym, jak przypuszczam, spędził nie więcej niż kilka minut, porusza mnie do głębi. Przedstawia nas oboje. Moja szczupła twarz i oczy przysłonięte ciężko opadającymi powiekami, jego kręcone włosy i grube brwi. Uśmiechamy się. Mamy na sobie zakonne habity.

Jesteśmy, jak mówi podpis, który umieścił pod obrazkiem, „Abelardem i Piekielną Louise*“, jak w starym żarcie mojego ojca. Pod spodem widnieje kolejny napis: „Prawda wyzwala“, a jeszcze niżej brązowa plamka i strzałka biegnąca od niej do krótkiego wyjaśnienia: „Piwo rozlane przez Lenny'ego“.

* W oryg. „Hell-Louise“, co brzmi jak Heloiza, ukochana jednego z najświetniejszych umysłów średniowiecza, Abelarda.

Piwo rozlane przez Lenny'ego. W miarę upływu dnia narasta we mnie niezadowolenie, że ten rysunek oglądał nawet flejtuchowaty Lenny, ktoś, kto równie dobrze mógłby być amerykańskim przybłądą Johnem albo hazardzistą oszustem Thumbsem, albo kto wie kim jeszcze? Wszyscy ci zwariowani ludzie, których Abel spotyka w autobusach, parkach i w barze o nazwie „Parliament“, gdzie, chociaż jest niepełnoletni, podają mu piwo z beczki. Opowiada mi o nich przez telefon, a ja udaję, że bawią mnie te jego historie, mimo że zupełnie nie rozumiem, czemu woli tych dziwaków od samotności albo przynajmniej towarzystwa znajomych ze szkoły, których, jak się zdaje, ma mnóstwo. Tu, w Greenwoods, był samotnikiem, a po wyjeździe stał się Szczurołapem z Vancouveru**. Nieznajomi ciągną się za nim do domu, często nawet wprowadzają do niego na jakiś czas.

** Nawiązanie do Szczurołapa z Hamelin.

W moim przekonaniu trąciłoby drobnomieszczaństwem stwierdzenie, że mogą na niego mieć zgubny wpływ. A jednak napomykam o tym, dając wyraz swoim obawom w formie przesadnej troski o jego dobro. Z trudem przychodzi mi przyznać się przed sobą, a tym bardziej przed nim, że jestem o niego zazdrosna. On, jak się zdaje, wykazuje nie-naturalne zainteresowanie tymi ludźmi, o wiele większe niż mną. To, że w ogóle ma przyjaciół, odbieram jako zdradę.

Niedzielny wieczór. Dziś to Abel powinien zadzwonić.

Trzy dni temu obchodziłam osiemnaste urodziny. Pani Carver upiekła olbrzymi tort kawowy i podarowała mi parę modnych skarpetek w kratę. Od ojca dostałam biografię J. S. Bacha i dwupłytowy album z partitami Jana Sebastiana w wykonaniu Glenna Goulda. Od Abła, mimo że poddałam mu kilka sugestii, nie otrzymałam nic: ani listu, ani telegramu. Nawet do mnie nie zadzwonił. Tego wieczoru spodziewałam się więc dobrze umotywowanych wyjaśnień i przeprosin.

Jest już dziesiąta. Dziesiąta piętnaście. O wpół do jedenastej zaniepokojona, że pewnie stało się coś strasznego, dzwonię na centralę międzymiastową, która łączy rozmowę.

Telefon odbiera pani Richter.

- Louise! - wita mnie radośnie. - Jak się masz!

- Ja... - Nie jestem przygotowana na jej dobry humor.

- Halo, jesteś tam? - pyta z ożywieniem.

- Tak, jestem... Jestem.

- Co u ciebie słychać?

- Czekam na telefon od Abła. Powinien był zadzwonić pół godziny temu.

- A nie zadzwonił?

- Nie...

- A to niesforny chłopak, pewnie zapomniał! - obrusza się, przybierając nienaturalnie gardłowy głos.

- Zapomniał?

- Bo wiesz, nie ma go w domu. Wyszedł. Czuję ucisk w gardle.

- Halo? Louise?

- Tak.

- Chyba mamy zakłócenia na linii. Pytam, czy Abel powiedział, dokąd idzie.

- Dokąd idzie? Nie, nie mówił. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Poczekaj chwilę, może się czegoś dowiem. - Słyszę, jak jej głos oddala się od słuchawki „Karl! Karl! Czy Abel powiedział ci, dokąd idzie?” i zaraz potem pani Richter zwraca się do mnie. - Louise, on gdzieś wyparował! Ale jestem pewna, że niedługo wróci i wtedy do ciebie zadzwoni.

Ale nie dzwoni. Nie mogę zasnąć, czekam. Leżę w łóżku, płaczę i bez końca snuję przypuszczenia: miał wypadek samochodowy, został zamordowany przez jednego ze swoich zwariowanych kumpli, jego przyjaciele go upili i Ablowi urwał się film, został przyłapany na paleniu marihuany i teraz siedzi w areszcie, spotkał jakąś byłą dziewczynę i ona go uwiodła, ma już mnie dość, bo wciąż powtarzam, że jest jedyną osobą na świecie, z którą naprawdę mogę rozmawiać, jedyną, z którą chcę być.

Lepiej już, żeby umarł, niż mnie odtrącił! Nie, nie, nie to miałam na myśli... Boże, nie pozwól mu umrzeć!

Tuż przed świtem udaje mi się zasnąć na mniej więcej godzinę. Po przebudzeniu chwytają mnie mdłości. Zrywam się z łóżka i pędzę do łazienki, gdzie zwracam kurczaka w potrawce z wczorajszej kolacji.

- Louise? - dobiega mnie głos ojca.

Gdy idę korytarzem, otwiera drzwi od swojego pokoju. Zaskakuje mnie widok jego udręczonej twarzy, jeszcze nie zdążył nadać jej radosnego wyrazu, który trzyma w zanadrzu na dzień.

- Chyba mam gripę - mówię.

Na te słowa odzywa się w nim natura lekarza. Dotyka dłonią mojego czoła.

- Nie masz gorączki - stwierdza. - A nie dokucza ci biegunka, rozwolnienie? Pokaż język.

Przeciskam się obok niego.

- Po prostu muszę się wyspać.

- Przyniosę ci szklanekę piwa imbirowego.

- Nie chcę. Nic mi nie będzie. Zostanę dzisiaj w domu. Zadzwoiłbyś tylko do mojej szkoły i zostawił kartkę pani Carver, dobrze?

Wracam do łóżka i do przyjścia pani Carver nie bardzo wiem, co się ze mną dzieje.

Przynosi mi czerwoną herbatę, która smakuje jak napar z robaków. Wypluwam ją z powrotem do filiżanki.

- Co to jest?

- Wypij wszystko - szepcze. - Doskonale robi na... - Masuje się po brzuchu.

- Już mi przeszło.

- Pomaga też... - Gwałtownie rozstawia na boki obie ręce.

- Pozbyć się nieprzyjaciół - kończę.

Patrzy na mnie z wyrzutem, chcąc dać wyraźnie do zrozumienia, że powinnam już wiedzieć, że ona nie rozumuje kategoriami wrogów czy ludzi niegodziwych. Jeśli postępujesz niewłaściwie, to tylko dlatego, że jesteś opętany przez złe duchy, za sprawą których spełniają się złe przepowiednie. Według jej przekonań nie istnieje ani wola, ani moralność, tylko aura.

Zmuszam się do wypicia kilku łyków herbaty. Przez te kilka lat przyzwyczaiałam się przyjmować te jej okultystyczne interwencje, by zabezpieczyć się przed choćby najmniejszą możliwością, że ona rzeczywiście się czegoś domyśla.

Przesuwa po moim czole drobną jak u dziecka dłonią, szorstką jak papier ścierny.

- Nie mam gorączki - mówię.

Poprawia okulary, by mi się uważnie przyjrzeć. Jej świdrujące oczy nieruchomieją i przeszywają mnie na wylot.

- O co chodzi? - pytam. Klepie mnie po nodze.

- Co takiego?

Bez słowa bierze ode mnie filiżankę i stawia ją na szafce przy łóżku. Po jej wyjściu popadam w przerażenie przekonana, że dostrzegła w mojej przyszłości jakąś katastrofę. Nie, nie. Wymyślam niestworzone rzeczy. Ona nie ma wglądu w moją przyszłość! Słyszę, jak krząta się po kuchni. „Pani Carver”, myślę o niej ciepło, a zaraz potem degraduję ją do milej, nieszkodliwej, trochę nawiedzanej kobieciny, za jaką zaczęłam ją ostatnio uważać.

A jednak dopijam herbatę.

Jest już za piętnaście jedenasta, w Vancouverze za piętnaście ósma. Jeśli Abel jest w domu, żyje i nie został wtrącony do więzienia, prawdopodobnie jeszcze nie wyszedł do szkoły.

Dzwonię z telefonu w gabinecie ojca. Czekając, aż telefonistka mnie połączy, modłę się, żeby zgłosił się Abel, ale w słuchawce słyszę spokojne „Halo” pana Richtera.

Oczywiście żadne nieszczęście się nie wydarzyło.

- Czy jest Abel? - pytam, zmieniając głos na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że go nie ma, a wtedy nigdy się nie dowie, że telefonowałam. Próżny trud.

- Louise? Kolejna klęska.
- Tak. To ja. Dzień dobry. Czy mogę prosić Abla?
- Oczywiście. Bardzo proszę. Jedną chwileczkę.

Słysząc szczekanie psa. Pan Richter woła: „Abel!”, a wśród tych odgłosów przebija się głos pani Richter śpiewającej piosenkę, której jednak nie potrafię rozpoznać.

Szczęśliwy poranek w rodzinie Richterów. Ogarnia mnie tęsknota.

- Wagarujesz? - W słuchawce odzywa się Abel.
- Nie czuję się najlepiej.
- Co się dzieje?
- W ogóle nie spałam dziś w nocy.

Teraz nastąpiła jedna z tych trwających wieczność, koszmarnych przerw w rozmowie, a potem słyszę:

- Przepraszam, że wczoraj nie zadzwoniłem. Pan Earl, wiesz, ten stary czarnoskóry saksofonista, o którym ci opowiadałem, grał w klubie Bear Pit i zostałem na jego występie. Było już po drugiej, kiedy wróciłem do domu.

- Grał w nocy z niedzieli na poniedziałek?
- No tak, to jest przecież Zachodnie Wybrzeże.
- A tutaj jest Wschodnie Wybrzeże. Cisza.
- Abel, naprawdę się martwiłam. Już myślałam, że cię ktoś zamordował.

W dalszym ciągu cisza.

- Wiem, że to głupie.
- Nie rób tego sobie - mówi cicho.

Mieszanka tęsknoty i rozgoryczenia robi swoje. Łzy zaczynają mi spływać po policzkach.

- Mam sobie nie robić czego?
- Doprowadzać się do rozpacz.
- To nie ja doprowadzam się do rozpacz. Ty mnie dołujesz. Nie dzwonicz wtedy, kiedy powinienes, i to mnie wytrąca z równowagi.

- Przepraszam. Po prostu... zapomniałem.
- Zapomniałeś!

- Przepraszam.
- Wszystko nam się rozłązi.
- Nieprawda. Nie mów tak. Jest w jak najlepszym porządku.

Wzdycham.

- Muszę iść. Ojciec mnie woła. Podwozi mnie do szkoły.
- Możesz do mnie zadzwonić, jak wrócisz po południu do domu?

Brak odpowiedzi.

- Abel!
- Postaram się.
- O czwartej twojego czasu. Nie za wcześnie?
- Może być.
- Kocham cię.
- Wiem - jego głos ledwie słycać w słuchawce.
- A ty mnie kochasz?
- Tak.
- Już dobrze. Teraz już mi lepiej.

Przez cały dzień do perfekcji opanowuję umiejętność mnożenia przez sześćdziesiąt, nie liczę godzin, które ciągną się jak stulecia, lecz minuty. Pięćset dziewięćdziesiąt. Czteryście osiemdziesiąt pięć. Leżę w łóżku i czytam tomik poezji Rimbauda. „Twoje usta lśnią. Piersi są jak skrzypce, wygrywają słowa spływające z ust aż do białych dłoni”. Dlaczego nie przesłał mi tego wiersza? Dlaczego nie widzi mnie na każdym kroku tak jak ja jego?

W porze kolacji staję na wysokości zadania i zjadam w kuchni talerz rosółu wołowego. Ojciec mówi, że wciąż jestem „nieco biała, nieco szara, nieco wymizerowana”.

- Czyli jaka? - pytam wrogo.

Nigdy nie potrafi poprzestać na jednym przymiotniku, co teraz wydaje mi się niezbitym dowodem na to, że cierpi na chorobę umysłową. - Biała, szara, wymizerowana, ziemista, bezbarwna? Mruga.

- Niewysypana? - krzyczę.

- Chyba masz na myśli „niewyspana” - podsuwa po chwili zastanowienia.

- Nic mi nie jest - mamroczę.

Przestaję zwracać na niego uwagę. Jest tylko zegar i telefon. Kiedy nalewa kawę, znów uświadamiam sobie jego obecność.

- Nie musisz tu ze mną siedzieć - mówię. - Pozmywam naczynia. - Chętnie korzysta ze sposobności, żeby się ulotnić. - Jeśli zadzwoni telefon - wołam jeszcze za nim - ja odbiorę.

Dwadzieścia pięć po szóstej.

Za piętnaście siódma naczynia są już pozmywane, ja siedzę na krześle przy telefonie.

Za pięć siódma.

Siódma.

Siódma piętnaście, wpół do ósmej.

Opieram głowę na stole na splecionych rękach. Sekundy płyną nieubłaganie. Mijają jedna po drugiej, a wraz z nimi po kawałeczku upływa moje życie. Właśnie wchodzi ojciec po drugą filiżankę kawy. Zakrywam rękoma uszy, ale pomimo to mówi:

- Nie byłoby ci lepiej w łóżku?

Wcale nie lepiej mi w łóżku. Potrafię myśleć tylko o tym, że Abel odpowiedział „tak”, gdy go zapytałam, czy mnie kocha. Tak - nic więcej. Tak odpowiada ktoś, kto woli dalej nie drażnić tematu. Albo - mój Boże - ktoś, kto mówi to, co chcesz usłyszeć. Ale przecież on mógł jedynie potwierdzać to, co jest dla niego oczywiste: Tak, pewnie, wiadomo bez słów. Wtedy w parku powiedział mi, że kocha mnie za bardzo. Za bardzo jak na co? Jak dla kogo? Czy nie chce mnie kochać?

Nie mogę do niego zadzwonić. Nie zrobię tego. Ma jeszcze czas. W Vancouverze jest dopiero piąta. Może coś go zatrzymało w szkole, albo poszedł na lekcję gry na pianinie.

Czytam jeszcze raz jego oba listy w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, nadziei. Ale ogarnia mnie jeszcze większy smutek. Jak może mówić, że nie jestem sama, więc nie powinnam czuć się samotnie, a potem mnie opuścić? Wiersz *Wieczność* wydaje się teraz ostrzeżeniem z tym swoim pożegnaniem, wzlatywaniem w niebo i mękami nie do unik-

nięcia. Dlaczego więc? Dlaczego chce uciec? A może chodzi o coś innego, może gdy jesteśmy tak daleko od siebie, on nie potrafi podtrzymać związku ze mną. Co z oczu, to z serca.

Odkładam listy na szafkę przy łóżku, wstaję i podchodzę do okna. W tej samej chwili zapalają się lampy uliczne. Poniżej snopu światła pojawia się ćma. Zatacza koła, unosząc się coraz wyżej. Nie, nie rób tego, myślę. Ale ona uderza w żarówkę i spada ciężko na ziemię, zbiera siły i znów rozpoczyna wędrówkę w górę. Wiem, ponieważ Abel mi o tym powiedział, że ćmy zawsze kierują się księżycem, każdy więc obiekt, który go przypomina, wytrąca je z kursu. W letnie wieczory chwytałyśmy ćmy w jego siatkę na motyle i potem wypuszczaliśmy je w wąwozie. Kiedyś, by uwolnić ćmę, która raz po raz uderzała o lampę przez ponad pół godziny, zaangażowaliśmy do pomocy mojego ojca, który ma długie ręce. „Ślepa wiara” - stwierdził tata, gdy we trójkę staliśmy i przyglądaliśmy się ćmie, czekając, aż upadnie w zasięgu ręki.

Teraz, obserwując tą ćmę, myślę, że może to nie jest kwestia wiary. Albo nadziei czy nawet przypadku. Być może naturalną koleją rzeczy niektóre ćmy z własnego wyboru postanawiają roztrzaskać się na śmierć? Kto wie dlaczego? Może one nie rozumieją, na czym polega podobieństwo. Dla nich, jeśli jakaś rzecz bardzo przypomina inną, jest tą inną rzeczą. Wszystkie światła są księżycami. Jedna ćma jest wszystkimi innymi i wszystkie są jedną. Jest jeden człowiek, który jest wszędzie.

Jest jeden człowiek, którego nie ma nigdzie.

Dlaczego on nie dzwoni?

Następnego dnia rano znów wymiotuję. Do kosza na śmieci, który stoi przy moim łóżku, i tym razem nie robię tyle hałasu co za pierwszym razem. Myję kosz w łazience, potem rozbieram się i wchodzę pod prysznic. Oglądam swoje ciało. „Wcale nie taka szczupła” - powiedział Abel o dziewczynie, z którą się umawiał, a która była podobna do mnie. Czy nie miałam racji, przyjmując jego słowa za komplement? Dotykam piersi. Wydają się większe, ale może to tylko złudzenie, trudno powiedzieć. Chociaż są trochę bolesne. Przesuwam dłonie niżej, na brzuch. Wciąż płaski. Nie mogę więc być w ciąży. Od czasu, gdy ja i Abel byliśmy razem, miałam już dwie miesiączki. Poza tym jestem nie-

mal pewna, że poranne mdłości mają swój początek wcześniej niż to. Jestem tylko strasznie znerwicowana, nic poza tym. Osoby nerwowe mają skłonność do wymiotów.

A jeśli jestem w ciąży? Ta myśl wywołuje u mnie kolejną falę nudności. Wyobrażam sobie, jak opuszczam szkołę, jak wszyscy mną pogardzają, widzę ojca z obłędem w oczach, kompletnie bezradnego, przyjazd ciotki Verny, która zbije młotkiem dziecięce łóżeczko i przyjmie na siebie obowiązki akuszerki. Wyobrażam sobie, jak wyjawiam przed Ablem tę sensację. „Wiesz, nie chcę ci zawracać głowy, ale uważam, że powinieneś wiedzieć...” Czy musiałabym wyprowadzić się do Vancouveru i wziąć z nim ślub? Mielibyśmy założyć rodzinę w jego piwnicy, my dwoje i dziecko? I Lenny? O nie, Lenny'ego trzeba będzie się pozbyć. Abel w dalszym ciągu chodziłby do szkoły, a ja krzątałabym się z panią Richter, szatkowałabym kapustę i sadziłabym pomidory, tak jak w moich dawnych marzeniach. Nie byłoby chyba tak źle. Abel i ja bylibyśmy przynajmniej razem.

Niezależnie od tego, czy mnie chce czy nie.

Zaczynam płakać. On mnie nie chce. Udawałby tylko, że mu zależy, z grzeczności i ze współczucia. Mógłby nawet pokochać to cholerne dziecko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Cały czas myślę o sobie tak, jakbym w Greenwoods Collegiate nie miała żadnych przyjaciół, ale to chyba nie jest sprawiedliwe w stosunku do Alice Keystone, koleżanki, z którą razem chodzę do szkoły i wracam do domu. We wtorki i czwartki jemy wspólnie lunch w pobliskim barze, ponieważ godziny naszych przerw w zajęciach się pokrywają.

Alice robi wrażenie osoby, która się wiecznie zamartwia, i trzeba trochę czasu, żeby się zorientować, że nie wykręca sobie palców z nerwów, tylko niezwykle często wciera w dłonie krem nawilżający. W torbie, pod której ciężarem z pewnością ugięłaby się mniej od niej krzepka dziewczyna, nosi gigantyczne pudełko emulsji Jergensa oraz słoiki po marynatach z resztkami, które składają się na jej lunch. Właściwie nie jest bardzo wyrośnięta, ale za to silna. Ma mocno umięśnione łydki i szerokie biodra. Jest mniej więcej mojego wzrostu. „Nie cierpię dotykać papieru, jeśli mam wysuszone ręce” -

wyjaśniła mi zwięźle, wkrótce po tym, jak się poznałyśmy. Zanim się dowiedziałam, jaki jest prawdziwy powód tej dbałości o ręce, sądziłam, że chce zaimponować swymi smukłymi palcami. Okazało się jednak, że próżność to cecha zupełnie jej obca; wygląda na to, że nie ma pojęcia, jaka jest ładna. Patrzysz na nią - na jej okrągłe, błękitne oczy i drobną, jasną twarz - i widzisz lalkę. Kiedy nauczyciel zadaje jej jakieś pytanie, na obu policzkach wykwitają jej czerwone kółka wielkości dolara, co jeszcze bardziej podkreśla podobieństwo do lalki.

Porozumienie między nami, to znaczy między Alice a mną, wynika stąd, że poza brakiem popularności w szkole nie mamy ze sobą nic wspólnego i że do kwestii wyizolowania nigdy nie nawiązujemy w naszych rozmowach. Osobiście nie miałabym nic przeciwko poruszaniu od czasu do czasu tego tematu, ale jestem więcej niż pewna, że Alice byłaby zdruzgotana nawet najdrobniejszą sugestią z mojej strony, że jest wyrzutkiem. Tym bardziej że na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Ja wiem, że nim jestem, i oczywiście wiem, dlaczego inni uważają mnie za dziwaczka i złośliwą. Nawet Alice zauważyła to kilka razy: „Ależ ty jesteś jadowita!”, wyrwało się jej, gdy zrobiłam uwagę moim zdaniem równie niewinną jak stwierdzenie: „Ta dziewczyna rzeczywiście jest wysoka”.

Staram się być przy niej ostrożna. Dość łatwo ją zgorszyć. Jest bardzo religijna, uczy w szkółce niedzielnej i jako ochotniczka czyta Biblię w domu spokojnej starości. Kiedy jeszcze chodziłam z Timem Toddem (nazywała go moim facetem; „Tam idzie twój facet”, mawiała), opowiadałam jej o filmie, który oglądaliśmy w sobotę wieczorem, albo tropikalnych rybkach w jego akwarium, ale w żadnym razie nie wspomniałabym o tym, że dotykał moich piersi, prędzej chyba powiedziałabym ojcu niż jej. Już samo słowo „piersi” byłoby przy niej zbyt śmiałe.

Nasze domy są oddalone od siebie tylko o dwie przecznice - jej znajduje się w nowszej części osiedla - a mimo to bardzo rzadko się spotykamy w weekendy czy dni świąteczne. Podczas ostatnich wakacji widziałam ją tylko raz. Czekałam na przystanku na autobus, którym miałam jechać do pracy, i na czerwonym świetle zatrzymał się samochód jej taty. Siedziała na miejscu dla pasażera, na kolanach trzymała niemowlę, jej trzy małe siostrzyczki tłoczyły się z przodu na środkowym siedzeniu, a z tyłu trzej mali bracia. Alice

klaskała rączkami najmłodszego dziecka. Wydawało mi się, że śpiewa. Mówiła mi, że jest prawą ręką matki i do niej należy układanie wszystkich dzieci do spania i ubieranie ich przed wyjściem do kościoła. Co za harówka, pomyślałam, kiedy ich samochód odjechał. Krótco przedtem kochałam się z Ablem i widząc ją wtedy w samochodzie, dziwiłam się, jak mogę znaleźć wspólny język z kimś tak staroświeckim jak Alice.

Ale kiedy nadszedł pierwszy dzień szkoły i przez okno salonu zobaczyłam, że czeka na końcu ulicy, nie wymknęłam się przez tylne drzwi częściowo dlatego, że pracowałam nad sobą, by stać się miłsza, częściowo dlatego, że mój nowy styl i tak, moim zdaniem, nas poróżni. Przypuszczam, że była przekonana o naszych podobnych zapatrywaniach na modę, ponieważ jeszcze kilka miesięcy temu nosiłam rzeczy, które kiedyś należały do mojej matki i były przynajmniej od dziesięciu lat nie na czasie. W moim wypadku nie miało to nic wspólnego z kwestią smaku, wynikało raczej z lenistwa, zmysłu praktycznego. Było formą demonstracji, za pomocą której chciałam uświadomić ojcu, że „ona już nie wróci”. Myślę, że w ten sposób również okazywałam - choć niechętnie - uznanie dla jakości tkanin i fasonów. Ubrania Alice były w sposób zamierzony niemodne, wystarczy tylko wspomnieć o jej nowych, tanich, w staropanieńskim stylu, uszytych w domu workowatych sukienkach, bawełnianych bluzkach zapinanych wysoko pod szyję i spódnicach za kolano, gładkich i w pastelowych kolorach. Jeśli nawet trafił się jakiś wzór, to były nim koniki albo wiatraki, takie, jakie często widzi się na tapetach. Jedynym odstępstwem na rzecz elegancji, które zresztą jeszcze bardziej podkreślało jej staromodny styl, była natapirowana fryzura. Żadna z nas się nie malowała.

Tamtego dnia podążałam w jej stronę w nierównomiernie ufarbowanej bluzce bez rękawów i spódniczce, która ledwie zakrywała mi pośladki. Z gołymi nogami, bez biustonosza, w skórzanych sandałach i ze sznurem drewnianych koralików sięgającym pępka, który kupiłam od ulicznego sprzedawcy w centrum miasta. Usta miałam pomalowane blad różową szminką, prawie białą, a oczy podkreślone czarną kreską, tak grubą, że podczas śniadania mój zwykle ostrożny, by mnie nie sprowokować, ojciec odważył się zapytać:

- Nie uważasz, że do szkoły ten makijaż powinien być bardziej stonowany?

- Jest stonowany właśnie akurat do szkoły - powiedziałam, hamując rozdrażnienie i wyobrażając sobie, że Abel słyszy i podziwia, jaka jestem tolerancyjna.

Ojciec jednak wciąż przyglądał mi się z zaniepokojeniem, odgarniał do tyłu czarne, wypomadowane, rzednące włosy, nie mogłam więc powstrzymać się, żeby nie wymamrotać:

- No tak, niektórzy są strasznie kostyczni.

Właśnie, kostyczni, pomyślałam teraz, patrząc na Alice kurczowo przyciskającą do siebie torbę.

- Cześć! - zawołałam. Podniosła rękę.

- Ledwo cię poznałam - powiedziała, kiedy do niej podeszłam.

- Wprowadziłam pewne zmiany. I na pewno nie chodzę już z Timem.

- Och, nie wiedziałam.

- To nigdy nie było nic poważnego.

- Co się stało? Jeśli oczywiście mogę zapytać.

Nie zamierzałam roztrząsać szczegółów, ale na widok jej zde gustowanej moim wyglądem twarzy, staroświeckiej sukienki w czajniczki, nastroszonej fryzury (Alice się nie zmieniła) poczułam nieodpartą chęć zrobienia na niej jeszcze bardziej piorunującego wrażenia.

- Wiesz - powiedziałam nonszalancko - spotkałam na imprezie mojego dawnego chłopaka i wylądowaliśmy na trawniku sąsiadów. Paliliśmy trawkę i baraszkowaliśmy, a wtedy zjawił się Tim. Byłam tak naćpana, że na śmierć zapomniałam, że ze mną przyszedł. Został nas na pół nagich.

Odeszłam przekonana, że ona nie ruszy się z miejsca. Dogoniła mnie jednak i dreptała obok.

- Kiedy mówiłaś o baraszkowaniu - zaczęła, nie patrząc na mnie i pokrywając się rumieńcem - miałaś na myśli to, co myślę, że miałaś?

- Poszliśmy na całość. Wstrzymała oddech.

- Nie sądz, że to był wybryk na jeden wieczór - odezwałam się już łagodniej. - Abel i ja, tak ma na imię, Abel, to niemieckie imię, kochamy się. Kochamy się od czasu, gdy

skończyłam jedenaście lat. - Zniżyłam głos, by wyznać czystą i najszczerzą prawdę. - To już siedem lat.

Alice częściowo odzyskała równowagę.

- Długo, trzeba przyznać.

Pozostałą część drogi do szkoły pokonałyśmy w milczeniu.

- Cześć, na razie - rzuciłam, gdy przekroczyłyśmy drzwi wejściowe, dodając „na razie” tylko z uprzejmości, ponieważ byłam pewna, że nasza przyjaźń się skończyła. Czułam na plecach spojrzenie jej wielkich, zakłopotanych oczu, gdy zmierzałam korytarzem do mojej klasy. Czułam także spojrzenia innych. „Czy to jest Louise Kirk?” To pytanie w myślach wszystkich brzmiało tak głośno, że słyszałam je aż nadto wyraźnie.

W dalszym ciągu nikt ze mną nie rozmawiał. Spotykałam się tylko ze zdawkowym „cześć”, pytaniem, jak leci, mechanicznym pozdrowieniem, tak jak do tej pory. Ale współczucie i poufałość zniknęły. Maureen Hellier, mijając mnie, odwróciła się, by mi się lepiej przyjrzeć. Podobnie zachowywali się niektórzy koledzy. Przechodząc obok, mierzyli mnie wzrokiem od stóp do głów. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, jak to jest posiadać moc. Moja matka zwykła mówić: „O tym, kim jesteś, decyduje to, co masz na sobie”. Miała całkowitą rację.

Pomyliłam się. To znaczy, jeśli chodzi o Alice. Po lekcjach, kiedy szłam przez parking, zawołała: „Poczekaj!” Dogoniwszy mnie, zaczęła opowiadać o tym, kto jeszcze ubiera się jak hippis.

- Beverley Bowman chodzi w spódnicy, którą chyba nazwałabyś psychodeliczną, widziałaś ją? Do ziemi, mnóstwo mieniących się kolorów. Przyciąga wzrok. I Steve Plath, dam głowę, że on ma włosy dłuższe od twoich. Pewnie urosły mu tak przez wakacje. Miał indiańską bransoletkę, no wiesz, pleciony pasek z kolorowymi koralikami. I jeszcze ten koleś, który gra na perkusji... zaraz, jak on się nazywa? Brent jakiś tam. Brent Coren, chyba tak. Był w kurtce w stylu Beatlesów, z wysoką stójką.

- Kurtka Nehru - powiedziałałam oszołomiona. Kto by przypuszczał! Nie dość, że pokonała wstrząs wywołany moim wyglądem i tym, co jej powiedziałam, to jeszcze kilka godzin później dostarcza mi informacji, które najwyraźniej mają mnie utwierdzić w tym, co robię.

- Naprawdę bardzo elegancka - zapewniła. - Złote guziki i czerwona, brokatowa lamówka.

Ruszyliśmy przed siebie.

- Jestem pewna, że zaczniecie się ze sobą kolegować - oznajmiła.

- Jestem pewna, że nie.

Swoją drogą to zabawne, że wyskoczyła z czymś takim. Od tamtej imprezy czasami wyobrażałam sobie siebie jako członka grupy osób o podobnych zapatrywaniach. Pogodziłam się jednak z tym, że mam w sobie coś nieuleczalnie odpychającego, niezależnie od tego, jak sympatyczna staram się być, i tak irytuję innych. Poza tym ubranie, które miałam na sobie, i mój makijaż nie miały służyć za przynętę, lecz dać do zrozumienia, że ja mam Abła, że nikogo innego nie potrzebuję.

- Tylko tak pomyślałam... - powiedziała Alice. - Ciągnie swój do swego.

Zaświtało mi, że zależy jej na mojej akceptacji.

- Nie chcę mieć przyjaciół - powiedziałam. - To znaczy, nie chcę mieć więcej przyjaciół.

Chciałam Abła. Chociaż byliśmy razem, wciąż uważałam, że moja miłość do niego i samotność są nierozdzielne. Właściwie zawsze odgradzał mnie od reszty świata, był jedyną rzeczywistą, bolesną stratą w moim życiu, wobec której inna domniemana bolesna strata, ta, w związku z którą nagromadziło się wokół mnie tak wiele współczucia, w zasadzie się nie liczy.

- Nigdy nie byłam zbyt towarzyska - wyznała Alice.

Nie zatrzymując się ani na chwilę, grzebała w torbie w poszukiwaniu kremu do rąk, odkręciła wieczko, nabrała palcem sporą porcję, zakręciła pudełko. - Nie pogniewasz się, jeśli zadam ci osobiste pytanie? - Odchrząknęła.

- Jakie?

- No... - Energicznie pocierała ręce. - Chodzi o ciebie i twojego faceta, no wiesz, Abła, o was. - Na jej policzkach pojawiły się czerwone krążki.

- Jak to o nas? - Wydawało mi się, że wiem, do czego zmierza, ale byłam ciekawa, czy zdoła to z siebie wydusić.

- Pewnie wtryniam się w nie swoje sprawy i nie będę miała ci za złe, jeśli powiesz, żebym pilnowała własnego nosa. Chodzi o to, że moja mama ma siódemkę dzieci i wiem, jak diabelnie łatwo jest...

Popatrzyła na mnie z taką udręką, że postanowiłam przyjść jej z pomocą.

- Nie martw się, Alice. On mieszka w Vancouverze. Byliśmy ze sobą tylko ten jeden raz, a o ile mi wiadomo, nie da się zająć w ciążę przez telefon.

- W Vancouverze? Nie wiedziałam...

- W każdym razie nie mam zamiaru utknąć z dzieciakiem.

Roześmiała się niepewnie.

- Uwielbiam małe dzieci. Ale wierz mi, mnóstwo przy nich pracy. Głowa boli!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kilka miesięcy przed śmiercią Abel powiedział mi, że nigdy nie wierzył w Boga, niebo czy jakąkolwiek formę metafizycznego zbawienia, ale mnie trudno było w to uwierzyć, biorąc pod uwagę to, jakim zawsze był żarliwym optymistą. „Nie martw się” - mówił, gdy jedyną reakcją, jaka przychodziła mi do głowy, było przerażenie. „Nie załamuj się” - pocieszał, kiedy trzeba było zeszkrobywać własną duszę z chodnika. Nawet wtedy, gdy do końca życia pozostało mu zaledwie kilka dni, próbował mnie zapewniać, że oboje wyjdziemy z tej opresji obronną ręką i wszystko będzie w najlepszym porządku.

- Nie z tobą - powiedziałam. - Jeśli ktoś jest martwy, to nie wszystko jest z nim w najlepszym porządku.

Już od jakiegoś czasu spędzał większość dni i nocy, sącząc whisky Canadian Club i plując krwią w czerwony ręcznik (na czerwonym krwawe plamy są mniej widoczne), i mimo to potrafił powiedzieć: „Nie ma powodów do zmartwienia”, współczującym głosem, który zdawał się sugerować, że to ja mam autodestrukcyjną osobowość.

Część mnie, części mnie - zeszywniały kręgosłup, głupie serce, obolałe kończyny, w których czułam jeszcze drżące podniecenie - pozwalały mi w to wierzyć. Był tak mądry, że na pewno miał jakiś plan. Jego rodzice, a nawet lekarze poddawali się temu samemu złudzeniu. Wspólnie uzgodniliśmy, że powstrzymamy się od naskakiwania na niego.

„Musi stoczyć się na samo dno” - mówiliśmy, tak jakby to dno było piętro wyżej niż śmierć.

Zachowałam esej, który napisał podczas studiów. Zatytułowany *Zapomnienie*. Jak na ironię, jest to jedyna z jego prac, którą zapomniał spalić na grillu u sąsiadów. („Tak postępują szpiedzy”, zauważyłam, gdy podpalał kartki swoich kolejnych prac. Poprosiłam go, by pozwolił mi zatrzymać chociaż swoje rysunki malowane tuszem, ale się nie zgodził. „To dlatego, że boisz się być osądzany” - stwierdziłam. Słaby argument. Osądzany przez kogo? Przeze mnie i rodziców? Wiedząc, że ceni skromność i pokorę, posunęłam się dalej i powiedziałam: „To jest próżność”. Podniósł plik kartek zapisanych wierszami. „To jest próżność” - powiedział z naciskiem.)

Esej zawieruszył się między świadectwami szczepień kota. Przez jakiś czas przechowywała go jego matka, ale potem oddała mi, w pudełku po butach, wraz z kilkoma rzeczami, które chciała, żebym zatrzymała dla siebie. Było tam jego pióro do kaligrafii, spinki do mankietów ze skamieniałych trylobitów, które zaproponowała, żebym przerobiła sobie na kolczyki, i maszynka do robienia skrętów; każda z tych rzeczy, jej zdaniem, to kolekcjonerski rarytas.

Powiedziała, że nie przeczytała eseju do końca.

„Zdania bardzo trudno zrozumieć” - tłumaczyła się, a ja odniosłam wrażenie, które się potwierdziło, gdy sama zaczęłam się przez nie przedzierać, że chciała przez to powiedzieć, że nie tylko trudne, ale wręcz zniechęcające.

„Życie”, zaczyna się ten esej, „jest zapomnieniem, które na krótką chwilę przejawia się w postaci braku zapomnienia, istota, której jest ono dane, mogła ogłosić: Oto jestem. Oczywiście, jeśli przyjąć założenie, że istoty żyjące są wystarczająco świadome, by wydać takie oświadczenie. Przyjmijmy zatem, że są. Załóżmy, że w pewnym stopniu mają samoświadomość. Dzięki temu życie potrafi rozpoznać samo siebie, tak, tyle tylko że rozpoznaje się nie jako zapomnienie, lecz wyłącznie jako życie. By życie mogło rozpoznać się jako ulotne pulsowanie zapomnienia, samoświadomość musi zostać sprowadzona do czystej świadomości, co jest spostrzeżeniem nie naruszonym ani przez miłość własną, ani z góry przyjęte osądy”.

Przynajmniej uznał, że życie jest wydarzeniem, w takim zakresie, w jakim wywodzi się z nicości. Pomijając to, że traktował je tylko jako jedną z form nicości, nicości spoglądającej na samą siebie. Czy myślał o sobie jako o cząsteczce zapomnienia, która znalazła się na ziemi tylko po to, by obserwować? Ale jeśli tak, to dlaczego pił? Chyba że świadomie chciał przytłumić swoje zmysły... by osiągnąć punkt, w którym mógłby prowadzić obserwacje w stanie umysłu tak zbliżonym do zapomnienia, że ryzyko zakłócenia przez „miłość własną czy z góry przyjęte osady" zostałyby wyeliminowane.

Cóż, jest to jeden ze sposobów postrzegania Abła jako zgubnie postępowego.

Drugiego sposobu - widzenia go jako jeszcze jednej, utalentowanej, lecz zrujnowanej istoty - wciąż staram się unikać, chociaż przypuszczam, że dałoby się stworzyć dość fascynującą postać, kiedy się pomyśli o tym, z czym musiał się zmagać. Sierociniec. Jego prawdziwi rodzice, matka i ojciec, niezależnie od tego, kim byli. Ja. To, co zrobiłam.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dwa dni po tym, jak do niego zadzwoniłam. Malowanie się, a tym bardziej strojenie w minispódniczki wydaje się bez sensu. Zostałam haniebnie odrzucona, ubranie nic już nie znaczy. A zresztą wcale nie czuję się pociągająca.

Co więc zrobić? Wrócę do noszenia spódnic i sukienek mojej matki, które skróciłam za pomocą taśmy klejącej, ponieważ ojciec, który wciąż jest przekonany, że pewnego dnia ona wejdzie tanecznym krokiem przez frontowe drzwi, nie pozwala mi na „dewastację" jej ubrań igłą i nitką. Mam więc powrócić do wizerunku dziewicy? Założę się, że Alice byłaby szczęśliwa z tego powodu. Mimo że okazuje żywe zainteresowanie moim przeobrażeniem, trudno mi uwierzyć, że nie modli się o to, bym odzyskała rozum. „Proszę, kochany Boże, sprowadź Louise z powrotem na ścieżkę przyzwoitości i skromności".

Paznokciem zdrapuję zaschnięte resztki wymiocin z kącików ust, wyciągam szminkę i staram się pamiętać, że postanowiłam stać się kimś innym, zanim Abel i ja ponownie się połączyliśmy (tylko kilka godzin przedtem, to prawda... ale jednak przedtem).

Wiara w jego miłość do mnie dawała mi odwagę i od tamtego czasu wyobrażałam sobie, że on widzi wszystko, co robię.

Aż do teraz. Nie mogę sobie wyobrazić, że wymiotuję i szlocham na jego oczach. Ale jeżeli przestał mnie kochać, nie potrafię też wyobrazić sobie, jak patrzy na mnie, gdy jestem spokojna lub śpię. Jeśli wyrzucił mnie z pamięci, nie pozostał mi nawet jego duch. Nie ma nikogo, dla kogo warto starać się być interesującą. Jestem nikim.

Wybieram minisukienkę w czarno-zielone pasy, ponieważ jest w miarę luźna. Odkąd wyszłam spod prysznic, mam wrażenie, że nawet najłżejszy ucisk mógłby mi zgnieść klatkę piersiową. Czuję, że jestem jak wydrążona, pusta muszla. Wkładanie bielizny, sukienki, a potem butów jest torturą. Śniadanie w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wypijam tylko kilka łyków soku pomarańczowego. Ojciec obserwuje mnie uważnie znad kubka kawy.

- Nie wydaje ci się, że powinnaś zostać w domu?
- Jestem już ubrana - mówię. - Tyle zachodu na marne?!
- Masz przekrwione oczy. - Ponieważ prawie nigdy przy nim nie płaczę, nie potrafi rozpoznać smutku. - Może to zakażne zapalenie spojówek. Bardzo łatwo się nim zarazić. Pewnie nabawiłaś się tego od tuszu do rzęs, zwłaszcza jeśli pożyczacie go sobie między koleżankami.

Mówię mu, żeby zostawił mnie w spokoju, że idę do szkoły. Nie pamiętam, skąd się wzięło to silne postanowienie. Pewnie nie chcę przeleżeć całego dnia w łóżku, płacząc w poduszkę, nie chcę podcinać sobie żył w wannie. Proponuje, że mnie podwiezie, ale czuję, że przydałby mi się spacer. Po drodze nabrałabym sił.

Oczywiście na rogu czeka Alice. Przepraszam ją za to, że nie pojawiłam się wczoraj.

- Miałam grypę - wyjaśniam.
- Jesteś strasznie blada.
- Naprawdę? - dotykam brzucha.

Wydaje się gumowy i dwukrotnie większy niż dwie godziny temu. Ogarnia mnie przerażenie, od którego dostaję zawrotów głowy i zaczynam tracić równowagę.

- Ładna historia! - Alice chwyta mnie za rękę. Jest silna jak zapaśnik. - Zaprowadzę cię z powrotem do domu.

- Nie, nie, daj spokój. - Wrywam się jej. - Nie chcę iść do domu. Nic mi nie będzie. Przekłada książki pod pachę i niesie je teraz, podtrzymując jedną ręką.

- Więc dobrze, chodźmy - zgadza się i bierze mnie pod ramię. - Pomogę ci, a ty próbuj przynajmniej utrzymać się na nogach.

Mamy do przejścia niecałe pół kilometra, niewiele w porównaniu z odległością, jaką muszą pokonywać inne dzieciaki. Droga prowadzi przez naszą dzielnicę do niewielkiego centrum handlowego (fryzjer męski, kiosk z papierosami, bank, bar mleczny, salon piękności), które trzeba obejść, potem przez skwer z drewnianymi ławkami i granitowym pomnikiem Adolpha T. Matasa, 1812-1882, lekarza, chirurga i językoznawcy, przyjaciela wszystkich i wszystkiego (co nie przeszkadza ludziom robić sobie z niego złośliwych żartów), potem chodnikiem biegnącym wzdłuż głównej ulicy.

Kiedy wchodzimy na skwer, znowu czuję mdłości.

- Muszę usiąść - mówię. Uwalniam się z uścisku Alice i potykając się, opadam na ławkę.

Alice kręci się przy mnie.

- Włóż głowę między kolana. Posłusznie wykonuję polecenie.

Siada i z trzaskiem otwiera torebkę.

Ze swojej pochylonej pozycji widzę jej łydki w cienkich rajstopach, pod którymi jasne rozplaszczone włoski przypominają gęsto splecioną matę. Słyszę, jak odkręca pokrywkę pudełka z kremem do rąk.

- Nikt nie patrzy - mówi. - Może poczujesz się lepiej, jak pozbędziesz się tego z organizmu.

Wiem, co ma na myśli, ale zaczynam podejrzewać, że jest inny powód tego stanu, więc mówię:

- Czy można być w ciąży, a mimo to mieć okres? Cisza, słyhać tylko, jak pociera jedną dłonią o drugą.

- Nie jestem pewna - odzywa się w końcu.

- A poranne mdłości? Wiesz coś o tym? Uważasz, że mogą się nagle zacząć po dwóch miesiącach?

Chrząka.

- Pamiętam, że kiedy mama chodziła w ciąży z Teddym, najgorzej czuła się między czwartym a piątym miesiącem. Przedtem i potem wszystko było w porządku. - Zakręca wieczko i zamyka torebkę. - Jak tam?

- Już lepiej. - Prostuję się. Czy doktor Matas, przyjaciel wszystkich i wszystkiego, usunąłby mi ciążę? - Rzecz w tym, że to nie były moje normalne, obfite miesiączki.

Alice bierze swoją torebkę i książki.

- Powinnyśmy już iść. Pozwalam się wziąć pod ramię.

- O Boże! - wzdycham ciężko na myśl o swoim dalszym życiu.

- Widziałś ten napis w aptece Parkera? - pyta.

- Jaki napis?

- Testy ciążowe. - Jej policzki zabarwiają się na czerwono. - Pofne i szybkie.

Jak to się stało, że właśnie ona go zauważyła?

- Nie.

- Założę się o każde pieniądze, że to tylko grypa, ale jeśli chcesz mieć stuprocentową pewność...

- Wystarczy nasikać w butelkę, prawda?

- Tak, do badania potrzebna jest próbka. Najlepiej zrobić to z samego rana, zanim jeszcze coś zjesz.

- Alice... - Zatrzymuję się, zmuszając ją, by także przystanąła. Patrzy na mnie. Jej drobna twarz płonie rumieńcem. - Nikomu nie powiesz.

- Powiedzieć? Za nic w świecie! Komu miałabym powiedzieć? - Pokazuje, jak zamyka usta na kłódkę. - Proszę. Schowane w bezpieczne miejsce i zamknięte na cztery spusty.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Siedzę na stołku przy pianinie. Kiedyś stało tu krzesło, solidne, z mahoniowego drewna i zielonej skóry (państwo Richterowie przywieźli je z Niemiec), ale Abel oddał je manikiurzystce mieszkającej naprzeciwko, kiedy jej jedyne krzesło załamało się pod ciężarem tęgiej klientki. Kanapa obita złocistym aksamitem, którą zdobył kilka tygodni później w sklepie z artykułami używanymi, stała tylko jeden dzień. Gdy gospodarz domu mimochodem wspomniał, że doskonale pasowałaby w holu, została tam przeniesiona.

Dlaczego Abel siedzi w tej zapuszczonej klitce na niskim parterze, pozostaje dla Richterów tajemnicą, tym bardziej że zawsze proponują mu pomoc w płaceniu czynszu za większe mieszkanie w lepszej części miasta. Nie mogą zrozumieć, że tkwi tam właśnie dlatego, że jest ciasne i zapyziałe. W rzeczywistości to jego lokum wcale nie robi wrażenia rudery - zupełnie nie przy jego zamiłowaniu do sprzątanania - i nie jest puste. Są tu jego książki, trzy pełne półki sięgające od podłogi do sufitu. Również jego pianino, biurko, stare łóżko z baldachimem, barek na kółkach i orientalny dywan, który przedtem leżał w jadalni jego rodziców. Osobiście lubię charakter tego pomieszczenia. Atmosferę nobliwego ubóstwa z dodatkiem studenckiej nonszalancji i elementami komfortu.

Jest sobota, późny ranek, wstąpiłam po drodze na lunch ze znajomym. Abel siedzi naprzeciw mnie, na łóżku, opierając się ramieniem o ścianę, na której łączące się ze sobą rysy pęknięć kojarzą mu się z systemem rzeczonym odległej planety. Dwa przybłąkane koty: Peg bez jednej nogi i śliniąca się Flo rywalizują między sobą o miejsce na jego kościstych kolanach.

Łóżko jest pościelone, butelki gdzieś poukrywane. Dostrzegam, że od czasu, kiedy byłam tu ostatnio, półki barku, na którym trzyma pigułki, witaminy i medyczne akcesoria kupione przez jego ojca (termometr, słuchawki, ciśnieniomierz), zostały wyłożone białym papierem. Zazwyczaj o tej porze byłby już w dżinsach i czystej koszuli, ale wyciągnęłam go spod prysznica, więc siedzi w szlafroku. Ma obcięte paznokcie, zapewne przez tę manikiurzystkę o jakimś beznadziejnie brzmiącym imieniu. Neli albo Cindy. To nie ma sensu, ale jestem o nią zazdrosna. Gdyby Abel jeszcze w ogóle był w stanie zdobyć się na

jakieś upodobania, jeśli chodzi o typ kobiety, ta blada piękność prowadząca podupadły gabinet pielęgnacji paznokci mogłaby się do niego zaliczać.

Radzę sobie z zazdrością, nigdy nie nazywając jej po imieniu. O uczuciu, które wzbiera we mnie, gdy jestem w tym mieszkaniu z ponętymi aniołami zawieszonymi wokół okien, też nigdy nie mówię, chociaż właściwie nie rozumiem dlaczego. Wiem jedno - nie z obawy, że pomyśli, że jestem szalona. W jego książkach nikt nie jest szalony, on z pewnością wolałby z kimś porozmawiać o czymś innym niż o zaschniętej krwi w kąciach własnych ust czy łuszczącej się skórze na szyi. Znowu jest odwodniony, nie ulega wątpliwości. Nie zapytam, ale kiedy podnosi drżącą dłoń do szyi, nie mogę się powstrzymać i mówię:

- Kto by pomyślał, że alkoholik może umrzeć z pragnienia?

Jego dłoń przesuwa się niżej, na klatkę piersiową. Czy skóra na niej także odchodzi? Nie widziałam go nagiego od ponad sześciu miesięcy, i raczej mi na to nie pozwoli. W dalszym ciągu czasem kładziemy się obok siebie i on mnie dotyka wszędzie, ale półsłówkami stara się dać do zrozumienia, że teraz mam się skoncentrować na jego umyśle. Powyżej szyi jego organizm wciąż funkcjonuje bez zarzutu. Ma idealnie białe, równe zęby i doskonały wzrok, a mimo że jego gałki oczne przybrały żółtawy odcień, zupełnie nie przeszkadza mu to zobaczyć mrówki w przeciwległym kącie pokoju. Ta jego energia życiowa mnie zasmuca, gdy myślę o stracie. Jeśli pozwoli sobie na śmierć, umrze wszystko, całe jego ciało.

Ciągle zerka w kierunku łazienki. Zapewne ma gdzieś tam ukrytą butelkę i nie może się doczekać, aż się do niej dobierze. Odkąd wypisał się z Marwood Clinic, nie pije przy mnie ani przy rodzicach. Oczywiście nie damy się wywieść w pole, a przynajmniej ja się nie dam. Jego matka, zastając go w domu w stanie pozwalającym na nawiązanie kontaktu, powie, że on „jest pod wozem”, przez co ma na myśli „na wozie”. Mówi mu to, co sama chce usłyszeć. „Dochodzisz do siebie!” - oznajmia i jego milczenie uznaje za potwierdzenie. (Postępuję tak samo, ale nie w kwestii jego picia. W moim wypadku deklaracje dotyczą jego uczuć, szczególnie uczuć do mnie.)

- A więc potrzebujesz pieniędzy? - pytam, powracając do sprawy jego nieczynnego telefonu, w związku z którą przyszedłam. Kiedy dowiedziałam się w centrali, że numer Abla został odłączony, przeraziłam się.

- Nie chodzi o pieniądze. Dzwonienie...

- Co z dzwonieniem?

- Jest głośne.

Postanawiam nie podejmować tego tematu.

- Czuję się dobrze - mówi. Wyjmuje czystą, starannie złożoną chusteczkę do nosa z kieszeni szlafroka i wyciera ślinę, którą Flo zostawiła mu na nodze. - Wszystko jest w porządku.

- Skoro tak mówisz.

- Louise.

- Tak?

- Chyba powinnaś już iść.

Dwa dni później. Przyniosłam artykuły spożywcze: serek z ziarnami pszenicy, mus jabłkowy, słoiczek zupki dla niemowląt Gerbera i piwo imbirowe. Zgodnie z zaleceniem lekarza. Wstawia wszystko do lodówki, nie do szafki, co znaczy, że wczoraj wieczorem państwo Richterowie przynieśli mniej więcej to samo, a on nie chce, bym to zobaczyła i uznała, że tracę czas. Tyle że rzeczywiście tracimy czas, zarówno ja, jak i oni. Dobrze wiemy, że większość tego, co mu kupujemy, i tak trafia do kosza na śmieci. Proponuje mi szklankę piwa imbirowego.

- Przyniosłam je dla ciebie - odpowiadam z rozdrażnieniem.

Tak jak poprzednio, zajmuję miejsce na stołku przy pianinie. On siedzi na wprost mnie, na brzegu łóżka, i trzyma koty na kolanach. Nie jest podenerwowany, z pewnością pociągnął sobie, zanim przyszedłam. Zastanawia się nad moim pytaniem o to, czy kiedykolwiek się modli. Przez sufit dobiega nas donośny głos lokatorki mieszkającej piętro wyżej: „Boże wszechmogący! O Jezu!” Kiedy pierwszy raz usłyszałam, jak tak krzyczy, myślałam, że odbywa stosunek.

- Ja nie wierzę w Boga, ale czasami łapię się na tym, że błagam go: „Proszę Boże, proszę Boże”. W kościele byłam tylko raz w życiu.

Abel zaczyna wybijać rytm na ramie łóżka, po chwili przestaje i przygląda się swojej ręce, jakby zdumiony jej zręcznością. Powiedział mi, że czasami jeszcze „zabawia się” na klawiaturze, ale ilekroć tu jestem, wieko jest zamknięte, a na nim piętrzą się książki, na których stoi popielniczka.

- Tak - mówi. - Raz na jakiś czas się modlę.

- Do Boga?

- Nie. Nie do Boga.

- No to do kogo?

- Do materii jako takiej, tak myślę.

- I co mówisz?

- Daj mi wiarę.

- Co jeszcze?

- To wszystko. Daj mi wiarę.

- W co?

- Wiarę w to, co się dzieje.

- Czemu nie poprosisz o siłę? - Tę dyskusję, choć w różnej formie, toczyliśmy od lat.

Ja opowiadam się za walką, on za poddaniem się.

- Bóg wiedziałby, że potrzebujesz siły - mówi. - Jeśli w swoich planach ma twoje przetrwanie. Jeśli nie, to właśnie wiara jest ci potrzebna. Tak czy inaczej jest potrzebna.

- Ale ty przecież nie wierzysz w Boga.

- Nie, nie wierzę.

Na górze znów rozlega się krzyk. Abel spogląda na sufit.

- No dobrze - mówi. - Wierzę. - Uśmiecha się. Nie odwzajemnię uśmiechu.

- W takim razie w co wierzysz? Poza poddawaniem się?

- W uleganie.

- Owszem, słabościom - mówię ze smutkiem. Nawet nie czuję satysfakcji, że mu dokuczam. Wycieczki osobiste nie robią na nim wrażenia poza tymi, w których okreśną drogą dają mu do zrozumienia, że się martwię. - Uleganie temu, co przychodzi najłatwiej.

- Uleganie temu, co jest.

- Och, daj spokój. Jest to, co postanowisz, że ma być.

- A miałas wpływ na to, żeby się urodzić? By być dziewczyną?

- Nie o tym mówię.

- Ale to są fakty z twojego życia. Składają się na to, co jest. Decydowałaś o tym, że będziesz miała matkę, która cię zostawi i pójdzie sobie w świat? Decydowałaś o tym, że zamieszkamy obok siebie, na tej samej ulicy? Czy... - zastanawia się.

Czy podjęłam decyzję o zajściu w ciążę? Takie miało być następne pytanie?

Może i nie, ale ważne wydarzenia z mojego życia, które znalazły się na tej liście, łączy jedno - unikamy rozmów na ich temat. Zapewne to zauważył.

- Postanowiłam cię ukarać - mówię. - Zdecydowałam się postępować tak źle, jak się czuję.

Marszczy brwi. Nie mogę go obrazić, ale mogę go zranić.

Pochyla się w stronę biurka, ostrożnie, żeby nie przeszkadzać kotom, otwiera je i wyjmuje pudełko po cygarach, w którym trzyma woreczek z tytoniem i kilka jointów na czarną godzinę. Siedząc na łóżku, skręca papierosa na pokrywce od pudełka. Plecy ma wygięte w łuk jak starzec.

Wydawało się niemal pewne, że z powodu drżenia rąk nie zdoła wykonać tej czynności, ale jego zmagania składają się na jedno wielkie przedstawienie.

- A ty postanowiłeś być alkoholikiem? - pytam. Uśmiecha się.

- Czy urodziłem się alkoholikiem, czy osiągnąłem cel, którym był alkoholizm, czy też byłem na niego skazany?

- Czemu z tego żartujesz?

- Nie wiem, czy podjąłem świadomą decyzję. Nie sędzę.

- Natomiast zdecydowałeś się zabić.

- Wcale nie.

- Niech ci będzie, postanowiłeś umrzeć. - Kiedy nie odpowiada, dodaję: - Zdecydowałeś się nie żyć dalej. Nie ratując siebie, postanowiłeś zrezygnować z życia.

Zapala papierosa.

- O niczym nie decydowałem - mówi, patrząc na sufit. Kobieta na górze teraz jęczy, a może śpiewa.

- O jednym naprawdę zdecydowałeś - wyrzucam z siebie. - Zadać cierpienie tym, którzy cię kochają.

Spuszcza wzrok i gładzi Flo po głowie.

- Właśnie tak - podkreślam z naciskiem.

- Nie chcę tego.

- Jesteś szczęśliwy?

- To nie jest kwestia szczęścia czy nieszczęścia.

- A więc o co chodzi? Wzrusza ramionami.

- No jasne - mówię. - Uleganie. Wracamy do punktu wyjścia. Wiesz, co myślę?

Cała rzecz w tym, że ty chcesz pić niezależnie od wszystkiego. Nie chcesz przestać, więc tego nie zrobisz. Nie liczą się ani moje słowa, ani to, co mówią twoi rodzice czy lekarze.

Nic cię to nie obchodzi. Nie może cię obchodzić. Jesteś uzależniony.

- Może - wzdycha. - Może właśnie tak jest.

- W porządku. Dobrze. Nareszcie do czegoś doszliśmy.

Nie, wcale nie. Jeśli on może tak łatwo przyznać mi rację, to ja sama ze sobą się nie zgadzam. Może to oznacza, że tym razem poddaje się na innym froncie: nie stara się wyjaśnić. Porzuca przynajmniej na jakiś czas skomplikowane koncepcje na temat samego siebie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zrobię to - informuję Alice, kiedy dochodzimy do mojej szafki.

Kiwa głową, z zaciśniętymi ustami.

- Kiedy?

- Może nawet dziś przed południem. Zaraz. Czemu nie? Jeszcze nic nie jadłam.

- Na pewno czujesz się na siłach?

- Jasne. Potrzebuję tylko butelki. - Rozglądam się dookoła, jakbym mogła ją znaleźć na korytarzu.

Otwiera torbę z drugim śniadaniem i wyciąga słoik po dżemie napełniony ziemniakami puree.

- Proszę - mówi cicho. - Opróżnij go w toalecie. Umyj porządnie mydłem i bardzo dokładnie wypłucz gorącą wodą, a potem wytrzyj papierowym ręcznikiem. Powinien być idealnie czysty i suchy. Na twoim miejscu poczekałabym, aż po dzwonku wszyscy pójdą na lekcje. Nie chcesz chyba, żeby cię ktoś zobaczył.

Biorę od niej słoik. Znowu mnie zadziwiła. Czuję się jak początkujący szpieg instruowany przez szefa agencji wywiadowczej.

- O Boże - wzdycham. - A jeśli jestem w ciąży?

- Nie tak głośno!

- Będę musiała poddać się aborcji. Będę musiała jechać do tego doktora Jekylla, do Buffalo. - Nola MacDougall, dziewczyna z mojej klasy, której kuzynka była w ciąży co najmniej dwukrotnie, mówi, że w Buffalo jest taki nawiedzony naukowiec. Usunie ciążę za grosze, bo potrzebuje płody do swoich eksperymentów.

- Nie będziesz musiała robić niczego podobnego - stwierdza Alice, bliska gniewu. - Nawet nie myśl w ten sposób. Teraz powinnaś się skupić na przygotowaniu słoika, zrobieniu tego, co masz zrobić, do słoika i pójściu z nim do apteki. Dobrze, ile pieniędzy masz przy sobie?

Grzebię w torebce i znajduję portfel. Pięć dolarów i pięćdziesiąt pięć centów.

- Może nie wystarczyć. - Z trzaskiem otwiera swoją torbę, wyciąga portfel, odpina kieszonkę za pustym miejscem na karty kredytowe i wyjmuje złożony banknot dzie-

sięciodolarowy. - Weź go. No, weź. Na wszelki wypadek. Oddasz mi później. Powiem w sekretariacie, że poczułaś się źle i poszłaś do domu.

Już teraz, wobec perspektywy oszustwa, czerwienieje na policzkach.

- Sama im powiem - proponuję.

- Nie, nie, nie. Zadzwoń do ciebie do domu i poproszą panią Carver, żeby cię zabrała. O raju, mam nadzieję, że mi uwierzą. Ale przecież tak jest? Czujesz się słabo, prawda? - Prostuje ramiona. - Dobrze, muszę się tylko postarać być przekonująca.

Apteka Parkera mieści się w pasażu handlowym, mniej więcej trzysta metrów na północ od szkoły, zaraz za skrzyżowaniem z ulicą, przy której wznoszą się wieżowce mieszkalne. Idąc tam, zaczynam się niepokoić o słoik, który prawdopodobnie podskakuje, a jego zawartość rozlewa się po całej torbie. Wyciągam go, zawijam w chusteczkę higieniczną i niosę w ręce.

Co znajdą w moczu, jeśli jestem w ciąży? Wyobrażam sobie, że to coś przypomina morskie stworzenie, nie plemniki, ale ich zniekształcone mutacje. Na siódme urodziny matka kupiła mi złotą rybkę, którą nazwałam Judy Garland. Teraz przypomina mi się, jak niosłam ją ze sklepu w plastikowej torebce. Mieliśmy ją tylko przez kilka tygodni, a potem wpadła do zlewu i popłynęła do rury odpływowej, kiedy matka szorowała jej szklaną kulę.

- Będzie szczęśliwsza w kanalizacji - zauważyła matka. - Swoją drogą, kto chciałby mieszkać w takiej szklanej kuli dla złotej rybki?

- Złota rybka - łkałam.

- Judy Garland tylko kręciła się w kółko - stwierdziła matka.

Aptekarzowi podaję imię i nazwisko matki, Grace Hahn.

- Numer telefonu? - pyta.

- Och, zaczekam na wynik.

Aptekarz (pan Parker?) z wyglądu do złudzenia przypomina Liberace'a. Raczej nie dodaje mi otuchy to, że werdykt w mojej sprawie ma wydać dziwak z dłońmi upstrzonymi ciemnymi wątrobowymi plamami, ryżawym tupecikiem na głowie i szminką na ustach. A może mam halucynacje? Nalepia etykietkę na słoik.

- Będzie za dwie godziny.

- Chciałabym w trybie ekspresowym, jeśli można.

- Dwie godziny to tryb ekspresowy.

Czekam w cukierni po drugiej stronie ulicy. Zamawiam szklanekę coca-coli, ale nie mogę pić, bo wciąż odczuwam mdłości. Proszę, Boże, modlę się, chociaż sama nie wiem, o co chcę prosić. Ciąża jest wydarzeniem, sytuacją kryzysową. Czekam na albo wyprawę do Buffalo, albo wspólne życie z Ablem. Brak ciąży oznacza powrót do bezsensownej egzystencji sprzed wakacji, tym bardziej że bez nadziei i chłopaka, nawet Tima Todda.

Kelnerka ma współczujący, matczyński sposób bycia. Zwraca się do mnie „Słonko”. Może zna powód, dla którego tu jestem, zapewne właśnie tutaj wszystkie dziewczyny, które robią sobie testy ciążowe, odsiadują swoje dwie godziny. Na bufecie leży magazyn „Miss Chatelaine”. Przekartkowuję go, strona po stronie, a z każdej uśmiechają się do mnie piękne, szczęśliwe modelki, którym o ciąży nawet się nie śniło. Staram się przeczytać artykuł pod tytułem: „Jak wyglądać przebojowo na wysokich obcasach”, ale cały czas rozpraszam się wyglądem poszczególnych liter, niepotrzebnymi kropkami nad „i” oraz „j”, rozchylającymi się „c” i „u”, wyobcowanymi, bezczelnymi „q” w całym artykule, w takich słowach, jak *quasi* czy *qui pro quo*. Po dwóch godzinach wracam do apteki przekonana, że czeka mnie najgorsze.

Aptekarz bez słowa podaje mi kartkę z napisem „Wynik pozytywny”, biegnącym przez jej środek.

Głośno wzdygam na znak ulgi. A więc wygląda na to, że mimo wszystko nie chcę tego dziecka.

- Dziękuję - mówię.

- Wynik pozytywny - wyjaśnia aptekarz - oznacza, że jesteś w ciąży.

- Słucham?

- Jesteś w ciąży.

Przez moment, przypuszczalnie z powodu jego peruczki i nienaturalnie czerwonych ust, mam wrażenie, że ze mnie żartuje.

- Ale pozytywny...

- Znaczy, że jesteś w ciąży.

- Czy jest pan... Czy zdarzają się pomyłki?

- Nie, jeśli wynik jest pozytywny. - Mierzy mnie od dołu do góry swoimi psimi oczami.

Chwilę później na widok chłopaka przy kasie, który przynajmniej z tyłu do złudzenia przypomina Abla, czuję, jak uginają mi się kolana. Wtedy postanawiam, że pojedę do Vancouveru i mu powiem. Stanę z nim twarzą w twarz i wyrzucę prawdę prosto w oczy. Jeśli czymś go od siebie odstraszyłam, teraz ze strachu na widok mojego brzucha - wypycham go do przodu, już wydaje się ogromny - wróci do mnie.

Wychodzę z centrum handlowego prawie szczęśliwa. Zobaczę się z Ablem. Nie przywołuję w myślach wcześniejszych obaw (że ożeni się ze mną tylko z obowiązku, że utknę na zawsze w tej jego piwnicy). Wyobrażam sobie panią Richter przemawiającą pieszczotliwie nad zawiniątkiem, które trzyma w ramionach. Słyszę Abla grającego kołysankę Brahmsa na pianinie. Widzę nawet siebie podczas porodu, tyle że ta wizja ogranicza się do mojej głowy, przekręcającej się raz w lewo, raz w prawo na bielusieńkiej poduszce, kiedy Abel krąży po sąsiednim pokoju. Oczywiście będę musiała rzucić szkołę. Już sama myśl o takiej perspektywie sprawia mi przyjemność. Żegnaj, Maureen Hellier ze swoim towarzystwem, żegnajcie, chemio i geografio.

Jest za wcześnie, by wracać do domu, skręcam więc na skwer Matasa. Oparcie ławki, na której siadam, jest tak gęsto pokryte wydrapanymi inicjałami i sercami, że można by o szkody posadzić korniki. Kiedy Abel i ja byliśmy dziećmi, chciałam, żeby wyciął nasze inicjały na magnolii za domem, ale on nie przytknąłby noża do drzewa. Czuję się podniesiona na duchu, przypominając sobie o tym zdarzeniu. Promienie słoneczne układają się w świetliste pasy na trawie, a czarne wiewiórki - zawsze szczęśliwe - skaczą jak żaby. One także dodają mi otuchy.

Obmyślam plan podróży.

Z pieniędzmi nie powinno być problemu. Na koncie w banku mam ponad dwa tysiące dolarów, z których ponad połowę wpłacił mi ojciec z przeznaczeniem na dalszą edukację. Jeśli zarezerwuję sobie bilet na samolot na sobotę rano, ten, który polecał mi Abel, kiedy rozmawialiśmy o mojej wizycie u niego w czasie świąt Bożego Narodzenia, będę w Vancouverze o dziewiątej rano tamtego czasu, zanim jeszcze on wyjdzie z domu. Zadzwońię z lotniska, żeby mnie odebrał. Nie, lepiej wezmę taksówkę - pan Richter może

już gdzieś jeździć swoim samochodem. Tak więc spędzimy razem sobotę i część niedzieli. Ale co powiem ojcu? Ojej, cokolwiek. Wymyślę jakąś historyjkę o zwiedzaniu siedziby parlamentu w Ottawie z moją klasą. Zresztą taka wycieczka rzeczywiście jest w planie, tyle że na wiosnę. Na pewno będzie popierał ten pomysł, a jeśli podrzuci mnie na lotnisko, zaoszczędzę na bilecie autobusowym.

W barze mlecznym w Matas Plaža rozmieniam dwadzieścia pięć centów na dwie dziesięciocentówki i pięciocentówkę, wychodzę i dzwonię z automatu, który znajduje się na zewnątrz. Wystarczy jeden telefon i mam zarezerwowany bilet. Potem idę do banku oddalonego o kilkadziesiąt metrów, gdzie kasjer bez zmużenia oka wydaje mnie, hippisce o wyglądzie narkomanki - siedemset pięćdziesiąt dolarów w banknotach dziesięcio- i dwudziestodolarowych. Pani Carver powiedziałyby, że powinnam dziękować czarnym wiewiórkom. Może i tak. Ale ja czuję, że skoro wszystko idzie tak gładko, to znaczy, że wybrałam właściwą drogę. Za niecałe cztery dni od tej chwili będę już z Ablem. Położy rękę na moim brzuchu.

„Hej mały, tam w środku” - powiem. Już teraz jestem pewna, że to chłopiec.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Teraz wiem, że trzeba pić co najmniej kilkadziesiąt lat, zanim człowiek stanie w obliczu groźby śmierci zadanej własną ręką. Oczywiście można umrzeć w każdej chwili, na przykład tracąc przytomność za kierownicą własnego samochodu. Można wędrować po całym wąwozie, potykając się co krok, aż w końcu spaść ze zbocza na złamanie karku.

Abel pił tylko dziewięć lat, zanim pękł mu wrzód żołądka i zaczął krwawić. Próbował zerwać z nałogiem. To była jego decyzja - nikt nie wywierał na niego presji - by poddać się leczeniu w klinice odwykowej, w której spędził dwa miesiące. Jednak po wyjściu od razu udał się do sklepu monopolowego i sześć miesięcy później, kiedy jechał swoją taksówką, znowu dostał krwotoku.

Doznałby wstrząsu, gdyby nie pasażer, który przejął kierownicę i nie zważając na czerwone światła, zawiózł go do szpitala. Richterowie i ja dowiedzieliśmy się o tym, kiedy już wrócił do domu i tylko dlatego, że pasażer, który okazał się osiemdziesięcioletnim

byłym szefem policji, opowiedział całą historię dziennikarzowi „Toronto Star”, a ten wykorzystał ją jako część artykułu o bohaterskich czynach starszych mieszkańców miasta. Uważaliśmy, że Abel był z wizytą u jakiejś francuskojęzycznej Kanadyjki, znajomej z kliniki. Nie mówię, że nas okłamywał. Zawsze starał się nie kłamać otwarcie.

Nie okłamywał nawet siebie. Lepiej od nas znał własne symptomy i szanse. Przebywając w klinice, czytał wszystkie ulotki, brał udział we wszystkich sesjach terapeutycznych, a kiedy miał jeszcze dość sił, by jeździć swoją taksówką, część każdego popołudnia spędzał w bibliotece medycznej Uniwersytetu w Toronto na sporządzaniu notatek. Nigdy nie dał się skłonić do rozmowy na ich temat. Pewnego dnia jednak udało mi się część z nich przejrzeć (wyszedł do łazienki i wyciągnęłam kilka kartek spod sterty nut) i przeczytałam o „groźnych dla życia komplikacjach z powodu nadciśnienia”, „smołowato czarnych stolcach”, „konwulsjach”, „złych rokowaniach”. Na odwrotnej stronie jednej z takich kartek wypisał w słupku słowa: „osłupienie, zaprzeczenie, strach, gniew, żal, brak zaufania, awersja, apatia, wyobcowanie”. Kiedy wrócił do pokoju, pokazałam mu je i zapytałam:

- To wykaz twoich uczuć?

- Uczucia innych ludzi. Rodziny i przyjaciół - odpowiedział, starając się opanować zaskoczenie.

- Rodziny i przyjaciół alkoholików. Dotknął płatka ucha. Skinął głową.

- Moje uczucia - dodałam, ignorując jego zakłopotanie.

- Naprawdę? - Spojrzał na mnie przenikliwie. Dokładnie przyjrzałam się kartce.

- Z wyjątkiem trzech ostatnich.

Odłożyłam kartki na pianino, a on podszedł tam i zaczął je układać po swojemu. Z przechyloną głową sprawiał wrażenie pochłoniętego tym, co robił, pedanta, ale gdy zerknął w górę, w jego oczach dostrzegłam wyraz przyjemności tak bardzo intymnej, że niemal obsceniczej. Zamrugał zachwycony. Czyżby zapomniał o mojej obecności?

- Zaweźasz swoje horyzonty - stwierdził - i wszystkie drobne sprawy, najdrobniejsze, zaczynają nagle... - Potrząsnął głową.

- Mieć znaczenie - dokończyłam.

- Mnożyć się - odparł. - Rozrastać na cały świat.

- Tylko tak ci się wydaje, ponieważ ty ignorujesz duże i ważne.

- Właśnie o to chodzi. Musisz tak postępować, oceniać z bliska i koncentrować się na każdym drobiazgu i ruchu, który wykonujesz, wtedy zaczniesz dostrzegać, jak poszczególne sprawy są ze sobą powiązane. Ale tak... tak subtelnie, delikatnie i w kategoriach wieczności. To jak szereg alikwotów w muzyce, one nakładają się bez końca, a my ich nie możemy usłyszeć. Układasz kartki papieru jedna na drugiej w określonym porządku, a zasada tego porządku sama w sobie jest ustalona. Poprawiasz obraz na ścianie i klucz ptaków koryguje tor swego lotu.

- Ty nie masz żadnych obrazów na ścianach - powiedziałam drętwio.

Uśmiecha się jak człowiek absolutnie zauroczony.

- Jeśli mnie kochasz - powiedziałam - dlaczego siebie nie doprowadzisz do porządku?

Po tych słowach wybuchnęłam płaczem.

- O Boże - wyrzekałam przez łzy. - Zobacz, co się ze mną dzieje. Chyba puściła uszczelka i nagle rura kanalizacyjna zaczęła przeciekać.

- Nasionko kielkuje. - Wyciągnął rękę i zaczął mnie głaskać po głowie. - Dziecko zaczyna się rodzić.

Uchyliłam się.

- Dlaczego to powiedziałeś? Co cię skłoniło do tego, żeby powiedzieć coś takiego?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zgodnie z planem, ojciec zawozi mnie na lotnisko. - Kapitalnie, pierwszorzędnie! - wykrzykiwał, gdy się dowiedział o wycieczce, zachwycony perspektywą, że wkrótce zobaczą Pierre'a Trudeau. Zapytał, czy nie trzeba podwieźć jeszcze kogoś z mojej klasy, ale zapewniłam go, że nie. Patrząc prosto w tę jego przejętą, uczciwą twarz, odpowiedziałam, że wszyscy już wcześniej wpłacili składkę na bilety autobusowe.

Teraz, kiedy siedzę obok niego w samochodzie, przypominam sobie, jak któregoś dnia ciotka Verna mówiła komuś przez telefon, że najgorszą szkodą, jaką wyrządzają kłamcy, jest to, że wzbudzają w człowieku wątplenie w jego instynkty. Na przykład taka

Alice rumieni się na samą myśl o kłamstwie. Wiadomość o mojej ciąży i o tym, że chcę porozmawiać na ten temat z Ablem w cztery oczy, przyjęła ze zdumiewającym spokojem, jakby nie było w tym niczego wykraczającego poza granice prawdopodobieństwa.

Dopiero kiedy powiedziałam jej, że postanowiłam upozorować szkolną wycieczkę do Ottawy, opłaconą z pieniędzy z kiermaszu zorganizowanego przez uczniów, jej policzki poczerwieniały, chociaż starała się powstrzymać od wyrzutów, mówiąc z uznaniem:

„Pieniądze z kiermaszu! Nigdy bym na to nie wpadła!”

- To wszystko dla dobra sprawy - przypomniałam jej... czując, że ogarniają mnie pierwsze wątpliwości.

O tak wczesnej porze w sobotę na ulicach prawie nie ma ruchu. Ojciec nastawia radio na stację nadającą muzykę klasyczną i dyryguje prawą ręką. Przytulam się do drzwi samochodu, by znaleźć się poza jej zasięgiem. Szary poranek. Mgła gęsto wypełnia przydrożne rowy i kłębi się nad nisko położonymi polami. Rozglądam się w poszukiwaniu ptaków zwiastujących szczęście: żółtych zień albo kosów. Są tylko szpaki. Stadko o kształcie odcisku kciuka na papierze przesuwają się po skosie na tle nieba. Czy szpaki przynoszą szczęście? Nie mam pojęcia. Z rozważań nad ptakami wyrzywa mnie widok drewnianych słupów telefonicznych, które wydają mi się paradą krzyży, po jednym dla każdego dziecka z przerwanej ciąży.

Na lotnisku ojciec oferuje mi pomoc przy odprawie.

- Zajmuje się tym pan Kline - mówię, powołując się na domniemanego opiekuna wycieczki. Wsiadam z samochodu, zanim ojciec wpadnie na pomysł, żeby poznać pana Kline'a. Mam na sobie białą, skórzaną kurtkę matki. W rękę trzymam jej biały nesoser. Macham do ojca na pożegnanie. W tym momencie wyraźnie czuję, jak wędruje w górę moja krótka spódniczka, i ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie, że ja jestem moją matką: uciekinierką olśniewającej urody. Ojciec przechyla się, opuszcza szybę w oknie od strony pasażera i woła, że bym koniecznie pozdrowiła od niego Trudeau. Zdobywam się na śmiech. - Do zobaczenia w niedzielę - dorzucam kolejne kłamstwo. W ciągu ostatnich kilku godzin mój plan rozbudował się do tego stopnia, że w jego nowej wersji zostają u Richtera już na zawsze i wzorem bohaterki powieści, „posyłam kogoś po swoje rzeczy”.

Nigdy dotąd nie leciałam samolotem. Jestem zachwycona, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego - łagodny start, szybko znikający krajobraz za oknem, a potem tylko obłoki. Żadnego UFO, żadnych aniołów. Wkrótce zasypiam. Miejsce obok mnie jest wolne. Kiedy budzę się na odgłos serwowanego śniadania, spostrzegam, że przez sen zdjęłam nowe, trochę przyciasne czółenka z odkrytym palcem (w butach we właściwym rozmiarze moje stopy wyglądają jak kajaki) i przerzuciłam nogi przez oparcie sąsiedniego fotela. Zrywam się i siadam wyprostowana, obciążam spódniczkę, w czasie gdy nieco znudzona stewardesa, ta sama, która jakiś czas temu zrobiła na mnie wrażenie swoją pantomimą, gdy przekazywała pasażerom instrukcje bezpieczeństwa, teraz sięga ponad moimi nogami, odpina mały stolik przymocowany do oparcia siedzenia znajdującego się przede mną, opuszcza go z trzaskiem, a potem, wciąż bez słowa, jakby zwracała mi jakąś odrażającą rzecz porzuconą przeze mnie w niewłaściwym miejscu, podaje mi tacę ze śniadaniem.

Biorę ją, chociaż wcale nie jestem głodna. Zjadam jednak sałatkę owocową i grzankę, ponieważ mniej obawiam się zwymiotować, niż wzbudzić niezadowolenie stewardesy, gdybym nie tknęła posiłku. Poprzedniego dnia, po powrocie ze szkoły, zjadłam pół opakowania ciasteczek z kawałkami czekolady i chwilę później zwróciłam je do kuchennego zlewu. Pani Carver natychmiast usadziła mnie na krześle i zaczęła parzyć jedną z tych swoich okropnych herbatek łagodzących niezbyt żołądka. Znowu spojrzała na mnie badawczo przez ramię.

- No co? - zapytałam ze złością. Odwróciła głowę z powrotem do kuchenki.
- Podobno panuje epidemia grypy - zauważyłam.

Nie mogłam dopuścić do tego, żeby poznała prawdę za pomocą jakichś tam tajemniczych praktyk wudu.

Stewardesa pojawia się znowu, zabiera ode mnie tacę i nawet nie proponuje mi kawy. By dodać sobie otuchy, wyobrażam sobie, jak to będzie, kiedy już za kilka godzin zobaczę Abła. Ale na myśl o tej perspektywie, która teraz niemal na pewno stanie się rzeczywistością, czuję się wytrącona z równowagi. „Bierzesz tabletki antykoncepcyjne?” - zapytał. Odkąd test ciążowy wypadł pozytywnie, nie dopuszczam do siebie myśli o tym, jak poważnie brzmiał wtedy jego głos. Więcej niż poważnie, ze strachem. „Nie mogę być

w ciąży - stwierdziłam. - To niemożliwe". Zapewne chciałam przez to powiedzieć, że jest to niemożliwe do wyobrażenia.

Nad prowincjami położonymi w środkowej części Kanady, aż do Vancouveru, niebo jest przez cały czas zachmurzone. Lądujemy w deszczu. Nie mam żadnego bagażu poza podręcznym, więc od razu udaję się, przez obrotowe drzwi, do wyjścia. Podchodzę do aparatu telefonicznego, wyszukuję dziesięciocentówkę w portmonetce i wkładam w otwór na monety.

Odwieszam słuchawkę.

Lepiej pojawić się osobiście. Taki był oryginalny plan.

Na półce pod aparatem leży otwarta książka telefoniczna. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robię, przerzucam kolejne strony, aż do litery K. Pół kolumny Kirków, ale żaden nie ma G. przed nazwiskiem. Ani H. (moja matka mogła teraz używać imienia Helen). Ani S. (mogła się zapisać pod pierwszą literą imienia mojego ojca).

Kartkuję książkę telefoniczną z powrotem, do litery H. Haggerty. Hauge. Hahn, jej panięskie nazwisko. Nie ma nikogo o imieniu na H. ani na S., ale - co za niespodzianka - jest G. Hahn.

Spoglądam na zegarek. Dziewięć piętnaście. Po chwili zastanowienia wykręcam numer. Jeden sygnał, dwa. Czuję, jak krew uderza mi do głowy.

- Halo? - odzywa się w końcu kobiecy głos. Brzmi niecierpliwie, nieprzyjemnie. - Halo? Kto mówi?

Bez słowa, bardzo ostrożnie, jak gdybym podsłuchiwała czyjąś rozmowę z drugiego aparatu, odwieszam słuchawkę.

Kieruję się na postój taksówek. W połowie drogi przystaję oszołomiona tym, co właśnie zrobiłam. Nabieram powietrza głęboko w płuca i ruszam dalej. Czy to była ona? Nie wiem, nie wiem! Mogła być ona. Starszy, trochę bardziej szorstki głos, niż pamiętam, przecież przybyło jej lat. Dlaczego miałyby mieszkać w Vancouverze? A jeśli nawet mieszka, czemu używałaby prawdziwego nazwiska?

Po co zadzwoniłam? To jest właściwe pytanie. Czego się spodziewałam? Gdyby chciała się ze mną skontaktować, dawno by to zrobiła. Powinnam była jednak się odezwać. Wyobrażam sobie następujący przebieg rozmowy:

Ja: Czy to Helen Grace Kirk? Z domu Hahn?

Ona (po długiej chwili): Kto mówi?

Ja: Twoja córka, Louise. Pomyślałam, że może zainteresuje cię wiadomość, że zostaniesz babcią.

Ona (z przekąsem): Cóż za wspaniała nowina!

Ja: Jeśli to będzie dziewczynka, dam jej na imię Millicent (po mojej babci, jej matce i wrogu). Ale jeśli się okaże, że przeżyje zaledwie kilka godzin, to znaczy jeśli szlag ją trafi wkrótce po urodzeniu, nazwę ją Helen Grace.

Ostateczny efekt taki sam jak przy odwieszeniu słuchawki.

Ja: Co powiedziała matka-krowa do córki-krowy?

Ona: Co?

Ja: Każda krowa potrafi zafundować sobie ciążę..

Ona: To wcale nie jest zabawne.

W końcu deszcz przestaje padać, mgła się rozrzedza i ukazują się góry, woda. Więc naprawdę dotarłam do Vancouver. Udało się.

Jestem ciekawa, czy matka, kiedy po raz pierwszy znalazła się w miejscu, do którego uciekła, też odczuwała podobne zaskoczenie i to dziwne rozczarowanie.

Ciekawe, czy była w ciąży.

Myśl o tym w gruncie rzeczy nie robi na mnie wrażenia. To tak, jakbym wreszcie znalazła właściwe wyjaśnienie dla czegoś - powiedzmy, zachowania czy sytuacji - co nośiłam w podświadomości przez lata. Moja matka w ciąży z facetem innym niż mój ojciec. Z przystojniakiem Danem. Najbardziej zaskakujące rozwiązanie, które nikomu nie przyszło do głowy. A może wszyscy już o tym wiedzieli, tylko mnie nikt nie poinformował.

Czyli mogę gdzieś na świecie mieć przyrodniego brata albo siostrę. Możliwe, że nawet tutaj, w Vancouverze. Jeżeli jest to dziewczynka, nazywa się pewnie Louise, pamiętam poglądy matki na temat marnowania idealnego imienia. Miejmy nadzieję, że na swoje szczęście jest olśniewająco piękna, myślę z urazą, która psuje całe fantazjowanie. Jeśli rzeczywiście gdzieś istnieje inna Louise (albo Louis), to nie moja sprawa. Matka postąpiła tak, jak chciała. Zatrzaszczyła się wyłącznie o własne dobro i niespecjalnie

interesowała się losem innych, a więc potwierdza się tylko to, co naprawdę myślała. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zapytała mnie o zdanie w jakiejś sprawie. Nie poświęcała mi zbyt wiele swojej cennej uwagi, chyba że miała akurat chęć pośmiać się z jednego z moich dowcipów albo powyrzekać nad moim wyglądem. „Louise wie, jak obsłużyć pralkę”, napisała w pożegnalnym liście. Nie, wcale nie wiedziałam.

Zjechaliśmy z autostrady i jedziemy jedną z ulic, wzdłuż której ciągną się sklepy z używanymi meblami i artykułami metalowymi, jest też chińska restauracja o nazwie „O.K. Happy Food”. Kilka przecznic dalej miasto zaczyna wyglądać bardziej szacownie, kolejno pojawiające się szyldy głoszą: kwaciarnia Evertona, sklep z antykami Cedrica, butik „Elegant Fashion” - taką samą nazwę ma sklep, w którym pracuję, a właściwie pracowałam (musiałam odejść, żeby mieć wolny weekend). Nieco dalej, za sklepami, można dojrzeć drewniane domy na rozległych działkach, wiele z nich otaczają wysokie, gęste żywopłoty przypominające szańce. Skracamy w jedną z uliczek tej willowej dzielnicy i niemal od razu zatrzymujemy się przed parterowym domem w wiejskim stylu, przed którym na trawniku rośnie mnóstwo kwiatów.

- Jesteśmy na miejscu? - pytam zdumiona, jakbym dopiero co przebudziła się z głębokiego snu.

- Saint Clarens dwadzieścia cztery - oznajmia uprzejmie kierowca.

Płacę mu za przejazd i wysiadam. Czemu mnie nie zatrzymuje? Czemu ktoś nie krzyknie „Stój!”?

Z okna salonu wygląda kudłaty owczarek niemiecki. To pewnie Syriusz, następca Pso. Siedzi między zasłonami i przechyla dużą, dostojną głowę. O, jest też ten samochód kombi! Nie zauważyłam go pod plandeką. Ten sam stary samochód z drewnianymi panelami wzdłuż boków. Przenosi się razem z domem, myślę i przez chwilę kręcę się zdezorientowana.

Otrząsam się na odgłos zbliżającego się samochodu.

Wchodzę na chodnik i spoglądam na zegarek. Za dwadzieścia dziesiąta.

Abel pewnie jeszcze śpi. W żadnym ze swoich planów (które teraz wydają mi się niedorzecznie prowizoryczne) nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek poza nim mógł otworzyć drzwi. Jeśli na widok samochodu poczułam się zbita z tropu, to co dopiero

będzie, gdy zobaczę panią Richter? Wystarczy, że wypowie moje imię, a ja natychmiast zacznę płakać i przyznam się do wszystkiego. Nie mogę na to pozwolić. Zanim zwierzę się komukolwiek, muszę porozmawiać z Ablem.

Rozglądam się. Po przeciwnej stronie ulicy nie ma ani jednego domu, ponieważ teren się obniża i opada wprost do wąwozu. Wzdłuż ulicy biegnie jedynie wąski pas trawnika, na którym rosną cedry i kępy krzewów, między którymi leży kilka granitowych bloków oraz widać saturator z wodą do picia. Przechodzę na drugą stronę i chowam się za cedry. Część bloków granitu, jeden wysoki, drugi obok przysadzisty, zaaranżowano na podobieństwo krzeseł. Wybieram to, z którego roztacza się najlepszy widok. Neseser stawiam na trawie. Zdejmuję kurtkę matki (wcześniej nietykalny skarb - lekko rozkloszowaną na wysokości talii, miękką jak surowe mięso - którą mój ojciec pozwolił mi włożyć na tę „wyjątkową i ważną okazję”), składam ją i umieszczam na niższym bloku, który wciąż jest trochę wilgotny po deszczu. Siadam. Czuję, że robi mi się zimno. Otwieram neseser i wydaję dzinsy. Właściwie to była jedyna rzecz, którą spakowałam, poza zmianą bielizny i błękitną piżamą w laleczki kupioną w Elegant Fashion, w ramach rabatu dla pracowników, dosłownie na chwilę przed tym, zanim zrezygnowałam z pracy. Powinnam była położyć spodnie na kamiennym siedzeniu. Teraz kurtka będzie już mokra od środka, właściwie mogę ją zostawić tam, gdzie leży. Wobec tego owijam sobie dzinsy wokół głowy i ramion. Nieważne, jak wyglądam, i tak jestem niewidoczna od strony ulicy, chociaż sama widzę, co się na niej dzieje. Jeśli rozchylę gałązki, mogę bez przeszkód obserwować ogród, podjazd i frontowe drzwi domu Richterów. Nikt go nie opuści nie zauważony przeze mnie. A więc pozostaje mi tylko czekać. Słońce świeci, robi się coraz cieplej. Jeśli tylko Abel nie jest chory, wcześniej czy później wyjdzie z domu.

Mam wprawę w czekaniu.

Wiele razy już to robiłam. Siedem i pół roku temu, dzień po dniu, ukrywałam się w żywopłocie i czekałam na panią Richter, by na chwilę pojawiła się na tle okien swego domu. Zdarzyło mi się też (epizod z kościołem Prezbiteriańskim) wysiadywać na zimnych schodkach w dziwnej sukience, kiedy przygotowywałam się, by rzucić się w objęcia ukochanej osoby. Ta zbieżność sytuacji wydaje mi się złowieszcza... i niepokojąca,

ponieważ wygląda na to, że moje życie będzie się powtarzało w ten dziwaczny, niebezpieczny sposób.

Kocha mnie za mocno, kocha mnie za mocno, powtarzam sobie w myślach, starając się opanować niepokój. Przyglądam się liliom rosnącym w ogrodzie: ich białym, rozchylającym się kwiatom z płatkami przypominającymi rozstawione kończyny. Analizuję każdy szczegół domu i wyobrażam sobie połyskującą rybę, której ciało tworzą ściany domu szalowane deskami sprawiającymi wrażenie łusek, a okno w łazience z półotwartą żaluzją przypomina skrzela.

Pokój Abła znajduje się z drugiej strony, kiedyś mi o tym mówił. Abel pogrążony we śnie. Cała okolica uśpiona pod wpływem czarów, które przestaną działać z chwilą, gdy on się przebudzi. Tak można by pomyśleć.

Mija godzina, zanim w końcu ktoś - łysy mężczyzna trzymający pod pachą zwiniętą gazetę - przechodzi obok mnie. Jego srebrnoszary kundel węszy i ciągnie w stronę parku, zatrzymuje się, kręci przez chwilę wokół własnej osi, rzuca mi smętne spojrzenie i wypróżnia się na trawie. Około piętnastu minut później jakiś chłopak pędzi środkiem ulicy na rowerze, którego odgłosy przypominające cykanie świerszczy słyszę, zanim jeszcze ukazuje mi się w polu widzenia.

W związku z tym skojarzeniem ze świerszczami szukam w pamięci pięciu typów północnoamerykańskiego świerszcza: domowy, polny, nadrzewny kalifornijski, nadrzewny śnieżny i czarnorogi nadrzewny. Próbuję sobie przypomnieć, do jakiej rodziny owadów należą świerszcze. Nie potrafię. Wobec tego zaczynam odtwarzać w myślach kawały z *Tysiąca i jeden dowcipów*, że boki zrywać („Co krowa-matka powiedziała krowie-córcie? - «Wszystko, co mamy, zawdzięczamy wymionom*”). Przerzucam się na teksty piosenek. *Baby, baby, where did our love go**. Nie. *Be my, be my little baby***. Nie, nie chcę myśleć o dzieciach, wystarczy, że moje rośnie we mnie, że kształtują się kości, zaokrąglają paznokietki, płód przybiera ludzką postać. Widzicie to? W tej gęstwinie komórek rozpoznajecie wielką jajowatą głowę? Nie, szczerze mówiąc, ja widzę bombę. Powiedzmy, granat ręczny.

* „Dziecino, dokąd odeszła nasza miłość”.

* „Bądź moja, bądź moja, maleńka dziecino”.

Zaczynam myśleć o wojnie w Wietnamie i zastanawiam się, dokąd przeprowadziłby się Abel, gdyby Kanada kiedykolwiek się w nią zaangażowała. Do Niemiec? Potem przez dłuższy czas poddaję się urokowi ulicy i nie myślę o niczym. Właśnie w jednym z takich czarodziejskich momentów otwierają się drzwi domu Richterów.

Zrywam się na równe nogi.

W drzwiach pojawia się pan Richter. Jest szczuplejszy, niż go zapamiętałam, ale wcale nie pochylony czy bardziej wąty, jak się obawiałam. Dzwoniąc kluczami, schodzi po schodkach do samochodu. Zanim się przy nich znalazł, drzwi wejściowe otwierają się ponownie.

- Karl!

Pani Richter! Z siwymi włosami! Abel nigdy o tym nie wspomniał. I utyła, zrobiła się tęga! Ma na sobie czerwony szlafrok, ale nie ten stary, pewnie i tak by się w niego nie zmieściła. Woła coś po niemiecku. Pan Richter podnosi prawy kciuk do góry, kiwa głową: *Ja, danke schön*, dziękuje żonie za to, że mu o czymś przypomniała. Wsiada do samochodu i odjeżdża. Pani Richter idzie do ogrodu. Tam, trzymając ręce na biodrach, ocenia uprawy. Spogląda w moją stronę i przez jedną straszną chwilę wydaje mi się, że mnie zauważyła. Nagle schyla się. Kiedy znów się prostuje, ścisną w dłoni kilka marchewek. Odwraca się i idzie z powrotem do domu.

Ze wszystkich sił muszę się powstrzymać, żeby nie pobiec tam i nie zapukać do drzwi. Tylko tyle mogę zrobić.

Ranek powoli upływa. Wpół do dwunastej. Południe. Pan Richter nie wraca. Nikt nie przechodzi przez park. Jestem jedynym świadkiem tego, co dzieje się na ulicy, jestem jej więźniem. Piję wodę z dystrybutora, siusiam w krzakach, od czasu do czasu wchodzę na mój kamień, by mieć lepszy widok na góry wynurzające się ponad koroną z chmur. Poza tym trwam bez ruchu, siedząc już teraz na džinsach i na kurtce. Neseseru używam jako podnóżka, kiedy usiłuję zająć się książką, którą ze sobą przywiozłam - biografia J. S. Bacha. Ciekawe, czy Abel wie, że Bach też był sierotą? O tym przeczytałam w samolocie. Teraz, w parku, przeskoczyłam trochę do przodu, do małżeństwa Bacha z Anną Magdaleną. Autor opisuje ją jako „kwiat lub gwiazdę... wierną, o niespożytej energii,

bezinteresownie pomocną, pełną odwagi takiej, jaką mają tylko kobiety albo za sprawą natury powinny mieć".

Odkąd pani Richter weszła do domu, na drodze nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Tuż przed południem odsłoniła, a potem otworzyła okno znajdujące się najbliżej garażu. W chwilę później rozsunęła także kotary w salonie, gwałtownym ruchem, jakby miała zaraz zacząć śpiewać arię operową.

Syriusz opuścił już swoje stanowisko. Dochodzę do wniosku, że pewnie wypuścili go do ogrodu za domem. Działkę Richterów od parceli sąsiada odgradza druciana siatka, której część biegnącą za domem Richterów widzę ze swojej kryjówki. Jeśli więc ktoś wyszedłby z ich domu tylnymi drzwiami, i tak musiałby obejść go dookoła i od frontu dostać się na ulicę. Tak przypuszczam. Może powinnam to sprawdzić, a przy okazji zdobyć coś do jedzenia? Może wpaść do ogrodu, porwać kilka marchewek i uciec z powrotem?

Zamykam książkę i odkładam ją na bok, na granitowy blok. Jeśli mnie zauważą... jeśli mnie zauważą, będę zauważona. Jest już prawie druga, a ja umieram z głodu. Daje mi się we znaki różnica czasu i padam ze zmęczenia. I na litość boską, przecież jestem w ciąży!

Właśnie w chwili, gdy się podnoszę, dostrzegam chudego typka podążającego chodnikiem, po przeciwnej stronie ulicy, mniej więcej pięćdziesiąt metrów ode mnie, z lewej strony. Dziwnie nienaturalnie przechyla głowę. Płomiennorude włosy ma zrobione na afro. Jest ubrany w szerokie beżowe bojówki, nie dzwony, tylko po prostu za duże spodnie, spięte paskiem znacznie powyżej pasa, i w błękitną koszulkę z krótkimi rękawami i granatowym kołnierzykiem. Idzie bardzo szybko, ale co dziwne, przy tym tempie marszu, w ogóle nie macha rękami.

Ale cudak, myślę. Wydaje mi się, że nawet wiem, dokąd zmierza. To oczywiste, właśnie skręca, idzie prosto do domu Richterów.

Na plecach jego koszulki dostrzegam granatowe litery układające się w napis GARY, tuż nad odwróconą piramidą kręgli. Czy Abel kiedykolwiek wspominał o jakimś Garym? Nie, jestem pewna, że nigdy nie mówił o facecie, który nosi coś, co przypomina kaftan bezpieczeństwa, i należy do klubu kręglarskiego.

Gary wyciąga prawą rękę (a, więc jednak rusza rękami), żeby zapukać kołatką w drzwi. Otwierają się.

Z domu wychodzi Abel.

Zamyka za sobą drzwi i wraz z Garym schodzi po schodkach. Serce mi wali jak młotem. Nie, to nie serce, lecz dziecko podskakuje we mnie radośnie, wyczuwając bliskość swojej drugiej genetycznej połówki. Wychodzę zza drzewa.

I od razu się cofam.

Ogarnia mnie panika. Już zapomniałam, jaki jest przystojny. A może teraz wygląda jeszcze lepiej niż dawniej? Włosy mu urosły. Ręce też, wydają się dłuższe, bardziej umięśnione. Wychodzę na chodnik i patrzę, jak znika za rogiem wraz z Garym. W pośpiechu wracam do mojego kamienia, wpycham kurtkę, dzinsy i książkę do neseseru, chwytam go i zaczynam biec. Kiedy docieram do rogu, okazuje się, że są tylko kilka metrów przede mną. Zatrzymała ich sprzedawczyni owoców, która właśnie na nich krzyczy.

Chowam się za słup telefoniczny i na chwilę zdejmuję buty, od których już nabawiłam się pęcherzy. Zdenerwowana kobieta ma na głowie czarną chustkę, gwałtownie gestykułuje. Gary stoi przed nią z rękoma przyciśniętymi do ciała i głową w dalszym ciągu przechyloną na lewo. Abel też ma lekko przekrzywioną głowę, ale nie tak nie-naturalnie jak tamten. Doskonale znam ten pokorny, potakujący ruch, który świadczy o tym, że w danej chwili całą uwagę poświęca tobie. Tamta kobieta nawet nie ma pojęcia, z jakim ogromnym zainteresowaniem i współczuciem spotyka się teraz jej przemowa. Chciałabym być na jej miejscu. Z przyjemnością wcieliłabym się w tę zdenerwowaną, najwyraźniej nietutejszą niewiastę, która właśnie dlatego, że krzyczy i jest nietutejsza, zdobyła sobie (nie mam co do tego wątpliwości) sympatię Abła.

Wciąż macha rękami, to znów przykłada je do piersi. Nie potrafię się domyślić, o co jej chodzi. Czy ma to być wystąpienie potępiające długowłosych młodzieńców? Ale nagle Abel mówi coś do niej, a ona zaczyna się śmiać, wybiera jabłko ze stojącego obok koszyka i podaje mu. On przyjmuje je od niej i pochyla się trochę niżej, a ona obiema rękami odgarnia mu włosy z czoła, takim ruchem, jakim zrobiłaby to kochanka, by pocałować go w czoło. Jestem zaskoczona, ale tylko przez chwilę. Oczywiście! Uwielbia

go! Należy do liczego grona jego przyjaciół. Podaje mu drugie jabłko, a on przekazuje je Gary'emu, który wysuwa przed siebie jedną sztywną rękę, by je przyjąć.

Idą dalej.

Wkładam moje straszne buty i ruszam za nimi, przemykając się od skrzynki pocztowej do skrzynki z prasą, do budki telefonicznej. Kiedy mijam sprzedawczynię, patrzy na mnie wrogo. Uśmiecham się do niej. Okazuję sympatię każdemu, kto kocha Abła. Nawet moje uczucia do Gary'ego stają się nieco cieplejsze, ponieważ idzie bokiem, by móc zwrócić pochyloną głowę w stronę Abła i patrzeć mu prosto w twarz, a górna część jego ciała podskakuje rytmicznie, jakby na potwierdzenie każdego słowa, które wypowiedział Abel.

Nie mam żadnego planu. Jeśli zmierzają do domu Gary'ego i wejdą do środka, zapewne znajdę jakieś krzaki, w których się schowam i zaczekam. To dziwne, ale czuję, że przybywa mi odwagi, gdy myślę o atrakcyjnym wyglądzie Abła: jego włosach, ubraniu - dzinsach dzwonach, srebrnym pasku z połączonych gwiazdek, kształtem przypominających odznakę szeryfa, błękitno-fioletowym, nierównomiernie ufarbowanym T-shircie, pod którym płynnie poruszają się jego ramiona, jak u kogoś, komu nieznane są ból serca i rozgoryczenie.

Och, Abel!

Czyżby przestał mnie kochać? Czy to w ogóle możliwe? Jak to się dzieje, że jednego dnia kochasz kogoś, a drugiego już nie? Wiem, kim on jest. Pozwalając mi się kochać, otworzył ścieżkę do siebie, na której to, co zdążyłam zgromadzić, należy do mnie. Nawet jeśli nie kocha mnie, jak może nie kochać własnego idealnego wizerunku, który noszę w sobie?

Te myśli doprowadzają mnie do płaczu. Robię z siebie widowisko - biegnę zapłakana, potykając się co chwila, kuleję, przykucam, by odpocząć. Łkając głośno, przepraszam sobotnich zakupowiczów, których mijam i niechcący potrącam neseserem, zanim skręcamy w mniej zatłoczoną ulicę z warsztatami samochodowymi i dużymi sklepami z używaną odzieżą. Ale tutaj, gdzie jest mniej ludzi, staję się bardziej widoczna. Przechodzę na drugą stronę ulicy. Jak się okazuje, w samą porę, bo w chwilę później Abel ogląda się przez ramię, a potem wraz z Garym szybkim krokiem wchodzi w zaułek, gdzie

Abel wyjmuję coś z kieszeni. Papierosa. Nie, jointa. Domyślam się po sposobie, w jaki zaciąga się dymem. Podaje go Gary'emu. Ten po pierwszym pociągnięciu dostaje napadu kaszlu i obraca się wokół własnej osi, uderzając dłońmi o uda. Abel energicznie klepie go po plecach. Gdy Gary'emu mija kaszel, wracają na ulicę, przechodzą ukosem na drugą stronę, w niedużej odległości ode mnie, i wchodzą do budynku wznoszącego się po mojej prawej stronie.

To stare kino przerobione na tawernę czy kawiarnię. „EAR PIT”, Wnętrze Ucha, jak głosi ciemnoróżowy neon nad drzwiami. Cegły ścian zewnętrznych budynku pomalowano na różowo, drzwi są w kolorze brązowym z fioletowym odcieniem. Prawdopodobnie chodzi o to, by wywołać wrażenie wędrowania kanałem usznym, prowadzącym do utraty przytomności. Po chwili dostrzegam jednak jeszcze jedną literę, nie oświetlone B. A więc to „Bear Pit”, Niedźwiedzia Jama. Czyli tutaj Abel spędził ten niedzielny wieczór, kiedy zapomniał do mnie zadzwonić.

Od frontu są cztery okna, w których jedna przy drugiej stoją doniczki z kwiatami. Przyciskam twarz do szyby tego, które znajduje się najdalej od drzwi, i poprzez szparki między liśćmi próbuję zajrzeć do wnętrza (kolejny raz podglądam przez liście). Widzę przestronne pomieszczenie, żłobione filary, małe okrągłe stoliki, na każdym stoi świeca.

Wygląda na to, że jest tam mnóstwo hippisów popijających z papierowych kubków. Tuż przede mną, przy stoliku stojącym najbliżej okna, siedzi dziewczyna ze słowem „Love” wytatuowanym na czole i stokrotkami we włosach. Bierze do ust papierosa, pochyla się do przodu, by go zapalić od płomienia świeczki. Kiedy podnosi wzrok, przenoszę się do sąsiedniego okna i dostrzegam miejsce dla zespołu, w formie szerokiego wgłębienia w podłodze. Pewnie od niego pochodzi nazwa tego miejsca. Stoi tam elektryczny keyboard, kilka mikrofonów, elektryczna gitara wsparta o wysoki stółek barowy. Czerwone światła rampy dają poczucie prywatności, nadają tej części sali charakter odosobnionego zakamarka. Zupełnie jak w uchu, może jednak coś w tym jest.

Przez to okno widzę również rząd boksów, które ciągną się wzdłuż ściany po mojej lewej stronie. Tam jest trochę jaśniej, bo nad każdym stołem wisi czerwony papierowy lampion. Dostrzegam Gary'ego i jego pomarańczowe afro. Wsuwa się na kanapę za stołem.

Teraz widzę też Abla - stoi nieco w głębi. Dziewczyna o jasnobłond włosach, w długim do ziemi czerwonym płaszczu, próbuje odebrać mu jabłko, a wtedy on podrzuca je, lecz jej nie udaje się złapać. Jej śmiech przedziera się nawet przez szybę. Podchodzi do nich drobna brunetka i ostentacyjnie opiera się o niego. Chociaż - widząc, jak Abel delikatnym, łagodnym ruchem odsuwa ją od siebie - domyślam się, że nic ich nie łączy, zaczyna we mnie pulsować żyłka zazdrości. Czuję, że powinnam zaznaczyć swoje prawa do niego.

Postanawiam wejść do środka. Ostatecznie nie mam nic do stracenia, myślę. Właściwie nie wiem, skąd taka myśl przyszła mi do głowy, ponieważ, jak się zdaje, mogę stracić wszystko. Wciąż zaglądając przez okno, maluję usta. Widzę starszego mężczyznę, Murzyna w białych spodniach, białej koszuli i białym kapeluszu, jak zbliża się do Abla. To zapewne pan Earl, saksofonista, o którym kilkakrotnie wspominał. Podaje Ablowi piersiówkę. Ten przyjmuje ją, pociąga solidny łyk trunku, po czym otwiera usta, gwałtownie potrząsa głową, jakby przełknął sporą porcję benzyny. Pan Earl kiwa głową z zadowoleniem, jak lekarz na widok pożądanej reakcji pacjenta po podanym leku. Czy on wie, że Abel ma dopiero siedemnaście lat? Jego dłoń, wielka jak czarny kruk, spoczywa na ramieniu Abla i obaj przechodzą do stolika Gary'ego. Pan Earl siada pierwszy, Abel wciska się na kanapę zaraz po nim.

Siedzi tyłem do drzwi. Trochę mnie to uspokaja, ponieważ być może uda się odsunąć przedstawienie na jakiś czas.

Oplata za wstęp wynosi dwa dolary. Płacę i przemykam się do jedyne go wolnego stolika w zasięgu mojego wzroku. Żłobiony filar zasłania mnie od strony kanału dla zespołu, ale ja mogę obserwować Abla, który właśnie pociąga kolejny łyk z butelki. Gaszę świeczkę na swoim stoliku. Po chwili pojawia się kelnerka.

- Och, do diabła... - mruczy pod nosem i wyjmuję z kieszeni dzinsów zapalniczkę.
- Niech tak zostanie - mówię, zasłaniając knot dłonią.

Do picia można zamówić sok jabłkowy albo grejpfrutowy, do jedzenia tylko kanapki z masłem orzechowym i bananem. Proszę o dwie kanapki i duży sok jabłkowy. W czasie, gdy składam zamówienie, ktoś zaczyna stroić gitarę i mówić do mikrofonu, przesuвам więc krzesło tak, żeby mieć dobry widok na zespół, ale też, by Abel nie mógł

mnie dostrzec. Gitarzysta z wyglądu nieco przypomina Arta Garfunkela, ma kędzierzawe blond włosy, którym czerwone światła nadają różowy odcień. Zaczyna od prostego bluesa, po czym przerzuca się na bardziej dynamiczne melodie w stylu Jimiego Hendriksa. Nie śpiewa, chociaż po pewnym czasie zaczyna wydawać pomruki. Przy każdym przejściu do wysokich tonów zawodzi. Jestem poruszona tym wyciem, które wydaje się wyrazem mojego przerażenia udzielającego się jemu, choć gitarzysta zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

W samym środku spazmatycznego zawodzenia kelnerka przynosi mi sok i kanapki. Od razu rzucam się na jedzenie. Pochłaniam je w okamgnieniu. To, co czuję, w niczym nie przypomina zaspokajania głodu ani nawet wypełniania pustej przestrzeni, lecz raczej kojarzy się z tamowaniem grubym tamponem krwotoku. Spoglądam na Abła, który pod koniec utworu wyraża swoje uznanie miarowym uderzaniem dłonią o blat stołu. Drugą dłoń ma zajęta, trzyma w niej butelkę i podnosi ją właśnie do ust. Czemu tyle pije? Nikt poza nim tego nie robi, nawet pan Earl.

- A teraz - informuje gitarzysta - zagra ze mną ktoś, kogo wszyscy dobrze znamy. Abel Richter, ostatnio słyszany...

Jego pozostałe słowa toną w gwizdach i okrzykach radości. Nie wierzę własnym uszom. Doskonale pamiętam, że Abel jako dziecko wręcz drętwiał ze strachu i zakłopotania, kiedy miał wystąpić przed publicznością. Nic więc dziwnego, że alkoholem dodaje sobie animuszu.

Wstaje i rusza w moją stronę. Opuszczam głowę, ponieważ nie byłby to najlepszy moment na spotkanie. Kiedy podnoszę wzrok, widzę, jak schodzi po schodkach do kanału dla zespołu, i wtedy dostrzegam w jego twarzy dawną nieśmiałość. Siada na stołku przy keyboardzie i lekko pochyla się do przodu. Od razu, jakby w obawie, że się rozmyśli i ucieknie, uderza kilka miękkich akordów.

Rozbrzmiewa kolejny bluesowo-rockowy utwór bez tekstu. Abel gra podkład, odpowiadając swoją spokojną muzyką na ostre brzmienie gitary. Każdy dźwięk zagrany przez gitarzystę chwyta w klawiszowy akord, tak samo jak kiedyś chwytał ćmy w swoją siatkę i wypuszczał je później w wąwozie. W jego grze dają się odczuć te same delikatne

przejawy inteligencji i łagodności. Spoglądam na pana Earla. Kiwa głową w takt muzyki. Gary też, ale w szybszym tempie, niewiele mającym wspólnego z rytmem melodii.

Znów patrzę na Abła. Twarz ma przesłoniętą włosami. W czerwonych światłach jego opadające i wznoszące się ręce wyglądają jak opalone, po dziecięcemu słabiutkie i wątle. Wydaje mi się, że całe pomieszczenie przechyla się w jego stronę, a mnie jakaś niewidzialna siła spycha z krzesła i zsuwam się do niego jak po równi pochyłej. Utwór się kończy i Abel wstaje. Ja też. Wszyscy wołają: „Jeszcze, jeszcze!” Gitarzysta zapewnia, że Abel zagra w następnym secie. Abel wychodzi z kanału, a ja idę między stolikami wśród ogłuszających jak wystrzały oklasków i gwizdów, przypominających świst pocisków. Doskonale wiem, że wyraźnie wyróżniam się wśród gości z klubu, i zastanawiam się, czy mnie zauważy.

Jak się zdaje, zmierza w kierunku toalet. Ruszam za nim. On jednak idzie prosto korytarzem, mija toalety, kuchnię i wychodzi przez uchylone drzwi wyjścia ewakuacyjnego, nie zamykając ich za sobą.

Z zewnątrz przez szparę wciska się do korytarza smuga światła. Wśród odgłosów pobliskiej ulicy i szumu urządzeń wentylacyjnych słysząc, że Abel z kimś rozmawia. Staram się rozróżnić słowa, ale nagle jego głos milknie. Na palcach podchodzę do framugi i wyglądam przez drzwi.

Stoi mniej więcej w odległości trzech metrów, po przeciwnej stronie wąskiej uliczki. Jest odwrócony do mnie plecami i obejmuje dziewczynę. Ona ma opuszczone ręce. Widzę, jak kołyszą się bezwładnie wzdłuż jej ciała. W jednej dłoni trzyma na wpół zjedzone jabłko. Za jej głową (której nie mogę dojrzeć przez szparę, widzę jedynie plamę platynowych włosów spoczywających na ramieniu Abła) wisi czerwony płaszcz na kołku wbitym w ścianę. W pobliżu słysząc wycie karetki pogotowia, dlatego dochodzę do wniosku, że dziewczyna zemdląca albo zrobiła sobie jakąś krzywdę, a Abel podtrzymuje ją w oczekiwaniu na pomoc.

Tylko jakim cudem ona w zaciśniętej dłoni utrzymuje jabłko? Ale oto wypuszcza je. Jej obie ręce wsuwają się pod koszulkę Abła, który pochyła się nad dziewczyną. On ją całuje, myślałam, jeszcze nie rozumiejąc, co się dzieje. Dopiero gdy zaczyna gładzić jej włosy, powoli dociera do mnie, co tak naprawdę widzę.

On ją całuje.

Wychodzę na zewnątrz pod zadaszenie nad drzwiami. Jego dłoń wędruje w dół jej pleców i zatrzymuje się na wysokości talii. Jak on może nie czuć, że jestem tak blisko? Mogłabym być mordercą z siekierą, świętym Piotrem. Kimkolwiek. Umieram tuż za jego plecami, a on nie ma o tym pojęcia.

Nastaje chwila straszna jak śmierć, w której uświadamiam sobie, że nawet gdyby teraz rozległ się huk wystrzału, a on obejrzał się za siebie, i tak by mnie nie dostrzegł. Wracam do środka, idę korytarzem do gwarnej sali wypełnionej papierosowym dymem i migotliwymi światełkami świeczek. Kładą na stoliku banknot dziesięciodolarowy - pięć razy więcej niż wynosi mój rachunek.

- To twoje? - pyta jakaś dziewczyna, wskazując mój neseser, kiedy zmierzam już do wyjścia.

Biorą swój bagaż i wychodzą. Dokąd powinnam się udać? Dokądkolwiek. Do domu. Zaczynam iść na wschód.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zawsze myślałam o nich jako o aniołach, ponieważ były piękne, młode i delikatne, chociaż nigdy żadnego tak naprawdę nie widziałam, jedynie dostrzegałam je gdzieś na skraju pola widzenia. Co więcej, przez lata podejrzewałam, że ich aury pojawiają się u mnie w czasie dokuczliwych migren.

Kiedy przybywają - spływają w dół jak szarfy - czuję czystość i pewną obojętność, dziwną pustkę, jakby były ćmami, które raczej przyciąga panująca wokół mnie atmosfera niż ja sama. Tylko ten, którego nazywam Aniołem Miłości, zdaje się wywierać wpływ na mnie i moje życie.

Jest jaśniejszy i bardziej wyraźny od pozostałych. Po raz pierwszy pojawił się na miesiąc przed przyjazdem Richterów do Greenwoods, czyli w czasie, kiedy już od dawna byłam przyzwyczajona do widywania aniołów i uważałam za oczywiste, prawie oczywiste, że są niecodziennym i niezbadanym zjawiskiem, podobnym do drobnoustrojów i odgłosu gwizdka na psy. Czułam, że bynajmniej nie jestem jedyną osobą, której się

pokazują, a wobec tego miałam nadzieję, że zwrócę na siebie uwagę pani Richter cechami ujmującymi za serce i budzącymi litość - wymizerowaniem, zaniedbaniem, brakiem przyjaciół, brakiem matki. Zdawałam sobie sprawę z tego, że współczucie nie może konkurować z oczarowaniem, i wiedziałam, że jeśli ona mogłaby zobaczyć Anioła Miłości, moja postać iskrzyłaby się kłującym w oczy blaskiem. Bardzo pomogłoby to aniołowi, któremu potrzebna była miłość pani Richter do mnie, by rozkwitł pełnią życia. Czerpiąc siły tylko z mojej miłości, był słaby i ledwie się unosił w przestrzeni.

Nie rozmyślałam o nim zbyt bezpośrednio. Nigdy o nim nie mówiłam. Był obiektem, którego nie da się opisać słowami, nieodgadnionym; kruchym załączkiem miłości. Ale zawsze na swoim miejscu, bez względu na to, czy w połyskującym czy opłakanym stanie, czy odrodzony na nowo. Kiedy jednak moje uwielbienie przeniosło się z pani Richter na Abła, anioł zniknął (zwinął skrzydła i rozpląnął się w próżni), ustępując miejsca innemu, który wydawał się bardziej czuły i delikatny i który rozbijał się o ściany domów albo unosił pod wpływem prądów powietrza w zależności od tego, w jaki sposób ja i Abel odnosiliśmy się do siebie nawzajem.

Niewielki skrawek łaski trzepoczący między nami. Chciałabym myśleć, że ten anioł jest niezdolny do odczuwania bólu, ale nie potrafię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nie jestem do tego stopnia oszołomiona, by sądzić, że zdołam wrócić do Toronto piechotą, jakkolwiek taka decyzja miałaby pewien epicki i drastyczny wydźwięk. Wyobrażam sobie mozolną wędrówkę przez Góry Skaliste, noclegi w jaskiniach, a potem drogę przez rozległe tereny środkowych prowincji, wzdłuż łąnów pszenicy. Gubię się na polu kukurydzy. Rodzę w jakiejś stodole, na sianie, w towarzystwie krów pochylających łby nad boksem, w którym znalazłam schronienie, i przyglądających mi się ciekawie.

Żeby podążać we właściwym kierunku, nie zabłądzić tu, w Vancouverze, kieruję się położeniem słońca i tabliczkami z oznaczeniem ulic, mającymi w nazwie „wschód”. Czuję, jakbym przechodziła z jednej częstotliwości radiowej do następnej, gdy atmosfera jednej ulicy zmienia się w nastrój innej, a domy i sklepy tętnią życiem, w którym mogłam

mieć swój udział. Wciąż jeszcze mogę mieć: zamieszkać w drewnianym parterowym domku schludnie pomalowanym na kanarkowożółty kolor, z czerwoną skrzynką pocztową, na której widniałby napis wykonany dużymi żółtymi literami „Państwo Bingle”, być żoną postawnego pana Bingle'a ostrzyżonego na jeża, z sekatorem do przycinania żywopłotu w dłoni. Tą dziewczyną w sklepie spożywczym, kasjerką sennie kołyszącą się na taborecie. Mogłabym nią być.

W końcu się zatrzymuję, ale nie dlatego, że jestem zmęczona. Od jakiegoś czasu widzę krew sączącą się przez odkryte czubki butów i dochodzę do wniosku, że jednak powinnam jakoś temu zaradzić.

Rozglądam się dookoła. Znajduję się między jednym skrzyżowaniem a drugim, w otoczeniu sklepów, które właśnie teraz są zamykane. Za mną jakaś kobieta za pomocą korbki opuszcza zieloną płócienną markizę. Z sąsiedniego sklepu z tytoniem wychodzi mężczyzna, zdejmując ze stelaża stojącą na ulicy reklamę i wciąga ją do środka, jak gdyby właśnie schwytał zakładnika. Przechodzi mi przez myśl, żeby przysiąc na tym pustym stelażu, ale wtedy dostrzegam ławkę stojącą nieopodal, naprzeciwko „Dory's Five and Dime”, sklepiku z tysiącem drobiazgów po pięć dolarów za sztukę, więc idę w jej kierunku. Gdy zdejmuję buty, stopy zaczynają krwawić bardziej, niż się spodziewałam. Okazuje się, że są w okropnym stanie - co najmniej pięć pękniętych pęcherzy na każdej, głębokie rany wokół obu paluchów. Osuszam krew jednorazowymi chusteczkami do nosa, a gdy kończy się paczka, spoglądam, czy sklepik z drobiazgami jest jeszcze otwarty. Światła są już pogaszone, ale za ladą wciąż krząta się kobieta z wałkami na głowie. Z trudem docieram do drzwi i pukam w szybę. Spogląda na mnie.

- Czy ma pani plaster? - wołam.
- Już zamknięte!
- Ja tylko potrzebuję plaster! Leci mi krew!

Z trzaskiem zamyka szufladę kasy i wychodzi na zaplecze sklepu.

Wracam na ławkę, czując teraz ostre ukłucia bólu. Ślady krwi są wszędzie, wydeptałam czerwony szlak do drzwi sklepu i z powrotem. Co by sobie pomyślał Abel? Tak tylko, z przyzwyczajenia, zadaje sobie w myśli to pytanie. Wyobrażam sobie, że będzie przechodził tędy za tydzień i nawet jeśli ślady ściemnieją, zostaną zdeptane przez

przechodniów i nikt nie będzie zwracał na nie uwagi, Abel zainteresuje się nimi. „Ludzka krew” - mówi do osoby, która mu towarzyszy, może do tej blondynki. Wspólnie zastanawiają się, co tutaj zaszło. Ktoś został pchnięty nożem albo postrzelony. Pijany potknął się, przewrócił i rozbił sobie głowę.

Zaczynam płakać. Cicho, choć wcale się o to nie staram. Zupełnie jakbym była pusta w środku, powietrze, które wciągam przy każdym wdechu, przechodzi przeze mnie swobodnie, jak gdybym wewnątrz nie miała organów, które musiałoby pokonać. Ani kości, absolutnie nic.

- Coś ty zrobiła? Chodziłaś po szkłe?

Spoglądam w górę. To sprzedawczyni ze sklepu. Dory. Raczej pani Dory. Wysoka, o kasztanowych włosach, z obfitym biustem, w granatowej szmizjerce, która była modna piętnaście lat temu. Myliłam się co do wałków na głowie - jest uczesana á la Shirley Temple. Ma pewnie około pięćdziesięciu lat, może trochę więcej.

- To twoje buty? - pyta. Wycieram nos wierzchem dłoni.

- Są za ciasne. Obtarły mi skórę do krwi. Przekłada papierową torbę do drugiej ręki, w której trzyma już torebkę, i wyjmuję z rękawa chusteczkę.

- Proszę. Wydmuchaj nos.

Chusteczka ma koronkowe brzegi. Wygląda bardziej na serwetkę.

- Nie krępuj się i wycieraj nos - ponagla. - Mam ich w domu całą szufladę.

Jej głos brzmi przenikliwie, choć wcale go nie podnosi, jest surowy, niemal rytmiczny, typowy, moim zdaniem, dla wiejskich kobiet. Zaczyna wyciągać z papierowej torby różne przedmioty.

- Mam plaster i jodynę - wylicza - i waciki, żebyś mogła przemyć stopy, zanim je opatrzysz.

Kładę sobie to wszystko na kolanach i sięgam po portmonetkę.

- Ile jestem pani winna? - pytam.

- Och, daj spokój. To są bezpłatne próbki.

- Dziękuję.

- Na twoim miejscu wyrzuciłabym te buty.

Spoglądam na swoje buty; w miejscu na duży palec są czerwone jak wnętrze ust otwartych podczas rozzwierającego krzyku. Próbuję rozerwać opakowanie z plastrem.

- Pozwól... - Zdejmuje z ławki mój neseser i stawia go na chodniku. Siada obok mnie. - Trochę się na tym znam. Jeśli niedokładnie zdezynfekujesz ranę, może wdać się infekcja, a nawet gangrena. Pokaż mi... - Wskazuje na nogę, która była bliżej niej.

O sprzeciwianiu się nawet nie ma co myśleć. Odwracam się i wyciągam obie nogi na ławce. Podnosi moją portmonetkę i podaje mi, mówiąc, żebym ją sobie schowała. Wtedy uświadamiam sobie, jak krótką mam spódniczkę i że widać spod niej bieliznę. Próbuję więc zasłonić się portmonetką. Nieznajoma tymczasem odrywa kawałek bawełnianego wacika i otwiera buteleczkę z jodyną. Ma długie, pomalowane na czerwono paznokcie, które zapewne przeszkadzają przy wciskaniu klawiszy sklepowej kasy. Na palcu nie widać obrączki.

- Teraz bądź dzielna - mówi, przykładając mi wacik do dużego palca od nogi. - I jak?

- W porządku.

- Nie szczypie?

- Trochę.

Tylko trochę. Popadam w otepienie i obojętność, obserwując, jak ona opatruje mi nogi. Wygląda na to, że doskonale wie, co robi, z którego końca otworzyć opakowanie plastra i jak równocześnie z obu stron oderwać ochronne osłonki. Może kiedyś była pielęgniarką, stateczną, opanowaną wojskową pielęgniarką. „Pogadaj z nami, Dory” - zachęcali ją żołnierze, ale ona nie należy do zbyt rozmownych. Zamiast zadać pytanie, jak, na litość boską, mogłam chodzić z poobdzieranymi stopami, na które nie potrafię znaleźć odpowiedzi, milczy. Dopiero gdy kończy opatrywać mi stopy, mówi:

- Pewnie nie masz innej pary butów w swojej walizeczce?

Potrząsam głową.

- W takim razie weź moje.

Spoglądam na jej buty. Ku mojemu zdziwieniu ma na nogach czarne skórzane czółenka, takie jakie od niedawna zaczęły być modne. Pewnie nawet sama bym je kupiła, zamiast tych z odkrytym palcem, ale wydawało mi się, że nie są odpowiednie do

chodzenia po ulicy. Mówię, że nie mogę przyjąć od niej butów, ale ona zapewnia, że absolutnie nie ma w tym nic niestosownego, że w domu ma identyczną parę, a widząc, że sięgam do torby po portmonetkę, mówi, że nie chce ode mnie pieniędzy. Pyta, dokąd zamierzam pójść.

- Na lotnisko - odpowiadam. Właśnie taki mam zamiar.

- Podwożę cię. Mieszkam niedaleko. - Zdejmuje buty i wkłada je na moje stopy, tak oklejone plastrami, że jej czółenka pasują niemal idealnie.

- Ładne - mówię.

- Moje nowe odkrycie. - Zawiązuje sznurowadła. - Nie uwierają w haluksy i na szczęście nie mam płaskostopia, więc nie muszę stosować żadnych sztucznych podpórek. Nie to, co z innymi częściami ciała.

Podskakuję, słysząc jej krótki, ostry śmiech, przypominający odgłos wystrzału z pistoletu.

Wychodzimy na uliczkę biegnącą za sklepem. Niesie mój neseser i stąpa beztrąsko po żwirze w samych pończochach. Kuśtykam za nią, niosąc zakrwawione buty i portmonetkę. Kiedy siedzimy już w samochodzie, mówi, że bym postawiła buty na podłodze, bo szkoda spódniczki. W czasie jazdy niewiele się odzywa, za co jestem jej wdzięczna. Z trudem panuję nad sobą. Zresztą nawet gdybym nie była taka roztrzęsiona, nie czułabym się zobowiązana do grzecznościowej rozmowy. Ta kobieta ma w sobie znajome mi cechy - trochę z ciotki Verny, coś z Alice, a śmiech i paznokcie mojej matki. Od czasu do czasu informuje mnie o tym, jaką drogę wybieramy; tak jakbym znała miasto.

- Chyba pojedę Marine Drive...

Nie pyta mnie natomiast ani o imię, ani o to, dokąd lecę. Dopiero na lotnisku zagaduje mnie na ten temat, żeby wiedzieć, przed którym wejściem ma się zatrzymać.

- Czy jest pani pewna co do butów? - pytam, otwierając drzwi.

- Oczywiście, nie ma o czym mówić.

- W takim razie bardzo dziękuję. Była pani dla mnie bardzo miła. Nie wiem, jak bym... - urywam, by nie wybuchnąć płaczem.

Klepie mnie pocieszająco po nodze.

- Nie martw się - mówi. - Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Niekoniecznie, myślę, zmierzając niepewnym krokiem w stronę budynku lotniska. Nie ma żadnej gwarancji. Zupełnie jakby ona przekazywała mi wiadomość od Abla, którego wiara w moją odporność, jak się zdaje, wyeliminowała poczucie winy dręczące go być może z tego powodu, że do mnie nie zadzwonił.

Skąd się bierze taka wiara? Jak niektórzy ludzie mogą przejść przez życie, wierząc, że w końcu wszystko obróci się na lepsze? „Najciemniejsza godzina zawsze następuje tuż przed świtem”, mają zwyczaj powtarzać. Nawet jeśli to prawda, to co z tego? Przyrodą rządzą inne prawa niż ludzką naturą. Mówi się: „To, co cię nie zniszczy, doda ci sił”. Doprawdy? Powiedźcie to dziecku, które przymiera głodem.

Właściwie lepiej byłoby powiedzieć: „To, co cię nie zniszczy, może dodać ci sił, jeśli nie pozwolisz się unicestwić”.

A jednak.

W damskiej toalecie zamykam się w jednej z kabin, siedzę na sedesie i zalewam się łzami, co pewien czas spuszczam wodę, by zagłuszyć płacz. „Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze” - powtarzam sobie, aż w końcu zaczyna się we mnie tlić maleńka iskierka optymizmu. Wychodzę z toalety, siadam na ławce w hali odlotów i spoglądam na mijających mnie ludzi z tkliwością, jakiej nie czułam chyba nigdy do tej pory. Oni wszyscy byli kiedyś dziećmi, myślę. Kiedy znów dopada mnie ponury nastrój (po tym, jak się napatrzyłam na aż nazbyt wiele całujących się na pożegnanie par), wracam do toalety, do tej samej kabiny, i czekam na kolejną falę optymizmu. Wychodzę i ponownie siadam na tej samej ławce, życzliwie obserwując obcych ludzi. W końcu znajduję restaurację i zamawiam kanapkę zapiekaną z serem i szklanekę korzennego piwa. Zmierzwione włosy starszego mężczyzny siedzącego kilka stolików ode mnie przywodzą mi na myśl szalonego lekarza z Bufallo. Staram się nie myśleć o nim ani o ewentualnej aborcji. To byłaby lina ratunkowa, ale unurzana we krwi, jak gdyby ktoś rzucił na pomoc jelita.

Około dziesiątej, kiedy hala lotniska prawie zupełnie pustoszeje, wyciągam się na ławce i próbuję zasnąć, ale jest mi strasznie niewygodnie. Wstaję więc, wychodzę na postój taksówek i proszę kierowcę, by mnie zawiózł do najbliższego hotelu. Jedziemy prawie przez całe miasto do hotelu „Water's Edge”, który mieści się w budynku z różowymi stiukami.

- W innych nie ma wolnych miejsc - wyjaśnia taksówkarz.

Nawet nie dociekam, skąd może o tym wiedzieć.

- Czy jesteśmy nad oceanem? - pytam.

Wskazuje ręką, w której trzyma papierosa, na okno pasażera.

- Ocean jest w tamtą stronę - mówi.

W tym hotelu również wszystkie miejsca są zajęte.

- Wszystkie, z wyjątkiem drogiego i ohydneho apartamentu dla nowożeńców - oświadcza zniewieściany recepcjonista. - Nie sądzę, żeby ci odpowiadał.

- Może jednak będzie - upieram się.

Odwraca w moją stronę księgę przyjęć i podaje mi pióro.

- Tylko żeby potem nie było, że nie ostrzegałem. Podpisuję się nazwiskiem matki.

- Czy okna wychodzą na ocean? - pytam.

- No nie. Znowu to samo - wzdycha. Czekam.

- Nie chodzi mi o ciebie. Tylko o właściciela. Nazywa się Waters, James Waters.

Jest kompletnie pomyłony i bezczelny. Wydaje mu się, że ma prawo wprowadzać ludzi w błąd idiotyczną nazwą tej nory. „Water's Edge”. Przy brzegu wody, rozumiesz, w czym rzecz? Ludzie, którzy się tu zatrzymują, zwykle są wściekli. Oczywiście pretensje spadają na mnie. „Co pan sobie wyobraża! Dwa i pół kilometra od oceanu!” Czasem mam ochotę strzelić mu w głowę. Kilka razy. - Wręcza mi klucze. - Na samej górze. Pokój tysiąc czternaście. Nie da się go przeoczyć. Na drzwiach są ponaklejane gipsowe czerwone serduszka. I nie polecam śniadania.

W ogromnym łóżku, nakrytym czerwoną satynową narzutą, płacę i rzucam się z boku na bok. Tym razem fala optymizmu nie nadchodzi. Pojawia się za to dziwne metaliczne uczucie. Siadam i zdejmuję buty. W kilku miejscach krew przesiąkła przez opatrunek.

- Dupek - mamrocę pod nosem, jakby Abel był za to bezpośrednio odpowiedzialny.

Przyglądam się swemu odbiciu w lustrze wiszącym nad biurkiem. Nie jestem do końca pewna, kogo w nim widzę: szkliste oczy, zapuchnięte usta...

- Czasem mam ochotę strzelić mu w głowę - mówię do dziewczyny w lustrze. -
Kilka razy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Stale się zatrzymuję. Przemierzam kilkaset metrów, czując się całkiem nieźle, a potem zaczynam się martwić, czy nie mam za krótkiej grzywki i czy przypadkiem nie zapomniałam umyć rano zębów, a wtedy nie mogę iść dalej.

Abel zapewne myśli, że wciąż nie potrafię się otrząsnąć po spotkaniu z włóczęgą. Kiedy się zatrzymuję, nie pyta dlaczego, tylko wykorzystuje okazję, by szczegółowo obejrzeć korę pobliskiego drzewa przez szkło powiększające albo zajrzeć pod kamienie. I mimo że jego taktowne zachowanie ma związek z przykrym wydarzeniem, dodaje mi ono sił, by iść naprzód. Takie było moje marzenie, to sobie wyobrażałam - zaproszenie do jego domu. Ale czuję, że przyciągają mnie niewidzialne siły. Rozglądam się w poszukiwaniu znaków, zwiastujących szczęście lub nieszczęście. Jemu się wydaje, że w obawie przed łąęgą.

- Już sobie poszedł - uspokaja mnie. - Jest teraz daleko stąd.

Opuszczamy chłodną, oliwkową poświatę wąwozu i wchodzimy w gorący, biały blask rozświetlonej słońcem dzielnicy. Ulice są puste. Mimo to zawsze istnieje ryzyko, że ktoś go zobaczy z dziewczyną.

- Idź przodem - mówię. - Spotkamy się pod twoim domem.

- Dobrze. - Spogląda w lewo i w prawo. Wie, o co mi chodzi.

Kiedy jest mniej więcej pół długości przecznicy przede mną, ruszam za nim. Dochodzi do naszej ulicy i przecina trawnik Fostersów. Zostaję na chodniku, jestem pewna, że właśnie tego ode mnie oczekuje. Mijam swój dom. Jak gdyby w transie, owładnięta tęsknotą za bezpieczniejszym czasem, przyglądam mu się przez dłuższą chwilę. Abel stoi już pod wiatą na samochód, stąd macha do mnie, bym szybko przebiegła do niego.

Idziemy wzdłuż ściany jego domu. Ktoś - ona? - wybija wojskowego marsza na klawiszach pianina, jakby wskazując nam drogę. Wchodzimy na podwórko za domem.

Jedną połowę, tę, na której właśnie się znajdujemy, zajmuje ogródek warzywny. Druga przypomina krajobraz księżycowy, cała w błocie, z mnóstwem dołków wykopanych przez psa, który na nasz widok odskakuje, pędzi do narożnika i zaczyna wykopywać kolejną dziurę. Obie połówki podwórka dzieli ściana z różowych róż. Zatrzymuję się przy grządkach kapusty, z trudem łapiąc oddech.

Abel już otworzył przeszklone drzwi.

- Możesz wejść do środka - zaprasza.

- Kto gra na pianinie?

- Moja matka.

Matka, nie mama. Słyszając to określenie, czuję, jak bardzo staje się dla mnie niedostępna. Muzyka się urywa.

- Jeśli chcesz - dodaje niepewnie.

Za późno. Ona wyrasta za nim jak płomień, jak słup ognia w długiej jaskrawopomarańczowej spódnicy i czerwono-pomarańczowej pasiastej koszuli. Na głowie ma czerwoną chustę zawiązaną u góry na supeł, jak sprzątaczką.

- Gość! - krzyczy, otwierając szerzej drzwi. - Abel, kim jest twoja mała przyjaciółka?

- To Louise - mruczy.

Zsuwa z ramion pasek od chlebaka, a ja, choć sama zmieszana, czuję, jak bardzo jest zakłopotany. Matka zawstydzila go, nazywając mnie „małą przyjaciółką”, albo może tylko takie wrażenie wywarły na nim jej ubranie, potężny głos, obco brzmiący akcent, który w mojej obecności wydawał mu się jeszcze bardziej ostry i wyraźny (tak jak uroda mojej matki uderzała mnie dopiero wtedy, gdy zauważałam, jak ktoś inny nie może od niej oderwać wzroku).

- Louise? - dziwi się. Uśmiecha się, mruży oczy, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

- Louise Kirk - mówi Abel. - Z naszej ulicy. Mieszka w tym domu ze srebrnym świerkiem od frontu.

- Ach, tak! Oczywiście! Louise z domu ze srebrnym świerkiem! Wspaniale! Witaj, Louise! Wejdz, proszę, wejdz! Zanim wpadną do środka te gryzące muchy.

Mijam krzaki pomidorów, grządki sałaty. Wchodzę po drewnianych schodach, stawiam stopy pośrodku stopni w miejscach, gdzie wytarła się już szara farba. Moja ręka ociera się o jej spódnicę.

- Nie! - krzyczy, a pode mną uginają się kolana.

Co się dzieje potem? Nie jestem pewna. Moje wspomnienia zdarzeń z następnych trzydziestu minut wydają się chaotyczne i wypaczone późniejszą wiedzą. Nie padam u jej stóp ani nie kompromituję się w inny sposób, to wiem z całą pewnością. (Nawet w chwili, gdy potykam się na progu, wiem, że ona krzyczy na psa.) Widzę siebie w ich domu. Siedzimy z Ablem obok siebie przy kuchennym stole, ona po przeciwnej stronie, mały elektryczny wentylator porusza kosmykami jej włosów, które wysunęły się spod chustki. Na stole stoi kryształowy dzban z mlekiem, deser na chińskim talerzyku, to zapewne wiśniowe ciasto domowej roboty albo szarlotka. Nigdy się nie martwiła, że po zjedzeniu słodyczy nie będziemy mieli chęci na kolację. Dobrze pamiętam, jak zachwycalam się wzorami wyrzeźbionymi na drewnianym stole i krzesłach, meblami w jadalni, takimi jak w każdym innym domu, i orientalnym dywanem na podłodze, chociaż nazwałabym go raczej staroświeckim. Ten permanentny stan kuchni: nie pozmywane naczynia, wypieki w trakcie przygotowywania, warzywa pokryte ziemią z ogródka, sterczące z koszyków porozstawianych tu i tam, tapeta w niebieskie dzwoneczki, sterty pożółkłych gazet i oprawione w ramki obrazki haftowanych na kanwie zwierząt gospodarskich (owca, krowa, koń, gęś), wiszące jeden nad drugim, w nierównym rzędzie między komodą a lodówką... Wszystko to odnotowałam w pamięci i byłam tym mile zaskoczona. Do dziś bardzo dobrze się czuję w kuchniach pełnych różnorodności.

Pamiętam też, że na początku rozmowa toczy się wyłącznie między nią a Ablem i że przez cały czas dotyka jego włosów, przeczesuje je palcami z wyraźną przyjemnością, czemu się wcale nie dziwię. On natomiast zupełnie nie zwraca na to uwagi, jakby zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Jest całkowicie pochłonięty jej opowieścią o fragmencie muzyki fortepianowej, który słyszała dziś rano w radiu. Obserwując, jak bawi się jego włosami, oddalam się od ich głosów. Otrząsam się dopiero wtedy, gdy ona nagle prostuje się na krześle i stwierdza: „Ależ Abel, to jest utalentowany pianista, przecież wiesz

doskonale!" Abel oblewa się rumieńcem. Ona jednak patrzy teraz na mnie, na mnie koncentruje całą swoją uwagę.

Co mówi? Nie wiem dlaczego, ale mam w głowie pustkę. Wydaje mi się, że pyta o to, czy lubię szkołę, jaki jest mój ulubiony przedmiot („lekcja" powiedziała, tak jak w późniejszych rozmowach, a ja zawahałam się, nie wiedząc, co ma na myśli, aż w końcu Abel podrzucił właściwe słowo). Pamiętam, o czym nie rozmawialiśmy. Nie mówiliśmy o tym mężczyźnie, chociaż wcześniej przypuszczałam i miałam nadzieję, że ten temat zostanie poruszony, ani o mojej matce, mimo że moja sytuacja jest najwyraźniej znana, ponieważ kiedy wychodzę, daje mi koszyczek marchewek dla „pomocy domowej". I oto mam okazję wystąpić z jednym z przemówień biednej sieroty, ale nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Nigdy dotąd nie sądziłam, że może mi się to przydarzyć. Inne matki mogą przecież wcale nie wierzyć, że moja matka uciekła - żadna matka by tego nie zrobiła - ale uważać, że została przepędzona. Przeze mnie!

Już nawet słyszę, jak pani Dingwall mówi: „Louise zawsze snuła się bez celu. Louise była strasznym rozczarowaniem dla Grace".

Żeby tylko się okazało, że moja matka została zagryziona przez psa chorego na wściekliznę albo zamordowana przez przystojniaka Dana. Dobrze pamiętam, że bardzo pragnęłam jej śmierci i żeby poniosła ją w niezwykłych okolicznościach.

Wychodzę, jak już wspomniałam, z koszykiem marchewek. A także z instrukcjami Abła, byśmy spotkali się jutro rano, o dziewiątej, w zagajniku sumaków. Dziewiąta rano, sumakowy zagajnik. Każdy ranek wakacji, który wspominam, kojarzy mi się z godziną i miejscem naszych spotkań. Nic nas nie powstrzymuje, ani burza, ani moje migreny, ani wyprawy jego matki po zakupy do sklepu spożywczego, na których obserwowaniu teraz, gdy mogę bywać w jego domu, przestało mi tak bardzo zależeć. Jesteśmy konfederatami, Abel i ja, tajnymi agentami. Układamy plany tak, by nikt nie widział nas razem, stosujemy wybiegi o wiele bardziej wymyślne, niż tego wymaga inteligencja i wrogość jego przeciwników, ale uciekanie się do podstępów obojgu nam weszło w krew. Zresztą groźba, że oberwie, jest dość realna, chociaż ja się bardziej przejmuję niż on.

Pozwalam mu przewodzić. Nigdy nie myślałam, że możemy zostać przyjaciółmi, ale od kiedy nimi jesteśmy, dążę do tego, by zdobyć go całkowicie. Pragnę, żeby czuł do

mnie coś więcej niż tylko sympatię, żeby usychał z tęsknoty za mną i żeby chciał mieć we mnie siostrę. Jego matka już traktuje mnie jak członka rodziny, mówiąc: „Louise, usiądź na swoim krześle”, kiedy przychodzimy do jego domu na przekąskę przed kolacją. W jej obecności wciąż jestem zbyt nieśmiała, by się odzywać, ale uwielbiam siedzieć na „swoim” krześle przy stole i wynagradzam sobie to, że przy Ablu przez cały dzień jestem nieustraszona i miła. Pani Richter haftuje na kanwie kolejny obrazek, tym razem świnkę, relacjonuje, czym zajmowała się od czasu, kiedy Abel wyszedł rano z domu: prasowała koszule pana Richtera, podwiązywała róże i tak dalej. Potrafi opowiadać bardzo długo i nie wymaga od nas żadnej reakcji ani nawet zbyt wiele uwagi. Kiedy więc niektóre fragmenty tej opowieści, z powodu jej obcego akcentu, zaczynają mi umykać, a Abel zwykle pograża się w lekturze książki albo artykułu z „National Geographic”, bez skrepowania rozglądam się dookoła, patrzę na garnki i patelnie wiszące na haczykach nad kuchenką, na kolekcję kufla do piwa na komodzie, na nią, obserwuję jej łagodne oczy i intrygujący nos, jej szerokie, naturalnie czerwone usta i rękę szybkimi, zręcznymi ruchami prowadzącą igłę.

Co jakiś czas przestaje wyszywać, podnosi wzrok znad robótki, uśmiecha się z wyrazem czystej przyjemności w oczach i potem, ponieważ Abel jest zajęty czytaniem, zwraca się do mnie:

- Louise!

- Tak? - pytam, czując przyspieszone bicie serca.

„Co jadłaś na obiad?” albo „Czy te kosy z czerwonymi skrzydłami wciąż siedzą w rogożach?” Zawsze zadaje miłe pytania, na które łatwo odpowiedzieć, dotyczące zdarzeń z minionego dnia.

Ja natomiast ograniczam się do krótkich odpowiedzi, nie tylko z powodu skrepowania, lecz także, by zrobić wrażenie nieśmiałej. Jestem przeciwieństwem Abła. Niech zobaczy, że gdyby mnie adoptowała, nie próbowałabym skupić na sobie całej jej uwagi.

Niezależnie od ukrytych motywów i wielkich planów, jest sporo prawdy w tym, że bardzo różnię się od Abła, co szczególnie wyraźnie zaznacza się w wąwozie. On doskonale wie, gdzie co jest, jak wszystko działa. Wydaje się, że wąwóz jest starą rezydencją, w

moim przekonaniu pustą, nie umeblowaną, z gołymi podłogami. On tymczasem odsuwa ścianki, za którymi kryją się pomieszczenia wypełnione skarbami, strychy zamieszkałe przez duchy... albo nietoperze. Myślę teraz o jaskini. Zabiera mnie tam pierwszego dnia. Dostajemy się do niej, wdrapując się na występ skalny - cały porośnięty piekącymi pokrzywami, prócz wąskiej ścieżki, którą Abel sam oczyścił. Wewnątrz czuć mocną, nieprzyjemną woń stęchlizny. Trudno cokolwiek dojrzeć, ale mam wrażenie, że ściany wznoszą się wysoko ponad moją głowę.

- Ale ogromna - dziwię się.

- Wcale nie jest głęboka - mówi. - Tak naprawdę to niezupełnie jaskinia. Na południu Ontario nie ma prawdziwych jaskiń. Ale ja ją tak nazywam.

- Ja też nazwałabym ją jaskinią - przyznaję lojalnie.

- Słyszysz?

- Co?

- Posłuchaj... Ten szelest?

- Co to takiego?

- Nietoperze.

Sięgam rękoma do głowy.

- Mała kolonia. - Abel się odwraca. - Mam latarkę. Zawsze ją tutaj trzymam.

- Nie! - Niektóre z nich właśnie zaczęły piszczeć. - Jest w sam raz - szepczę. -

Widzę je. - Próbuję go powstrzymać, nie chcę, żeby one mnie zobaczyły.

Zauważył, gdzie powędrowały moje ręce.

- To tylko opowiadka starych bab - tłumaczy. - Nietoperze doskonale orientują się w locie. Posługują się radarem, który wysyła sygnał ultradźwiękowy, i kierują się jego echem. To lepsze niż oczy. One wcale nie piją ludzkiej krwi, jak wszyscy myślą. Tak robią tylko nietoperze wampiry. Te są małe, brązowe i żywią się owadami.

- Przeszkadza im nasza obecność?

- Pewnie troszkę je niepokoi.

- W takim razie może powinniśmy już iść? - Zaczynam się wycofywać w stronę wejścia. Czuję, jakby łuska od nasienia pękła pod moją stopą. - Jeśli się denerwują.

- Dobrze, chodźmy stąd. Ale sama powiedz, czy nie jest fajna?

Chyba zwariował. Czyżby rzeczywiście uważał, że chciałabym zamienić to miejsce w swoją nową fortecę?

- Jasne - mówię. - Rzeczywiście.

Wcale nie ma źle w głowie, wiem o tym. Jest inteligentnym chłopcem, mądrzejszym od wszystkich znanych mi osób, także od ojca, którego moja matka nazywała jajogłowym, mądrzejszy od pani Richter, która w chwilach przytępienia, muszę to przyznać, jest nieco ograniczona, jeśli chodzi o najprostsze sprawy, zwłaszcza gdy ma się domyślać, dokąd Abel wymyka się w środku nocy, albo skojarzyć, jak się przedostać z zakupami przez obrotowe wyjście w sklepie Dominion. Abel nie ma takich luk w inteligencji, a przynajmniej ja nie potrafię się ich doszukać, chyba że skłonność do przeceniania mojej bystrości można do nich zaliczyć. Chyba jednak bierze się to raczej stąd, że niewiele wie o dziewczynach.

Jest dla mnie bardzo uprzejmy, traktuje mnie z powagą. Kilka razy dziennie objaśnia mi coś, co udało mi się zauważyć, albo częściej to, czego nie zdołałam dostrzec. Zupełnie mi to nie przeszkadza. Zwłaszcza że po pierwsze, poza tym mówi raczej niewiele. Po drugie, przekazuje wiele pożytecznych informacji, jak na przykład ta, że sok z łądygi niecierpka, kiedy się nim posmaruje skórę, uśmierza swędzącą wysypkę, albo że korzenia cykorii używa się do przyrządzenia kawy, którą jego matka lubi bardziej niż prawdziwą (oczywiście zbieram korzenie cykorii, ilekroć napotkamy ją po drodze). Zapewnia mnie, że w naszej części prowincji nie ma grzechotników. Mówi, że gdybyśmy zostali pozbawieni żywności z powodu katastrofy takiej jak choćby trzecia wojna światowa - którą uważa za znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo niż atak szkolnych łobuziaków - moglibyśmy przeżyć dzięki łądygom dmuchawca, młodym pędom paproci, malinom, grzybom, gotowanym korzeniom rogoży i drobnej dziczyźnie.

A jednak zagrożenia ze strony szkolnych łobuzów nie lekceważy. Tyle że nigdy nie nazwałby ich łobuzami, ponieważ wzdryga się na samą myśl o tym, żeby wypowiadać się o kimś w obraźliwy sposób. Mówi: „Pięciu chłopców nadchodzi na godzinie czwartej”, jakby zdawał neutralny, wojskowy raport. Dla niego przeciwnik nie jest najeźdźcą, mamy natomiast do czynienia z najazdem. Modyfikuję wyrażenia (nazywam samotnego wędrowca „zwiadowcą przedniej straży” zamiast „szaleńcem z brodą”) i w ten sposób

udaje mi się wciągnąć go w moje fantazje, w których jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni przez nieprzyjazne nam siły.

Nawet pracowników oczyszczalni obchodzimy na odległość. Z oddali widać, że kilku z nich trzyma papierosy między kciukiem a palcem wskazującym, a ponieważ wszyscy spędzają czas na dworze, siedząc przy rozkładanym stoliku turystycznym, rozglądając się wokoło, spoglądając w niebo, uznałam ich za członków siatki szpiegowskiej. Abel ma wątpliwości, ale przyjmuje moją wersję. (Ma także wątpliwości co do tego, że jego ojciec jest szpiegiem, pomimo że brał pod uwagę taką ewentualność, kiedy wystąpiłam z pytaniem, czy plotki są prawdziwe. „Nie wydaje mi się - powiedział w końcu. - Nikt nigdy do niego nie dzwoni i nie zdarza się, żeby musiał niespodziewanie wyjść po kolacji".)

Obserwujemy mężczyznę przez wielką starą lornetkę, którą Abel trzyma owiniętą w ceratę i wepchniętą w zagłębienie pnia ściętego drzewa leżącego na przeciwległym brzegu rzeki, na wprost oczyszczalni. Ma co najmniej kilka takich tajemniczych kryjówek w całym wąwozie, w innych kłodach i opuszczonych lisich norach. Tam przechowuje rzeczy, których nie chce nosić cały dzień ze sobą: jedzenie, wodę, kamienie, kielnię, rękawice ogrodowe (wkłada je do wycinania pokrzyw) i książkę zatytułowaną *Towarzysz tropiciela*. Teraz i ja postępuję podobnie, ukrywam chlebak, termos i pudełko z drugim śniadaniem w drugim końcu tego samego pnia, w którym on trzyma swoje pakunki. W głębi jaskini, tam gdzie siedzą nietoperze, razem z latarką chowa włócznie z klonowych gałązek, z idealnie zaostrzonymi grotami. Podczas naszej drugiej wizyty w jaskini przynosi najdłuższą z nich na występ skalny i daje mi ją potrzymać.

- Rany - mówię - mógłbyś kogoś tym zabić! - Ruchem ręki imituję dźgnięcie. - A masz!

- To raczej do zabawy w polowanie - mruczy.

- Polowanie na wrogów - uściślam.

Ponieważ to on jest przywódcą, nasza strategia ma charakter całkowicie defensywny. Ciągłe przeprowadzamy rekonesans, skradamy się w górę i w dół zbocza, w odległości mniej więcej metra od siebie, i porozumiewamy się ze sobą, wydając odgłosy przypominające krakanie i pohukiwanie. Jeśli chcemy przepłynąć przez rzekę,

omijamy mostek i przeciągamy się na pędach dzikiego wina. Pod jego krzewami, w mule na brzegu rzeki kopujemy pułapki, niezbyt głębokie (w końcu mamy tylko kielnię), ale ktoś, kto ruszyłby za nami w pościg, mógłby w nie wpaść, przewrócić się, a my zyskalibyśmy na czasie. Ponieważ prawie każdego popołudnia pada i krótkie, gwałtowne ulewy niszczą nam pułapki, codziennie rano odkopujemy je i zamaskowujemy na nowo. Przetrzęsamy cały brzeg w poszukiwaniu śladów odchodów albo pozostałości, jak je nazywa Abel - człowieka, lisa, szopa, wiewiórki, skunksa, królika - porównując nasze znaleziska z rysunkami w *Towarzyszu tropiciela*. Mnie te rysunki wydają się szokujące, choć nie wyrażam głośno swego zdania. Nie okazuję także obrzydzenia, kiedy Abel wtyka patyk w odchody szopa, by sprawdzić, czy są tam żuczki gnojaki, i najczęściej je znajduje. Mówię mu to, co chce usłyszeć: że żuki są przepiękne. W sierpniu, po obejrzeniu z konieczności tak wielu z nich, z lśniąco-białymi albo fioletowo-pancerzami, mogę szczerze powiedzieć, że rzeczywiście są ładne.

Nasze ślady starannie zacieramy. Kiedy musimy sobie ulżyć (albo „pójść”, jak to nazywamy. „Muszę pójść” - mówi jedno z nas, a wtedy drugie odwraca się i odchodzi na przyzwoitą odległość), za pomocą patyka albo kamienia wykopujemy dołek, który później zasypujemy. Wszelkie ślady stóp na miękkim podłożu maskujemy, wracając po nich albo idąc tyłem do miejsca, z którego wyruszyliśmy. Poruszamy się jak Indianie, a przynajmniej on tak robi. Nie potrafię nauczyć się bezszelestnie przechodzić po sosnowej ściółce i gałązkach.

Twierdzi, że powinnam udawać, że wiszę ponad ziemią na sznurkach.

- Jak marionetka. Twoje stopy ledwo dotykają podłoża. Bezskutecznie.

- No tak - mówi wtedy - wobec tego wyobraź sobie, że całą planetę otacza powłoka antygrawitacyjna, a ty nie możesz stopami dotknąć ziemi, chyba że masz specjalne, antygrawitacyjne buty.

To także nie pomaga.

Późnym popołudniem zazwyczaj idziemy do niego do domu, oddzielnymi trasami. Przy kuchennym stole zjadamy strudel albo placek z owocami, pijemy mleko, czasami mrożoną herbatę. Abel czyta. Kolacja w domu stygnie, a ja wsłuchuję się w głos pani Richter, choć jestem już na tyle ośmielona, że czasem bardziej wyczerpująco odpowiadam

na jej pytania. Można więc uznać, że w pewnym sensie prowadzimy ze sobą rozmowę. Chwałę jej wypieki i hafty. Pewnego dnia zdobywam się na odwagę i mówię, że chciałabym, żeby ktoś nauczył mnie piec.

- Ale nie pani Carver - dodaję. - Jej placki są gliniaste, pani piecze lekkie i kruche. Nie odczytuje aluzji.

- Taki komplement! - woła. - Spuchnie mi w głowie!

- Przewróci się - podpowiada Abel, nie odrywając oczu od książki.

- Przewróci mi się w głowie! - poprawia się pani Richter.

Uśmiecham się. Robię to nieustannie i mam nadzieję, że to szczerzy i miły uśmiech. Staram się sprawiać wrażenie wątlej sieroty. Zaczynam mówić o mojej matce, czym zwracam ich uwagę, zauważyłam to wyraźnie. Abel przestaje czytać, pani Richter odkłada wyszywanekę. Czuję się w obowiązku wytłumaczyć, dlaczego moja matka odeszła, by zdyskredytować oszczerstwa, które, jestem o tym przekonana, rozpowszechnia pani Dingwall. Jednocześnie boję się poruszać ten trudny dla mnie temat. Potrzebuję zachęty, punktu zaczepienia.

Okazja nadarza się pewnego popołudnia, gdy pani Richter mówi, że zjawił się u jej drzwi akwizytor i niepotrzebnie kupiła dwie szczotki, tylko dlatego, że był to taki kanciarz i kombinator.

- Kanciarz i kombinator - poprawiam, siadając prosto.

- Taki kanciarz i kombinator!

- Znam ich na wylot - mówię.

- Naprawdę?

- Moja matka uciekła z takim jednym, dlatego wiem, jacy są.

Pani Richter mruga.

- Ach tak!

- Omotał ją.

Pani Richter głośno mlaska.

- Napisała pożegnalny list, a w nim, że tak naprawdę wcale nie chciała nas opuszczać.

Nie ma możliwości udowodnić, że było inaczej. O ile wiem, liścik dawno zniknął, przypuszczalnie zabrała go ciotka Verna. W każdym razie nie wyobrażam sobie mojego ojca ogłaszającego treść notatki sąsiadom.

- Powiedziała, że bardzo mnie kochała - dodaję.

- Ależ oczywiście, że bardzo cię kochała! - zapewnia pani Richter. - Która matka nie kochałaby bardzo mocno własnego dziecka?!

Jest parny, burzliwy sierpień, ciemne chmury nadciągają z południowego zachodu prawie każdego dnia, akurat wtedy, gdy kończymy jeść lunch. Wraz z pierwszymi grzmotami kierujemy się do jaskini, w której kołuje już kilka nietoperzy. Po tych kilku tygodniach, kiedy to żaden nawet nie dotknął mnie koniuszkiem skrzydła, przestałam się ich bać. Pikują w odległości kilkunastu centymetrów od nas. Czuje się delikatny ruch powietrza, jakby ktoś zdmuchiwał zapałkę. Ich pisk przebija się przez ciemność i sprawia wrażenie, jakby to sama jaskinia skrzypiała, zmieniając konfigurację pod wpływem grzmotów.

Wiatr jeszcze się nie zerwał. Nadchodzi, kiedy pierwsze krople uderzają w występ skalny. Chwilę później rozpoczyna się ulewa, a jej szum brzmi jak zakłócenia w radiu. Abel czasami udaje, że rzeczywiście tak jest, podając komunikaty: „Wieża przekaźnikowa uszkodzona” albo „Kwatera główna wciąż próbuje nawiązać łączność”. Zdarza się, że krople deszczu wpadają do środka, co wywołuje zamieszanie wśród nietoperzy, które w dalszym ciągu wiszą pod sklepieniem jaskini. Po szczególnie głośnym uderzeniu pioruna kilka z nich odpada i dołącza do tych, które już latają.

- Są blisko - melduje Abel, wyobrażając sobie wybuch artyleryjski. - Bezpośredni atak! - woła, kiedy grzmot i błyskawica następują niemal w tej samej chwili.

Padamy na ziemię.

Abel wygląda niesamowicie w świetle błyskawic, z nietoperzami latającymi w szyku przypominającym ruch powietrza w oku cyklonu nad jego głową, która jest na wyciągnięcie ręki od mojej. Ponieważ znajdujemy się w jaskini i tylko tutaj jesteśmy tak blisko siebie, zaczynam być świadoma tego, że on jest chłopcem. Co będzie, jeśli mnie pocałuje? A jeżeli ja pocałuję jego? Jestem zaskoczona, że nawiedzają mnie takie myśli na temat kogoś, kto właściwie jest moim bratem. Z kolei wcale nie wydaje mi się dziwne -

gdy w domu wyobrażam sobie, że wpadł pod samochód albo został zastrzelony przez włamywacza - że pani Richter dzwoni do mnie, chcąc znaleźć pocieszenie. Jestem zakochana bez wzajemności. Kiedy jestem sama, przepełnia mnie tęsknota, przy nim przeżywam chwile wzmożonych i słabnących oczekiwań. Coś się zdarzy, musi się zdarzyć. Dudniące odgłosy regularnie przetaczających się burz wydają się głośnym domaganiem się tego czegoś. Ale czego? Tego nie wiem, nie mam pojęcia, co to jest, jednak siedząc w kucki obok niego w jaskini, jestem na to gotowa. Ciekawe, czy on czuje to samo. Widzę wyraźnie, tak jak nie zobaczę już nigdy, niemal odpychającą wąłość w jego łukowato wygiętych plecach, a może to jego kręcone włosy albo pełne usta sprawiają wrażenie, którego nie potrafię przypisać jednemu miejscu. Innym razem dostrzegam w nim chłopca wyróżniającego się nadzwyczajnymi cechami wśród innych chłopców, których znam. Myślę, że większość dziewcząt ze szkoły kocha się w nim potajemnie, chociaż wcale się tym nie przejmuję.

Takie są te dni. Noce, ciepłe, wietrzne i mgliste, rozbrzmiewają cykaniem świerszczy. Kiedy zapalają się latarnie i mniej pobłażliwi rodzice wzywają dzieci do domów, Abel i ja ratujemy ćmy. Jak duchy nietoperzy, blade ćmy trzepoczą w magicznej strefie, gdzie zderzenie między nimi i nami wydaje się nieuniknione, lecz mimo usilnych starań nie możemy żadnej z nich dotknąć. Stąd siatka, ale posługiwanie się nią wymaga sprawności, jeśli nie chcemy ich skrzywdzić.

Chwytnie nią nocnych motyli pozostawiam Ablowi, tak jak przenoszenie ich z siatki do słoika. Stoję, patrzę w górę i błagam:

- Nie! Proszę! - Trudno o bardziej przykry widok od szarpiącej się w siatce ćmy i jej nie kończącej się wspinaczki z powrotem do światła. - Chcemy wam tylko pomóc - mówię. - Chcemy wam uratować życie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Z eseju Abła „Zapomnienie”, strona dziesiąta: „Skąd mamy wiedzieć, że żadna żyjąca istota nie ma świadomości? A może porządek i symetria, które dostrzegamy w przyrodzie, są w mniejszym zakresie uzależnione od determinizmu genetycznego niż od świadomości, że dwie podobne rzeczy wykazują podobieństwo i w jakim stopniu. Gałęzie rosną tylko do takiej długości, by wraz z w pełni rozwiniętymi liśćmi nadawały właściwy kształt koronie drzewa. Żadna gałąź nie wyrasta w sposób wyraźnie odstający od innych, ponieważ jest doskonale świadoma swojego sąsiedztwa i pozostaje z nim w idealnej harmonii. Włosy, futro, trawa i płatki kwiatów rosną tylko tyle, ile potrzeba, i ani centymetra więcej. Podobnie inteligencja i aspiracje wszystkich istot są wyznaczone przez z góry określone granice. Jeśli włosy albo gałąź rosłyby bez ograniczeń, a istoty żyły, wykorzystując pełnię swoich możliwości, w zupełnej izolacji od otoczenia, którego nie byłyby świadome, kto wie, jak daleko posunąłby się ich rozwój?”

Zastanawia mnie ten akapit. Z jednej strony wydaje się, że Abel zdolność obserwacji i dostosowywania się do otoczenia traktuje jako godne najwyższego uznania. Uważa, że im więcej uwagi poświęcasz wszystkiemu i wszystkim wokół siebie, tym mniejsze jest niebezpieczeństwo, że „wyróżnisz w sposób wyraźnie odstający od innych” i naruszysz naturalną równowagę.

Z drugiej strony, nazywa tę wszechstronną świadomość otoczenia ograniczeniem. Jednak nie ograniczeniem zdolności głębszego postrzegania, nie możliwości - na przykład - znalezienia osoby tak nadzwyczajnej, że nie będziesz w stanie oderwać od niej wzroku. Szkoda mu, że potencjał jednostki jest tłumiony. „Zupełna izolacja” - nie potrafię przeczytać tych słów bez westchnienia. Co on sugeruje, jeśli nie to, że przywiązanie stoi na przeszkodzie spełnieniu?

Myślę o pustce w przestrzeni kosmicznej i mężczyznach, którzy udają się tam samotnie w swoich małych pojazdach, pozostawiając na Ziemi żony i narzeczone. Myślę o sobie i Ablu, jak leżymy na trawie, patrzymy w gwiazdy, i o tym, jak nam było razem wspaniale, a mimo to zawsze czekałam, żeby odwrócił głowę. Żeby spojrzeć na mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Przykre, metaliczne uczucie się utrzymuje. Leżę na wznak na szerokim łożu z rękoma sztywno wyciągniętymi wzdłuż ciała. Powieki ciężą mi, jakby były z ołowiu, i momentalnie zasypiam. We śnie widzę przeszklone drapacze chmur i nienaturalnie czyste łazienki. Po dziewięciu godzinach nie poruszyłam się nawet o milimetr, rozluźniłam tylko pięści. Dopiero teraz zauważyłam, że na całutkim suficie są przyklepione złote gwiazdki, niektóre trzymają się jeszcze tylko w jednym miejscu, inne odpadły, ale pozostały po nich ciemniejsze ślady kleju. Nie jestem zdezorientowana. Obudziłam się i dokładnie wiem, gdzie się znajduję (w hotelu Water's Edge, pokój 1014, apartament dla nowożeńców) i dlaczego (Abel, ten drań).

Biorę prysznic. Myjąc głowę, niemal intuicyjnie wyczuwam niewyraźne światło za lewym ramieniem. Anioł Miłości, myślę znużona i zaczynam zastanawiać się, czy przypadkiem nie cierpię na jakąś chorobę oczu, której objawem są halucynacje świetlne na granicy pola widzenia. Jedno z dwojga, albo choroba oczu, albo urojenia. Wierzyłam, że Abel mnie kocha. Spoglądam na brzuch i przypominam sobie, że chciałam powiedzieć: „Mały, tam w środku”. No cóż, szalony naukowiec od aborcji w Buffalo może sobie wziąć tego małego ze środka. Wyrwać jego małe, ciemne serce.

Ubieram się w dzinsy i podkoszulek, wkładam czółenka na stopy oklejone przesiąkniętymi krwią opatrunkami, które pomimo zamoczenia pod prysznicem trzymają się mocno, i kuśtykam na dół do jadalni. Zjadam wyjątkowo paskudne śniadanie, składające się z zalatującego stęchlizną soku pomarańczowego, niedosmażonego bekonu, gumowatej jajecznicy i zawilgotniałej grzanki. Wszyscy inni goście narzekają i wypluwają na talerze to, co wzięli już do ust. Kiedy kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku odwraca się do mnie i podziwia mój żelazny żołądek, odpowiadam jej, że nie czuję żadnego smaku, chociaż wcale tak nie jest. Po raz pierwszy od wielu dni nie męczą mnie mdłości, więc obrzydliwy smak jest niczym w porównaniu z ogromną ulgą, że mimo starań nie mogę nic przełknąć.

- Poza tym - dotykam brzucha - muszę jeść. Teraz jem za dwoje.

Dlaczego jej to mówię? Ponieważ chcę zrobić na niej wrażenie, przynajmniej tak mi się wydaje (i oto efekty: osłupienie, oczy, które mierzą mnie od góry do dołu, potem zatrzymują się na serdecznym palcu bez obrączki, i zdawkowe stwierdzenie: „Proszę przyjąć moje gratulacje”). Także dlatego, że rzeczywiście jem za dwoje, mimo że niechętnie, chociaż tylko przejściowo, poza tym jestem w nastroju, by spojrzeć prawdzie w oczy. Godzinę później, w taksówce, jadąc na lotnisko, podziwiam widoki, lecz nie staram się wyobrazić sobie gór jako symboli szlachetnych uczuć, nie martwię się także o to, że nie pamiętam, z jakiego okresu geologicznego pochodzą. Oto jak się czuję, kiedy Abel znika z mojego życia, myślę. Wszystko jest bardziej prawdziwe, gdy sama tego doświadczam. W listach często wypowiadał się na temat prawdy: „Prawda cię uwolni”, „Prawda jest pięknem, piękno prawdą” - tak jakby zdrada i kałuże wymiocin były tylko złudzeniem. Albo, co wydaje się jeszcze bardziej absurdalne, jakby nawet te rzeczy, ponieważ nie są złudzeniem, należało zaliczać do piękna.

Czytam biografię J. S. Bacha. W drodze do Vancouveru, zgodnie z planem, miałam zapamiętać interesujące szczegóły z książki i błysnąć wiedzą w rozmowie z Ablem. W drodze powrotnej czuję się przytłoczona lekturą, która teraz wydaje mi się ostrzeżeniem przed niebezpiecznym związkiem z genialnym artystą. Czytając fragmenty takie jak ten: „Nigdy nie posunął się do tego, by się tłumaczyć albo usprawiedliwiać z postępowania, które wynikało z jego osobistych pobudek”, kiwam tylko głową i pry cham zirytowana, chociaż w równym stopniu denerwuje mnie postępowanie świętoszkowatej i mało rozgarniętej Anny Magdaleny, począwszy od jej wielokrotnych porodów (trzydzieści!), aż po zaskoczenie i rozpacz, gdy po śmierci męża okazało się, że nie sporządził testamentu. Bach, jak się zdaje, „nawet nie pomyślał o finansowym zabezpieczeniu żony i swoich dzieci”. Gdyby tak zrobił, „ona najprawdopodobniej uniknęłaby życia w przytułku i nie skończyła w grobie dla nędzarzy”.

Jeśli chodzi o mnie, uważam, że dostała to, na co zasłużyła.

Łądujemy o zachodzie słońca. Ponieważ w portfelu wciąż mam sporo pieniędzy, a stopy pieką niemiłosiernie, pozwalam sobie na taksówkę. Ojciec uważa, że autokar dowiezie wszystkich uczestników wycieczki do Greenwood Plaza, więc jeśli zobaczy taksówkę zatrzymującą się przed domem, gdy akurat w tej samej chwili będzie wyglądał

przez okno, dojdzie do wniosku, że najprawdopodobniej mieliśmy awarię. To, że skłamałam, w ogóle nie przejdzie mu przez myśl.

Jest w kuchni. Na odgłos otwieranych drzwi wybiega do holu z rozpromienioną twarzą.

- No i jak było? - pyta. - Jak tam nasza stolica?

- Na swoim miejscu, wciąż się trzyma. - Zdejmuję buty. - Czego niestety nie mogę powiedzieć o sobie.

- Dobry Boże, co się stało?

- Moje nowe buty zdarły mi skórę do kości.

- Chodź do kuchni. - Bierze mnie za rękę. - Zaraz się im przyjrzę.

Siadamy przy stole, a ja kładę stopy na jego kolanach.

- Sama to zrobiłaś? - pyta, wskazując palcem na opatrunki.

- Nie, pomogła mi jedna pani. Bardzo miła. Dała mi również swoje czółenka.

Ostrożnie zdejmuje jeden z plastrów, którym jest oklejony duży palec u lewej nogi.

- Trochę spuchnięty - mówi. - Ale już zaczyna się goić. Widzę, że zdezynfekowała ci ranę.

- Tak.

- Kim ona była? Pielęgniarką?

- Nie, przechodziła obok, kiedy zauważyłam krew wewnątrz butów. Zabrała mnie do przychodni, ale w sobotę nie ma tam pielęgniarek, więc sama opatrzyła mi stopy. Nie dowiedzieliśmy się, jak się nazywa, ale nasz nauczyciel twierdził, że to mogła być Judy LaMarsh.

Judy LaMarsh jest jedyną kobietą politykiem, która akurat przychodzi mi do głowy, prawdopodobnie dlatego, że miałam kiedyś wychowawczynię o takim samym nazwisku.

Ojciec podnosi na mnie wzrok.

- Naprawdę?

- Wydawała dyspozycje, tak jakby była jakąś ważną osobistością.

- Ciemne włosy? Okulary?

- Tak.

- No proszę. - Uśmiecha się. - Myślałem, że nie bywa już w parlamencie, ale pewnie przysłała, bo miała coś do załatwienia, może chciała kogoś odwiedzić.

Nie zamierzałam dalej kłamać. W samolocie, a nawet idąc już do domu, chciałam wyznać całą prawdę, łącznie z tym, że planuję poddać się aborcji. Ale potem położyłam stopy na jego kolanach.

Nie, złamałam się już wcześniej: wchodząc do kuchni, na widok kawałka odgrzewanego mięsa na jego niedzielny obiad, krzyżówki z „Globe and Mail” na stole, pogryzionego ołówka i okularów do czytania, w których pourywane zawiasy zastąpił spinaczami. Wystarczyła mi ta jedna mała scenka. Całości dopełniał ohydny, fioletowo-zielony sweter w kwadraty, który miał na sobie. Nosił go z upodobaniem, wierząc, że matka doceniłaby ten wybór, ponieważ sweter pochodził z katalogu Eatona.

Czy można zrzucić cegłę na kruchy domek z kart? Wyprułyby sobie wnętrzności, żeby tylko być wyrozumiały i pomocny; nie byłoby żadnych pogadanek ani żądań. Najprawdopodobniej sam zawiózłby mnie do Buffalo, gdybym powiedziała, że właśnie tak postanowiłam rozwiązać problem. Później popadłby w zadumę, ale nie na długo. Niezależnie od wszystkiego, uważałby się za dobroczyńcę.

Idzie do łazienki i wraca z apteczką. Obserwując, jak przeciera mi pęcherze wacikiem zamoczonym w jodynie, czuję niemal bolesny przypływ miłości do niego. Rozprawia o Ottawie, mieście, w którym nigdy w życiu nie byłam i z trudem je sobie wyobrażam. Bardzo ułatwia mi zadanie, ponieważ każdą wypowiedź kończy w taki sposób, że pozostaje mi tylko potwierdzić:

- Niektórzy ludzie uważają, że jest zbyt stateczna, nawet jak na stolicę, zbyt instytucjonalna, za szara.

- Na pewno mają wiele racji.

- Szkoda, że nie udało wam się trafić na sesję parlamentu. Mam nadzieję, że przynajmniej wpuścili was na salę obrad.

- Tak, wpuścili.

Kiedy jestem już opatrzona, a moje stopy znowu dotykają podłogi, przygląda mi się badawczo. Pod wpływem tego spojrzenia budzą się we mnie wątpliwości, czy przypadkiem czegoś nie podejrzewa. Już wcześniej obserwował mnie w taki sam sposób, a ja

nigdy nie potrafiłam dociec, jaki miał w tym cel. Wydawało mi się wtedy, że mógł się we mnie doszukiwać matki (podobieństwa do niej, wskazówki do wyjaśnienia jej zachowania), albo dlatego tak patrzył, że w moich oczach, ponieważ były tak ładną podobne do jego, widział siebie i własne myśli. Teraz, kiedy jestem w ciąży, być może wysyłam sygnały, które on wyczuwa, ale nie może dotknąć ich palcem.

- No co? - odzywam się w końcu.

- Och... - potrząsa głową. - Nic, nic. Jesteś może głodna? Odpowiadam, że jadłam w samolocie i chcę się położyć.

- Chyba jeszcze nie wygrzebałam się z tej grypy - dodaję. - Nie. - Odchylam głowę, kiedy wyciąga rękę, by dotknąć mego czoła. - Nie mam gorączki. Czuję się tylko osłabiona. Wiesz, lepiej nie będę ryzykować i pewnie jutro nie pójdę do szkoły.

Tuż przed świtem zwlekam się na dół do kuchni - stąd tak łatwo mnie nie usłyszysz - i tam wymiotuję do zlewu. Potem wracam do łóżka i budzę się dopiero około dziesiątej, kiedy na krawędzi mojego łóżka siada pani Carver. Ona także mierzy mnie wzrokiem, już po raz trzeci w ciągu niespełna tygodnia. Ale tak jak ojciec próbuje znaleźć wyjaśnienie czegoś, co go nurtuje, pani Carver, jak mi się zdaje, czeka, aż przyznam się do tego, co ona już dawno odkryła. Więc mówię.

- Ojcem nie jest Tim Todd, tylko Abel. Mruga.

- Myślała pani, że Tim.

- O czym ty... - Dotyka oprawki okularów. - Co chcesz...

- Przecież pani wie, że jestem w ciąży.

Jej usta otwierają się i zamykają, otwierają i zamykają.

- Jestem w ciąży - powtarzam. - Myślałam, że już się pani domyśliła.

Potrząsa głową. Siadam.

- To dlaczego tak mi się pani od jakiegoś czasu przyglądała?

Wstaje.

- Na przykład teraz. Budzę się, a pani siedzi tu i się we mnie wpatruje.

Jej oczy są jak spodki. Chwyta się za serce.

- Myślałam... - oddycha głęboko.

- Wszystko w porządku?

- Myślałam... że... bierzesz...
- Co biorę?
- Narkotyki.
- Narkotyki? Jakie narkotyki?
- Pani Sawchuk cię widziała.
- Pani Sawchuk?

Jej przyjaciółka, sekretarka w kancelarii prawniczej, kobieta w średnim wieku, która utrzymuje, że cała była upstrzona brodawkami, zanim wypróbowała na sobie jedną z cudownych mikstur pani Carver.

- Byłaś z... - Zwija spirale palcami po obu stronach głowy, opuszczając przy tym ręce, by pokazać długie, kręcone włosy.

To pewnie Abel. Gdzie? Gdzie nas widziała? Mogło być tylko jedno takie miejsce, więc odpowiadam za nią.

- Na rogu Bloor i Yonge.
- W parku. Paliliście.
- No i?
- Fajkę.

Ten nagły zwrot zdarzeń wydaje mi się niewiarygodny.

- Niby co pani Sawchuk mogła z tego wywnioskować?
- To było w czerwcu.
- A ona tak po prostu z tym wyskoczyła?
- Kiedy napomknęłam jej, że... wymiotujesz.
- Niech jej pani powie, że marihuana nie powoduje wymiotów. Może być spokojna.

Nie jestem uzależniona, ale w ciąży, to wszystko. I zamierzam poddać się aborcji.

Zaczynam płakać.

Pani Carver siada z powrotem na brzegu łóżka i mnie obejmuje.

- Szz, sz, sz, sz - uspokaja.

Wydobywa z zanadru paczkę chusteczek jednorazowych i wycieram nos.

- Nie wiem nic o dzieciach - szlocham. - Nigdy się żadnym nie opiekowałam. Nigdy nawet żadnego nie trzymałam na rękach.

Gładzi mnie po ramieniu.

- Jesteś pewna?
- Zrobiłam sobie test. W aptece.
- Ile to czasu?
- Dwa miesiące.
- Czy Abel...
- Nie. I nie mam zamiaru mu mówić.

Wskazuje na ścianę dzielącą mój pokój od gabinetu ojca.

- Ależ skąd. Nie ma najmniejszego pojęcia. - Osuwam się i opieram o wezglowie łóżka. - Jest pewien lekarz w Buffalo. Nie bierze dużo.

Macha ręką. Nie chce tego słuchać.

- I tak się tego pozbędę - mówię ostrzegawczo.
- Ja to zrobię!
- Pomoże mi pani?

Potakuje. Robi wrażenie niepokojąco zapalonej do tego przedsięwzięcia.

- Zoperuje mnie pani?!
- Nie! Nie! - znowu macha ręką.
- A więc jak?
- Jest taka herbata.

Okazuje się, że tę herbatę podawała swojej córce, Stelli, jedenaście lat temu, kiedy tamta zaszła bez ślubu w ciążę. Cóż za wstrząsająca wiadomość. Stella, teraz szczęśliwa żona, która dziecięcym głosem pyta przez telefon: „Czy mogę rozmawiać z panią Carver?” Wyobrażałam ją sobie jako chudsza i jeszcze bardziej nerwową od matki.

- Czy to będzie bolało? - pytam, zastanawiając się jednocześnie, czy nerwowość Stelli mogły wywołać przejścia z tą herbatką.

Pani Carver wzrusza ramionami.

- Masz skurcze (wbija sobie pięści na wysokości żołądka), ale możesz sobie ulżyć, łykając codziennie rano łyżkę oleju z wątroby dorsza i biorąc gorące kąpiele.
- Jak często trzeba pić to świństwo? Podnosi cztery palce.
- Co cztery dni? Co cztery godziny? W nocy też? Jak długo, żeby zaczęło działać?

- Dopóki nie zaczniesz krwawić. Wzdycham.
- Dobra. A jaki to ma smak?
- Gorzki. Paskudny.
- Co jest w tej herbacie?

Karcące spojrzenie. Nigdy nikomu nie zdradza składników swoich mikstur.

A więc mam do wyboru wyprawę do Buffalo, gdzie zwariowany specjalista wyciągnie ze mnie dziecko szczypcami (czy innym sposobem), ale przynajmniej cała sprawa szybko się skończy, albo zostać na miejscu i zabijać dziecko powoli, za pomocą tajemniczego eliksiru i wyobrażać sobie, że mam poronienie, a gorycz i paskudny smak złożą się na swego rodzaju pokutę.

Herbata ma smak chrzanu i zgniłych jajek. A skurcze są stałe, no i powinna była mnie uprzedzić o powtarzającym się oszołomieniu, a także nagłych, dzwoniących bólach głowy. Idąc, skupiam wzrok w punkcie znajdującym się w pewnej odległości przed sobą, by utrzymać równowagę. Alice próbuje prowadzić mnie pod ramię, ale się jej wyrrywam. W ten sposób ściąga tylko na mnie jeszcze więcej uwagi. Odnoszę wrażenie, że pół szkoły uważa, że jestem nieustannie naćpana. Alice myśli, że poroniłam w czasie podróży do Vancouveru, a teraz zmagam się ze skutkami tego zdarzenia (nie potrafiłam powiedzieć jej prawdy).

- Zajmowałam toaletę przez co najmniej godzinę - powiedziałam. - Stewardesa cały czas pukała i pytała, czy wszystko w porządku.

- Biedactwo - mówi współczująco Alice. - Musiałaś przez to wszystko przejść kompletnie sama.

- Bóg był ze mną.
- Drwisz sobie, bo jesteś rozgoryczona. Ale On był. I jest.

Wieczorem, w kuchni swojego mieszkania, pani Carver parzy tyle herbaty, by wystarczyło mi na cały następny dzień. Używamy dwóch termosów. Kiedy wracam do domu ze szkoły, oddaję jej pusty, a ona zamienia go na pełny. Potem moczę się w wannie z gorącą wodą, która nie tylko łagodzi skurcze, ale także najwyraźniej irytuje dziecko, albo „to”, jak radzi mówić o nim pani Carver, by nie tworzyć zbędnych więzi. W czasie, gdy biorę kąpiel, ona szykuje preparat do irygacji, by jeszcze bardziej „to” podrażnić. Kiedy

kończę kąpiel, preparat jest już w małej czerwonej gruszce na nocnej szafce przy moim łóżku, a ja leżę na plecach i wlewam w siebie ciepłą, cuchnącą smołą ciecz w kolorze czarnej kawy, potem chwilę trwam bez ruchu z uniesionymi nogami. Wreszcie, jeśli zdołam zebrać w sobie dość siły, idę do piwnicy i tam skaczę na skakance. Chodzi o to, by dać „temu” do zrozumienia, że nie jest mile widziane. Nie możesz go w ten sposób zabić, ale możesz doprowadzić do samobójstwa.

Mój ojciec myśli, że cierpię z powodu zaburzeń menstruacyjnych i złamanego serca. Tymczasem pani Carver nie potrafi pogodzić się z moimi jawnymi kłamstwami. Powiedziała, że powinnam jakoś zręcznie schodzić mu z oczu, ale wiem, że trudno byłoby go zniechęcić. Zawsze doszukuje się objawów zapalenia wyrostka robaczkowego, a ja właśnie przemykam z pokoju do pokoju z rękoma kurczowo przyciśniętymi do brzucha (czemu nie da się „tego” po prostu wypchnąć?). Nic poza wstydliwą sprawą (według niego), jaką jest moja miesiączka, nie powstrzymałoby jego zabiegów, by zmierzyć mi gorączkę. Rzekomy list od Abła oznajmiający zerwanie trzyma ojca na jeszcze większy dystans.

Żadnych pytań, żadnych pośrednich ingerencji, tylko jego wielkie oczy spoglądające na mnie ze współczuciem podczas kolacji, podążające za mną, kiedy mijamy się w holu. W tym czasie, pod wpływem jego domniemań, moje myśli kierują się w stronę Abła, i dalej, do dziecięcej kołyski, chociaż jedynie na krótko, ponieważ skurcze przywracają mnie do rzeczywistości.

Z powodu skurczów sypiam nie więcej niż dwie, trzy godziny na dobę. W snach jestem porośnięta futrem, wypadają mi zęby. Regularnie nawiedza mnie ten sam sen, w którym zamiast poronić, rodzę dwanaście malutkich dzieciaczków, które od razu mówią pełnymi zdaniem, ale nie są większe od myszy i kurczą się z godziny na godzinę. Gubią mi się w szczelinach drewnianej podłogi naszego domu. Owijam je w zimowe ubranka, układam rzędem na sankach i spycham ze stoku. Gawędząc między sobą, znikają. Przedzieram się przez zaspy, przyglądam uważnie każdej ciemnej drobinie, sprawdzając, czy to jedno z nich. Miłość i przerażenie, które czuję w snach, po przebudzeniu ustępują natychmiast. Cała drżę i płaczę, myślę zadziwiona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Z końcem lata, w pierwszym roku zamieszkania Richterów w Greenwoods, czuję się u nich na tyle zadomowiona, że jeśli muszę skorzystać z łazienki, nie idę prosto tam i nie wracam w pośpiechu do kuchni. Korzystam z okazji. Licząc się z tym, że pewnego dnia tu zamieszkam, oglądam dom.

Na ścianie, naprzeciwko drzwi prowadzących do kuchni, wisi szesnaście czarno-białych fotografii krewnych pani Richter i pana Richtera. Cztery rzędy, po cztery fotografie w każdym z nich, wszystkie oprawione w ramki identycznej wielkości i z tego samego ciemnego drewna. Także krewni są mniej więcej tych samych rozmiarów, co sprawia wrażenie okien w bloku, z których wyglądają na zewnątrz wszyscy jego mieszkańcy. Ponieważ mają poważne miny, myślę, że wszyscy pochodzą z rodziny pana Richtera, tymczasem okazuje się, że jest inaczej. Ponad połowa osób na zdjęciach to krewni pani Richter. Zarówno ci z jego, jak i z jej strony to albo demoniczne kobiety, albo artyści, a większość z nich straciła życie w niezwykłych okolicznościach. Ze swojego krzesła w kuchni pani Richter ma widok na tę ścianę. Pewnego dnia, gdy się u nich zasiedziałam, opowiedziała mi po kolei o każdej z osób na fotografiach.

- Ta kobieta. Nie, w górnym rzędzie. Tam. To moja matka, Greta. Mam po niej imię. Oświadczało jej się ośmiu mężczyzn. A na zdjęciu obok siedzi ciotka Freda. Gdybyś słyszała jej głos, śpiewała jak flet, tylko zawsze bardzo smutno. Ojciec często powtarzał: „Freda potrafiłaby kamień doprowadzić do łez”. Wyszła za męża za Francuza i zamieszkała w Marsylii. Miał mnóstwo pieniędzy i kilka domów, ale był złym człowiekiem i zaraził ją chorobą, o której w twoim wieku nie powinnaś jeszcze wiedzieć. Zmarła jako obłąkana. A ten? To stryjeczny dziadek pana Richtera, Otto. Pisał opowiadania do opery. Abel, jak to się mówi?

- Libretto - odpowiada Abel. - Po angielsku jest tak samo.

- Libretto! No wiesz. Słowa, które śpiewają artyści. Pisał przez piętnaście lat. Potem człowiek, któremu pokazał swoje utwory, ten, który miał zrobić przedstawienie, podpisał je własnym nazwiskiem i zgarnął wszystkie pieniądze. Biedny wujek Otto nie miał już

wtedy nóg. Nie widać tego na zdjęciu. Stracił je podczas pierwszej wojny światowej. Potem, pewnego dnia w czasie drugiej wojny przygniótł go mebel...

- Kredens - podpowiada Abel.

- Ogromny, wysoki kredens. Alianci bombardowali miasto. Właśnie tak zginął.

Nieco dalej na ścianie wisi olejny obraz przedstawiający pasterza i jego owieczki na wiejskiej drodze, przy której rosną dwa rozłożyste drzewa. Może to być o świcie albo o zmierzchu, ciemne brzegi obrazu jakby zamykały jego rozświetlony na złoto środek, w którym znalazła się ta mała grupka. Pasterz odwrócony plecami, trzymając swój ekwipunek, pochyla się do przodu. Dostrzegł w pewnej odległości na drodze coś, co go zachwycało. Co to takiego? Ilekroć spoglądam na ten obraz, wszystkie moje pragnienia, oczekiwania i niepokoje zmieniają się w niecierpliwe mrowienie, tak bardzo chcę dociec, co takiego zobaczył pasterz. Gdyby tylko się odwrócił, wiedziałabym. Wyczytałabym z wyrazu jego twarzy.

Gdy ja się odwracam, staję na wprost pokoju Abla. Odrywam wzrok od obrazu i zwykle przez kilka minut stoję w drzwiach prowadzących do jego pokoju, poddając się uczuciu przytłoczenia, które wywołuje we mnie widok tej świątyni ku czci jego niezwykłego talentu, inteligencji i zamiłowania do porządku. Pokój nie jest duży i ma zbyt wiele mebli - dwie biblioteczki, tapicerowane krzesło z wysokim oparciem, sztaluga. Na ścianie przy łóżku wisi mapa świata, a na suficie mapa nieba. Pozostałe ściany pokrywają przypinane do nich obrazki i ilustracje, w przeważającej większości owadów i gadów. W pokoju stoi kilka doniczek paproci i modeli samolotów, które zrobił samodzielnie. Nie mogłam uwierzyć, kiedy mi o tym powiedział. Myślałam, że to dzieło jego ojca albo innej dorosłej osoby.

Nie mogłam też uwierzyć, że przeczytał wszystkie te książki.

Gabinet jego ojca, za ścianą, jest dwukrotnie większy od jego pokoju, ale tak samo zastawiony meblami i uporządkowany. Tam na ścianie wiszą olejne obrazy przedstawiające scenki z życia wsi, podobne do tego z pasterzem, tylko bardziej przygnębiające. Jest tam też przeszklona gablotka z motylami poprzebijanymi na wylot szpilkami. Po obejrzeniu ich po raz pierwszy wróciłam do kuchni, mówiąc, że zajrzałam do pokoju (niezupełnie prawda, zrobiłam kilka kroków za próg) i zobaczyłam motyle, które są,

użyłam tu ulubionego słowa pani Richter, „wspaniałe”. Na to ona wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

- Wspaniałe są, gdy latają. Nie pochwalam zabijania żadnych stworzeń tylko po to, by móc na nie patrzeć.

Abel podniósł wzrok znad książki.

- Ojciec wcale ich nie zabił.

- Nie, nie. - Poklepała go po ramieniu. - Nie zrobił tego. Oczywiście, że tego nie zrobił.

Pokój, któremu poświęcam najwięcej uwagi, to sypialnia. Tutaj sypia ona. Tu jest jej toaletka, spódnica w kolorze czerwonego wina, która pasuje do aksamitnych zasłon. Wszystkie meble wykonano z ciemnego drewna, ogromne wezglowie łóżka wypiętrza się po bokach jak kadłub statku wikingów. Wzorek na tapecie przypomina odwrócone korony, w kolorze ciemnozielonym, takim samym jak narzuta obszyta lamówką ze złotego brokatu. Wystrój, można powiedzieć, królewski, jeśli pominąć postrzępione brzegi zasłon i blat toaletki, na której panuje nieprawdopodobny bałagan: prawie bezzębny grzebień, szczotka pełna włosów, kilka rozerwanych recepturek powiązanych w supełki, pęknięte ręczne lustro, biała podwiązka i puste, przykurzone buteleczki po perfumach; je przynajmniej ratuje intrygujący urok zatyczek o misternych kształtach z barwionego szkła.

W głębi toaletki stoją dwie fotografie w ramkach. Już dwa razy skradałam się na palcach, by na nie zerknąć. W większej jest czarno-białe portretowe zdjęcie jej i pana Richtera, zrobione w dniu ślubu. To dziwny widok, gdy panna młoda jest znacznie wyższa od pana młodego. Dziwnie też widzieć ją, zawsze ubraną w czerwienie, fiolety i pomarańcze, w bieli, choć oczywiście, gdyby była ubrana inaczej, wydawałoby się to jeszcze bardziej zdumiewające.

Nieco z przodu stoi kolorowe zdjęcie Abela w wieku czterech lub pięciu lat. Poza tym, że jest mniejszy, wygląda zupełnie tak samo jak teraz. Ma na sobie białą koszulkę z krótkimi rękawami, a na niej zieloną kamizelkę. Wyciąga rękę tak, jakby chciał złapać piłkę. Po wyrazie jego oczu widać, że zmusza się do uśmiechu.

W pierwszy poniedziałek września pogoda się zmienia. Od połowy lipca ciągnęły się nieznośne, tropikalne upały, prawie każdego popołudnia burzowe chmury dymiły zza

koron drzew, przybierały kształt pięści albo układały się w rozmaite fryzury, zanim przetoczyły się na wschód. Potem nadchodził ulewny deszcz, a po nim znów ukazywało się błękitne niebo.

Teraz niebo wygląda jak pokryte grubą warstwą cementu. Jest zimno, za zimno, by wychodzić z domu bez kurtki.

Mimo to wciąż spotykamy się w wąwozie. Tropimy szopy pracze i szukamy skamielin. Około południa zaczyna padać mżawka, a my wyciągamy z kryjówki termosy oraz pudełka z drugim śniadaniem i kierujemy się do jaskini.

Siedzimy pod ścianą przy wejściu, tam gdzie dochodzi najwięcej światła, i zza gałązek winorośli obserwujemy ponury, przynajmniej moim zdaniem, schyłek lata. Wokół nas leżą stosy patyków (za każdym razem, gdy znajdziemy długi i w miarę prosty, przynosimy go tutaj), więc po zjedzeniu kanapek wyciągamy scyzoryki i zaczynamy strugać włócznie.

W tym jednym miejscu jest w miarę wygodnie. W czasie wakacji wyczyściliśmy je z zaschniętych odchodów zalegających na podłożu, wymościśmy sosnową ściółką i liśćmi paproci, i teraz nietoperze unikają tej części jaskini, nawet podczas naszej nieobecności. Tak nam się przynajmniej wydaje, ponieważ rzadko natrafiamy na świeże ślady ich bytności. Dzisiaj cała grupka przykleiła się do ściany z dala od wejścia. Za każdym razem, kiedy powiew wiatru wpada do środka, słysząc ich szelest, który odbija się echem w całej jaskini, poza tym siedzą cicho.

Czuję się nieszczęśliwa. Dla mnie ostatni dzień wakacji zawsze jest jak ostatni dzień życia. Widzę siebie przywiązaną do torów kolejowych i nadjeżdżający pociąg, który prowadzi Maureen Hellier. Mówię do Abla, że pragnę jej śmierci, chciałabym, żeby wpadła do szamba albo zadławiła się kością od kurczaka.

- Dlaczego jej po prostu nie zignorujesz? - pyta w końcu. - Ja tak bym zrobił.

- A kogo obchodzi, co ty byś zrobił? - mamroczę. Spogląda na mnie.

- Skoro tak - dodaję - czemu po prostu nie zignorujesz Jerry'ego Kochonowskiego?

Dlaczego nie podejdziesz do mnie jutro i na oczach wszystkich mnie nie pocałujesz?

- Może nikogo wcale nie obchodzi, że spędzamy ze sobą czas.

Wbijam mój nóż w ziemię.

- Oszalałeś? Jerry wykręcił Donny'emu Morganowi rękę, prawie mu ją złamał, tylko dlatego, że Donny dał Brendzie Slack starą indyjską gumową piłeczkę. Jak myślisz, co zrobi komuś takiemu jak ty? Skręci ci kark, oto co zrobi!

Abel obraca patyk w dłoniach. Ostrożnie, jakby był laską dynamitu.

Sięgam po swój nóż.

- Więc trochę się zastanów.

Przez co najmniej kwadrans pracujemy w milczeniu, potem, czując chłód, mówię, że chciałabym rozpaść ognisko z wiórów.

- Lepiej nie - oponuje. - Dym będzie drażnił nietoperze.

W jego głosie nie ma cienia urazy. Jeśli go obraziłam, nie wziął sobie moich słów do serca. Podziwiam go, wzbudza we mnie taki zachwyt ten przejaw świadczący o wyższym stopniu rozwoju niż mój, że chociaż niezbyt dbam o nastrój nietoperzy, nie nalegam na ognisko. Spoglądając w górę, mówię:

- Wydaje mi się, że one już nie są zachwycone.

Bierze latarkę i świeci na kolonię nietoperzy. Niektóre się poruszają, ale żaden nie odrywa się od sklepienia i nie zaczyna krążyć, jak to zazwyczaj robią, kiedy się je oświetli.

- Pewnie ledwie żyją z zimna. Podchodzi bliżej do ściany.

- Jeden z nich wisi w takiej ciekawej pozycji.

- Co masz na myśli?

- O nie!

- Co się stało?!

- Spadł!

Podbiegam. Abel przykuca i kieruje światło na nietoperza. Spadł pyszczkiem do dołu, na ziemi leży kępka futerka w piaskowym kolorze.

- Nie żyje? - pytam.

Odwraca nietoperza i zanim dociera do mnie, czym jest ta pomarszczona górką na brzuchu zwierzątka, Abel mówi.

- Ona ma dziecko. - A po chwili dodaje. - Nie żyje.

- Dziecko?

- Ona. Matka. Dziecko oddycha.

Całe jego ciało pulsuje. Zamiast przytulać się łapkami do matki, trzyma się jej pyszczkiem z tyłu. Już mam powiedzieć, że to dziwne, ale dostrzegam, że maleństwo jest przyczepione do jednego z sutków. Przenoszę wzrok na matkę, która powinna być żywa, jeśli ma mleko. Niestety, jest martwa, z całą pewnością. Jej oczy są jak pestki od jabłka, bez oznak życia. Pyszczyk ma otwarty, a ja na widok jej zębów czuję się wytrącona z równowagi... przez cały czas myślałam, że trzeba się obawiać tylko pazurów.

- Co się stało?

- Nie krwawi. - Abel kieruje światło na resztę kolonii. - Może miała zawał serca.

- One wiedziały - mówię. - Wiedziały, że zdarzy się coś złego.

Z powrotem opuszcza latarkę. Maleństwo popiskuje. Abel mówi, że musimy je natychmiast zabrać do domu i karmić za pomocą zakraplacza do oczu, żeby się nie odwodniło.

- Potrzymaj. - Podaje mi latarkę. Podnosi matkę i stara się odczepić dziecko. Mały nietoperz wbija się w futro matki tylnymi łapkami.

- Świecisz mu prosto w oczy - rzuca ze złością, przesuwając się na bok, by wyjść z kręgu światła.

- Przepraszam. - Nigdy jeszcze nie słyszałam takiego zdenerwowania w jego głosie. Przyglądam się okrągłej plamie światła na ścianie jaskini, ale kiedy Abel zaczyna głośno sapać, opuszczam latarkę z powrotem. Trzyma teraz małego nietoperza w prawej dłoni, samego, już odczepionego od matki.

- Zabiłem go - mówi cicho, kompletnie zaskoczony.

- Nie, to niemożliwe.

- Zabiłem. Pociągnąłem za mocno. Złamałem mu kręgosłup. - Patrzy na małe ciało.

- Jesteś pewien?

Prostuje się, idzie do naszego miejsca i siada z wyprostowanymi rękami, w każdej trzymając nietoperza, jakby czekał na cud albo karę. Po chwili zaczyna zanosić się płaczem, jakby się dławił.

- Zraniło się podczas upadku - tłumaczę wystraszona. - Tak dziwnie ją gryzło, pewnie już miało uszkodzoną szyjkę. - Siadam obok niego. - Koniec jego męki - dodaję. Tak zawsze oświadczała moja matka, kiedy rozgniatała robaka albo kiedy zdechło któreś z moich zwierząt ulubieńców. I chociaż wciąż zadawałam sobie pytanie, o jaką mękę jej chodzi, zawsze w pewnym stopniu, mimo wątpliwości, czułam się pocieszona.

- Tak czy owak potrzebowałyby matki. - Gaszę latarkę. Jednak i tego nie jestem do końca pewna.

Abel kładzie oba martwe nietoperze na ziemi, między swoimi stopami. Przestał już płakać.

- Powinienem był małe zostawić przy niej. Zabrać je razem do domu.

- Nie mogłeś przewidzieć, że tak się stanie.

- Powinienem był wiedzieć. - Podnosi latarkę i świeci na sklepienie. Nietoperze zwisają jak dojrzałe owoce. Tak jakby w każdej chwili miały odpaść wszystkie.

Wzdycha i gasi światło.

- To był tylko nietoperz - pocieszam go.

- Umiało latać. Wiedziało, jak się kierować radarem. - Zaczyna raz po raz włączać i wyłączać latarkę. - Gdybym ich nie dotykał - mówi - może dziecko samo by odpadło i jakaś inna matka wzięłaby je na wychowanie.

- Robią tak?

- Lepiej zostawić rzeczy ich własnemu biegowi. Tak uważają niektórzy naukowcy. Twierdzą, że nie należy ingerować.

Mówi tak mądrze. Jest taki zagubiony.

- Wiesz, kiedy cię nazwałam głupkiem... Pamiętasz... Byłam wściekła. Ty wcale nie jesteś głupi.

Abel wygląda na zewnątrz jaskini.

- Przestało padać - oznajmia.

- Zakopimy je?

- Chyba tak.

Wzdycha, a jego westchnienie trafia mi prosto do serca. Mówi, że jeśli tu poczekam, pójdzie po kielnię.

Gdy tylko znika, włączam latarkę i oglądam zwłoki. Rozciągam jedno ze skrzydeł matki. Błona wygląda jak ugotowana skórka kurczaka. „Biedactwo” - mówię, próbując się zdobyć na więcej żalu, niż rzeczywiście czuję, chcę się poczuć równie zrozpaczona jak Abel.

Ponieważ jestem w nim zakochana. Kocham go bez pamięci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Szesnaście dni po powrocie z Vancouveru poroniłam. Jest trzecia w nocy. Budzik pod moją poduszką właśnie przestał dzwonić, na znak, że nadeszła pora na nocną porcję herbaty. Siadam na łóżku i czuję wilgoć między nogami. Cztery dni temu, tak na wszelki wypadek, zaczęłam nosić podpaski, ale i tak na prześcieradle widać krwawe plamy. Skurcze - czy to możliwe? - ustąpiły.

Przez pozostałą część nocy siedzę przy biurku i krwawię. Mniej więcej co pół godziny, zmieniam podpaski i oglądam zabrudzone w poszukiwaniu śladów świadczących o zawiązkach życia. Co spodziewam się znaleźć? Częściowo uformowaną stopę? Gałkę oczną? Dostrzegam obiecujące skrzepy. Siadam z powrotem przy biurku i zaczynam odrabiać zaległe prace domowe z matematyki. Myśli mam klarowne, brak bólu wyraźnie zaostrza umysł.

O ósmej ubieram się do szkoły i zjadam śniadanie, ale gdy tylko ojciec wychodzi z domu, wracam do biurka i odrabiam pracę domową do przyjścia pani Carver. Na wieść o nocnym zdarzeniu spieszy po szklankę i każe mi ją trzymać między nogami, by mogła pobrać próbkę. W kuchni dodaje do krwi wody, a potem zlewa rozcieńczoną część i obie patrzymy na to, co pozostało. Wskazuje żółtą plamkę.

- Łóżysko - mówi.

A więc to już koniec. Przez kolejne trzy dni mam silne krwawienie, ale normalnie chodzę do szkoły. Czuję nagłą potrzebę poświęcenia otoczeniu intensywnej uwagi, tworzę stosy notatek. W domu przeglądam moją garderobę. Wszystkie ubrania matki, w których już siebie nie widzę - o za bardzo wyszukany fasonie albo w zbyt jaskrawych kolorach - wracają do jej szafy. Działam szybko. Chodzę energicznie. Przypominający

tykanie bomby zegarowej miarowy stukot moich obcasów, gdy przemierzam szkolne korytarze, niespodziewanie przynosi mi ukojenie.

W piątkową noc, kiedy krwawienie prawie ustaje, powracają skurcze, tak jak uprzedzała pani Carver. Powiedziała, żebym się tym zbytnio nie martwiła, ponieważ to tylko objaw obkurczania się macicy.

Nie więcej jak godzinę po zaśnięciu ból wyrywa mnie ze snu. Z pokoju ojca dobiega mnie szelest gazety. Wyobrażam sobie, jak trzyma dziecko w ramionach, jego nieporadność i zachwyty. Czuję ucisk w gardle. Zabiłam je, myślę zrozpaczona. Zabiłam własne dziecko.

Pochlipuję, lecz staram się powstrzymać atak płaczu, nie chcąc, by ojciec mnie usłyszał, choć nie tylko dlatego. Uważam, że nie mam prawa do tej rozpaczki, która w postaci konwulsyjnych skurczów zdaje się napływać wprost z mojego łona. Dlaczego Abel nic nie czuje? Jak to możliwe, że jego dziecko i ja stoczyliśmy tu krwawą bitwę na śmierć, a on nawet nie poczuł ukłucia, które skłaniałoby go do podniesienia słuchawki?

Podchodzę do biurka i zapalam lampę. Zdejmuję majtki. Z zeszytu wyrywam kartkę i jednym rogiem przesuwam między nogami.

Smuga przypomina banner. Nie, jest jak strzep! Strzep ciemnej czerwieni.

Czekam kilka minut, machając kartką i dmuchając na nią. Potem wkładam majtki, siadam i w miejscu, gdzie znajduje się wyschnięta już smuga, piszę słowo „Romans”. Nie muszę zaglądać do wiersza Rimbauda. List Abła czytałam setki razy i znam poemat na pamięć do ostatniej kropki.

Połączonymi, ozdobnymi literami, mającymi naśladować jego kaligraficzny styl, piszę:

Ach, nie jest się podejrziwym w osiemnastej wiosnie.

Pewnego dnia już dość masz czekania i porannych mdłości.

A potem Niedźwiedzi Dół z jego przekłętymi lampionami!

I odchodzisz pod zielonymi promenady neonami.

Tak strasznie cuchną neony w ponure wrześnie popołudnia.

Powietrze takie ciężkie przygniata powieki,

Sala wypełniona gwarem - kłamiwy dupek niedaleko

- ma na sobie zapach trawki i alkoholu odory...

Nagle widzisz bardzo długą szmatę,

Ciemnoczerwoną, na krzykliwej dziwce,

w ramionach miejscowej gwiazdy rocka,

który ucieka przed maleńkimi dziećmi, uśpionymi na wieczność...

Przebiegam tekst wzrokiem i wybucham śmiechem... zduszonym, drżącym, nienaturalnym. Przyciskam obie dłonie do ust. Spoglądam w lustro wiszące na drzwiach szafy wbudowanej w ścianę i widzę wychudzoną, przygarbioną postać z oczami wielkimi jak kule do gry w kręgle, prawie nagą, tylko w za dużych majtkach. Czy ja postradałam zmysły? Nic mnie to nie obchodzi. Chwytam długopis i na dole strony bazgrzę drukowanymi literami: „Byłam w ciąży! Leciałam cały ten kawał, żeby ci o tym powiedzieć, i przyłapałam cię na lizaniu się z tą zdzirą!!! Więc pozbyłam się dziecka!!!!” Rysuję strzałkę do smugi. „Właśnie to po nim pozostało!!!”, dopisuję.

Wkładam kartkę do koperty, adresuję ją i wracam do łóżka. Mimo skurczów zasypiam.

Wysłałam list następnego dnia. Tydzień później zaczynają się telefony, dwa do trzech dziennie, przez pięć dni z rzędu. Ojciec, chociaż został poinstruowany, by mówić: „Ona nie chce już z tobą rozmawiać” i rozłączać się, słucha, pomrukuje ze współczuciem i zapewnia: „Przekażę jej, chłopcze, ale ona i tak nie podejdzie do telefonu” albo „Może powinieneś dać jej trochę czasu, by sobie to wszystko poukładała, pozwól jej odetchnąć. Nawet nie chcę myśleć o tym, ile te telefony kosztują”.

- Odłóż słuchawkę! - syczę, w obawie, by Abel nie powiedział za dużo.

Nie wspomina o aborcji ani słowem, choć jego troska o moje zdrowie wydaje się ojcu dziwna.

- W łóżku? - pyta. - Nie, nie, kręci się tutaj. - I zwraca się do mnie: - Wiem, że to on z tobą zerwał, ale teraz bardzo się o ciebie niepokoi. Jest strasznie zmartwiony.

- Trochę się spóźnił.

- Z tego, co słyszę, jest naprawdę przygnębiony. I pewnie odgryziesz mi głowę za to, co powiem, ale ty też nie wyglądasz na szczęśliwą i zadowoloną.

- Szczęśliwą? - powtarzam, nie pojmując. - Zadowoloną?

Po tygodniu zaczynają nadchodzić listy. Płaczę, widząc własne imię na kopertach napisane jego ręką. Mięknę. Mimo to ich nie otwieram. Pałę je w metalowym koszu na śmieci. Obserwując płomienie, przez te pięć, sześć sekund próbuję domyślić się treści listu. Ciekawe, czy był tam wiersz czy może rysunek albo prośba o wybaczenie, wyjaśnienia, wytłumaczenie. „On mnie nie kocha” - powtarzam sobie, by stłumić w sobie chęć zgaszenia ognia.

Czasami przychodzi mi to łatwo. „On mnie nie kocha” - mówię i zapalam następną zapałkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kończę szkołę ze średnią siedemdziesiąt sześć procent. Rok temu miałam dziewięćdziesiąt trzy, ale to było wtedy, kiedy jeszcze mi zależało. Siedemdziesiąt sześć procent wydaje mi się nieprawdopodobnie wysokim osiągnięciem, jeśli wziąć pod uwagę, że ani razu nie zgłosiłam się do odpowiedzi na lekcjach i byłam kompletnie nieprzygotowana do końcowych egzaminów. Jak tylko okazało się, że zdałam, wciąż sobie powtarzałam, że tylko to się liczy. Nie miałam żadnych planów związanych z pójściem na uniwersytet. Właściwie już zostałam zatrudniona na pełen etat w antykwariacie w centrum miasta.

Ostatni egzamin piszę w czerwcowy poniedziałek. Tego samego dnia, o godzinie czwartej, zaczynam pracę w KSIĄŻKACH! KSIĄŻKACH! KSIĄŻKACH! Pracuję od szesnastej do dwudziestej drugiej, od poniedziałku do soboty. Pod koniec pierwszego dnia wiem wszystko, co powinnam wiedzieć, czyli prawie nic. Gdy kończy się pierwszy tydzień, czuję się tak, jakbym pracowała tam od lat. Jestem bezpieczna i nikt nie wywiera na mnie żadnej presji. Mijają godziny, podczas których wcale nie myślę o Ablu.

W antykwariacie pracuje poza mną jeszcze tylko jedna osoba, Don Shaw - kierownik. Ma czterdzieści kilka lat, jest mniej więcej mojego wzrostu. Kawaler. Ma

małe, bystre oczy, wąskie ramiona i szerokie biodra, beżowe i gęste włosy przypominające zwartą darń. Pewnego dnia do sklepu wchodzi psychicznie upośledzony mężczyzna i zaczyna zrzucać książki z półek na podłogę, a kiedy Don Shaw mówi: „Niech pan stąd wyjdzie” - tamten odpowiada z arystokratycznym angielskim akcentem: „A pan niech sobie kupi nową perukę” - po czym opuszcza antykwariat. Wtedy Don Shaw dostrzega mój wzrok utkwiony w jego włosach, pochyla się, zerka na mnie i mówi przebiegle: „No dalej. Pociągnij”.

Zawsze zachęca mnie, żebym go dotykała, sprawdziła, jakie ma lodowate ręce, jaką twardą, podłużną narośl na przedramieniu, która porusza się pod skórą, jak gdyby miał tam włożoną baterię. Chce również, żebym dotykała jego rzeczy, na przykład skórzanej tapicerki na stuletniej otomanie. Mieszka zaledwie o kilka minut drogi od sklepu, w niewysokiej kamienicy z pralnią na parterze. Pod wpływem wibracji pralek przekrzywiają mu się obrazki na ścianach, para z suszarek wlatuje przez otwór wentylacyjny i niszczy tynk. Mówi, że żyje mu się tam jak w brzuchu bestii.

Twierdzi, nie mając po temu żadnych podstaw, że bardzo by mi się u niego podobało.

Uwielbia ciepło. Nosi spodnie ze sztruksu w grube prążki, szare albo brązowe, i szaroburą wełnianą kamizelkę z minionej epoki. W najbardziej upalne dni pod kamizelkę wkłada koszulę z krótkimi rękawami, chociaż nie zawsze. Jest taki, na jakiego wygląda: nieporadny mól książkowy. Podczas swojej zmiany, od dziesiątej rano do mojego przyjścia, czyta podręczniki filozofii. Wieczorami oddaje się pisaniu wierszy, które nazywa „Westchnieniami”. Pytam, czy kiedyś wydano jakieś jego utwory. Udaje, że nie słyszy. Dopiero po dłuższej chwili odpowiada: „Kiedy nie zgadzasz się, by przerywać potok myśli podziałem na wiersze i znakami przestankowymi, okazuje się, że nawet najbardziej entuzjastyczni wydawcy, którzy porównywali cię do Joyce'a i Wallace'a Stevensa, przestają odpowiadać na twoje telefony”.

Na policzku pod skórą drga mu mięsień. Mógłby powiedzieć więcej, ale nie mówi. Gromadzi i pielęgnuje urazy. Gorzko uśmiecha się do własnych myśli. Kiedy przychodzę do sklepu, zastaję go z takim uśmieszkiem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że doskonale wie, dlaczego jestem spóźniona albo przychodzę za wcześnie, albo w samą po-

rę, a ja zastanawiam się, czy rzeczywiście moje proste i ostrożne życie nie jest lekkomyślne i bez sensu.

- Madame Kirk - wita mnie, gdy stoję w drzwiach.

- Don Shaw - odpowiadam. Stało się to już naszym zwyczajem.

Nawet w rozmowach z innymi na jego temat zawsze mówię o nim Don Shaw, wymieniam imię i nazwisko. Tylko Don brzmi zbyt nieformalnie. A pan Shaw, gdybym tak go nazywała, pomyślałby, że wyrażam się o nim z przekąsem.

Właścicielem antykwariatu jest Ernie Watson. Don Shaw i ja nazywamy go komendantem straży pożarnej, dlatego że czeką z naszym wynagrodzeniem przychodzą (przesyłką kurierską) w kopertach z nadrukiem komendy straży pożarnej w Halifaksie. Przez pięć lat pracy w antykwariacie KSIĄŻKI! KSIĄŻKI! KSIĄŻKI! Don Shaw ani razu nie rozmawiał z komendantem straży pożarnej i oczywiście nigdy nie spotkał się z nim osobiście. Jeśli pod koniec tygodnia w kasie zostają jakieś pieniądze, przekazujemy je na wskazane konto w banku: rachunki za usługi użyteczności publicznej są regulowane bez naszego udziału. Jeśli od czasu do czasu pojawia się problem, którego nie da się zauważyć (cieknąca muszla klozetowa, zacinający się zamek w drzwiach wejściowych - oba wystąpiły w pierwszym tygodniu mojej pracy), mamy dzwonić do pani Beryl, panikującej staruszki. „Ojej ojej ojej ojej!” - mówi jednym tchem, jakby to było długie słowo, i przysyła swego męża, Buddy'ego, który ma ciągle załzawione oczy i przepiękne, wąskie i białe dłonie. Słuchając wyjaśnień, na czym polega problem, trzyma je w górze, jak chirurg przed operacją w oczekiwaniu na rękawiczki.

Don Shaw nie ma wątpliwości, że komendant straży pożarnej kupił ten sklep wyłącznie dlatego, że instalacja elektryczna jest w pożalowania godnym stanie, a w piwnicy piętrzą się stosy pożółkłych książek i stoi stary piec olejowy. Właściciel czeka więc tylko na to, że bez jego ingerencji całe to rumowisko spłonie doszczętnie, a on pobierze wielomilionowe odszkodowanie od firmy ubezpieczeniowej.

- Czyli stanie się to zimą - wyciągam logiczny wniosek - kiedy piec jest włączony.

Don Shaw podchwytuje mój tok rozumowania.

- A do tego czasu - mówi - nasza Madame Kirk będzie już daleko stąd, zajęta ważniejszymi i bardziej atrakcyjnymi sprawami.

Zgłosiłam się do tej pracy, ponieważ w ogłoszeniu w gazecie było napisane, że pracodawca zapewnia „spokojną, miłą atmosferę”, i liczyłam na to, że będę miała trochę wolnego czasu, by nauczyć się stenografii. To były pesymistyczne oczekiwania. Okazuje się, że wolnego czasu mam właściwie tyle, ile zapragnę. Prawie nikt nie przychodzi do antykwariatu, a na tych nielicznych, którzy siedzą na pudłach z niedawno przywiezionymi książkami (nie ma sensu ich rozpakowywać, skoro półki i tak są już zapchane) i czytają całymi godzinami, nie zwracamy uwagi. Zasada działania sklepu jest następująca: kupujemy książki za dziesięć procent ich początkowej ceny, niezależnie od rodzaju, podręczniki akademickie, biuletyny rządowe, pornografię, byle były w niezłym stanie. Rzadko kiedy przychodzi ktoś z pudłem własnych książek, najczęściej ludzie przywożą je całymi samochodami. Książki pochodzą wtedy na przykład z likwidowanego księgozbioru zmarłego farmaceuty albo biblioteczki romansideł pani domu. „Kupujecie to wszystko?” - dziwi się z szeroko otwartymi oczami osoba, która je przywiozła, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Tak, kupujemy to wszystko. Potem wystawiamy za pół ceny początkowej. Ale ponieważ i tak ich nie sprzedamy, bo skupujemy dziesięć razy więcej, niż zdołamy upłynnić, cały system nie ma najmniejszego sensu. Co więcej, jak przyznał Don Shaw w czasie przeprowadzanej ze mną rozmowy kwalifikacyjnej, komendant straży pożarnej nawet nie stara się śledzić stanu zapasów. Równie dobrze moglibyśmy poza jego plecami połowę z tego, co mamy, odsprzedawać innym antykwariatom.

- Wcale nie musisz być szczególnie bystra, żeby tu pracować - powiedział. - Ani czarująca czy pełna energii. Wystarczy, jeśli będziesz godna zaufania.

Obejrzał mnie od góry do dołu, na dłuższą chwilę zatrzymując wzrok na piersiach i ustach, jakby w nich kryły się cechy świadczące o mojej uczciwości. Kiedy patrzył mi w oczy, jego twarz przybrała przebiegły i smutny wyraz. Pomyślałam, że pewnie przypominam mu dawną miłość.

- Na ile można zaufać Louise Kirk? - zapytał.

- Całkowicie - odpowiedziałam. - Bezgranicznie.

To prawda, jestem godna zaufania. Rok wcześniej, jeszcze przed imprezą, wyjazdem do Vancouver i łożyskiem w szklance (widok, którego wolałabym, żeby mi oszczędzono), najprawdopodobniej wzięłabym dla siebie jakąś ciekawą książkę, bo niby

czemu miałabym sobie żałować? Wtedy nie kierowałam się żadnymi zasadami. Moje zachowanie danego dnia zależało wyłącznie od tego, czy czułam się mniej lub bardziej beznadziejnie. W dniach, kiedy moja perspektywa ograniczała się do tego, co wydarzy się za chwilę, wynosiłam książki z antykwariatu. Czułam się do tego upoważniona.

Teraz, kiedy horyzonty mam zawężone tak, jak jeszcze nigdy dotąd, czuję, że praw mam niewiele. Moje pragnienia też są bardzo skromne, chcę tylko zarobić trochę pieniędzy w czasie, kiedy uczę się pisać na maszynie i stenografować, i umówić się z kimś od czasu do czasu. Bez Abla jestem nikim, nie mam nic, ale już się z tym pogodziłam. Zachowałam jedynie zwierzęcy instynkt wołu, który pozwala mi przesuwać się do następnej chwili. Jeśli nie rzucę się ze skały do morza, a raczej tego nie planuję, pozostaje mi próbować robić coś, dzięki czemu moje życie będzie do wytrzymania. Nie potrafię sobie wyobrazić, by kiedykolwiek mogło mnie jeszcze spotkać ogromne szczęście, ale może przynajmniej będę w miarę zadowolona.

Mogę chociaż unikać kłopotów. Z takim postanowieniem jadę do centrum pomocy Hasslefree Clinic w Yorkville i zaopatruję się w receptę na tabletki antykoncepcyjne. Jest to moja kolejna tajemnica przed ojcem. Jednak tego samego dnia wyznaję, dlaczego nie otrzymałam odpowiedzi z żadnego uniwersytetu - nie złożyłam podania o przyjęcie na studia.

Jest strapiony. Ja natomiast zdziwiona, słysząc, jak wielkie miał plany w związku ze mną. Prawnik. Profesor. Biolog. Dyplomata.

- Dyplomata! Chyba żartujesz?! Jestem najbardziej niedyplomatyczną osobą, jaką znasz.

Obejmuje mnie ramieniem.

- Mogłabyś zobaczyć świat! Spotkać fascynujących, wykształconych i obytych ludzi. Nauczyć się języków. Poznać inne warunki życia!

- Chcę się nauczyć pisać na maszynie - mówię.

Mam w głowie wizję własnej najbliższej przyszłości. Początkowy etap jest przemyślany w najdrobniejszych szczegółach. Plan powstał pod wpływem rozkładu biura i atmosfery w kancelarii ojca oraz opowieści ciotki Verny o latach pracy w charakterze sekretarki prezesa sporej firmy usług maklerskich, mającej siedzibę w centrum miasta. W

wyobraźni widzę, jak zapisuję to, co dyktuje mi mój szef. Ma mniej więcej czterdzieści lat. Jest poczciwym, przysadzistym mężczyzną, nie najcenniejszym pracownikiem dla firmy, ale nie musi się obawiać utraty posady. Jest zima, koniec urzędowania, właśnie zapaliły się uliczne latarnie. W oknach budynku obok widać, jak sekretarki zakładają pokrowce na maszyny do pisania. W naszym biurze wyczuwa się miły, odprężający nastrój po kilku godzinach wyteżonej pracy. Mój szef rozluźnia krawat. Ja prostuję nogi. Mam na sobie tweedową spódnicę i białą, dobrze skrojoną bluzkę. Zamykam notebooka i mówię:

- Przepiszę to jutro z samego rana.
- Oczywiście, to nic pilnego. - Szef przyzwalająco macha ręką.

W drodze do swego stanowiska mijam biurka innych sekretarek. Żegnamy się. Kilka z nas regularnie jada razem lunch w barze w pobliskim centrum handlowym. Zapiekanka z serem albo kanapki, szarlotka. Później zatrzymujemy się przy stoisku z kosmetykami i próbujemy na nadgarstkach koloru szminek, mówiąc: „Nie za czerwona?“, „Co myślisz o tej?“ Raz na jakiś czas jedna z nas się wyłamuje i kupuje sobie pomadkę. Uważam, że kupowanie czegokolwiek poza jedzeniem i rajstopami to wyrzucanie pieniędzy.

Jadę metrem do domu. Jestem mistrzynią w robieniu origami, potrafię tak zręcznie zaginać gazetę, żeby nie przeszkadzała żadnemu z pasażerów. Czytam rubrykę „Droga Abby“ i rozwiązuję krzyżówkę. Niedaleko mojego przystanku jest budka z owocami i co wieczór kupuję tam świeże pomarańcze na śniadanie na następny dzień. Droga do domu zajmuje mi jakieś dziesięć minut, nie więcej. Mieszkam na najwyższym piętrze budynku w stylu wiktoriańskim, mam dwa pokoje z łazienką, w której stoi wanna na nóżkach. Mam kota - szarego, grubego i płochliwego. Na lodówce - doniczkę z asparagusem. I dwupalnikową kuchenkę. Na kolację przyrządzam sobie jajecznicę albo podgrzewam spaghetti z kuleczkami z mielonego mięsa z puszki. Mój stół kuchenny to stary, drewniany mebel z opuszczanym blatem.

Nagle w jej wizji robi się lato. Z biurowego ubrania przebrałam się w białe spodenki i podkoszulek w biało-niebieskie paski. Zmywam naczynia, słuchając muzyki klasycznej z radia, potem parzę sobie kawę i z filiżanką wychodzę na schody przeciwpożarowe. Stąd

rozpościera się widok na dachy innych, podobnych budynków, korony drzew i gwiazdy, które zaczynają połyskiwać nad nimi.

Pewnego wieczoru nowy lokator z drugiego piętra także siedzi na schodach. Zaczynamy rozmawiać, a on zaprasza mnie do siebie na kieliszek wina. To student medycyny, politechniki albo przyszły adwokat. Ma mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, jest dość przystojny, choć bez przesady, niezbyt uporządkowany, ale także nie hippis. Średni albo bardzo jasny blondyn. Może nosi okulary w drucianych oprawkach. Ma nielicznych, ale za to bliskich przyjaciół. Jego zainteresowania nie obejmują sztuk pięknych, muzyki ani nauk przyrodniczych. W takim razie nie może być studentem medycyny. Student prawa jest lepszy. To ktoś, kto rozważa różne aspekty każdej sprawy, potrafi bronić swoich przekonań.

Od razu wiadomo, o co mi chodzi. Nie jest Ablem. Nie może w niczym go przypominać i przez większość czasu nawet dla mnie nie istnieje. Dopijam kawę i wracam do środka, by usiąść w fotelu z wysokim oparciem i poczytać powieść Jane Austen, albo może Dickensa, ponieważ akurat jestem na tym etapie poznawania wielkich dzieł literatury światowej (czytam je według kolejności alfabetycznej nazwisk ich autorów). Czasami pozwalam toczyć się dalej historii z facetem z drugiego piętra, przyjmuję jego zaproszenie na dół, spędzam u niego wieczór aż do momentu, w którym się całujemy. Potem wizja się urywa.

Jeśli dzieje się tak z powodu lojalności wobec Abla, to już mnie to męczy. Przyznaję, że go kocham. Moja miłość do niego jest niepodważalnym faktem, jak prawo grawitacji. Ale to niczego nie zmienia. Skąd i po co tyle lojalności? Czemu jeszcze można się sprzeniewierzyć?

Pragnę tylko chodzić na randki z miłymi młodymi mężczyznami, których każdy by zaaprobował. Może chcę z nimi sypiać. Jestem czasem taka samotna. Zdarza się, że podczas godzin spędzanych w antykwariacie nagromadzone uczucie samotności daje o sobie znać z taką siłą, że zaczynam się zastanawiać, czy nie zwrócić się w stronę Dona Shawa. Staram się koncentrować na ćwiczeniach stenograficznych, ale ciągle zerkam za okno i w myślach błagam każdego przyzwoicie wyglądającego faceta poniżej trzydziestki, żeby wszedł do środka. Obniżam wymagania i zgodziłabym się nawet na niskich i krępych. Aż

któregoś dnia zjawia się taki w sklepie i kieruje się wprost do działu z pornografią. To było do przewidzenia. Nasz antykwariat mieści się przy ulicy z lombardami i sklepami z artykułami sanitarno-instalacyjnymi, w których zaopatrują się hydraulicy. Dwie przecznice dalej jest speluna o nazwie „Morgan” i zawsze, kiedy wychodzę z pracy o dziesiątej wieczorem, mijam tam kilku mężczyzn w średnim wieku, chwiejących się na chodniku. Mają na sobie tanie marynarki. Wielu ma dość gęste, gładko przyczesane włosy. Niektórzy noszą kucyki. Bardzo często właśnie tacy zaglądają do nas do sklepu. Są albo podchmieleni, w nastroju do żartów, albo napastliwi i gdy próbują przyciskać mnie do półek z książkami, muszę chwycić za miotłę i ich wyganiać. Nie jest to tak przykre, jak mogłoby się wydawać. Czasem nawet na swój sposób śmieszne. Jest wśród nich jeden (zupełnie łyśy), który nazywa mnie Chudą. Kiedy go wyrzucam i przekręcam klucz w zamku, wali w szybę i woła: „Chuda! Kocham cię! Hej, Chuda, wyjdź za mnie”. W tym wszystkim zasmuca mnie tylko to, że dokładnie wiem, co on czuje. Znam tę palącą potrzebę miłości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Mniej więcej w połowie lipca zaczynam się zastanawiać, ile czasu spędzam w autobusach i metrze, by dojechać do pracy i wrócić do domu. Chociaż zamierzałam zaczekać do wiosny i dopiero wtedy zacząć rozglądać się za mieszkaniem w centrum, to jednak już teraz myślę o tym, czy nie powinnam znaleźć sobie czegoś wcześniej.

Także w połowie lipca, może dlatego że nie mogę sobie wyobrazić opuszczenia domu - opuszczenia ojca - mimo że nie wracam myślami do tego, co zrobiła matka, zaczynają nawiedzać mnie sny o niej. Najśłodsze i najsmutniejsze. Nie żyje, ale powróciła do świata żywych, żeby coś zabrać, bluzkę albo parę butów, i zanim znowu odejdzie, siedzimy przy kuchennym stole, tylko my dwie. Ma tyle lat, ile miała wtedy, kiedy nas opuściła: trzydzieści trzy. Teraz ja jestem w jej wieku. Zawsze przychodzi dziwnie ubrana - w kostium marionetki, w hawajską spódnice. Raz miała na sobie workowate, czerwone spodnie pani Dingwall. Jest spokojna. Jej oczy wydają się popękane jak lód. Myślę, że może straciła wzrok. Pytam ją, jak umarła i dlaczego odeszła, ale nigdy nie

mogę uzyskać odpowiedzi albo jej nie słyszę. Czasami płaczę, a ona gładzi mnie po włosach. W jednej z wersji jestem zwinięta w kłębek na jej kolanach. Sen jest przepełniony naszą wzajemną miłością.

Kiedy się budzę, mija kilka minut, zanim uprzytomnię sobie, że ona nie umarła, przynajmniej na tyle, na ile się orientuję. Zastanawia mnie to uczucie miłości we śnie. Pewnego ranka uderza mnie myśl, że przywołuję uczucia z wczesnego dzieciństwa, więc podczas śniadania pytam ojca:

- Jaka była mama, kiedy byłam dzieckiem? Podnosi głowę znad gazety.

- Dzieckiem?

- Czy była szczęśliwa?

- Szczęśliwa? - Jak się zdaje, to pytanie go przeraziło.

- Dobrze się czuła w roli matki?

- Oczywiście. Oczywiście, że tak.

- Jakoś nie miała bzika na punkcie dzieci znajomych. Pamiętam, że kiedy Dingwallom urodziły się bliźnięta, (lord i Ward, nie chciała nawet zajrzeć do wózka.

- Były obce. Nie były jej dziećmi.

- A więc... - nagle tracę śmiałość. - Więc była wtedy szczęśliwa.

- Nigdy nie była beztroska albo zadowolona z siebie, nie należała do osób o pogodnym usposobieniu. Myślę, że byłbym bliższy prawdy, mówiąc, że miała poczucie celu. Zajmowanie się dzieckiem, własnym dzieckiem, było ważnym, wartym zachodu obowiązkiem. Brała je sobie do serca. Rozgraniczała właściwy i niewłaściwy sposób wykonywania poszczególnych czynności. Pieluszka musiała być złożona dokładnie tak, a nie inaczej. - Marszczy brwi, najwyraźniej przypominając sobie swoje wielokrotnie nieudane próby. - Założę się, że zmieniała ci ją co dziesięć sekund. - Odstawia filiżankę z kawą. - Byłaś okazją - mówi. - Okazją, by stanąć na wysokości zadania.

Okazją, by stanąć na wysokości zadania... To stwierdzenie utkwilo mi w pamięci na długo. Co ono znaczy? Myślę, że wiem, a potem znów, że nie mam pojęcia. Z czasem nabiera dla mnie swego rodzaju podniosłości, jakbym przeczytała je na tablicy pamiątkowej. Pod koniec tygodnia jestem przekonana, że został mi podarowany klucz do mojego przeznaczenia. W snach o matce (w tym czasie nawiedza mnie jeszcze kilka innych) wciąż

czuję jej miłość i zastanawiam się, czy jeśli się obudzę, to wrażenie pozostanie. Ale teraz wyczuwam też jej ambicję.

Ktoś mógłby pomyśleć, że pod jej wpływem znów będę rozważać pójście na uniwersytet. Nic z tych rzeczy, nawet nie przychodzi mi to do głowy. Przeciwnie, nabieram jeszcze większego przekonania, że moje skromne plany są najbardziej odpowiednie. Mam przeznaczenie. Niezależnie od tego, co zrobię, i tak nadejdzie. Teraz, kiedy oczyściłam drogę, może zacząć się zbliżać.

Do głębi o tym przekonana odczuwam absolutny spokój. Równocześnie nabieram większej czujności. Każde wydarzenie może właśnie zapoczątkować kolejną, drugą fazę mego życia. Przystojny mężczyzna przechodzi za oknem sklepu, a ja zamiast obserwować go z rezerwą, oddaję się błogim rozważaniom, w których on jest dla mnie jedną z szans. Albo wejdzie do środka, albo nie. Albo jest nam przeznaczone się spotkać, albo nie.

Nie umniejszam wpływu pogody na stan mojego umysłu. Od pierwszego sierpnia temperatura przekracza trzydzieści stopni, popołudniami dudnią grzmoty, a potem, akurat gdy wychodzę do pracy, zrywa się gwałtowna ulewa, po której w powietrzu jest tylko jeszcze więcej wilgoci. Każda najdrobniejsza czynność - choćby zdjęcie książki z półki - wymaga ogromnego wysiłku. Staram się być mniej spięta, a upał nie może zniszczyć we mnie wiary, że moje życie wkrótce się zmieni. Ciągłe przywołuję w pamięci tamten gorący sierpień, który spędziliśmy z Ablem w wąwozie, gdy błyskawice i grzmoty pojawiały się każdego dnia, jakby zwiastując to, co się w końcu zdarzyło. Miłość do pani Richter przeniosłam na niego. Nie liczę na to, że teraz jego przestanę kochać, tak się nie stanie. Ale może pokocham kogoś innego. Chociaż troszeczkę.

Rano i wczesnymi popołudniami uczę się pisać na maszynie na starym remingtonie mojego ojca, siedząc pomiędzy dwoma wentylatorami, które ustawiłam w przeciwległych narożnikach jego gabinetu. Także tutaj jestem świadoma tego, że czuję się bardziej spokojna i uwrażliwiona na otoczenie. Wydaje się, jakbym potrafiła przewidzieć, że zadzwoni telefon, ale gdy się odzywa, nie odbieram. Wstaję, otwieram drzwi i wyężam słuch, by wychwycić „Halo?” pani Carver. A jeśli to Abel? Czasami jestem pewna, że to on, mam takie przeczucie. Przytulam się do framugi drzwi i czekam. Najczęściej

telefonuje córka pani Carver albo jej przyjaciółka, pani Sawchuk, więc osuwam się na podłogę i tłumaczę sobie, że to uczucie, ten ucisk pod żebrami, jest przejawem ulgi.

Czasami koło południa dzwoni ojciec, by się dowiedzieć, co słyhać. Po pogawędce ze mną prosi, bym jeszcze raz przekazała słuchawkę pani Carver. Teraz, gdy nie bywam wieczorami w domu, ona zostaje dłużej i jada z nim kolację. Okazało się to całkiem niedawno, chociaż ojciec utrzymuje, że powiedział mi o tym kilka tygodni temu. Kusi mnie, żeby podsłuchać ich rozmowę z innego telefonu, ale prawdopodobnie zorientowaliby się od razu, ponieważ w aparacie pojawia się echo, gdy obie słuchawki nie leżą na widełkach. Odkładam więc tę, z której rozmawiałam, i na palcach skradam się na dół, do holu, licząc na to, że z urywanych słów pani Carver, wyrażających sympatię czy zainteresowanie, uda mi się coś wywnioskować. Często dobiega mnie jej śmiech przypominający suchy kaszel, na który przy innych okazjach dość trudno jest się jej zdobyć. Pewnego dnia zaskakuje mnie zdumiewającą propozycją: „Nie odmówiłabym odrobiny sherry. Co ty na to?”

- O czym tak rozmawiacie? - pytam ojca tego samego wieczoru.

- Och, o tym, co się dzieje w biurze. O tych wszystkich układach i plotkach. Wydaje się, że lubi takie rzeczy.

- Czy ty... czy umówiłbyś się z nią kiedyś?

- Umówił się?

- Na randkę.

- Randkę?

- Jest tylko trzy lata starsza od ciebie. Sprawia wrażenie kompletnie zaskoczonego.

- Wciąż jestem żonaty.

- Niezupełnie.

- W obliczu prawa w dalszym ciągu twoja matka i ja jesteśmy małżeństwem. A pani Carver jest... jest...

Czekam.

- Cóż, jest przyzwoita, godna szacunku, układna...

- Dobrze, już dobrze. A więc zostanie tutaj? Kiedy się wyprowadzę?

Cisza. Nie chce rozmawiać o mojej przeprowadzce.

- Nie zastanawiałem się nad tym. Myślę, że zostanie. Przynajmniej przez jakiś czas.
- Mam taką nadzieję. Nie chciałabym ciągle się o ciebie martwić.
- Wiesz... - Spuszcza wzrok. - Jest o wiele mądrzejsza, niż mi się początkowo wydawało. Wyjątkowo dobrze zorientowana. Ma wiedzę, naprawdę.

- Co masz na myśli?
- Lecznicze ezoteryki, te jej ludowe mikstury. Są nie tylko irlandzkie, pochodzą z całego świata. Chiny, Turcja. Skłoniła mnie do picia herbatki.

Sztywnieję.

- Na artretyzm, który mi dokucza. Turecki napar, stosowany tam w dawnych czasach. Pewna starsza kobieta z delikatesów na Bloor Street sprzedaje jej składniki. W głębokiej tajemnicy, w pełnej konspiracji. - Krzyżuje palce. - Smakuje jak eliksir szatana, ale niech mnie diabli, jeśli nie działa.

Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że nie muszę się martwić, że pani Carver mu powie. Zresztą, po co miałyby to robić? Nic na tym nie skorzysta, a co ważniejsze, sama nie będzie się chciała zdradzić. Mogę się nie obawiać, z jej zachowania nikt nie wywnioskuje, że łączy nas aborcja. Ona nigdy do tej sprawy nie nawiązuje, nie spogląda na mnie z niepokojem w oczach. Najwyraźniej ma dar zapominania o nieprzyjemnych zdarzeniach.

Jeśli tak, to ma szczęście. Ja też, ponieważ nie muszę się martwić o to, że ona się zamartwia. Tak czy inaczej, mamy wspólną tajemnicę, i to nie byle jaką. Są takie chwile, kiedy wszystko, co ma z nią jakikolwiek związek, jest dla mnie przestrogą - ubrania z wyprzedaży kupione w sklepach mieszczących się w suterenie, tania farba do włosów, to jej szeptanie, herbatki i przesady, nawet zbyt normalne zachowanie sugerują, zresztą zgodnie z prawdą, że aż za dobrze zna się na krwawych sprawkach. Wiem, że jestem niesprawiedliwa. Nic jednak na to nie poradzę. Kiedy wracam z pracy do domu, z przerażeniem myślę o tym, że wciąż tu mieszkam. Czasami otwieram drzwi do szafy w holu tylko po to, by popaść w przygnębienie na widok kapeluszy matki. Słyszę jej głos - nie ten czuły ze snów, ale ostry z moich wspomnień: „Bezużyteczne! Trzeba je wyrzucić, co do jednego!”

Zaczynam przeglądać strony z drobnymi ogłoszeniami i umawiać się na spotkania, by obejrzeć nie umeblowane mieszkania. Zazwyczaj wiem od razu, w chwilę po tym, jak gospodarz domu otworzy frontowe drzwi, że tracę tylko czas. Ale mimo to wchodzę po schodach do dusznych pomieszczeń i aż trudno mi uwierzyć, że mogą stanowić bezpieczne schronienie dla człowieka. Popękany tynk na ścianach, płacz niemowlęcia dobiegający z sąsiedniego mieszkania, odpadająca tapeta, pokój położony na niskim poddaszu, w którym może się wyprostować tylko pięcioletnie dziecko, w ogłoszeniu określony jako „przytulny”, cały pomalowany farbą olejną w kolorze kremowym, jak w każdej instytucji, co znalazło swój wyraz w stwierdzeniu „po remoncie”. „Jasny” oznacza, że nie jest to mroczna nora. Zupełnie nie interesują mnie mieszkania w suterenie, ale zachęcona opisem „wysokie i suche”, trafiam do jednego z nich i stoję zgarbiona pod przebiegającą niemal pośrodku rurą, słuchając wyjaśnień właściciela, że ściekająca z niej woda to efekt kondensacji pary wodnej.

Don Shaw twierdzi, że nigdy nie znajdę odpowiedniego miejsca, w każdym razie nie w granicach cenowych, jakie sobie wyznaczyłam, i nie w tych częściach miasta, gdzie prowadzę poszukiwania. Opowiada mi o mieszkaniach do wynajęcia w okolicy, w której on mieszka.

- Doskonale by ci się żyło w tej dzielnicy - mówi. Kwituję śmiechem te jego uwagi.
- No tak - stwierdza. - Bezduszny śmiech młodej dziewczyny.

Pewnego dnia okazuje się, że w tym samym budynku zwalnia się umeblowany pokój z aneksem kuchennym.

- Byłby idealny dla ciebie - zachęca. - Cichy, od podwórka. Będziesz słyszała tylko ćwierkanie wróbli na klonie, który rośnie tuż za oknem.

Mówię, żeby nawet o tym nie wspominał.

- Wszystko, czego potrzebujesz, masz w pobliżu - nie daje za wygraną. - Przystanek tramwajowy przed domem, pralnia na parterze, sklep spożywczy na rogu.

- A obok niego dziwki.

- To prawda. Ale dziwki odwracają uwagę seksualnych maniaków, więc ci nie zaczepiają ładnych pańienek, takich jak Madame Kirk.

Ładnych. Poza Ablem nikt dotychczas nie chwalił mojej urody. Czuję, że się rumienię. Don Shaw uśmiecha się do siebie.

Tego wieczoru, tuż przed zamknięciem sklepu, staje w drzwiach.

- Don Shaw - dziwię się na jego widok.

- Madame Kirk.

- Zapomniałeś czegoś?

- Nie.

Uśmiecha się do swoich butów wypolerowanych na wysoki połysk. Również jego włosy lśnią jak nigdy, posmarował je jakimś tłuszczem i zaczesał do tyłu. Ciągnie za sobą zapach wody kolońskiej... Old Spice. Czuję to z miejsca, w którym stoję.

- A co to za okazja? - pytam z pewnym niepokojem. Podnosi wzrok. Dotyka swoich włosów.

- Och... hmm, byłem na spotkaniu z przyjacielem, kumplem z dawnych czasów, na kolacji.

Nie wierzę mu. Nieraz podkreślał, że ma naturę odludka. Przyklękam, by otworzyć sejf wbudowany we wnęce w ścianie.

- Właśnie wracam do domu. Pomyślałem sobie, że wstąpię tu po drodze i coś ci zaproponuję - mówi.

Czuję, jak serce zaczyna mi głucho dudnić w klatce piersiowej. Wkładam woreczek z pieniędzmi do sejfu, zamykam go i pokrętle ustawiam kod.

- Możesz nie mieć ochoty oglądać sama tego mieszkania - mówi. - Przyszedłem więc zaoferować ci swoje towarzystwo.

Wstaję. Wciąż stoję tyłem do niego, otwieram księgę rachunkową i wpisuję popołudniowy utarg - siedemnaście dolarów.

- I co ty na to? - pyta. Odwracam się twarzą do niego.

- Teraz?

Podzwania kluczami, które trzyma w dłoni.

- Obecny lokator wyjechał na kilka dni.

- I tak się składa, że zostawił ci klucze.

- Jestem administratorem.

- Ty?

- Już ci kiedyś o tym wspominałem.

Nic podobnego. Zresztą to nie ma znaczenia. Wyciągam torebkę spod lady.

- Sama nie wiem. Jestem zmęczona.

- Nie będziemy tam długo.

- Ale o dziesiątej piętnaście mam autobus. Ucieknie mi.

- Autobusy jeżdżą do drugiej.

Wzdycham. Dziwi mnie mój brak zdecydowania.

- Trzeba podejmować w życiu ryzyko - mówi.

Na zewnątrz wciąż jest gorąco. Na schodach u Morgana siedzą czterej mężczyźni, wśród nich mój łyсы wielbiciel. Sprzecają się o coś, co jeden drugiemu próbuje odebrać. Talię kart albo paczkę papierosów.

- Chuda! - wykrzykuje mój adorator. Rzuca się przed siebie. Jego głowa ma kształt kuli. - Kocham cię! - wydziera się na całe gardło.

- Odejdź.

Don Shaw pokazuje ręką, żeby się oddalił, ale głowa tamtego wylania się jak księżyc ponad moim prawym ramieniem. Na skrzyżowaniu znika. Rozglądam się dokoła. Zawrócił i wmieszał się już w tłum. Słysząc tylko, jak krzyczy: „Wyjdź za mnie”.

Skręcamy w lewo, w uliczkę ciemnych o tej porze sklepików z artykułami za grosik i używanymi meblami. W oknie wystawowym sklepu, nad którym widnieje szyld „Prze-cena obuwia”, wiszą sukienki z organdy z falbankami, dla małych dziewczynek. Potem kawałek nie zabudowanego terenu porośniętego cykorią, której niebieskie kwiaty nabrały wyrazistej barwy w blasku ulicznych świateł. Nie rozmawiamy. Przekracza wyciągnięte nogi kobiety, która leży w przejściu i mamrocze do siebie. Jestem zaskoczona na widok kobiety w takim stanie i zdumiona tym, że on wcale nie zwraca na nią uwagi. Spoglądam na niego. Jest spięty. Z tymi przylizanymi do tyłu włosami wygląda, jakby miał na głowie kosmiczny hełm.

Na rogu ulicy mijamy dwie dziewczyny w krótkich spódnickach i z jaskrawym makijażem. Są mniej więcej w moim wieku. Może to prostytutki, a może tylko dwie znudzone nastolatki, które nie mogą wytrzymać w przegrzanych i dusznych mieszkaniach.

Mijamy bar, rozświetlony wewnątrz jak w środku dnia, w którym siedzi tylko jeden gość - kobieta o twarzy gęsto pokrytej zmarszczkami, typ urody Brigitte Bardot: wydatne usta, natapirowane blond włosy pod szalem w czerwone kropki. Siedzi przy oknie i pali papierosa.

Zatrzymujemy się przy wejściu do sąsiedniej kamienicy. Jest zbudowana z cegły, otynkowana na rdzawy kolor. Pralnia zajmuje połowę parteru.

- Bardzo proszę, oto „Dom pod Płaczącą Wierzbą” - oznajmia Don Shaw. W jego głosie nie słychać cienia ironii.

Na podwórku rośnie kilka wierzb. Spoglądam w górę, na wyższe piętra, i staram się doszukać uroku, którego zapewne nie potrafię od razu dostrzec. Na dachu kilka wieżyczek, owszem ciekawych, ale każda obita brunatnymi gontami, a znaczna część ozdobnej stolarki skryła się pod aluminiową blachą.

- No i co myślisz? - zagaduje.

Nie zamierzam starać się wprawić go w dobry humor.

- Okropna.

- Okropna. - Próbuje zachować pogodny wyraz twarzy. - Nie takie określenie nasuwa mi się na myśl. Ale jeżeli dla ciebie żywa historia jest okropna, jeśli nakładanie się epok jest okropne, w takim razie...

- W takim razie - kończę za niego - rzeczywiście jest okropna. - Przed sobą mamy troje drzwi wejściowych. - Które drzwi? - pytam.

Środkowe. Wewnątrz budynku, w przestronnym holu, z sufitu na przewodach zwisają żarówki. Niemal dokładnie pod nimi, naprzeciwko siebie, stoją dwa drewniane krzesła.

- A co to jest? - pytam. - Sala przesłuchań? Podchodzi do krzeseł i ustawia je przy ścianie.

- Dzieciaki ciągle je przestawiają.

- Jakie dzieciaki?

- Brat z siostrą z mieszkania pod trójką. Są grzeczne, tylko nie mają się gdzie bawić.

- Wskazuje klatką schodową.

- Idź przodem - mówię.

Nie chcę, żeby przy wchodzeniu patrzył na moje pośladki. Kiedy zaczyna iść po schodach, staram się nie patrzeć na jego tyłek o damskim kształcie, na szerokie biodra. Schody są oryginalne, z jasnego drewna, którego powierzchnia o naruszonej ze starości strukturze przypomina ostrą, kosmatą tkaninę. Stopnie są wklęsłe w środkowej części - pierwszy widomy znak, że ten dom nawiedzają duchy. Pytam, ilu lokatorów tu mieszka.

- Dziesięć osób. W sześciu mieszkaniach. Moje jest na pierwszym piętrze. Na drugim są trzy i na trzecim dwa. Twoje jest na drugim piętrze.

- Moje?

- No, mieszkanie, które hmm, które hmm...

- Jest do wynajęcia - podpowiadam.

Ma trudności z przekręceniem klucza w zamku. „No dalej”, mamrocze pod nosem.

Kiedy wchodzimy do środka, trochę się rozluźnia. Zapala górne światło.

- Dwa czterdzieści wysokości. Oryginalne sztukaterie. Nowe linoleum. - Zatacza ręką szeroki okrąg. - Przewiewne, dzięki temu, że ma dwa okna.

Być może, ale teraz panuje tu temperatura powyżej czterdziestu stopni. Linoleum ma wzór imitujący cegły i najwyraźniej mieszkanie składa się wyłącznie z tego jednego pomieszczenia, ponieważ wszystko jest w zasięgu wzroku: jednoosobowe łóżko, kuchenna wnęka, kanapa pokryta brązową prążkowaną tkaniną, niewielki stolik i cztery krzesła.

- A łazienka? - pytam.

- Łazienka? Oczywiście. - Maszeruje w stronę drzwi, które uznałam za drzwi od szafy, i otwiera je na całą szerokość. - Sedes. Umywalka. Wanna. Prysznic.

- Wodno-kanalizacyjne szaleństwo. Posyła mi niepewny uśmiech.

- Jak mi się zdaje, mówiłem ci, że jest funkcjonalne.

- Funkcjonalne. Nie jest to określenie, które trafia mi do przekonania.

- Ach, tak. - Kiwa głową ze wzrokiem utkwionym w buty.

- No to... - Przesuwam się w stronę wyjścia. - Teraz pewnie zejdziemy na dół, do ciebie, i pokażesz mi swoje kwasoryty.

Wypowiadam te słowa częściowo pod wpływem zniecierpliwienia i w pewnym stopniu ciekawości, co też jeszcze mi się przydarzy tego wieczoru, częściowo dlatego że,

jak się zorientowałam, kiedy robię mu przykrość, a potem go pocieszam, on staje się niemal atrakcyjny.

Widzę, jak mu drży mięsień pod skórą na policzku.

- Możesz mnie poczęstować czymś do picia - dodaję.

Gdy tylko otwiera drzwi do swego mieszkania, uderza mnie fala wilgoci.

- Ooo, jest duże - mówię.

Nawet przyjemne. Kto by pomyślał? Drewniane półki od podłogi do sufitu, trochę zniszczony dywan w orientalny wzór, staromodne meble, nie odnowione (dostrzegam plamy na stoliku, odrapania na nogach krzeseł), ale całość ma swój charakter. Kiedy włącza światło, widzę jego biurko, obok którego stoi pianino.

- Masz pianino? - mówię i w tej samej chwili ogarnia mnie dławiący smutek.

Mogłoby stać w pokoju gościnnym u Richterów, w ich domu w Greenwoods.

- Nie umiem grać - mówi. - A ty?

Patrzę na niego. Na te jego śmieszne włosy. Pod stopami czuję wibracje pralek.

- Nie, ja nie, ale miałam chłopaka, który grał. Naprawdę dobrze. - Siadam na krześle obitym kasztanowobrazową tkaniną. - Tu jest jak w łaźni parowej.

Szybkim krokiem przemierza pokój i podnosi żaluzje. Odsłaniają klimatyzator.

Włącza go.

- Masz pewnie poniszczone książki? - pytam.

- Nie jestem kolekcjonerem. Kupuję je ze względu na treść. A te trzymam tylko dlatego, że mam tyle półek.

Idzie do kuchni. Ze swego miejsca widzę białą wykładzinę na podłodze i niebieskie szafki. Porusza się szybko. Wkrótce wraca do pokoju z dzbankiem wody z lodem i dwoma kieliszkami do wina w jednej ręce i korkociągiem w drugiej. Butelkę niesie pod pachą.

Przyciskam dzbanek do policzka, potem do czoła. Siada naprzeciw mnie na kanapie i zaczyna otwierać butelkę.

- Dotknę ją za chwilę - mówię, gdy napełnia winem kieliszki.

Podnosi na mnie oczy.

- Kanapę. Tyle razy powtarzałeś mi, że powinnam jej dotknąć. Więc teraz nadarza się okazja. Jestem tu i mogę to zrobić.

Wydyma wargi, nie wiedząc, jak zareagować, ale jest gotów na wszystko, a właściwie dlaczego miałby nie być? Znalazłam się tu, gdzie od dwóch miesięcy chciał mnie zwabić. Jestem delikatna i wątpią, łatwo mnie uwieść. Widząc, że nabiera pewności siebie, tracę zainteresowanie i zaczynam przyglądać mu się badawczo w poszukiwaniu czegoś, co... nie, nie wprowadziłoby mnie w stan podniecenia, co do tego nie ma wątpliwości, lecz poruszyło.

Oczy, stwierdzam ostatecznie, inteligencja i cierpienie nie całkiem stłumione przebiegłością. To jednak mi nie wystarcza, rozglądam się po jego mieszkaniu. Sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem. Leży na nim tylko segregator w skórzanej oprawie, wypchany papierami.

Odstawiam dzbanek z wodą i sięgam po kieliszek.

- Za poezję - wznoszę toast.

Dopiero po chwili wyciąga rękę po swój kieliszek.

- Przeczytasz mi coś? - pytam. - Któryś ze swoich wierszy?

Podnosi do ust kieliszek z winem.

- Nie - odpowiada cicho. - Nie sądzę.

Wstaję z krzesła i siadam obok niego. Nasze uda się dotykają. Czuję pod kolanami miękką skórę, którą pokryta jest kanapa.

- Jest jak ciało. - Przesuwam po niej dłonią. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji.

Sięgam ręką, dotykając jego klatki piersiowej, do lampy stojącej po jego drugiej stronie i ją wyłączam.

Czuję, jak cały drży. Albo to wibracje przenoszące się z dołu, z pralni. Całuję go. Ma oddech lekko pachnący grzybami - trochę ulgi po przytłaczającej, ostrej woni wody kolońskiej. Zamykam oczy. Jego usta są miękkie jak skóra kanapy. Ale nad determinacją - chociaż wyczuwam, jak skręca się w nim w środku - udaje mu się zapanować. Zdejmuje okulary i obejmuje mnie ramieniem. Poddaję się mu. Zatapiam się w pocałunku, ale nie na tyle głęboko, by zapomnieć, że dotykam ust Dona Shawa i że to jego palce odpinają mi bluzkę.

Kochamy się na kanapie. Całuje mnie w czoło, w szyję, jakbym była śpiącym dzieckiem. Nieustające, delikatne pocałunki mają mnie uspokoić. Ale nie działają ani

trochę. Próbuję spojrzeć na całą sytuację jego oczami i to trochę pomaga. Rzecz polega na tym, żeby sobie wyobrazić, co on czuje i myśli. Jestem tylko młodą dziewczyną, zbyt młodą i ładną, by być tu, gdzie jestem. Darem losu. Nikt nie dałby wiary. Dochodzi, czuję w sobie krótki, gwałtowny skurcz. Otwieram oczy i widzę jego wykrzywioną twarz. Niemal z przerażeniem uwalniam się spod ciężaru jego ciała i zsuwam na podłogę. Opada na kanapę. Wstaję i chwytam ubranie. Brzuch mam wilgotny i śliski od jego potu. Staję na wprost klimatyzatora, ale nie czekając, aż moja skóra całkiem wyschnie, zaczynam się ubierać.

- Po co ten pośpiech? - pyta, wciąż ciężko dysząc.
- Lepiej już pójdę. Ojciec zacznie się o mnie niepokoić.
- Możesz przecież do niego zatelefonować. Zapinam spódnicę.
- Gdzie jest moja torebka? Siada i zapala lampę.
- Hej - mówi.

Spoglądam na niego... puciołowatego mężczyznę w średnim wieku z przetłuszczonymi, beżowymi włosami, które sterczą mu po bokach jak rogi.

- Zostań - prosi. - Jeszcze chociaż kilka minut. Nawet nie wypijaś wina.
- Przykro mi. Nie mogę. Sięga po koszulę.
- Odprowadzę cię na przystanek.
- Nie! - odwracam się szybko. Zastyga w bezruchu.
- Poradzę sobie. - Dostrzegam torebkę obok krzesła, nabieram ją pospiesznie. Mam

wrażenie, że popełnione zostało przestępstwo, z niewinnego psikusa, zabawy zapalkami, cały dom stanął w płomieniach.

- No tak. - Kiwa głową, wpatrując się w podłogę. Nie potrafię się zdobyć na to, by go pocieszyć.

- Do zobaczenia, do jutra - mówię. Nie podnosi wzroku.
- Rozumiem, że nie zdecydujesz się na tamto mieszkanie.
- Nie.

Znów kiwa głową.

- Widzimy się jutro - powtarzam.

Staram się go przekonać. Nie chcę robić mu fałszywych nadziei, ale drażni mnie myśl, że już zdążył się pogodzić z tym, czego ja jeszcze nie byłam pewna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Abel, zanim zaczyna pić bez opamiętania, zamyka się na cztery spusty. Jeśli pukasz do drzwi, a on jest przytomny, wysuwa przez szparę jedną z przygotowanych wcześniej kartek. „Zadzwoń później” (Ciekawe jak? - jego telefon został odłączony) albo „Dzięki, zostaw pod drzwiami” (niezależnie od tego, co mu się przyniosło, czy torbę z artykułami spożywczymi, czy mleko, które skisnie w przegrzanym korytarzu), albo „Wciąż żyję!” (wykrzyknik dla twojego spokoju, by można było cieszyć się z okoliczności, którą on sam uważa za mało interesującą). Jeszcze niedawno dało się z nim porozmawiać przez drzwi, ale ostatnio z powodu częstych wymiotów i ogólnego wyniszczenia gardła mówi zbyt cicho. Zresztą i tak trudno wydobyć z niego coś więcej niż obietnicę, że zadzwoni później, albo polecenie, by zostawić to, co się przyniosło. Tego, że wciąż żyje, łatwo się domyślić.

Karteczek nie pisał sam. Skorzystał z przysługi Joyce, kelnerki, którą znał jeszcze z czasów, gdy grywał w barze na pianinie. Trzy zestawy, po pięćdziesiąt sztuk każdy. W dobie wielkiego kryzysu Joyce wygrała konkurs kaligrafii. Kiedy podnosisz z podłogi jedną z jej karteczek, na widok równego rzędu liter stojących na delikatnej linii narysowanej ołówkiem, by napis był prosty, czujesz, że przynajmniej oddalono cię uroczyście, jak gdyby za pośrednictwem kamerdynera. Trzyma każdą kartkę w innej kieszeni swego przestronnego płaszcza, ale i tak je myli, wysuwając na przykład „Dzięki, zostaw pod drzwiami”, gdy nic mu nie przynosisz. Czasami karteczka „Wciąż żyję!” już leży i czeka na ciebie. Mówię mu, że nie może udzielać takich informacji na wyrost, że powinien przynajmniej podać godzinę: „Wciąż żyję o godzinie 4.30!” albo o 6.00, czy coś w tym rodzaju. Próbuje więc pójść za moją radą. Znajduje długopis. Trzęsącą się ręką dopisuje cyfry, a ty stoisz pod drzwiami i zastanawiasz się, czy to jest dziewiątka czy siódemka, trójka czy może ósemka?

Kiedy nie pije na umór - a potrafi ograniczyć się przez dwa dni do, jak to określa, terapeutycznych porcji - drzwi są zwykle uchylone. Wtedy wchodzi do niego, kto chce.

Starzy przyjaciele z baru. Cindy, piękna manikiurzystka z naprzeciwka, w czasie wolnym między wizytami klientek. Archie, gospodarz domu, ze szklanką piwa w ręku. Ponieważ u Abła nie ma gdzie usiąść, Archie opiera się o lodówkę i opowiada dowcipy w ponury, gwałtowny sposób. Abel wyciągnięty na łóżku kiwa głową, jakby słuchał muzyki jazzowej. Cindy śmieje się, ale bez konkretnego powodu, tylko po to, by upowszechnić optymizm. Gdy wchodzi do niego do mieszkania, zawsze ogłasza radośnie: „Mam tego wyżej uszu!” albo „Nawet nie pytaj!”, zapewne mając na myśli swoją podupadającą firmę. Uśmiecha się trochę nerwowo, z czego wnioskuję, że ten doskonały nastrój ma tylko na pokaz, na jego użytek.

Ostatnio odwiedzam go prawie codziennie, w drodze do pracy i, jeśli mogę, także wracając do domu. Jego rodzice przychodzą po kolacji. Dla nich każda wizyta wiąże się z półtoragodzinną wyprawą, ponieważ dojeżdżają z Waterloo, gdzie pan Richter, obecnie już na emeryturze, pracuje na pół etatu, ucząc chemii. Zdarza się, że nawet oni nie dostają się do środka. Co najmniej trzy razy w tygodniu, gdy przyjeżdżam rano, zastaję torbę z zakupami albo pojemniki z gotowym jedzeniem ciągle stojące na korytarzu. Pani Richter przynosi kwiaty ze swojego ogrodu - stokrotki, niezapominajki, herbaciane róże - owinięte w mokre szmatki i zabezpieczone na wierzchu folią. Raz był to kawałek pomarańczowo-czerwonej spódnicy, którą miała na sobie, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

Wiem, że on chce, bym przychodziła rano, ale i tak zawsze odczuwam ulgę, kiedy nie zastaję zaryglowanych drzwi i słyszę jego chrapliwy oddech. Podchodzę do łóżka. Śpi na wznak. Książka, którą czytał przed zaśnięciem - zbiór poematów Blake'a albo wiersze wybrane Yeatsa - często wciąż leży otwarta na jego klatce piersiowej. Przychodzi mi do głowy, że pewnego dnia mogę znaleźć jego zwłoki. Próbuję sobie to wyobrazić, ale dreszcz przerażenia wywołany tą myślą wydaje mi się aż nazbyt dobrze znany, bym mogła wątpić, że pochodzi z pogranicza uczuć, do których nie zdołam się przygotować.

Rozkładałam artykuły spożywcze. Jeśli jego matka przyniosła kwiaty, wyrzucam stary bukiet, a nowy wkładam do jedynej szklanki, jaką Abel ma w domu. Koty miauczą, kręcąc się przy moich nogach - nie mam pojęcia dlaczego, mają przecież pełne miski - a kiedy chcę je pogłaskać, uciekają. Abel wciąż śpi. Budzi się dopiero wtedy, kiedy zdejmuję z niego nakrycie.

- Louise - wita mnie ze zdumieniem, jakbyśmy nie widzieli się od lat.

Pomagam mu się podnieść. Opowiada mi swój sen. Śniła mu się inna planeta, jej intensywnie różowa atmosfera i tarcze ze światła, szklany hangar lotniczy pełen motyli wielkości sterowców z jaskółczymi ogonami. Często śni mu się, że się kochamy. Mnie też. W moich snach znowu jesteśmy dziećmi. W jego - nasze ciała są surrealistyczne. Mam trzy piersi albo cała jestem pokryta sutkami. On ma ręce jak konary drzewa, z nieskończoną liczbą palców, a jego członek wysuwa się z teleskopowej osłony.

- Ekstra, rewelacja - stwierdzam.

- Naprawdę był fantastyczny - mówi, ignorując ironię w moim głosie. - Piękny.

Chwieje się i drży, a ja otwieram pudełko z papierosami. Zwykle jest tam już jeden gotowy, skręcony wcześniej. Zapalam go i wkładam mu między wargi. Wykrzywiają się przy pierwszym wciągnięciu dymu, który, jak sam przyznaje, boleśnie podrażnia mu gardło. Szuka wzrokiem popielniczki, sprawdza, czy jest w zasięgu ręki. Nie chciałby rozsypać popiołu na czysty dywan. Jego matka powiedziała mi (tonem pełnym nadziei, biorąc to za pozytywny znak), że utrata świadomości nigdy nie trwa u niego dłużej niż kilka godzin. Przypuszczalnie więc, kiedy jest przytomny, doprowadza do porządku siebie i mieszkanie. A jednak rozglądam się w poszukiwaniu oznak zniszczeń - odłamków szkła, plam na ścianach po rozlanej whisky. Przyglądam się jego rękom i twarzy, szukając śladów obrażeń. Pewnego ranka, dostrzegając mój wzrok, wyjaśnia:

- Piję w wannie.

- W kąpieli?

- Nie nopuszczam wody. Zapalam mu papierosa.

- Wiem, kiedy stracę przytomność - dodaje.

- Skąd wiesz?

- Słyszę zawodzenie.

- Jakby ktoś płakał?

- Głos syreny. Dobiegający z oddali.

- Syreny ostrzegawczej - kończę.

Uśmiecha się, jakbym powiedziała coś wyjątkowo dowcipnego.

- Louise.

- Muszę się zbierać - mówię zirytowana. - I tak już jestem spóźniona.

Jego szczerość mnie przeraża. Jeszcze kilka tygodni temu za nic nie poruszyłby tematu picia, przynajmniej nie ze mną. Przez cały rok przekonywałam go, że powinien spojrzeć prawdzie w oczy i walczyć z nałogiem, ale teraz, jak się zdaje, to uświadomienie sobie prawdy miało go tylko utwierdzić w przekonaniu, że sytuacja wcale nie jest alarmująca, wykazać, że problem nie jest na tyle poważny, żeby nie można było się go pozbyć bez większego wysiłku.

Pewnego ranka otwieram drzwi i zastaję Abła na praniu dywanu. Rękawy od piżamy ma podwinięte i pierwszy raz od kilku miesięcy mogę zobaczyć, jak przerażająco chude są jego ręce powyżej łokci.

- Co się stało? - pytam. Woda w wiaderku jest różowa. - O Boże, miałeś krwotok?

Nie przerywa, szoruje obiema rękoma, jedną trzymając na drugiej, by opanować drżenie. Używa szczoteczki do rąk.

- Tylko troszkę krwi.

- Zawiozę cię do szpitala.

- Nic mi nie jest. Zmierzyłem sobie ciśnienie.

- Abel, proszę cię. Dla mojego spokoju.

- Już wszystko w porządku. Teraz czuję się dobrze.

- To chociaż pozwól mi to skończyć.

- Trzeba tylko jeszcze zmyć na czysto. - Podchodzi do łóżka i siada.

Wylewam brudną wodą i napełniam wiaderko świeżą, potem znajduję ścierką do naczyń.

- Czekaj! - wołam, kiedy słyszą, że sięga po papierosa. Spieszą, by mu go zapalić.

- Jesteś taka zawzięta - mówi. - Zupełnie jak mangusta.

Uważa to za komplement. Wracam do wiaderka, klękam i zaczynam wycierać plamą.

- To nie boli? - pytam.

- Co?

- Wszystko. Torsje.

- Czasami boli mnie gardło.

- Więc palenie na pewno ci pomoże. - Wykręcą szmatą. - Jak bardzo ci dokucza?
- Nie za bardzo.

Dla mnie to oznacza, że bardzo.

- Jak to wytrzymujesz? Pijąc więcej?

- Mówią sobie, że na świecie istnieje pewna porcja bólu, dzienna dawka, i że musi gdzieś znaleźć swoje ujście. Kiedy ja cierpię, ktoś inny nie musi. Dziecko umierające na raka kości w New Jersey. Człowiek torturowany w Kampali. Przez cały czas, gdy mnie pali w gardle, ich ból ustępuje.

- I wierzysz w te cuda?

- Sam nie wiem.

- Masochista. - Niosą wiaderko do zlewu, wylewam wodą. - Może dam ci trochę soku pomarańczowego? - pytam, choć nie sądzą, by przyjął propozycję.

Ale on przekrzywia na bok głowę, zaintrygowany.

- Sok pomarańczowy. Czemu nie. Sok z pomarańczy. W jego szklance stoją kwiaty. Znajdują plastikowy pojemnik z miarką i sok nalewam do niego.

- Sok pomarańczowy w pojemniku z miarką - mówi zadowolony.

Przytrzymuję mu go przy ustach. Odwraca głowę.

- Wypiję później. Dziękuję.

Stawiam sok na stoliku, między kwiatami a popielniczką, i spoglądam na zegarek. Ósma trzydzieści. Znowu spóźnię się do pracy. Akurat nie ma to wielkiego znaczenia, mój szef jest na urlopie. Siadam na podłodze, opieram się plecami o łóżko i ramieniem dotykam jego łydki. Za oknem, które jest prawie pod samym sufitem, dwa gołębie przechadzają się raz w jedną, raz w drugą stronę. Niedaleko z łoskotem przejeżdża ciężarówka.

- Mógłbym tu zostać na zawsze - mówi. Klepię go po stopie.

Ale on nie ma na myśli tutaj, teraz i ze mną.

- Stojąc na krawędzi - ciągnie - wiedząc, że w każdej chwili mógłbym z niej spaść.

Cały paradoks polega na tym, że gdybym wiedział, że mam realną szansę na następne sześć miesięcy, w myślach byłbym zupełnie gdzie indziej.

- Mógłbyś mieć te kolejne sześć miesięcy - mówię bez przekonania. - Nawet o wiele więcej.

- W samolocie na chwilę przed startem rozglądasz się po raz ostatni, tak jakby można było się tym spojrzeniem w jakikolwiek sposób i czegokolwiek przytrzymać.

- Przestań. Przerażasz mnie.

- Wszystko jest dokładnie tym, czym w rzeczywistości jest. Wszystko jest...

- Czym? - pytam, przerywając ciszę, która zapadła na dłuższą chwilę.

- Sobą. Wszystko jest sobą.

Wydaje się całkowicie pochłonięty tym, co mówi. Nie ma możliwości go powstrzymać.

- Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi - mówię.

- Gołębie - tłumaczy. - Nie są drzewami ani kotami, ani pojemnikami z miarką. Są gołębiami. Gruchają, budują swoje niestaranne gniazda, składają białe jaja. Nie są ani odpowiednie, ani nieodpowiednie; ani ważne, ani nieważne, nie mają nic wspólnego z nazwą, którą ktoś dla nich wymyślił. To z zapomnienia wywodzą się nienazwane „rzeczy”.

- A potem wymyślono dla nich nazwę.

- Wąż w raju. Mówisz do siebie „gołąb” i gołąb, którego masz wtedy przed oczami, zostaje zniekształcony przez to, co wiesz na temat gołębi. Widzisz gołębia takiego, jak go sobie wyobrażasz. Ponieważ nic na to nie poradzisz. Ponieważ z zapomnienia wywodzą się usta. Struny głosowe. I mózg. A potem, pewnego dnia, wszystkie nazwy ulatują.

Przestają mieć znaczenie. Nic ci nie mówią.

- Co to jest? - Chwytam go za stopę.

- Moja stopa.

Nie zrozumiałam, co chciał powiedzieć. Nie kwestionuję, że rzeczy mają nazwy.

- Twoja zimna, koścista stopa - mówię, puszczając ją. Odwracam się, by spojrzeć na niego. - Postaraj się bardziej. Dobrze? Bądź silny. Dlaczego nie potrafisz być silny?

- Nie jestem dla ciebie zbyt dobry, prawda?

- Jesteś dla mnie okropny.

- Przepraszam, tak mi przykro.

- Nie usprawiedliwiał się, tylko bądź wzburzony.
- Mam być taki jak ty?
- Właśnie. Bądź taki jak ja. Bądź dokładnie taki jak ja!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Jakkolwiek jestem przekonana, że Don Shaw domyśla się, że to koniec naszych kontaktów, wszelkich, nawet tych w pracy, chcę mieć pewność, że nie będzie miał żadnego pretekstu, by do mnie dzwonić. Tak więc po wyjściu od niego spieszę z powrotem do sklepu.

Nie włączam światła. (Widzę wystarczająco wyraźnie w pulsującym blasku neonu - w kształcie przeciekającego kranu - połyskującego z naprzeciwka, znad wejścia do sklepu z artykułami instalacyjnymi.) Podchodzę do lady, znajduję kawałek papieru i długopis, siadam na stołku. Między nogami wciąż czuję wilgoć. Moje ubranie jest przesiąknięte ostrą wonią jego wody kolońskiej. Myślę o tym, jak wyglądał, kiedy doszedł, przed oczami mam tę jego grobową minę, która wydawała się zarazem śmieszna i straszna. Jak mógł być zaskoczony tym, że uciekłam? Czuję się winna, ale także trochę wykorzystana, bardziej niż usprawiedliwiona. W sumie jestem z siebie zdecydowanie zadowolona, czuję się tak, jakbym wysprzątała szafkę.

Co powinnam napisać? A może sparafrazować pożegnalny list mojej matki? „Odeszłam. Nie wracam, Buddy wie, jak obsługiwać maszynę do liczenia”. Albo „Prawda cię uwolni”. Tylko tyle. Niech on, który sądzi, że zna mnie tak dobrze, sam się wszystkiego domyśli.

W końcu piszę: „Drogi Donie Shaw. Postanowiłam wziąć sobie do serca twoją radę i «podejmować w życiu ryzyko». Przepraszam, że zostawiam cię na lodzie. Oddaję czek z wypłatą, jako częściową rekompensatę. Żegnaj i powodzenia. Wszystkiego najlepszego, Madame Kirk. P.S. Ostatni wieczór był cudowny”.

Postscriptum dodałam, by zrównoważyć „wszystkiego najlepszego”. Mimo że to tylko formułka, i tak nie potrafię zmusić się do napisania „całuję”. Pod sformułowaniem „wieczór był cudowny” rozumiem tę jego część, którą spędziliśmy na spacerze w drodze

do jego domu, kwiaty cykorii, kobietę w kawiarni. Oczywiście, on uzna, że chodzi mi o seks. Niech sobie tak myśli.

Składam kartkę i zostawiam ją na księdze rachunkowej. Wychodzę, zamykam drzwi i wrzucam klucze przez otwór na listy. Przy uderzeniu o podłogę wydają brzęk wyzwala- jący we mnie wizję, w której mieszkam z Donem Shawem, jestem jego żoną, zamkniętą w czterech ścianach z gromadką pucołowatych dzieci o sztywnych włosach przypomina- jących darń. Czy zdołałabym to wytrzymać? Prawdopodobnie jakimś sposobem tak. Wszystkie wersje mojej przyszłości, nawet te pierwsze nieśmiałe koncepcje, muszą być do zniesienia - tak mi się przynajmniej wydaje - jeśli potrafię je sobie wyobrazić.

W połowie września znajduję sobie mieszkanie. Pokój z kuchnią na ostatnim piętrze trzykondygnacyjnego budynku, położone w rogu korytarza, dzięki czemu mam okna po obu stronach. Nie jest wiele większe od tego, do którego próbował mnie przekonać Don Shaw, ale znajduje się w znacznie lepszej dzielnicy i blisko stacji metra. Poza tym ma charakter: ciemną boazerię, lodówkę z lat pięćdziesiątych z zaokrąglonymi krawędziami i łóżko, które opuszcza się ze ściany po otwarciu dwuskrzydłowych drzwi. „Łóżko Murphy'ego!” - wykrzykuje mój ojciec na jego widok. Mówi, że William L. Murphy, który je skonstruował, wymyślił także spinę do włosów. Tę informację pani Carver kwituje zjadliwym prychnięciem, a wtedy przypominam sobie, że jej zmarły mąż, geniusz, którego okradziono ze wszystkich pomysłów, wynalazł lokówkę elektryczną.

Jej reakcja daje do myślenia. Dawniej w obecności ojca była strasznie zdenerwowana. W pośpiechu opuszczała pomieszczenie, do którego on wchodził, chwytając się za serce, kiedy odezwał się głośniejszym głosem. Niezależnie od tego, czy ojciec zdaje sobie z tego sprawę czy nie, oboje zaczynają się zachowywać jak stare małżeństwo, a jeśli nawet tędy wiedzie droga do ich romansu, nie mam nic przeciwko. I tak często jestem brana za jej córkę. W dniu mojej przeprowadzki gospodarz domu, w którym mam zamieszkać, zwraca się do nich jako do moich „rodziców”, a ja nie wyprowadzam go z błędu. Przez resztę popołudnia co chwila łapię się na tym, że na nią spoglądam, na tę drobną energiczną kobietkę, która pomaga taszczyć pudła do windy, i myślę, tak jakbym była na miejscu gospodarza domu, że od razu widać, po kim mam takie ciemne oczy.

Tak czy inaczej, dzięki Bogu, że ojciec ma w domu kogoś takiego jak ona. Obserwował, jak się pakuję, ale był do głębi poruszony moim odjazdem. Chociaż uprzedziłam go, że po meble - komodę, biurko, krzesło i szklany stolik z piwnicy - przyjedzie wynajęta ciężarówka, gdy zatrzymała się na naszym podjeździe, zapytał: „A co ona właściwie tu robi?” Tylko łóżko Murphy'ego nieco go ekscytuje. Poza tym ciągle wzdycha i na każdym kroku podkreśla, że opuszczam gniazdo, zaczynam żyć na własny rachunek, wyruszam w wielki świat. Dwukrotnie sięga po portfel i zaczyna wyciągać banknoty, a ja odsuwam jego rękę, mówiąc, że nie potrzebuję, że mam dość pieniędzy. Przecież pracuję!

Wcale nie, jeszcze nie. Ale złożyłam podanie w firmie maklerskiej tydzień temu, w piątek, i czułam, że zrobiłam dobre wrażenie na szefowej kadr, pannie Penn, przygnębionej kobiecie, która w czasie mojej rozmowy kwalifikacyjnej siedziała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Do tego, że ledwie przeszłam test stenografii, najwyraźniej nie bardzo przywiązywała wagę. „Och, trudno” - stwierdziła, wrzucając do kosza na śmieci transkrypcję w moim wykonaniu. Wyrażała się krytycznie o dwóch pozostałych kandydatkach: absolwentce uniwersytetu z „naroślą na obojczyku wielkości tej maszyny do pisania” i „bękarcie z fryzurą z poprzedniej epoki i brudnymi paznokciami”. A jednak niezbyt wysoko oceniałam swoje szanse, dopóki na pytanie: „Dlaczego zależy ci na tej pracy?” opowiedziałam o „ciotce, która była dla mnie jak matka i pracowała w firmie maklerskiej” (Czy rzeczywiście dlatego się tu zgłosiłam? - zastanawiałam się, snując tę opowieść), a panna Penn uśmiechnęła się blado i powiedziała: „Tak, ja też miałam taką ciotkę”.

Dzwoni w czwartek z nowiną. Mam zacząć w poniedziałek. Poświęcam kilka pozostałych dni na pisanie pod dyktando prezenterów czytających dzienniki radiowe oraz wypuszczenie wszystkich spódniczek i sukienek matki, które kiedyś skróciłam za pomocą taśmy klejącej. Ojciec w milczeniu obserwuje te zabiegi (najwyraźniej wiele mówiąca, jak do tej pory, oznaka zwrotu w uczuciach). Mam pracować dla pana Frasera, który jest współwłaścicielem firmy.

Jego poprzednia sekretarka zmarła w wieku trzydziestu siedmiu lat, po długotrwałej walce z rakiem. Dręczą mnie pewne obawy dotyczące wcielania się w jej rolę, ale nie

myślę o tym za dużo aż do niedzielnej nocy, kiedy leżę już w łóżku i próbuję sobie wyobrazić siebie przy pracy, gdy nie wiem, jak włączyć maszynę do pisania. Ile kopii listu należy zrobić? Jeżeli trzeba ich więcej, czy pisze się przez kalkę, czy powieła się list na kserokopiarce? Czym tak właściwie jest papier wartościowy? Jakiego rodzaju „rzeczą”? I jaka jest różnica między akcją a obligacją? Albo między sekretarką a stenografem? Przewracam się na łóżku Murphy'ego, a ono podskakuje na metalowych nóżkach. Zaczynam się naprawdę niepokoić, że w końcu sprężyna pociągnie je na ścianę i zostanę przez nie przygnieciona.

Na moim podświetlanym zegarku jest za dziesięć pierwsza. Za dziesięć dziesiąta na zachodnim wybrzeżu. Nie mogę znieść tego, że Abel wciąż jeszcze wypełnia tak ogromną część mojego życia, że ja w połowie żyję czasem Vancouveru. Jem śniadanie i myślę o tym, że on śpi. Około południa widzę, jak wychodzi do szkoły, albo teraz, latem, siedzi przy pianinie w piżamie i gra jakąś nastrojową melodię. Nie potrafię się przed tym powstrzymać. Podejrzewam, że to forma obsesji, psychiczne podglądactwo. Nie, to bardziej aktywne oddziaływanie, które jest jeszcze większym odchyleniem od normy. Próbuję na odległość wywierać na niego hipnotyczny wpływ. Odmawiam mu prawa "do dziewczyn i seksu, ale nie do melancholii. Tę wyolbrzymiam.

Wstaję i idę do kuchni przygotować sobie kubek gorącego mleka z miodem. Ostrożnie, trzymając się na bezpieczną odległość (poprzednim razem, gdy pochylałam się nad kuchenką, przypaliłam sobie włosy), odkręcam kurek.

Płomienie wymykają się do góry. Przykręcam palnik, ale wtedy gaśnie. Ponownie odkręcam i teraz słyszę tylko syczenie. Próbuję uruchomić inny palnik. Syczenie. Pewnie zepsuł się zapalnik. Wyłączam wszystko, gaszę światło w kuchni. Zostawiam mleko w garnuszku, idę do pokoju i siadam przy biurku na moim jedynym krześle. Kościelny zegar naprzeciwko wybija godzinę. Wyobrażam sobie Abła rozciągniętego na kanapie i słuchającego muzyki, jakiejś ponurej i intelektualnej. Erica Satie. U sąsiadów przez ścianę dzwoni telefon. Pięć, sześć, siedem razy, zanim przestaje. Spoglądam na swój aparat. Wybrałam czarny, ponieważ biały i różowy wydawały mi się zbyt frywolne, jako ewentualne narzędzie zrujnowania tego, co dotąd osiągnęłam. Tak łatwo byłoby zadzwonić do

niego. Nikt by nie podsłuchiwał, żadnego zdradzającego mnie numeru do Vancouveru na rachunku telefonicznym wystawionym na nazwisko ojca.

Podnoszę słuchawkę. Pojawia się Anioł Miłości. Wykręcam zero i natychmiast zgłasza się telefonistka centrali międzymiastowej. Jestem zaskoczona. Odpowiadam na pytania tak, jakbym naprawdę miała zamiar zadzwonić (rozłączę się, jak tylko będzie połączenie), ale zamiast sygnału słyszę w słuchawce głos.

- Słucham? - mówię.

- Właściciel numeru, z którym chciała pani rozmawiać, przeprowadził się - odpowiada telefonistka.

- Przeprowadził?

- Zmienił miejsce zamieszkania. - Powtarza nazwisko i numer, który jej podałam. -

Czy tak?

- Tak, ale...

- Jeśli zaczeka pani chwilę, mogę sprawdzić nowy numer.

Mijają minuty, staram się spokojnie oddychać. Wyobrażam sobie ich opuszczony dom w Vancouverze, puste okna bez firanek i zasłon.

- To numer lokalny - odzywa się znowu telefonistka. Zaczyna mi go dyktować.

- Nie, nie. Dziękuję, nie trzeba.

- Nie chce pani...?

Odkładam słuchawkę. Stoję nieruchomo i czekam, aż telefonistka zadzwoni. Kiedy niebezpieczeństwo mija, wstaję i idę do okna.

A więc jest tutaj, w Toronto. A ja przez te wszystkie miesiące w wyobraźni śledziłam jego życie w Vancouverze. Czuję się jak idiotka, wywiedziona w pole. Czemu nie próbował się ze mną zobaczyć? Och, wiem dlaczego. Gdyby nawet zadzwonił, gdyby ojciec dał mu mój numer telefonu, a ja podniosłabym słuchawkę i usłyszała jego głos, czy pozwoliłabym mu mówić? Być może. Ale on o tym nie wie.

Podobnie jak ja.

Stoję w oknie i patrzę na puste skrzyżowanie. Światła w dalszym ciągu się zmieniają. Kot przechodzi na czerwonym świetle. Odliczam sekundy upływające od jednej zmiany koloru do następnej; nie mam nic lepszego do roboty. Jestem sama, odcięta od

reszty świata, w mieszkaniu, w którym mam łóżko, kuchenkę i telefon, ale nie mogę na nich polegać. Za kilka godzin rozpocznę pracę, z której na pewno wkrótce mnie zwolnią. Pójdę do biura w żółtej, plisowanej spódnicy i dobranym do niej krótkim żakiecie, które wyszły z mody dwadzieścia lat temu.

Czy czasami mnie wspomina? Czy gdy spogląda w niebo, myśli: „Louise widzi to samo niebo”? *Nagle małe skrawki nieba gdzieś widnieją, granatowy, oprawny w drobniutkie gałązki, przypięty gwiazdką małą...*

Idę do szafy w korytarzu i z najwyższej półki zdejmuję kasetkę na biżuterię. Nie mam biżuterii, nie noszę jej. W kasetce trzymam dwa listy, które dostałam od niego, jeszcze zanim pojechałam do Vancouveru. Nie wiem, dlaczego je zachowałam. Przez ponad rok do nich nie zaglądałam.

Czytam najpierw jeden, potem drugi, spodziewając się, że tym razem wywołają inne uczucie, ale ogarnia mnie taka sama jak wcześniej irytacja i zakłopotanie. Dlaczego właśnie te wiersze? Czemu służą te stwierdzenia, że piękno jest prawdą, prawda pięknem i że prawda mnie uwolni? Gdy spoglądam tej prawdzie w oczy, nawiedzają mnie samobójcze myśli.

Potem patrzę na rysunki. Ukwiał. W gruncie rzeczy go nie doceniałam, ale teraz muszę przyznać, że jest nawet ładny, taki skomplikowany w formie. Oczywiście Abel jest utalentowany, nigdy nie twierdziłam inaczej. Na drugim rysunku jesteśmy oboje, ubrani w habity: „Abelard i Piekielna Louise”, jak napisał pod spodem.

Nie, nie jesteśmy jak oni, myślę. Wcale nimi nie jesteśmy. Miłość Abelarda i Heloizy była niezniszczalna, a ich cierpienia nie pochodziły z tej miłości. W wypadku Abela i mnie atak nadszedł od wewnątrz. On był jego inicjatorem.

Nie kocha mnie. Ta myśl dręczyła mnie tak często, że przestałam ją traktować jako stwierdzenie faktu. Stała się swego rodzaju mantrą, którą odmawiam, by znów nie rozniecić w sobie nadziei.

Chowam listy z powrotem do kasetki, odstawiam ją na miejsce, potem rozkładam na podłodze koc i poduszkę. Leżę na plecach i obserwuję drobinę światła na suficie, przenikającego przez żaluzje. Już się nie przejmuję. Nie jestem nawet zirytowana. Myślę, że powinnam czuć się zagubiona albo zasmucona, i może w głębi duszy właśnie tak się

czuję. Jedynym uczuciem, które sobie w pełni uświadamiam, jest chęć poznania osoby, którą się stałam, odzyskany spokój wypełniający to pomieszczenie i ten wieczór, niezależny od tego miejsca i tej pory dnia. Zaczyna się ode mnie. Czuję, jak falami opuszcza moje ciało, wydobywa się z niego niczym sygnał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

W szkole Abel i ja zachowujemy się tak, jakbyśmy się nie znali, choć nie spuszczam go z oczu. Sam Abel trzyma się w pobliżu ogrodzenia i jest raczej ignorowany przez innych, poza momentami, kiedy przypomina sobie o nim Jerry Kochonowski, ten z kwadratową głową, jasnymi włosami ostrzyżonymi na jeża i zapadniętym okiem. Rok wcześniej Jerry wykrzykiwał: „Hej, Kraut! Ilu Żydów zgładził twój ojciec nazista?” Teraz wrzeszczy: „Hej, nazisto! Zabiłeś ostatnio jakichś Żydów?” albo „Pokaż nam swoją swastykę!” Jego przyjaciele wydają się już tym zmęczeni, ale żaden z nich głośno mu się nie przeciwstawia. Jerry jest osiłkiem z rodziny osiłków, ma starszych braci w więzieniu albo po odsiadce i ojca, który bije go kawałkiem deski.

- Wali mnie przez głowę - chwali się bezmyślnie, podsuwając tym samym wyjaśnienie, dlaczego ma podbite oko.

Nikt, a chyba najmniej Jerry, nie oczekuje, że Abel odpowie na jego zaczepki. Ja także nic nie mówię, bo i tak sytuacja nie wygląda najlepiej. Gdybym się odezwała, tylko pogorszyłabym sprawę - dziewczyna o tak niskiej pozycji, a staje w jego obronie. Muszę przyznać, że w gruncie rzeczy zachowuję milczenie, ponieważ nie chcę, żeby Maureen Hellier się dowiedziała, że on coś dla mnie znaczy. To właśnie ona mówi Jerry'emu, żeby sobie odpuścił, a jest tak pewna siebie, tak nieczuła na docinki, że czasem Jerry nawet jej posłucha. Kiedy nie reaguje na jej słowa, ona idzie do dyżurnej nauczycielki na skargę. Potem Maureen i jej przyjaciółki obstępują Abła - nie ma przed nimi ucieczki - i zaczynają trąkotać, że Jerry jest okropny, że adoptowane dzieci wcale nie są gorsze od innych, że doskonale wiedzą, że rodzice Abła są Kanadyjczykami, a nawet jeśli nie, to przecież bez znaczenia, wiele osób ma niemieckich krewnych. „Brutalność jest powodem wojen” - niezmiennie ogłasza Maureen. Później, gdy Abel i ja spotykamy się w wąwozie, próbuję

uzyskać od niego potwierdzenie, że jest głupią panną-wszystkowiedzącą. Udaje wtedy nagle zainteresowanie owadem albo liściem. Jeśli siedzimy w kuchni u niego w domu, idzie do salonu i zaczyna grać na pianinie.

Przysiadam na stołku obok niego. Anioł Miłości także tam jest, połyskuje na klawiszach. Abel zazwyczaj gra fragment któregoś z utworów Bacha, jego ulubionego kompozytora, a teraz również mojego. Podoba mi się, jak tajemniczo brzmi ta muzyka. Gdy jej słucham, przypomina mi się wawóz, leżenie pod sosnami i promienie słońca przeciskające się przez igliwie.

Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby grać lepiej od niego, ale nigdy mu tego nie mówię, ponieważ będzie nalegał, żebym słuchała tego samego fragmentu z nagrania i próbowała znaleźć różnicę. Nie dlatego, że nie uznaje pochlebstw, chodzi mu tylko o niewłaściwy odbiór, o brak precyzji. Kiedy nazwę ropuchę żabą albo pomylę ważkę płaskobrzuchą ze świtezianką modrą, też koniecznie musi wyprowadzić mnie z błędu. Jeżeli na widok Jerry'ego, szwendającego się po wawozie, oznajmiam: „Tam idzie ten głąb!”, poprawia mnie, ale pośrednio, mówiąc: „Blondyn na godzinie czwartej”, jak gdyby w ten neutralny sposób chciał tylko potwierdzić moje słowa.

W miarę jak dni stają się krótsze i zimniejsze, a w połowie listopada leży już dość gruba warstwa śniegu, rzadziej widzimy w wawozie Jerry'ego i innych. My wciąż chodzimy tam po szkole, choć już nie tak często. Abel woli, jak to nazywa, nocne grasowanie, a ja raz albo dwa razy w tygodniu wymykam się z domu, by się do niego przyłączyć, jeżeli nie zapowiedziano pogorszenia pogody. Moje przygotowanie do nocnej eskapady nie jest takie proste. Muszę przemycić do pokoju zimowy kombinezon, czapkę, szalik, rękawiczki z jednym palcem i buty, potem nie zasnąć do północy i wreszcie wymknąć się przez okno, nie budząc ojca.

W lecie, gdy organizowaliśmy takie wyprawy, cykały świerszcze, zdarzało się, że czekał pies sąsiadów. Zimą nie ma innych odgłosów poza tymi, które my wywołujemy. Na przykład nieunikniony szelest tkaniny kombinezonu przy ocieraniu nogawki o nogawkę, gdy staram się przemykać przez uspijony świat, jak gdybym unosiła się ponad ziemią. Latarki włączamy dopiero w wawozie i wtedy zaczynamy szukać śladów zwierząt. Wzdłuż zbocza i w okolicach rzeki czasami natrafiamy na zgrabny, równy trop rudego

lisa. Bardzo podobny, ale nieuporządkowany i kręty, zostawia pies. Małe ślady, kształtem zbliżone do ludzkich stóp, to skunks. Poszukujemy opuszczonych ptasich gniazd i odwiedzamy te, które znaleźliśmy wcześniej. W krzakach tawuły znajduje się gniazdo wróbla, poprzeplatane niebieską żyłką wędkarską i czymś, co wydaje się nam czerwonym foliowym paseczkiem ułatwiającym otwieranie opakowania z plastrami opatrunkowymi.

Niedaleko jest gniazdo altannika, o kształcie chłopięcego holenderskiego drewniaka, zwisa z gałęzi, jakby za chwilę miało spaść, a jednak wciąż znajdujemy je na swoim miejscu.

Około drugiej w nocy zbieramy się do powrotu. Najczęściej, gdy dochodzimy do naszej dzielnicy, już słyszymy nawoływania jego matki.

- Dokąd, według niej, chodzisz? - zapytałam, kiedy usłyszeliśmy ją po raz pierwszy. Powiedział, że nie wie.
- Nie pyta, gdzie się podziewałeś?
- Nie, jest szczęśliwa, że się odnalazłem. Zawsze pozwalam się znaleźć.
- I nie złości się na ciebie?
- Prawdopodobnie i tak by spacerowała. Cierpi na bezsenność.
- Nie martwi się, że ty nie sypiasz tyle, ile powinienes?
- Mnie też dokucza bezsenność.

Pod moim oknem robi mi podpórkę ze splecionych dłoni, a ja wdrapuję się na parapet. Czeka, aż wejdę do środka, potem odchodzi w stronę, z której dobiega wołanie jego matki. Zawsze czuję się wtedy trochę opuszczona. Nigdy nie sprawia wrażenia bardziej niezłomnego ani bardziej zdanego na samego siebie, niż gdy odchodzi w noc, a ja obserwuję jego oddalającą się postać.

Na początku czerwca wydaje się, że Abel zdoła przetrwać kolejny rok szkolny w nienaruszonym stanie. On jednak w dalszym ciągu jest spięty, chociaż nie wspomina o ocieraniu się o śmierć. Mówi natomiast o sukcesie swojej strategii, tak jakby Jerry Kochonowski był tylko elementem udanego eksperymentu.

- Całkowicie go ignorowałem - wyjaśnia. - Udawałem martwego. Kiedy udajesz martwego, przytępia się instynkt zabójczy drapieżnika.
- Albo się zaostrza.

Pewnego dnia po lekcjach mam umówioną wizytę u dentysty, w wąwozie zjawiam się więc dopiero około wpół do piątej. Abel powiedział, że będzie czekał w sumakowym zagajniku, ale go tam nie ma. Swoją obecność sygnalizuję krakaniem, które jest najgłośniejszym i najbardziej alarmującym odgłosem nawoływania w naszym repertuarze. Brak odpowiedzi. Biegam dookoła, pokrakując. Idę do jaskini, z powrotem do zagajnika, schodzę do rzeki. Wspinam się na stok i zaglądam do mojej dawnej kryjówki. Wdrapuję się na sam szczyt zbocza. Z tego miejsca widzę całą rzekę i oczyszczalnię. Robotnicy zaczynają wychodzić z pracy. Może Al coś wie. Al, kierownik, który obdarował nas kiedyś torbą zielonych miętówek i ma tak figlarnie pomarszczoną twarz, że przestałam uważać go za szpiega. Zaczynam zbiegać w dół. Jestem na występie skalnym i wtedy dostrzegam chłopca przebiegającego przez teren obozu Wanawingo. To nie jest Abel, ten ma jasne włosy.

Jerry Kochonowski. We własnej osobie.

Przez resztę drogi w dół co chwilę się potykam. Pędzę ile sił w nogach, krzycząc: „Abel!” Nie dbam o to, że ktoś usłyszy. Czuję, jakbym zamiast nóg miała kłody. Most wciąż jest bardzo daleko. Wbiegam wprost do wody, która w tym miejscu sięga tylko do kolan, ale jest potwornie brudna. Nigdy dotąd nie odważyłam się zanurzyć w niej nawet palca.

Wyłania się zza krzaków. Nie ma na sobie koszulki. Przyciska ją do prawego oka.

- W porządku - mówi, zbliżając się do brzegu. - To nic wielkiego.

- Co się stało? - Wydostaję się z wody. - Co ci zrobił?

- Rzucił kawałkiem cegły.

- Pokaż.

Opuszcza koszulkę i ukazuje się brocząca krwią rana z poszarpanymi brzegami.

Zasłaniam dłońmi usta.

- Już zaczyna koagulować - dodaje.

Nie wiem, co to znaczy, ale brzmi nie najlepiej.

- Chodź - mówię. - Pójdziemy do oczyszczalni, zanim ją zamkną. Na pewno mają tam bandaż albo coś w tym rodzaju.

- Opatrunek nie jest potrzebny. Wystarczy, jak uciskam.

- Lepiej chodźmy do domu, zadzwonimy do lekarza.
- Muszę na chwilę usiąść. - Opada na piasek. Siadam obok niego.
- Widziałam, jak uciekał. Wiedziałam, że zrobi ci krzywdę. Ja... - głos mi się

załamuje.

- No, dobrze już. Nic mi nie jest.
- Ale co się stało?
- Szukałem tej żaby ryczącej, którą zauważyliśmy wczoraj. Usłyszałem szelest w krzakach, o tam, więc pomyślałem, że to ty...

- Ja bym nie szeleściła - obruszam się.

- Poszedłem w tamtą stronę i zobaczyłem Jerry'ego, który nisko przy ziemi chował się za krzakami. Przyszło mi do głowy, że lepiej szybko stąd uciekać, i zacząłem biec.

Ale on krzyknął, żeby mu pomóc, więc wróciłem, a wtedy on rzucił cegłą i zwiął.

- Głupi, kapuściany łeb. Nienawidzę go. Nienawidzę! Musimy zawiadomić policję.

- Nie.

- Niby dlaczego?

- Już po wszystkim. - Odejmuje koszulę od twarzy. - Jak to wygląda?

- Okropnie. Cała koszula jest zakrwawiona.

Mam na sobie jasnoniebieską bawełnianą kurtkę. Zdejmuję ją i podaję mu.

- Jesteś pewna? Mogą zostać plamy, nawet po praniu.

- No to ją spalę. Składa kurtkę w kostkę.

- Ale nie płacz, dobrze?

- Nie słyszałeś mojego wołania?

- Straciłem przytomność.

- Straciłeś przytomność?! - Zrywam się na równe nogi. - W tej chwili idę do oczyszczalni!

- Nie. - Chwyta mnie za rękę i pociąga na ziemię. Uspokajam się, czując uścisk jego dłoni. - Zanim przyszedł, robiłem sobie test. Liczyłem od stu, co siedem. Jestem całkowicie pewien, że z głową wszystko w porządku. Czy mówię z sensem?

- Niewiele brakowało, a by cię zabił.

- Nikomu o tym ani słowa, zgoda?

- A jak to wytłumaczysz rodzicom?
- Powiem, że potknąłem się i upadłem na kamień. Ostry, wyszczerbiony kamień.
- Jak to, pozwolisz, by mu uszło na sucho?
- Więcej tego nie robi.
- Ciekawe, skąd ta pewność?
- Jestem tego pewien i tyle. Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

Płacz dławi mnie w gardle. Patrzy na mnie ze współczującym wyrazem twarzy, tak jakbym to ja była ranna. Kiedy już odzyskuję mowę, oświadczam:

- Dobrze, ale tylko jeśli od tej pory zostawi cię w spokoju.
- O to się nie martw.

Kładzie się na plecach. Robię to samo. Odwraca głowę w moją stronę, przyciskając kurtkę łokciem. Wciąż trzymamy się za ręce.

- Po powrocie do domu koniecznie umyj całe nogi.' Pamiętaj też, żeby dokładnie opłukać buty.

- Dobrze.
- Nie płacz.
- A jeśli ja płaczę, bo cię Kocham?

Mruga. Ale nie odwraca ode mnie wzroku. Po chwili zastanowienia pyta:

- A rzeczywiście tak jest?

Całuję go w usta. Zamyka oczy. Całuję go mocniej. Puszcza moją rękę i obejmuje mnie ramieniem. Odwracamy się twarzami do siebie. Przytulamy się i całujemy. Nie potrafię nazwać uczucia, którego przy tym doznaję. Kiedy przestajemy, dostrzegam, że kurtka zsunęła mu się z czoła. Widok rany, o której prawie zapomniałam, stawia mnie na nogi.

- Czy jeszcze leci krew? - pyta.
- Troszeczkę. I puchnie. Przekłada kurtkę.
- Może jednak trzeba będzie założyć kilka szwów.
- W takim razie lepiej chodźmy.
- Za chwilę.
- Boli?

- Nie bardzo.

Nie spuszcza ze mnie oczu. Jego twarz wydaje się bardzo młoda.

- Ty także mnie kochasz - mówię. Kiwa głową.

- Kochasz mnie bardzo, bardzo mocno. Znów kiwa głową.

Całujemy się przy każdej nadarzającej się okazji. Zbieramy kamienie, zrywamy poziomki, a w pewnej chwili wymieniamy spojrzenia tak, jakbyśmy właśnie usłyszeli podejrzany hałas, i niezależnie od tego, gdzie się znajdujemy, zaczynamy szukać ustronnego miejsca. Nie rozmawiamy, bez zbędnych słów kładziemy się na ziemi obok siebie i zaczynamy się całować.

Nauczyliśmy się przy pocałunkach otwierać usta. Dotykamy się językami, ssiemy dolną wargę. Mniej więcej wiem, jak wygląda stosunek płciowy, ale trudno mi sobie wyobrazić, bym miała robić coś bardziej zmysłowego niż teraz. Potem, zanim wstaniemy, mówię mu, że go kocham, a on odpowiada: „To dobrze”. Pytam więc, czy czuje do mnie to samo, a on oblewa się rumieńcem i odpowiada: „Tak”. O całowaniu wcale nie rozmawiamy.

Ani o bliźnie. Nie chce o niej mówić. Ślad ma kształt skrzywionej litery Z, z czego, jak przypuszczam, w głębi duszy jest nawet zadowolony, jakby to mógł być znak Zorro. Trzeba było założyć dziewięć szwów. Trzymamy się naszej nieprawdziwej wersji zajścia, ale moim zdaniem jego ojciec wie, że jeżeli to był kamień, to ktoś nim rzucił.

- Nie otarłeś sobie rąk przy upadku? - zapytał, a Abel szybko wsunął je do kieszeni i potrząsnął głową. - Gdzie dokładnie był ten kamień? - dopytywał się dalej pan Richter.

Abel znów się zawahał, więc się wtrąciłam:

- Tam, gdzie budują ten nowy dom, na Sprouce Court.

Pan Richter spojrzał na mnie surowo i bez przekonania, ale nie groźnie. Pani Richter, która przechodziła wielokrotnie obok tego domu i widziała wystające kamienie, załkała:

- Abel, czy ty w ogóle pomyślałeś, co by się stało, gdyby Louise wpadła do wykopu?

- Louise jest ostrożna - wymamrotał Abel.

- Louise jest kochana. - Pani Richter przygarnęła mnie do siebie. - Dała ci własną kurtkę, którą zniszczyłeś.

Nie jestem ostrożna. Nie jestem kochana. Jestem mściwa, oto jaka jestem.

Od śmierci Abla uważam, że wyładowując złość w jego imieniu, pozwalałam mu zawsze wyjść obronną ręką. Nie pozostawiałam mu wyboru. W moim towarzystwie nigdy by nie przyznał, że ktoś, kto doprowadza go do rozpaczy, jest odrażający albo niegodziwy. Właściwie dlaczego to miałby zrobić on, skoro jestem ja, która może powiedzieć najgorsze? W przeciwieństwie do niego ja musiałam się rozliczyć do końca. Wyznawałam zasadę oko za oko, ząb za ząb. Nadstawianie drugiego policzka uważałam za niewłaściwe, w niemal fizycznym sensie według mnie było zagrożeniem dla naturalnego porządku i równowagi.

Aż się we mnie gotuje, gdy widzę w wąwozie Jerry'ego, który pozostaje bezkarny, ani trochę się nie boi, tylko spokojnie łowi sobie ryby z mostu albo pali ogniska i nigdy ich nie gasi we właściwy sposób, i my musimy później zalewać je wodą. W ciągu ostatnich dni bywa w wąwozie raczej sam, jego banda dziwnym trafem się ulotniła, więc podburzam Abla, żebyśmy złapali drania, zwiążali i zostawili w jaskini. A może zmusimy go do zjedzenia trawy? Wbijemy drzazgi pod paznokcie? W wąwozie nie dbamy już o zachowanie między sobą bezpiecznej odległości, ale kiedy zaczynam mówić o zemście, on próbuje trzymać się poza zasięgiem mego głosu. Albo stara się zawrzeć układ.

- Wyznamy ostateczny termin - proponuje. - W ciągu tygodnia nie wspomnisz ani razu o Jerry'ym.

- A jeśli wspomnę, to co wtedy? - pytam prowokująco.

- To zerwiesz umowę. - Tak jakby to była najstraszniejsza groźba, a sama „umowa” wyznaczała nienaruszalną granicę, więc na jakiś czas się uspokajam.

A potem pojawia się rzeczywisty, jasno określony, ostateczny termin. Mówi mi, że dwudziestego pierwszego czerwca wyjeżdża wraz z rodzicami do Vancouveru, na trzy tygodnie, w odwiedziny do brata pana Richtera, wujka Helmuta, który próbuje ich namówić, żeby się tam przeprowadzili.

- Macie zamiar zamieszkać w Vancouverze?

- Nie wiem. - Wzrusza ramionami. - Może.

A więc oto jest: granica, dla mnie jak wyrok śmierci.

W dniu ich wyjazdu pada deszcz. Pomagam pani Carver przygotować gulasz, kroję marchewki i seler na kawałki wielkości pigulek, tak jak sobie życzy. Potem oglądam w telewizji film o kompozytorze, który umiera młodo, w ostatniej scenie obficie brocząc krwią na fortepian. Cichutko pochlipuję, gdy dziewczyna kompozytora, George, płacze. Film się kończy i niemal w tej samej chwili przestaje padać deszcz. Uznaję, że nie ma przeszkód, żeby wybrać się do wąwozu.

Idę do jaskini, siadam sobie i nie myślę o niczym. Zza moich pleców, stamtąd gdzie śpią nietoperze, dobiega równomierny odgłos. Kropla po kropli kapie woda. Upływają ostateczne terminy. W końcu przenoszą się na występ skalny i zastanawiam się, czy może wziąć rękawice Abla i zacząć wycinać pokrzywy, żeby poszerzyć punkt obserwacyjny.

Stoję i spoglądam na dróżkę. Mija najwyżej pięć minut, gdy dostrzegam Jerry'ego Kochonowskiego, który wspina się po zboczu.

Czuję, jakbym wyzwoliła się spod zaklęcia. Wracam do jaskini i chwytam najdłuższą włócznię. Wychodzę. Przystanął i rozgląda się dookoła, ale nie patrzy w górę, na mnie. Napięcie przestaje ciążyć mi na piersiach. Jerry idzie do sterty głazów i tam siada. Na mnie spływa spokój, wiem doskonale, co należy zrobić. Przemykam się na drugi kraniec skalnego występu. Trzymam włócznię uniesioną wysoko nad głową. Tak przygotowana zaczynam się skradać w dół. Krok, potem przerwa, by sprawdzić, czy nie zostałam usłyszana, znowu krok. Jestem tuż za nim, i wtedy on się odwraca.

- Och, to ty - mówi. - Cześć.

Jego twarz wyraża zdumienie, zapadniętym okiem łypie na bok jak konspirator. Instynktownie spoglądam w tę samą stronę.

- Masz coś do picia? - pyta. - Umieram z pragnienia. Odwodzę ramię do tyłu.

- Co to takiego? - On zerka na włócznię. Mierzę w sam środek torsu i wypuszczam ją. - Hej!

Trafiam go w ramię. Włócznia zawisa na chwilę w powietrzu, potem opada.

- Po co to zrobiłaś? - dziwi się.

Nawet nie krwawi. Szybko przesuwam wzrok po kamieniach. Chwytam jeden z nich i rzucam najsilniej jak potrafię. Próbuje się uchylić, ale kamień trafia go tuż nad

uchem, a on się ugina pod ciosem. Teraz zaczyna płynąć krew. Chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Jego zdrowe oko ma wyraz bezradności, zakłopotania. Brutalność kryje się w tym drugim. Podnoszę włócznię. Spogląda na mnie, potem na stertę kamieni. Wstaje i zataczając się, schodzi ze stoku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Budzę się sztywna, z zaciśniętymi zębami, nazwiska MacLellan, Fraser i Eliot kołaczą mi się po głowie. Kim są osoby, które je noszą? Myślę zdezorientowana. Znajomymi ojca? Sławnymi odkrywcami? Wreszcie uświadamiam sobie. Dzisiaj jest mój pierwszy dzień pracy.

Biorę prysznic, czeszę się, wkładam żółtą plisowaną spódnicę i krótki żakiet od kompletu. Ale tak naprawdę tylko dopełniam formalności. Właśnie teraz rozumiem, dlaczego więzień skazany na karę śmierci je ostatni posiłek: ponieważ należy wykonać kolejno to, co wynika z ustalonego porządku. Dość proste. Na ulicy włączam się do tłumu innych ludzi pracujących, którzy zmierzają do metra. Pozwalam się wepchnąć do zatłoczonego wagonu. Chwytam się słupka. Jest duszno, ale każdy z pasażerów wydaje się opanowany i niewzruszony. Mężczyźni czytają gazety, kobiety - książki w miękkich okładkach. Panuje podniosły nastrój. Pociąg robi nagłe i zagadkowe przystanki, pełnie do przodu, zgrzyta, znowu powoli rusza. Jak jeden mąż wszyscy udajemy, że nie zwracamy na to uwagi, zataczamy się i chwiejemy.

Mniej więcej połowa pasażerów wysiada na stacji Kingston. Setki takich jak ja maszerują szybko w tym samym kierunku. Czuję wzruszenie, kiedy ta chwila trwa, tak jakbym śpiewała hymn narodowy. Na ulicy jednolity tłum rozdziela się na kolumny, moja zmierza na wschód, w stronę nowego, czarnego biurowca. Przechodzę przez obrotowe drzwi, wprawione w ruch przez kogoś innego. Wsiadam do windy i koncentruję się na wzrastających numerach pięter: następują w odwrotnej kolejności do stopnia mojego upokorzenia. Na trzydziestym siódmym piętrze wysiadam, wkraczam na wykładzinę w kolorze gołębim, na której widać jeszcze ślady butów tych, którzy przybyli przede mną.

Biuro usług maklerskich zajmuje całe piętro i jeszcze dwa inne. Ten hol z czterema windami jest zarazem salą recepcyjną.

- Louise Kirk?

To recepcjonistka. Wydaje się bardzo daleka i samotna za biurkiem w głębi pomieszczenia.

- Tak?

Uśmiecha się i trzyma uniesiony palec.

- Dzień dobry. MacLellan, Fraser i Eliot.

Podchodzę do niej. Na jej olbrzymim gabinetowym biurku, obok telefonu, długopisu i różowego notatnika stoi tylko cylindryczny wazon z jedną orchideą. Za plecami, na ścianie, wisi kasetka z kwadratowymi przegródkami przypominającymi budki dla ptaków, takie, jakie widuje się na farmach.

- Chwileczkę - mówi. - Sprawdzę, czy już przyszedł.

Przewraca oczami, chcąc dać mi do zrozumienia, co myśli o idiotycznych zwyczajach tych, którzy dzwonią przed dziewiątą. Ma krótkie jasne włosy ułożone warstwami, jak na czepkach kąpielowych ozdobionych kawałkami gumy imitującymi płatki kwiatów. Jest bardzo ładna.

- Dzień dobry, panie Gage - mówi. - Czy mogę połączyć rozmowę z panem Websterem? - Jej koralowe paznokcie pasują do koloru szminki i bluzki. Na serdecznym palcu ma biały pasek skóry, ślad po pierścionku albo obrączce. - Witaj - teraz zwraca się do mnie. - Nazywam się Debbie Luke.

- Cześć.

- Pat, no wiesz, kierowniczka kadr, Pat Penn, dzwoniła kilka minut temu, by uprzedzić, że dziś nie będzie jej w pracy. Ma migrenę. Biedactwo, dostaje jej co najmniej raz w tygodniu. Nawet częściej, jeśli pogoda jest taka jak dzisiaj. Strasznie parno, prawda? Musi leżeć bez ruchu z zimnymi okładami na czole, zatyczkami w uszach i ciemną przepaską na oczach. Okropne.

Wszystkie informacje przekazała mi pośpiesznie, przyciszonym głosem, spoglądając na mnie przelotnie i szybko odwracając wzrok w inną stronę, jakby chciała mi w ten sposób dać do zrozumienia, że dużo by można o tym mówić, tyle jest

zaskakujących, może nawet romantycznych wątków tej opowieści. Zamierzam się odezwać, ale ona podnosi rękę.

- Dzień dobry. MacLellan, Fraser i Eliot.

Zastanawiam się, co powinnam zrobić. Panna Penn powiedziała, żebym najpierw stawiała się w jej gabinecie. Może mogę iść do domu. Czuję skurcz w żołądku. Jeśli teraz wyjdę, to tak, jak gdybym uciekła z więzienia. Nie będzie już powrotu.

- Niestety nie ma go, wyjechał za granicę, wraca w przyszły wtorek. Czy mam coś przekazać jego sekretarce?

Zapada cisza, podczas której zapisuje coś na kartce z notatnika, rzucając mi serię ukradkowych spojrzeń, które mają oddawać to, co słyszy: coś, co wprawia w zakłopotanie, teraz doprowadza do rozpacz i wreszcie brzmi sensownie.

- Oczywiście - mówi, gdy rozmowa zbliża się do końca. Odwraca się, by włożyć kartkę z informacją do odpowiedniej przegródki. - Musimy poczekać - zwraca się znów do mnie - aż zjawi się któraś z dziewczyn i zaprowadzi cię do gabinetu pana Fräsera. Idzie się do niego tamtędy. Już jest w biurze. Codziennie przychodzi o siódmej. To starszy gość, wiesz, wdowiec, wstaje o świcie. Nie chciałabym po niego dzwonić i prosić, żeby po ciebie przyszedł. To spory kawałek, a on z trudem się porusza. Ale co to za kochany człowiek. - Odwraca się w chwili, gdy za nią otwierają się drzwi. - Zobacysz, od razu go polubisz. Och, o wilku mowa. Dzień dobry, panie Fraser.

- Dzień dobry, Debbie. - Głęboki głos, pełny i donośny, jak u aktora teatralnego. Spogląda na mnie. - Spodziewam się młodej damy... - Kolejne spojrzenie.

Debbie, kiwając raz po raz głową, jakby była na zjeździe dawno nie widzianych krewnych, pokazuje na mnie.

- Ach tak! - mówi mężczyzna. - Louise Kirk?

- Tak - odpowiadam. - Dzień dobry.

Przygląda mi się otwarcie, nieśpiesznie. Jest wysoki, wciąż postawny, mimo że mocno przygarbiony, do tego stopnia, że aby patrzeć przed siebie, musi dość znacznie odchyłać do tyłu głowę. Ma pociągłą twarz, szczere spojrzenie, co być może, przynajmniej częściowo, podkreśla wysunięty podbródek. Jego łysiejącą głowę pokrywają wątrobowe plamy w kolorze masła orzechowego, oczy ma w tym samym odcieniu. W twarzy można

dostrzec mieszaninę bezgranicznego smutku i niezniszczalnej radości, już wcześniej widywałam podobne u mężczyzn w podeszłym wieku.

Podchodzi do mnie z uśmiechem.

- Miło mi cię powitać na pokładzie. Wymieniamy uścisk dłoni.

- Cieszę się, że tu jestem - mówię, siląc się na entuzjazm, jakim promienieje Debbie.

Aż cierpnie mi skóra na samą myśl o tym, że mogłabym sprawić mu zawód i oboje bylibyśmy zakłopotani tą początkową wzajemną życzliwością.

Czasami mam szczęście. Ze wszystkich możliwych szefów w całym mieście trafia mi się pan Fraser, który - jak się od razu okazuje - potrzebuje sekretarki tylko dla zachowania pozorów, co ja rzecz jasna uznaję za idealny układ, ponieważ nauczę się kilku rzeczy, będąc jedynie sekretarką na niby.

Ani mój szef, ani ja nie mamy wiele do roboty. Pod tym względem, co dziwne, moja obecna praca przypomina poprzednią, z tym że w antykwariacie nasz brak użyteczności był przedmiotem otwartych dyskusji i żartów, tutaj natomiast nie wspomina się o tym ani słowa (przynajmniej w rozmowach między mną i panem Fraserem), chociaż oboje mamy świadomość - i nie da się tego ukryć przed sobą nawzajem - że przychodzimy do pracy tylko po to, by wymyślać sobie czynności mające służbowy charakter i wypełniać nimi nasze dni. Ale wcale nie czuję się zbędna czy niepotrzebna, lecz tak, jakbym była zaangażowana w podtrzymywanie pewnych wzniosłych, lecz staromodnych cnót. Kurtuazji i oddawania się kontemplacji.

Tego pierwszego ranka co najmniej pół godziny poświęca na zaznajomienie mnie z zawartością mojego biurka. Dawniej biurka Betty. To antyk, z dębowego drewna. Lepi się trochę tu i tam, w miejscach, gdzie pozostały plamy po rozlanym płynie. Najpierw pan Fraser i ja oglądamy pojemnik z papierem maszynowym, który ma trzy szufladki - w jednej znajdują się kartki z firmowym nagłówkiem, w drugiej puste, w trzeciej żółta przebitka.

- Wolę białą - mówi. - Ale pracownik, który zajmuje się zaopatrzeniem, twierdzi, że już takiej nie produkują.

Zamykam szufladę.

- Już takiej nie produkują - powtarza, Otwieram górną szufladę.

- Zszywacz, temperówka - wylicza, powracając do inwentaryzacji. - Klej, taśma, spinacze, pinezki. - Jego głęboki i rozważny sposób mówienia nadaje każdemu z tych przedmiotów na chwilę wysoką rangę. Wskazuje drżącym palcem na tekturowe pudełko z pinezkami. - Mam rację? Pinezki, tak?

Otwieram pudełko.

- Tak.

- Swoją drogą ciekawe, do czego potrzebne jej były pinezki? Co jest w tym zielonym pudle? - zastanawia się.

Otwieram.

- Co my tu mamy?

- Wyglądają jak plastikowe teczki do przechowywania dokumentów.

- Doskonale. - Klaszcze w dłonie zadowolony.

Siadam przy biurku. Staje za mną, pochylony pod kątem, który mógłby budzić niepokój, gdyby się nie wiedziało, że pan Fraser jest tak naturalnie przygarbiony. Przy-ciska krawat do piersi, by mu nie przeszkadzał. Granatowy w bordowe kropki. Bardzo elegancki. Jego granatowy garnitur w prążki jest na niego za luźny i zastanawiam się, czy ostatnio stracił sporo na wadze, kto wie, może śmierć Betty tak na niego podziałała. Nie jest przygotowany na widok jej rzeczy osobistych, które znajdujemy w najniższej szufladzie, choć nie ma ich wiele, tylko pilnik do paznokci, okulary, tubka balsamu do ust, buteleczka wody różanej i biały grzebień.

- Ach - wzdycha i przesuwa ręką po krawacie. - Powinienem był to stąd zabrać.

- Nic nie szkodzi.

Chcę zamknąć szufladę, ale powstrzymuje mnie.

- Nie, zaczekaj. Będiesz przecież chciała tu schować swoje rzeczy. - Wyciąga rękę i próbuje podnieść palcem pilnik do paznokci, ale nie może sobie poradzić i wyjmuje okulary.

Sama opróżniam do końca szufladę, a on dziękuje i wkłada wszystkie rzeczy do kieszeni marynarki.

- Teraz, dalej. - Trochę się prostuje. Marszczy brwi. Wydaje się, jakby o czymś zapomniał. Odwraca się do szafek na dokumenty.

- Pewnie jest tu wiele takich szafek z aktami - zagaduję.
- Razem dwanaście. Czterdzieści osiem szuflad - wylicza z ożywieniem.

Są metalowe, pomalowane na szaro, daleko im do nowości. Cztery znajdują się w jego gabinecie, pozostałe stoją rzędem tutaj, oddzielając wnękę od pustego korytarza. Urzędujemy na uboczu i trudno się pozbyć wrażenia, że zostaliśmy skazani na banicję, ale może to gościnna banicja, kompromisowe rozwiązanie, gdyż na całej długiej drodze od biurka w recepcji do tego pomieszczenia nie widziałam takich mebli, nie tylko szafek czy biurka, ale także innych: jego ogromne biurko, wieszak z kutego żelaza, unikatowy kredens z marmurowym blatem, przeszklone biblioteczki w jego gabinecie i obrazy olejne; na czterech albo pięciu, z tego, co zdażyłam zauważyć, są namalowane żaglowce.

- Jedna szuflada na każdy rok przepracowany w usługach maklerskich. - Wskazuje ręką na szafki.

- Czterdzieści osiem lat - mówię z uznaniem. Nie potrafię, sobie nawet wyobrazić, że można żyć tak długo.

- Szósty czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku to dzień, w którym powiesiłem szyld mojej firmy. To tylko zbieg okoliczności, że szuflad jest tyle, ile lat pracy. Chciałem powiedzieć, że katalogujemy naszych klientów alfabetycznie. Chcesz zobaczyć? - pyta z nutą powątpiewania w głosie.

- Oczywiście.

Podchodzimy do najbliższej szafki. Najwyższa szuflada jest oznaczona karteczką z napisem: „Nyman - O'Farrel”.

- Powinno być dwa „l” w nazwisku O'Farrell - mówi, przyglądając się nadrukowi przez chwilę. Z trudem otwiera szufladę. Na jego twarzy pojawia się surowy grymas. - Trzeba naoliwić szyny - stwierdza.

Wewnątrz panuje bałagan, dokumenty są nieuporządkowane, papiery wystają z teczek, od których odpadają naklejki z nazwiskami. Zamyka ją i otwiera następną, pod spodem, w której akta także są powywracane.

- Mogliby tu zrobić trochę porządku - wzdycha.

- Wyrzucić te, które się zdezaktualizowały - podsuwam, sama sobą zdziwiona. Nie przypuszczałam, że wiem cokolwiek na temat nieaktualnych dokumentów.

- No cóż - mówi pan Fraser - jeśli pójdziemy tym tropem, opróżnimy je wszystkie. Dziewięćdziesięciu procent osób z tych, których dotyczą te papiery, nie ma już na ziemskim padole.

- Och.

Uśmiecha się. Usta ma cienkie jak sznurek, intensywnie czerwone, uśmiech zabawny, ale zarazem współczujący.

Przychodzi mi na myśl, że domagał się sekretarki niedoświadczonej i niepewnej siebie, chociaż nie byłby w swoich wymaganiach aż do tego stopnia precyzyjny. „Któż inny wytrzymałby ze mną” - mógł raczej powiedzieć.

Kolejne tygodnie są kojące, jak okres pod ochroną przypominający senne dni po chorobie, w którym stan jest wciąż niestabilny; najgorsze już minęło, ale w dalszym ciągu trzeba leżeć w łóżku. W pracy telefon dzwoni rzadko, prawie nikt nie przychodzi. Pan Fraser zostawia mnie samą, dochodząc do słusznego wniosku, że przez kolejne kilka godzin będę zajęta pracą. Na moim biurku, kiedy przyjeżdżam o dziewiątej do pracy, zawsze czeka już kilka listów do przepisania. Napisał je na papierze kancelaryjnym, trochę rozchwianym, lecz czytelnym pismem. Widnieje na nich data i adres odbiorcy, choć z łatwością mogłabym go znaleźć w jego obrotowej kartotece na wizytówki.

„Moje myśli biegają swobodniej niż pióro” - powiedział mi rano pierwszego dnia mojej pracy, a ja zastanawiałam się, czy wie, że nie jestem za dobra w pisaniu pod dyktando. Po kilku dniach zaczęłam się zastanawiać, czy nie żartował, mówiąc, że myśli ma mniej ograniczone niż zdolność przeniesienia ich na papier, ponieważ każdy kolejny list niewiele różnił się od poprzedniego. „Proszę mi wybaczyć przeciągające się milczenie - zaczyna - ale prawdopodobnie już Panu wiadomo o tym, że Betty zmarła w lipcu. Odeszła po długiej i zaciętej walce z rakiem, dopiero teraz więc powracamy do codziennych spraw”. Potem pyta o rodzinę adresata listu, wyraża nadzieję, że jego żona czuje się dobrze, że dzieci i wnuki nie sprawiają kłopotów.

W ten sposób nawiązuje do własnego syna, Jonathana: „Żona Jonathana, Hazel, dwudziestego dziewiątego lipca urodziła drugiego syna. Organizuję im wszystkim przyłot z Halifaksu na Boże Narodzenie”. W postscriptum informuje, że załącza artykuł z

„Financial Post” albo „The Globe and Mail”, „Na wypadek, gdyby Pan go przeoczył” - wyjaśnia. Albo „Myślę, że może Pana zainteresować”.

Kiedy przynoszę mu przepisane na maszynie listy, czyta je powoli kilka razy. Wprowadza jedną, czasem dwie kosmetyczne poprawki. „Organizują” zamienia na „zajmuję się organizacją” albo na odwrot; „może Pana zainteresować” na „może Pana w pewnym stopniu zainteresować” albo „wzbudzić Pańskie zainteresowanie”.

- Nie miej mi za złe - mówi, oddając listy.

- Nic nie szkodzi - odpowiadam. I rzeczywiście nie przywiązuję wagi do tego, że nanosi te poprawki. Przeciwnie, jestem wdzięczna, dzięki niemu mam okazję poćwiczyć maszynopisanie.

Zazwyczaj przepisywanie i poprawianie, potem znów przepisywanie trwa do czasu, aż zjawi się Hank Bell, popychając przed sobą wózek z pocztą. Hank to człowiek widmo. Niemal przezoczyście blady blondyn w nieokreślonym wieku, zawsze jest uśmiechnięty i zawsze wydaje żalodne odgłosy. Zostawia na moim biurku imponujący plik dokumentów, głównie sprawozdania roczne i biuletyny informacyjne. Otwieram wszystkie przesyłki, układam starannie i zanoszę do gabinetu pana Frasera. Jest już dziesiąta trzydzieści, dla mnie czas na naszykowanie chińskich filiżanek i spodeczków na zmatowiałej tacy i spacer korytarzem do eleganckiej kuchni, w której nigdy nikogo nie ma, ale zawsze czeka gorąca kawa w dzbanku z nierdzewnej stali. Są tam także zapakowane ciasteczka: roladki z nadzieniem figowym i herbatniki. Biorę po jednym z każdego rodzaju dla nas obojga.

Wracam, wchodzę do gabinetu pana Frasera i stawiam przed nim jego filiżankę, a on podaje mi teczkę dwóch klientów, każdego dnia dwie nowe, z których mam wyjąć korespondencję dotyczącą Komisji Papierów Wartościowych dla prowincji Ontario. Po tygodniu jestem niemal przekonana, że robimy to dla potrzeb jakiegoś dochodzenia, ale korespondencja tylko piętrzy się na biurku pana Frasera, więc odrzucam tę hipotezę. Jestem poruszona jego ogromnym zainteresowaniem tymi wszystkimi dokumentami.

Wydaje mi się, że on nie tyle specjalnie dokłada mi pracy, ile stara się ograniczyć ilość czasu, który ja spędzałabym na jakiejś niepotrzebnej czynności; dba o to, bym nie poczuła się za bardzo znudzona. Albo być może ma nadzieję, że wprowadzi mnie w zagadnienia, którymi zajmuje się biuro, ponieważ nie sposób przeczytać takiej liczby

listów, nie zapamiętując przy okazji kilku użytecznych informacji, jak na przykład, że akcja ma formę świadectwa i nie jest, jak sobie dotychczas wyobrażałam, sztabką metalu ani tabliczką. Nie da się po przeczytaniu tak wielu listów, napisanych przez tyle dziesiątek lat, nie osiąść wiedzy na temat jego rodziny. Przypuszczalnie chce, żebym wiedziała, że jego żona miała na imię Pam i że umarła pięć lat temu na zawał serca. A także o tym, że jego syn Jonathan jest dyplomowanym księgowym; że miał jeszcze jednego, starszego syna, który zginął w wypadku samochodowym trzydziestego pierwszego stycznia 1960 roku. Tak się przypadkowo składa, że w tym samym dniu zniknęła moja matka.

Zwykle kończę pracę z dokumentami około wpół do pierwszej, czasem za piętnaście pierwsza. Za pięć pierwsza dzwoni Debbie, by się dowiedzieć, czy jestem gotowa, i wkrótce spotykamy się w recepcji, zabieramy kanapki, idziemy do centrum handlowego, które mieści się w podziemiach, gdzie kupujemy po kartoniku z sokiem i znajdujemy sobie ławkę, żeby usiąść i zjeść drugie śniadanie. W poniedziałki, środy i piątki dołącza do nas Lorna Lawton, złośliwa dziewczyna, nałogowa palaczka, która pracuje w dziale sprzedaży detalicznej. We wtorki i czwartki jej przerwa na lunch przypada w innych godzinach z powodu, który doprowadza ją do takiej wściekłości, że nawet nie może nam go wyjawić. Rozmawiamy o innych pracownikach, a przynajmniej Debbie o nich rozprawia. Lubi intrygi, jest niedyskretna, ale przynajmniej życzliwa. Lorna natomiast jest zgryźliwa, zije nienawiścią i wciąż mamrocze „to suka” albo „to debil”. Miły, pomrukujący pod nosem Hank od poczty jest dla niej „tym kretyńcem”. Trochę bardziej oględnie wypowiada się na temat pana Frasera, przynajmniej przy mnie; jego nazywa, nawet z nutką tolerancji, „tym garbusem”.

Zastanawia mnie, czemu Debbie przyjaźni się z kimś takim jak Lorna, ale też dziwię się, czemu tak od razu przylgnęła do mnie. Pierwszego dnia, kiedy wychodziłam z pracy do domu, zaczepiła mnie i powiedziała:

- Muszę ci się przyznać, że zupełnie inaczej sobie ciebie wyobrażałam.

- To znaczy jak? - zapytałam zaniepokojona, myśląc, że chodzi jej o to, że jestem niedouczone, ale ona oświadczyła:

- No wiesz, jesteś młoda i znasz się na rzeczy.

Następnego dnia, przedstawiając mnie Lornie, powiedziała: „Louise to nie byle kto”, a ja, tak jak za pierwszym razem, zupełnie nie miałam pojęcia, co ona chce przez to wyrazić, tym bardziej że przebywała w moim towarzystwie zaledwie od godziny. Od razu przypomniał mi się Don Shaw i te jego bezpodstawne przypuszczenia, tyle że przy Debbie miałam wrażenie, że uważa mnie za mądrzejszą i lepszą, niż rzeczywiście jestem, w przeciwieństwie do mojego byłego kierownika, który miał mnie za bardziej tajemniczą i seksowną. Nadmiernie mi pochlebia i być może nie jest w tym szczerą, ale nie wyczuwam u niej chęci zrobienia mi przykrości. Raczej odwrotnie. Twierdzi, że bardzo jej się podobają moje włosy. Mówię jej, że chyba pomieszało jej się w głowie, moje włosy są przecież okropne, cienkie i proste. Uśmiecha się, jakbyśmy obie wiedziały lepiej. Mówi, że chciałyby mieć taką figurę jak ja, i namawia mnie na przymierzanie ubrań, na które nie mogę sobie pozwolić. Dzieje się to zazwyczaj wtedy, gdy już zjemy i zostaje nam jeszcze trochę czasu na oglądanie wystaw sklepowych. Lorna, która podobnie jak ja jest chuda i też ma nieszczególne włosy, podąża za nią, mamrocząc ze złością. Bez wątpienia znajduję się na liście jej wrogów, chociaż po powrocie do biura zawsze odprowadza mnie do mojego biurka, znów utyskując pod nosem. Kiedy siadam, ona odwraca się na pięcie, głęboko urażona.

- Do zobaczenia później - mówię, gdy odchodzi.

Ćwiczę stenografię. O drugiej trzydzieści pan Fraser wraca z „Barona”, restauracji, w której jada lunch od zakończenia drugiej wojny światowej. Wieszając kapelusz i płaszcz, pyta, jak mi idzie i czy wszystko jest w porządku. Podejrzewam, że te pytania padają o tej porze dnia, dlatego że niedawno wypił kieliszek alkoholu i jest nieco rozluźniony.

Odpowiadam, że radzę sobie doskonale.

Mówi, że miło mu to słyszeć. Jego smutne, błyszczące oczy są teraz nieco zmęczone i bardzo powoli rejestrują moją obecność.

Popołudniami kserują wszystkie artykuły, które zaznaczył w porannych gazetach. Potem przeglądam fiszki od litery A do F w jego obrotowej kartotece, piszą na maszynie nowe i wyrzucam stare, chyba że przy nazwisku widnieje wyraźne czerwone „N”, które oznacza „Nie żyje”. Te fiszki - stanowią niecałe dziesięć procent wszystkich

(najwidoczniej kartoteka nie była uaktualniana od lat) - mam wyjmować i kłaść na jego biurku. Co z nimi robi? Najprawdopodobniej gdzieś je chowa.

O czwartej trzydzieści podlewam fiołki afrykańskie Betty, myję talerzyki i filiżanki w toalecie dla pracowników. O piątej wsuwam głowę przez drzwi gabinetu pana Frasera i się żegnam. Zwykle czyta coś w jednym z dwudziestu czterech tomów Encyklopedii Britanniki.

- Och, Louise - mówi, jakby budząc się ze snu. - Do widzenia, moja droga. I dziękuję.

Wieczory.

Mój ojciec przyszedł naprawić łóżko Murphy'ego (wystarczyło dokręcić śruby) i pokazać mi, jak korzystać z kuchenki gazowej. Teraz odkręcam kurki bez obawy. Przez kilka wieczorów z rzędu słucham muzyki klasycznej w radiu, tak jak w dawnych marzeniach, ale dźwięk skrzypiec i klawesynów, który wtedy wypełnia moje mieszkanie, nadaje mu staropanieński styl, przełączam się więc na stację z muzyką rockową. Na kolację przyrządzam jajecznicę albo spaghetti. We wtorki albo czwartki - po kilku dniach od zjedzenia niedzielnej pieczeni przygotowanej przez panią Carver, której resztki zabrałam z domu na kanapki - zmuszam się do mięsa: kotleta z wieprzowiny albo steku Salisbury'ego z grilla. Jem, siedząc przy biurku. Wkładam naczynia do zlewu (zmyję, kiedy będą potrzebne), przepieram rajstopy i wieszam je tak, jak dziewczyna na francuskim filmie, na drążku od prysznic. Potem zaparzam herbatę i przystawiam sobie krzesło do kuchennego okna, żeby patrzeć na pięciopiętrowy budynek mieszkalny po drugiej stronie ulicy.

Poprzydzielałam mieszkańcom zawody i imiona. Lokal, w którym okna są zawsze otwarte, nawet kiedy pada, gdzie długie szare zasłony wypływają na zewnątrz i przyklejają się do muru z cegły, i w którym nigdy nikogo nie ma, według mnie należy do faceta - to musi być mężczyzna, który jest barmanem albo taksówkarzem i ma na imię Ed. Rudowłosa kobieta w średnim wieku z wydatnym biustem, która w prześwitującym szlafroku odkurza mieszkanie, gdzie parapety są zavalone książkami, to Madame Broulé, nauczycielka francuskiego w szkole średniej. Piętro niżej, pod nią, mieszka Glenn, niski urzędnik państwowy, który ma już za sobą dni chwały, kiedy to był dobrze zapowiada-

jącym się graczem w futbol. Wnoszę to na podstawie srebrzystego pucharu, który stoi na parapecie (wygląda jak trofeum), ale także z tego, że - jak się zdaje - zawsze siedzi przy kuchennym stole z papierosem żarzącym się w półmroku, potężny mężczyzna w krawacie i sportowej kurtce, który pali tak długo, jak ja patrzę.

Kiedy dzbanek z herbatą jest pusty, przesuвам krzesło z powrotem do biurka i poświęcam około godziny na przygotowanie sobie ubrania do pracy, zwięzam, przerabiam mankiety i kołnierzyki. Potem prasuję to, co zamierzam włożyć na siebie następnego dnia. O wpół do dziesiątej przebieram się w piżamę, rozstawiam łóżko i kładę się, by poczytać Jane Austen. O wpół do jedenastej już śpię.

Sobotnie wieczory nie są takie miłe. Bywam niespokojna, czuję, że powinnam spędzić czas poza domem, w kinie albo w restauracji. Nie mam jednak ochoty iść sama, a niby kogo mogłabym zaprosić do towarzystwa? Debbie wtedy gra w brydża (tak samo zresztą jak we wtorki, czwartki i niedziele, co, jak przyznaje, było jednym z powodów, z których jej mąż, dentysta, porzucił ją dla dziesięć lat starszej rozwódki, czym Debbie tak naprawdę niezbyt się przejęła, ponieważ on przez cały czas był przygnębiony i płakał na toaletce, żalując, że nie jest dmuchaczem szkła albo stolarzem w obawie, że pogrzy się w ubóstwie). Jest mało prawdopodobne, że partner siedzący po drugiej stronie stołu, który nie ma pokerowej twarzy, może dobrze grać w karty, ale jak się zdaje, Debbie cieszy się uznaniem w brydżowych kręgach. Uważa, że ja też byłabym w tym niezła. „Jesteś bardzo bystra - mówi. - Masz w sobie wolę rywalizacji”. Czyżby? Powiedziała, że zawsze mogę z nią pójść, jeśli chciałabym pokibicować, to znaczy przyglądać się, jak ona gra. Może kiedyś się wybiorę. Ale nie w sobotę. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić siedzenia niemal w milczeniu, godzina po godzinie, w sobotni wieczór.

Kto mi jeszcze zostaje? Alice Keystone. Kilka tygodni po mojej przeprowadzce zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że ma pracę na pół etatu jako akwizytorka książek religijnych dla dzieci. Wspomniała, że chętnie wpadłaby do mnie któregoś wieczoru, ale przypomniałam ją sobie w tej sukience w dzbanuszki, którą nosiła, i się wystraszyłam. Zapewne powróciłybyśmy do czasów liceum, a wtedy ja pogrzyłabym się w tym nieszczęściu, w którym tkwiłam przez ostatni rok, więc odmówiłam. „Wiesz, mam w

pracy taki młyn, że potem wracam do domu, zjadam coś naprędce i od razu zasypiam". Obiecałam, że zadzwonię, jak tylko „tam się trochę uspokoi”.

A więc pozostaje Lorna. Spędza piątkowe i sobotnie wieczory, popijając w barze „Pigskin”, gdzie faceci z gangów motocyklowych próbują posadzić ją sobie na kolanach, ale „jak im powiesz, żeby spadali, to dają ci spokój”. Barman jest jej znajomym, dlatego tam chodzi, częstuje ją drinkami, za które ona nie musi płacić, i pozwala jej korzystać ze służbowej toalety, by nie musiała chodzić do tych obskurnych, dostępnych dla wszystkich. „Powinnaś wpaść” - zachęcała mnie kilkakrotnie.

Jest jeszcze Abel.

Czasami wkładam czarne džinsy, czarny sweter i idę po papierosy do sklepu na rogu, potem spaceruję po okolicznych ulicach, paląc, krztusząc się i czując na zmianę mdłości i zaciekawienie. Pewnego wieczoru jeżdżę metrem i próbuję poprawić sobie nastrój, obserwując pasażerów oczami Abła. Na początku jest to trudne, ale z czasem nabieram wprawy. Musisz sobie powiedzieć, że każdy z nich ma w sobie jakąś zaletę. Nie zwracaj uwagi na duże uszy, skoncentruj się na lśniących włosach, na ponętnych ustach. Nie zważaj na tuszę, dostrzeż wytrwałość, inteligencję w twarzy. Śmierzący pijak, który chrapie w kącie... co w nim jest interesującego? Rzymski profil, czerwone skarpety - dla szyku, czy może to jedyna para, jaką ma?

W końcu nastrój poprawia mi się na tyle, że bez przykrości wracam do swego pustego mieszkania. Wsiadam na stacji przy Younge Street i przechodzę na peron, skąd odjeżdża pociąg w kierunku północnym. Wyobrażam sobie Abła gdzieś w mieście, na ulicy albo nawet na innym peronie stacji metra, snującego się z tym samym poczuciem miłości bliźniego.

A potem jakiś mężczyzna o wyglądzie szaleńca idzie szybkim krokiem wzdłuż peronu i zatrzymuje się przy mnie tak blisko, że nasze ramiona się dotykają. Odsuwam się. Trzyma przy uchu szumiące radio tranzystorowe. Wyłącza je w końcu i mówi do głośnika: „Centrala, zgłoś się, zgłoś się”. Przesuwam się dalej. Podąża za mną. Włącza ponownie radio, przez chwilę wsłuchuje się w zakłócenia, potem znowu je wyłącza i mówi:

- Podejrzana, wzrost około metra sześćdziesięciu, jasnobrązowe włosy, drobnej budowy. - Włącza zakłócenia. - Potwierdzam - mówi zdecydowanie, podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu.

Wyrywam się.

- Proszę mnie zostawić.

- Przykro mi, ale musi pani pójść ze mną i odpowiedzieć na kilka pytań.

- Proszę mi dać spokój.

Manipuluje przy radioodbiorniku, już nie tak sprawnie jak przedtem, łapiąc fragmenty muzyki. Spłoszony, włącza je i wyłącza. Idę pospiesznie peronem.

- Podejrzana stawia opór - melduje i rusza za mną.

Wyciąga rękę, a ja robię unik i uderzam się udem o ławkę.

- Cholera! - mówię.

- Pomogę pani.

- Pieprz się! - Obracam się wokół własnej osi.

Głośno przetyka ślinę. Inni pasażerowie czekający na peronie nie zwracają na nas uwagi. Czyżby sądzili, że to kłótnia kochanków? Nieznajomy odbiega, mamrocząc coś do głośnika radiowego. Jestem bliska płaczu. Pieprz się, myślę. To przecież brzmi tak odstręczająco. Być może nawet typki z gangu motocyklowego wycofują się, gdy usłyszą coś takiego z ust kobiety. My szczupłe, gniewne młode kobiety z cienkimi włosami, nasza groźna siła.

Później, koło północy, siedząc przy biurku, otwieram książkę telefoniczną na literze R. Richardson, Richmond, Richter.

Karl. Grenadier Road 241.

A więc mieszkają niedaleko High Park. Leżę na łóżku z tą wiedzą, czując, jakby podano mi surowicę. Moja noga pulsuje w miejscu uderzenia. Zасыpiam w swoim czarnym stroju.

Następnego dnia, w niedzielę, jadę wschodnią linią metra do końca. Na ulicy siadam na ławce i czekam na ojca. Jest późny październik, wietrzny i mroźny, opadłe liście z szelestem przesuwają się po chodniku. Mam ze sobą plastikowy kosz z bielizną do prania. Ojciec podjeżdża po mnie rozklekotanym samochodem pani Carver, mówiąc, że jego nie

chciał zapalić. Kiedy jedziemy na północ, spoglądam na chmurę w kształcie rękawicy. Pani Carver jest w domu, gotuje obiad. Zawsze tam jest, ale nigdy nie zostaje na noc, jeśli oczywiście można im wierzyć. Ale myślę, że tak. Jemy pieczoną wieprzowinę, słodkie ziemniaki, zieloną fasolkę i cytrynową bezę na deser. Ojciec odwozi mnie do domu. Jakimś cudem torba z jedzeniem trafiła na sam spód kosza z praniem. Stwierdzam to następnego dnia rano. Nie jestem świadoma tego, że sukienka, którą wkładam do pracy, wciąż wydziela zapach pieczenia wieprzowej, chociaż że skropiłam ją perfumami. Troy Warren opowiada mi o tym kilka lat później. Mówi: „Mimo to zakochałem się w tobie”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Biorąc pod uwagę wszystkie mało prawdopodobne zdarzenia, które doprowadziły do tego, że Troy i ja wpadliśmy na siebie - dosłownie, ponieważ on potrąca mnie samochodem - można powiedzieć, że albo było nam pisane się spotkać (jego odczucie), albo że (moim zdaniem) spotkaliśmy się niezależnie od przeznaczenia.

Mówi mi, że prawie nigdy nie działa pod wpływem impulsu, ale tego ranka powziął nagłą decyzję, by pojechać do domu byłej dziewczyny, licząc na to, że znajdzie jeszcze gdzieś na ścieżce swój zegarek, który wyrzuciła przez okno tydzień wcześniej. (Czyste koszule i bieliznę osobistą, także wyrzucone przez okno, udało mu się pozbierać od razu.) Od tamtego czasu kilkakrotnie padał deszcz, więc nawet jeśli zegarek wciąż tam jest, to z pewnością już nie działa. Gdyby tak się jednak złożyło, że nic się zegarkowi nie stało, to ona jeszcze nie wyszła do pracy i mogłaby zauważyć, jak się skrada. Mimo wszystko tam jedzie, ale gdy jest już na miejscu i zatrzymuje się przed jej domem, traci pewność siebie. Wtedy czuje nieodpartą chęć, by przejechać obok bloku, w którym zamieszkał cztery lata temu, gdy przeprowadził się do Toronto. Mniej więcej czterdzieści pięć minut, może godzinę później, jadąc Younge Street, mija cukiernię i nabiera ochoty na ekierkę z czekoladą. I w ten sposób dwadzieścia po dziewiątej rano skręca w Wellesley.

Mój dzień wcale nie zaczyna się najlepiej. Gorąca woda nagle przestaje lecieć akurat wtedy, gdy biorę prysznic, a potem zasypiam w metrze. Kiedy otwieram oczy, okazuje się, że stację, na której powinnam wysiąść, już dawno minęliśmy i że pociąg

dojechał do końca linii, a teraz jedzie znów na północ. Wsiadam i biegnę na przeciwległy peron. Mija pięć, dziesięć minut. W końcu podają informację, że pociąg jadący w kierunku południowym ma awarię elektryczną, więc wychodzę na ulicę i zaczynam maszerować. Zbliża się Halloween, na wystawach sklepowych widać dynie i kościotrupy. Chociaż bardzo się śpieszę, przystaję przy jednej z nich. Leży na niej dynia wycięta w taki sposób, że ma przedstawiać piękność: kocie oczy, rozcięcia układające się w długie rzęsy, dwa małe trójkąciki w miejscu dziurek od nosa i usta w kształcie pączków róż, z nich wystaje papieros. Przypomina mi się matka... te oczy, ten papieros. „Otwarte od dziesiątej”, słyszę za sobą głos, mężczyzna bez nóg na wózku inwalidzkim podjeżdża bliżej i wyciąga w moją stronę pudełko z ołówkami. Wybieram jeden, płacę za dwa. Idę, obracając ołówek w palcach jak batutę, wspominając, jak Abel oplatał sobie gałązkę wokół palców. Przechodzę przez ulicę, kiedy ołówek wymyka mi się z ręki i wpada prosto w otwór wielkości pięciocentówki w pokrywie wjazdu kanalizacyjnego, tak celnie, że zatrzymuję się, i wtedy potrąca mnie skręcający w ulicę samochód.

Odrzuca mnie w bok, ale nie doznaję obrażeń. Wyskakuje kierowca.

- Nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku, to tylko lekkie szturchnięcie.

- Na pewno? - Patrzy z przerażeniem na moją nogę, na ogromny, fioletowy siniak, którego nabawiłam się w sobotę wieczorem, próbując uwolnić się od faceta z radiem tranzystorowym.

- Och, już to miałam.

- Dzięki Bogu. To znaczy, dzięki Bogu, że nie jesteś ranna. Nawet cię nie zauważyłem.

Mówi z południowym akcentem. Jego blond włosy sięgające kołnierzyka są tak samo cienkie i proste jak moje. Podoba mi się, jak jest ubrany, w brązową skórzaną kurtkę, białą koszulę i niebieskie dżinsy. Proponuje, że podwiezie mnie tam, dokąd się wybieram. Ma stary, czerwony kabriolet i po trosze dlatego, że nigdy dotąd takim nie jechałam, przyjmuję ofertę.

- Troy Warren - przedstawia się. Uśmiecha się i podaje mi rękę.

- Louise Kirk. - Wyciągam swoją.

- Louise Kirk. - Potrząsa moją dłonią. - No cóż - dodaje - miło mi cię poznać, zwłaszcza że jesteś taka dobrze ułożona.

Bardzo powoli przesuwamy się zatłoczoną ulicą. Pyta, czym się zajmuję, a kiedy odpowiadam, mówi:

- Ach tak. - Stara się okazać, że jest pod wrażeniem.

- Właśnie, zwykła sekretarka o niewygórowanych ambicjach - oświadczam.

Spogląda na mnie z uśmiechem. Ma miłą twarz, jej wyraz jednak nieustannie się zmienia, tak jakby trzeba go było przyjąć z dozą pobłażliwości. Nie o to chodzi, że wydaje się nieszczerzy, zachowuje się raczej jak ktoś, kto próbuje ukryć zbyt wiele szczerości. Już słyszę, jak zwierzam się Debbie: „Jest przystojny, ale w taki niezwykle sposób”. Nagle orientuję się, że opowiadam mu o Debbie, panu Fraserze i Lornie, potem o moim mieszkaniu i o lokatorach z budynku po przeciwnej stronie ulicy, których podglądam co wieczór. Zamykam swoją opowieść w czasie, w którym pokonujemy siedem przecznic. On zachęca mnie krótkimi pytaniami i reakcjami świadczącymi o zainteresowaniu. Zatrzymujemy się przed moim biurem i dopiero wtedy przychodzi mi do głowy, żeby go zapytać, czym się zajmuje.

- Mam sklep muzyczny.

- Naprawdę?

- Taki malutki. Nic wielkiego.

- Ale jest twój? Jesteś jego właścicielem?

- Tak, jest mój.

- To najważniejsze. - Próbuję zgadnąć, ile ma lat. Pewnie poniżej trzydziestki. - Jak się nazywa ten twój sklep?

- Warren Records.

- Zainspirował cię Warren Beatty? - żartuję.

- Nie, Warren Peace*.

* W języku angielskim brzmi jak *War and Peace* - *Wojna i pokój* Lwa Tołstoja.

Śmieję się.

- Jesteś bardzo wesoła - mówi - jak na kogoś, kogo potrącił samochód.
- Wiesz, chyba widziałam ten sklep. Na Bloor, prawda?
- Wpadnij kiedyś.
- Nie mam magnetofonu.
- Nie masz?
- Nie.
- No tak, właściwie po co tobie, dziewczynie o niewygórowanych ambicjach.

Uśmiechamy się do siebie. Samochód za nami trąbi, mówię, że blokujemy ruch, potem on pyta, czy nie zjadłabym z nim kiedyś kolacji, odpowiadam, że dzisiaj jestem wolna, a on prosi mnie o adres i obiecuje wpaść po mnie koło siódmej.

Podczas lunchu z Lorną i Debbie opowiadam:

- Ma takie spokojne szare oczy, naprawdę słodkie i takie trochę... sama nie wiem... żarliwe?

- Ach - wzdycha Debbie. - Żarliwe.
- Co masz na myśli? - docieka Lorna.
- Ciepłe.
- Dlaczego po prostu tak nie powiesz?
- Czuję, że mogłabym mu wszystko powiedzieć. Lorna prycha.
- Wyświadczyć sobie przysługę. I nie mów.

Ale ja mówię. Siedzimy w restauracji zaledwie od półgodziny, a ja zwierzam się, że ostatnio kochałam się z mężczyzną, z którym pracowałam. On już opowiedział mi o swojej byłej dziewczynie, która wyrzuciła jego koszulę, bokserki i pamiątkowy zegarek z okna trzeciego piętra, bo nie przyjął jej oświadczyn. Czy jest nieszczęśliwy? Z powodu zerwania nie, raczej odetchnął z ulgą, ponieważ czuł, że coś takiego się zbliża. Nie jest oczywiście zachwycony tym, że ją zranił. Była jego pierwszą dziewczyną, odkąd przeprowadził się z Karoliny Północnej. Znalazła mu mieszkanie i pracę nauczyciela muzyki w szkole wieczorowej.

Pytam, na jakim instrumencie gra. Jeśli na pianinie, to od razu mogę wstać i wracać do domu.

- Och - mówi. - Nie jestem muzykiem. Brałem udział w kilku kursach z teorii muzyki podczas studiów. Wszyscy moi uczniowie umieli więcej ode mnie.

Sięgam po kieliszek z winem.

Kelner napełnił dwa, chociaż zamówiłam colę. To włoska restauracja, na stolikach leżą obrusy w czerwono-białą kratkę, stoją świeczki na podstawkach, wino podają w wiklinowych koszykach, kelner jest stary i powolny i najprawdopodobniej ma słaby wzrok.

- Skąd on wie, że jestem pełnoletnia? - pytam Troya.

- A jesteś?

- Od dwóch lat.

- Tak mniej więcej cię oceniałem.

- A ty ile masz lat?

- Dwadzieścia cztery.

- A więc jesteś za demoralizowaniem młodych dziewczyn?

- Czyżbym faktycznie to robił?

Może jego uśmiech nie jest zniewalający, ale z pewnością trudno mu się oprzeć.

- To się jeszcze okaże - mówię i sięgam po wino. Jestem w nastroju do flirtu, czuję się pewna siebie, jak piękność z Południa. - Powiedz mi o sobie wszystko - zachęcam. - Masz braci albo siostry? Wychowałeś się w Karolinie Północnej?

Tak. Niedaleko Fayetteville, na dobrze prosperującej farmie tytoniu. Nie ma braci, tylko dwie młodsze siostry, które wciąż mieszkają w rodzinnym domu. Jego matka, dziesięć lat starsza od ojca, jest kochana i czuła, choć trochę ekscentryczna - „taka roztrzepana”. Kiedy był chłopcem, chodziła po domu, zbierała jego ulubione ubrania, zabawki, najcenniejsze książki i wystawiała je na schodach przed drzwiami biednych, czasem także średnio zamożnych domów. Gospodynie domowe, które wiedziały, skąd pochodzą pudła, musiały je potem odnosić i poddawać się jej uściskom. Miała zwyczaj brać każdego w ramiona i przytulać do siebie długo, wprawiając tym w zakłopotanie. Ojciec był gorszy: miał drewnianą nogę, opowiadał dowcipy, a potem siedział naburmuszony i wściekły, gdy ktoś śmiał się za głośno. Stracił nogę podczas drugiej wojny światowej i stał się bohaterem. Kilka lat później zastrzelił włóczkę, którego zaskoczył, gdy tamten próbował ukraść mu ołowianą rurę z piwnicy (nie było sprawy, nikt

nie oskarżył weterana wojennego, który zasłaniał się samoobroną), i to zdarzenie także uczyniło z niego bohatera, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Nikt nie wiedział tego lepiej niż Troy, z którym wymieniali tylko grzecznościowe formułki, aż kiedyś ojciec sprawił mu lanie pasem - pięć razy po każdej łydce - na tyle mocno, że pozostały głębokie ślady.

- Jesteś gotowy, synu?

- Tak, sir.

- Nawet nie zauważysz, jak będzie po wszystkim.

- Dziękuję, sir.

Co takiego zrobił Troy? Och, spóźnił się kilka minut na kolację, nastawił za głośno płytę. Potem przyszły studia, kawiarnie i protestacyjne piosenki, powroty do domu z nowym spojrzeniem na wiele spraw, ale bez wyrażania poglądów dla spokoju, a szczerze mówiąc, dla kieszonkowego i pieniędzy na opłatę za studia. Ostateczna rozgrywka nadeszła już po dyplomie, kiedy to ojciec zdecydował, że zanim Troy zacznie korzystać z wiedzy w pracy, powinien zaciągnąć się do piechoty morskiej. Troy był oszołomiony. Prawda, jego ojciec popierał wojnę w Wietnamie, ale wielokrotnie powtarzał, że walkę należy pozostawić chłopakom z niskim ilorazem inteligencji i bez widoków na przyszłość, co Troy rozumiał jako: „To nie jest dla ciebie, synu”. A teraz co? Troy nie wiedział, nie potrafił o tym myśleć, więc wyrzucił z siebie prawdę:

- Sir, nie mogę tego zrobić. Jestem pacyfistą.

Jego ojciec, dopiero po długiej chwili, opuścił pokój, by powrócić ze strzelbą wycelowaną w głowę Troya.

- Synu, jesteś pospolitym tchórzem, zawsze to wiedziałem. Daję ci pięć minut, żebyś zniknął mi z oczu. To jest tyle, ile potrwa odliczanie pięć razy do sześćdziesięciu. Zaczynam teraz. Jeden, dwa, trzy...

Troy ledwie zdążył złapać portfel, torbę z ubraniem i uciec. Na trawniku przed domem wpadł w objęcia matki, która czule przytulała go do siebie, gdy tymczasem ojciec, trzymając ich na muszce, stał na ganku i odliczał ostatnią z pięciu minut. „Czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć...” Czy pociągnąłby za spust? Najwyraźniej matka Troya była tego pewna, bo przy pięćdziesięciu trzech puściła go i odeszła. Dwa dni później Troy był

już w Kanadzie, przekonany, że gdyby został w Stanach, jego dni jako cywila byłyby policzone.

Nie potrafię odróżnić, czy ta historia jest rzeczywiście z życia wzięta, czy została wymyślona na poczekaniu - przedstawił ją w tak dowcipny i barwny sposób - ale zachęca mnie do zwierzeń o matce, o jej manii sprzątania i o piromanii (spalenie mojego swetra), a potem o jej zniknięciu. Opowiadam mu o tym, jak ojciec uważał, że uciekła z jakimś uwodzicielem.

- Nigdy tak nie myślałam - mówię. - Wydawało mi się, że ona chciała być po prostu wolna.

- Bardzo prawdopodobne - przyznaje Troy. - A może nie mogła znieść konkurencji ze strony tak pięknej córki.

Czuję, że twarz mi płonie.

- Och, nic z tych rzeczy. Nigdy nie byłam zagrożeniem dla nikogo, a tym bardziej dla niej. Uwierz mi.

- Raczej będzie mi trudno.

- Kiedyś pokażę ci jej zdjęcie.

Porusza się lekko, wyraz jego twarzy nieznacznie się zmienia, a ja uświadamiam sobie, że właśnie ogłosiłam, że spodziewam się kolejnych spotkań.

Tuż przed wpół do dziesiątej jesteśmy u niego. Wynajmuje całe drugie piętro w odremontowanym budynku z przełomu wieków, na Bloor Street i tylko o przecznicę na zachód od jego sklepu. Na trzecim piętrze jest klub modelarski, jego członkowie przesiadują tam całymi godzinami, budując miniaturowe przejazdy kolejowe i sklejjąc drzewka kształtem przypominające brokuły, takie jak to, które stoi u Troya na stole w kuchni. Dostał je na pamiątkę wizyty, na którą go kiedyś zaprosili.

- To było niesamowite - mówi, mając na myśli nie tylko te wszystkie detale i kręte tory kolejowe, lecz także poważną atmosferę, ciszę, jakby coś doniosłego w skutkach miało się wydarzyć.

- Skąd wiesz, że nie miało? - pytam.

Przechodzę z pokoju do pokoju ze szklanką kahlúa w dłoni, a on podąża za mną i przeprasza za nie zmyte naczynia, ubrania porozwieszane na oparciach krzesel.

- Nie przejmuj się - powtarzam. - Nie jestem wielbicieleką nieskazitelnego ładu. Nie mogę się nadziwić, ile ma miejsca. Trzy ogromne pokoje, kuchnię wielkości salonu, łazienkę rozmiarów kuchni. Dwa pokoje są zastawione pudłami pełnymi płyt, które nie mieszczą się w sklepie. Jego prywatna kolekcja wypełnia ogromny regał na całą ścianę w pokoju gościnnym.

- Czy są ustawione według jakiegoś porządku?

- W nieodgadnionym porządku. Talentu do układania wystarcza mi na sklep.

- Skąd wzięłeś pieniądze na kupno sklepu?

- Pożyczyłem. Tkwiąc po uszy w długach.

- Założę się, że te meble też do tanich nie należały. - Rozglądam się z uznaniem, podziwiając meble z jasnego drewna i kremowej skóry. - Są nowe?

- Prawie nowe.

- Można na nich siadać?

- Możesz na nich robić wszystko, na co tylko masz ochotę.

Siadam na kanapie.

- Te płyty są do słuchania?

- A czego chciałabyś posłuchać?

- Czegoś, co tobie się podoba. Jaką muzykę lubisz?

- Każdą. Klasyczną, country, bluegrass, jazz, musicalową...

- Musicalową?

- Co w tym dziwnego?

- Jak z *Oklahomy*?

- Wyobraź sobie, że tak.

- Masz to nagranie?

Mija dłuższa chwila i znajduje właściwą płytę, włącza ją, u ja dolewam sobie kahlúa. Siada naprzeciwko mnie, trzymając szklanekę z piwem w obu dłoniach.

- Za głośno - stwierdza i wstaje, by ściszyć.

Patrząc na jego plecy. Kwadratowe ramiona, nie tak szerokie jak Abla, nie jest też taki wysoki ani taki szczupły, ale to dobrze, właśnie tak powinno być. Wraca na krzesło. Opróżniam szklanekę i napełniam ją ponownie.

- Skąd wiadomo, czy muzyk jest pijany? - pytam.

- Czy to dowcip?

- Gdy nie odróżnia połówki od ćwiartki.

- Powiedziałbym, że dość marny ten żarcik. Opowiadam mu o książce *Tysiąc i jeden dowcipów, że boki zrywać*, którą wciąż czasem przeglądam.

- Najciekawszy jest jej układ - mówię. - Według alfabetu i tematycznie. Alkoholicy, Gotowanie, Podatki. I zawsze są podane odnośniki. Czyli w dziale „Alkoholicy” jest napisane: Zobacz także: Duchowni, Prawnicy. W części zatytułowanej „Seks” - wybucham śmiechem - znajduje się odwołanie do „Epileptyków”.

- Niemożliwe.

- A jednak! W „Epileptykach” jest odnośnik do... - nie mogę już zapanować nad śmiechem i dokończyć. On także się śmieje.

- Co tam jest?

- Duchowni!

- A jaki jest odsyłacz w „Duchownych”?

- Zobacz także Alkoholicy, Karły, Producenci jaj...

- Producenci jaj?

- Krowy, Cięża. O Boże. O Boże. - Opróżniam szklanekę i stawiam ją na stoliku głośniejsze, niż zamierzałam. Chcę powiedzieć: „Czemu nie usiądziesz przy mnie?”, ale mówię, że usunęłam ciężę, i czuję, jak ogarnia mnie żal, jakiej nie doświadczyłam od roku.

W ten sposób nastrój wieczoru się psuje. Od czasu do czasu próbuje mi zabrać butelkę kahlúa, ale przyciskam ją mocno do piersi.

- Nie martw się - mówię - wcale nie jestem taka. To nie jest do mnie podobne. - Im bardziej jestem pijana i się rozklejam, tym bardziej chcę mu wytłumaczyć, kim jest dla mnie Abel i dlaczego go kochałam. Kochałam. Równie ostrożnie wypowiadam to słowo w czasie przeszłym, jak trzymam butelkę kahlúa. Nawet kiedy wymiotuję, nie wypuszczam jej z rąk. Zabieram ją do siebie, chociaż jest już pusta.

Troy odwozi mnie do domu, rozbiera do bielizny i kładzie do łóżka. Nie pamiętam nic od momentu, kiedy patrzyłam w otwory odpływowe w jego zlewozmywaku i myślałam tylko o tym, jakie są jednakowe i jakie nieczułe.

Przypuszczam, że już nigdy się nie odezwie, ale następnego dnia po południu dzwoni i pyta, jak się czuję.

- Okropnie - odpowiadam. Mówię, że jest mi strasznie przykro i nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Cóż, bywa i tak - mówi. - Zawsze możemy spróbować jeszcze raz.

- Chcesz się ze mną umówić jeszcze raz?

- Tak mi się wydaje.

- Chyba zwariowałeś?

- Tak mi się właśnie wydaje.

W sobotni wieczór Kochamy się na jego wielkim skrzypiącym łóżku. Zależy mi na tym, by zrobić lepsze wrażenie. Jest zachwycający i spokojny, nie pozwala mi się śpieszyć. Trwa to kilka godzin, z przerwami na sok ananasowy, który pijemy z plastikowych kubków, popcorn i brzoskwinie z puszki. Trochę po północy słyszę gwizd pociągu przejeżdżającego na górze i uświadamiam sobie, że się zdrzemnęłam. Oboje zasnęliśmy. Podnoszę się na łokciu i dotykam palcem jego wargi. Nie porusza się. Ma mięsiste, wydatne usta. Cała jego twarz ma łagodny, otwarty wyraz, jest trochę niesymetryczna: nos przechylony na jedną stronę, jedno ucho odstające bardziej niż drugie. Ale w całości wygląda tak, jakby został osiągnięty zamierzony efekt, jakby jego twarz nawet we śnie miała być pogodna i zapraszająca.

Zastanawiam się, czy go pokocham. Nie widzę powodu, dla którego mogłoby być inaczej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Abel i ja osiągnęliśmy stan, w którym rozmawiamy rzeczowo i otwarcie o jego bardzo prawdopodobnej śmierci, ale dzieje się tak wyłącznie dlatego, że nie mamy pojęcia, o czym mówimy. Jak sam kiedyś powiedział, własna śmierć nie jest niczym więcej jak tylko plotką. Za każdym razem, gdy otwieram drzwi do mieszkania Abła i nasłuchuję, czy oddycha, zupełnie nie biorę pod uwagę ewentualności, że go nie usłyszę. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłoby tak być, w ogóle nie dopuszczam do siebie takiej myśli. W dalszym ciągu jest w swoim mieszkaniu, pije, traci przytomność, odzyskuje ją, zmywa podłogę. Nie da się przejść od tego do śmierci. Następują fazy, nagle wypadki. Zdarzają się cuda.

Pewnego dnia odkrywam, że jestem gotowa, by go zapytać, dlaczego nigdy nie wyznał, że mnie kocha. Dlaczego nie potrafił wypowiedzieć tych słów.

- Powiedziałem je - szepcze.
- Raz. Powiedziałeś „Kocham cię za mocno”, tak jakby to było przekleństwem.
- Zawsze wiedziałeś, co czuję.
- Myślałam, że wiem, gdy byłeś przy mnie. Ale kiedy nie byliśmy razem, nie

miałam o tym pojęcia.

- To samo.

- Nawet teraz nie możesz wypowiedzieć tych słów. Nie możesz wymówić: „Louise, kocham cię”.

- Louise, kocham cię.

- W obliczu prawa mógłbyś oświadczyć, że tylko powtarzałeś to, co ja powiedziałam, bez większego zastanowienia.

- Kocham cię, Louise.

Jest sobota, zbliża się południe. Wciąż jest w łóżku (choć zapewnia mnie, że niedługo wstanie, że „wszystko jest w porządku”), więc rozbieram się i wsuwam pod koc, by obok niego poleżeć.

- Straciłeś głos? - pytam. Nie odpowiada wprost.

- Dzisiaj jest dzień szeptania - mówi wymijająco. Oddech ma słodki. Być może przerzucił się na likiery albo może to dlatego, że przestały mu krwawić wargi. Jego twarz jest prawie przezroczysta; widać najcieńsze żyłki, tak jakby to, co dotychczas było ukryte, mogło się już powoli ujawniać w obliczu zbliżającego się końca. Abel zaczyna przypominać delikatne dziecko.

Mówię mu to.

- Dawniej myślałem, że skoro życie na ziemi jest naturalne i dobre, powinniśmy się stawać coraz młodszy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie zaczynamy życia jako zgrzybiali starcy, by stawać się młodzi i doskonali - odpowiada.

- To było, zanim zdałeś sobie sprawę, że stare i wyniszczone jest doskonałe.

Kiwa głową.

- Ponieważ doskonałość jest wszechobecna.

- Właśnie.

- Wcale się z tobą nie zgadzam. Tylko powtarzam twoje słowa.

- Jedynie rozważasz tę koncepcję.

- W takim razie, w jaki sposób dokonujesz wyboru rzeczy? Dlaczego kupić to, a nie coś innego? Dlaczego być z tą osobą, a nie z zupełnie inną?

- W naturalny sposób człowiek zwraca uwagę na niektóre rzeczy czy osoby bardziej niż na inne.

- Cóż więc złego jest w tym, że pociąga cię tylko jedna osoba spośród wszystkich innych?

- Nie ma w tym nic złego. Delikatnie ściskam go za rękę.

- Dlaczego nie mogłeś mnie kochać bardziej niż kogokolwiek?

- Kocham cię bardziej niż tych, których kocham.

- Masz na myśli to, że gdyby wszystkie twoje dziewczyny nagle zaczęły tonąć równocześnie, a ty mógłbyś uratować tylko jedną, to byłabym nią ja?

Uśmiecha się.

- Świetnie pływasz. Muszę się też uśmiechnąć.

- Ja bym cię uratowała. Poświęciłabym dla ciebie każdego.

- Kiedy odejdę, to się zmieni.

- Wcale nie. Zabierzesz moją miłość ze sobą.
- Nie pozwól, by tak się stało. Zatrzymaj ją dla siebie.
- A jeśli nie potrafię? Jeżeli mi ją odbierzesz? Odwraca się na plecy i patrzy w sufit.
- Niczego nie odbiorę. Jestem wędrującym światłem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Przy Troyu jestem tą, którą kocha się bezwarunkowo. Mogę wałęsać się po mieszkaniu z nie umytymi włosami, być nudna i w złym humorze. Jeśli się staram - a przeważnie tak jest - to dla przyjemności sprawienia radości komuś, dla kogo wcale nie muszę się wysilać. Ciągle powracam myślami do Abła, a wtedy wewnątrz ogarnia mnie pustka, lecz już po chwili w każdej cząstce swego ciała czuję obecność Abła i to uczucie zastępuje wszystkie inne, które kiedykolwiek dla niego miałam, nawet miłość. Mówię o tym i wierzę, że tak jest. Kiedy rozmawiam o nim z Troyem, przybieram nieco ironiczny ton, wcale nie specjalnie, sam wkrada się w mój głos. Troy jest tak życzliwym słuchaczem i tak pewnym swego, że najbardziej krytycznie wyrazi się o Ablu, gdy powie:

„Skomplikowany gość”. Raz nawet stwierdził, że mogliby zostać przyjaciółmi.

- Oczywiście, że moglibyście - obruszyłam się. - Jego przyjacielem jest każdy.

Miejscowy pijaczek jest jego przyjacielem, gwałciciel też.

- No widzisz - skwitował Troy bez urazy.

I w ten sposób wciąż zdobywa nade mną przewagę.

Jego prawa ręka, z powodu podwójnego stawu, może obracać się we wszystkie strony, więc udaje, że ją odkręca, i mówi, że należy do mnie, jeśli tylko za niego wyjdę.

- Małżeństwo to przeżytek - mówią.
- A co powiesz na to, żebyśmy zamieszkali razem?
- Bez ślubu? - pytam, udając, że jestem do głębi wstrząśnięta.

Wie, że nie jestem gotowa, nie naciska. Spędzamy razem co najmniej cztery wieczory w tygodniu. On przygotowuje mi kolację - kurczaka w panierce albo chili con carne - a potem oglądamy telewizję, słuchamy płyt albo idziemy do kina. Kochamy się w każdym miejscu jego mieszkania, na stojących rzędem pudłach, duńskich nowoczesnych

krzesłach. W czwartki zostaje dłużej w pracy, a ja w tym czasie robię pranie i nadrabiam zaległości w czytaniu. W piątkowe wieczory spotyka się w węgierskiej restauracji z kilkoma znajomymi, którym udało się uniknąć wojska. Rozmawiają tam na tematy antywojenne i o podziemnej gazetce zatytułowanej „Grom”, do której, jak się okazuje, wszyscy pisują i którą Troy częściowo finansuje, bo tylko on ma stałą pracę. Czasami wpadam tam, by posłuchać pasjonujących dyskusji, które są dla mnie o wiele bardziej zrozumiałe niż artykuły i wiersze. W weekendy Troy i ja jeździmy samochodem, spacerujemy nad jeziorem, czasem wybieramy się poza Toronto. W niedzielę po południu najczęściej, tak jak dawniej, jeżdżę do Greenwoods i raz na jakiś czas Troy mi towarzyszy. Mój ojciec i pani Carver nie mogą się go nachwalić, zresztą on też ich bardzo polubił.

- Przyjemny - mówi ojciec z zastanowieniem. - Przyjemny, to właściwe słowo na określenie Troya. (Najwyraźniej myślał, że zwiąże się z jakimś groźnym odmieńcem.) Tymczasem Troy, pomimo całej swojej przyjaznej natury i poczucia humoru, nie ma bliskich przyjaciół i właściwie nie wiem dlaczego. Jego znajomi „niedoszli poborowi” uważają go za zbyt prostoliniowego, tak przypuszczam. Poza nimi jest tylko wojowniczy kolekcjoner płyt, Sammy, który nakłania do palenia haszyszu na zapleczu sklepu. Kiedy jesteśmy razem, tylko ja i Troy, nigdy nie palimy trawy i jedynie okazjonalnie pozwalamy sobie na szklanekę piwa czy kieliszek wina. Troy mówi, że woli mnie poznawać, mając jasny umysł, nie chce, żeby cokolwiek mąciło mu zmysły.

- Ja też - mówię.

Chociaż nie jest to do końca prawdą. Mnie przede wszystkim zależy na tym, żeby w niczym nie przypominał Abla.

I to także nie jest do końca prawdą, ponieważ obaj mają miłe usposobienie i są inteligentni. Nic w tym dziwnego, że nie potrafię znieść podobieństw. Jako dziecko Troy kolekcjonował owady. Kiedy podczas naszych spacerów rozpoznaje gatunek żuka czy motyla, odwracam się. Z tego samego powodu nie będę słuchać utworów Bacha na fortepianie, nie z nim. Troy uważa, że im bardziej upodabnia się do Abla, tym istnieje większe ryzyko, że będę go podejrzewała o zdradę. Jednakże, kiedy to mówi, nawet kiedy mnie pociesza, nie wymawiając imienia Abla, jedynym efektem jest to, że uświadamiam

sobie, co się dzieje naprawdę. Nie mogę znieść podobieństw, również dlatego, że drażnią mnie rozbieżności, porównywania, w których Troy wypada gorzej: kolekcjoner martwych owadów przeciwko wielbicielowi żywych, miłośnik muzyki przeciwko muzykowi. Osoba z setką znajomych i bez bliskich przyjaciół przeciwko komuś, dla kogo każdy znajomy jest bliskim przyjacielem. To takie niesprawiedliwe i zasmucające. Dla poprawy nastroju natychmiast wyliczam zalety Troya, zaczynając od jego oddania, lojalności, i bardzo często to wystarczy, wychodzi z cienia Abla i jest sobą. Dobrym, godnym swego zwycięstwa Troyem.

Mijają cztery lata. Kiedy myślę „cztery lata”, mam wrażenie, że czas jest niepojęty i nieuchwytny, jak sen, na którego opowiedzenie wystarczy minuta, choć wydawało się, że trwał całą noc. „Latka lecą” - mawiają starzy ludzie. Teraz rozumiem, co mają na myśli: niewiele się zmienia. Troy i ja jesteśmy razem. W dalszym ciągu jestem sekretarką pana Frasera, oboje ledwie posuwamy pracę do przodu. Dwa razy przedzierałam się przez akta, czytając je, układając, starając się oddzielić żyjących klientów od nieżyjących. Właśnie zastanawiałam się, czy nie przejrzeć ich jeszcze raz i czy może wypisać na maszynie nowe fiszki, gdy pan Fraser poprosił mnie do swojego gabinetu i zapytał, czy widziałam film pod tytułem *Dni wina i róż*. Odpowiedziałam, że nie.

- Z Lee Remick i Jackiem, och... Jackiem...

- Nie i nigdy go nie oglądałam.

- Jack... Wiesz, kogo mam na myśli? Szybko mówi. Ciągłe kręci głową.

- Jack Lemmon?

- Właśnie. Jack Lemmon. A więc dziewczyna, gra ją Lee Remick, bystra jak mało kto, pracuje jako sekretarka w dużej, wytwornej firmie reklamowej, jeśli mnie pamięć nie myli. Ale jej przełożony nie ma dla niej wystarczająco dużo pracy, więc co ona robi, siedzi przy biurku i czyta encyklopedię literatury światowej, każdy tom po kolei. Wcale nie utwory literackie, zauważ. - W jego oczach pojawia się ożywienie. - Przy jakim autorze jesteś?

Powiedziałam mu, na czym polega mój sposób przerabiania wielkich dzieł - według kolejności alfabetycznej nazwisk autorów.

- George Eliot - odpowiadam. - *Silas Marner*.

- A więc przed tobą E. M. Forster. To pisarz dla ciebie.
- Muszę jeszcze przebrnąć przez Williama Faulknera i F. Scotta Fitzgeralda.
- *Droga do Indii. Pokój z widokiem.* - Wygląda na to, że stracił wątek.
- Lee Remick czyta encyklopedię - przypominam.
- No właśnie. Widzisz, nigdy nie poszła na studia. Dochodzi jednak do wniosku, że kiedy przeczyta wszystkie tomy od pierwszego do ostatniego, będzie miała magistra z literatury angielskiej w kieszeni.

- Bez dyplomu.
- To tylko kawałek papieru.
- Tak samo można powiedzieć o papierach wartościowych.
- Nie wymądrzaj się przy mnie, młoda panno. Wiedza jest rzeczą ważną, nie ma najmniejszego znaczenia, w jaki sposób się ją zdobywa. A więc. Powieści są wartościowe i dobre, znasz moje zdanie na ten temat, ale inni widzą dziewczynę, która czyta przy biurku, i myślą, że próżnuje. Co innego encyklopedia. Jeśli dziewczyna ją czyta, kto wie, może czegoś szuka albo coś sprawdza?

Podniósł się z fotela i pociągając nogami, przygarbiony, podszedł do biblioteczki i wyjął z niej pierwszy tom Encyklopedii Britanniki. Niosąc ją w obu rękach, wrócił i położył na biurku. Miał bardzo skupiony wzrok.

- A więc. Przeczytasz wszystkie dwadzieścia cztery tomy i, co za niespodzianka, masz doktorat z wiedzy ogólnej.

Osiem miesięcy później zbliżam się do końca trzeciego tomu, jestem przy „Br”:
Brahms, Braille, Brain. Ponieważ traktuję swoje zadanie poważnie i staram się zapamiętać kluczowe fakty, czytanie idzie mi dość wolno. I nawet wtedy, kiedy jestem potwornie znudzona, nigdy nie myślę o zmianie pracy ani nie zastanawiam się, czy może poprosić o przeniesienie na inne stanowisko w obecnej. Jak mogłabym opuścić pana Frasera? Nikt, poza Lorną, nie powiedział, że powinnam to zrobić. „Dezerterzy” uważają, że osiągnęłam cel. Jako sekretarka jestem dla nich nikim, ale jako sekretarka, która nic nie robi, jestem wywrotowa, a teraz, kiedy spędzam popołudnia na czytaniu encyklopedii - pod presją szefa - jestem gwiazdą. Mam prawo się popisywać.

- Zapytajcie mnie o coś, co zaczyna się na A albo B - mówię. - Do Boswella włącznie.

- Ares! - krzyczą. - Atylla, Hun! Bismarck!

Dobre sobie, „dezertery”, którym pierwsi przychodzą na myśl podżegacze wojenni.

Czasami zastanawiam się, czy wiodę życie, na które czekałam albo o jakie zabiegałam. Czy człowiek jest stworzony do tego, by był zadowolony? Nie mogę uwierzyć, że osiągnęłam stabilny stan umysłu. Ale prawdą jest, że ten stan powoli się rozplywa. Pod koniec każdego sierpnia zaczynam odczuwać niepokój, który, jak mi się zdaje, jest częściowo związany z pewnym przygnębieniem, które przed laty wywoływały we mnie rozterki z powodu powrotu do szkoły. Ale nie tylko, jego źródłem jest także nagromadzone poczucie winy i brak zdecydowania co do wspólnego zamieszkania z Troyem, ciągła konfrontacja z jego cierpliwością, opieranie się zabawnym prośbom. Nagle czuję się podenerwowana, bez żadnego wyraźnego powodu... niepohamowanego pędu do zawrócenia z prostej drogi.

Przy takim moim nastroju Lorna staje się dla mnie bratnią duszą.

- Przysięgam, że pewnego dnia wywalę moją maszynę do pisania przez okno - mówi.

Zamiast pominąć milczeniem jej utyskiwania, co zrobiłabym normalnie, oświadczam:

- Tych okien nie da się wybić.

- Dobrze więc - nie daje za wygraną. - To zrzucę ją ze schodów.

- Możesz sobie wyobrazić? - pytam, bo ja mogę. - Bierzesz maszynę, taszczysz ją na klatkę schodową, badasz wzrokiem trzydzieści siedem kondygnacji, by sprawdzić, czy nie ma nikogo i... zwyczajnie... wypuszczasz ją z rąk.

Śni mi się, że kocham się z Ablem. Po przebudzeniu, zanim odzyskam pełną świadomość, czuję obecność Anioła Miłości, który migocze obok toaletki. „Idź sobie”, odpędzam go w myślach bez przekonania.

Zadzwoń do niego, podjudza. Zadzwoń.

Trudno mu się oprzeć. W pierwszym roku, w którym przechodziłam przez ten niepokojący okres, znów sprawdziłam w książce telefonicznej numer do Richterów. Pró-

bując stłumić w sobie chęć zatelefonowania, sięgnęłam po gazetę i przejrzałam strony z ogłoszeniami. Powinnam zmienić mieszkanie, właśnie tego mi trzeba. Na większe, spokojniejsze.

Odwołuję to, co powiedziałam, że w ciągu czterech lat nic się nie zmieniło. Trzy razy się przeprowadzałam. Właściwie - zapewne dlatego, że moje meble wędrują razem ze mną - nie doznaję żadnych większych wstrząsów. Chodzi mi o to, że wstrząs jest tym, czego mi potrzeba: domowy przewrót, który pomógłby mi oderwać się od siebie. W gruncie rzeczy zupełnie się nie liczy, gdzie w końcu wyląduję, i tak rzadko bywam w domu. A jednak, w dniu przeprowadzki zawsze mam niejasne, niewytłumaczalne oczekiwania większego spełnienia. Wkrótce potem się ulatniają. W pierwszym miejscu, w którym wynajęłam mieszkanie z jedną sypialnią, w starym wiktoriańskim budynku, na poddaszu mieszkała prostytutka. Jej klienci, zawsze wyczekujący przed wejściem, walili w moje drzwi, kiedy jej zastali zamknięte. W drugim miejscu myszy z restauracji, które tam najadły się trutki, już oszołomione, wędrowały po schodach i kończyły żywot w moich butach. Rok później wróciłam do starego domu w wiktoriańskim stylu i tym razem zamieszkałam na drugim piętrze, gdzie pod moim oknem rósł srebrny świerk, po którym wdrapał się włamywacz i ukradł mi radiomagnetofon i głośniki - prezent od Troya dla „ocieplenia” mieszkania. Ocieplający prezent! Chociaż nigdy nie mówiłam mu o moich planach dotyczących przeprowadzki, aż do podpisania umowy o najem, zawsze przyjmował te wiadomości dzielnie, za każdym razem bardziej, ponieważ przy kolejnych przeprowadzkach zbliżałam się o kilka przecznic do niego.

- Czysty przypadek - stwierdziłam za trzecim razem.
- Czyste, podświadome pragnienie - powiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Abel, wiesz, czego nie rozumiem?

- Czego?

- Jeśli wszystko i wszyscy są doskonali, to czemu ty pijesz?

Chwila ciszy, a potem odpowiedź:

- Wszystko jest doskonale samo w sobie.

- Niezależnie od tego, czy pijesz, czy nie.

- Tak.

- Ale dla ciebie bliższe doskonałości wtedy, kiedy pijesz. Znowu cisza.

- Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz.

- Może to właśnie to.

- Właśnie co?

- To, że jest bliższe doskonałości.

- Ale czy rzeczywiście jest?

- Louise, nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- O to, co czujesz. Prawdę.

- Wcale nie uciekam, nie czuję się tak. Nie szukam doskonałości.

- A w ogóle szukasz czegoś?

- Oczywiście.

- Czego?

- Tego, co tam jest.

- Masz na myśli to, co zobaczysz?

- Tak.

- Tylko staram się zrozumieć.

- Wiem.

- Wcale mi nie ułatwiasz.

- Wiem.

- W porządku. Nikt nie jest doskonały.

Kilka dni później, w sobotę po południu, zasypiam na kanapie i śnię o Timie Toddzie. Siedzimy pod wierzbą płaczącą. Przyniósł jakieś rzeczy, które chce mi pokazać, ale waha się, w obawie, że nie będę chciała ich oglądać. Są w brązowej papierowej torbie, więc to na pewno nie ryby, w każdym razie nie żywe. Niezależnie od wszystkiego wolałabym nie wiedzieć. W końcu pyta:

- No i co, chcesz zobaczyć? - W jego głosie jest tyle tęsknoty i desperacji, że niewiele brakuje, żebym ustąpiła.

- Innym razem - odpowiadam ostatecznie.

Budzę się bliska płaczu. Tim Todd, myślę, zastanawiając się, czy bardziej mi na nim zależało, niż mi się wydawało. Nie, to tylko spóźnione poczucie winy, żal, że go skrzywdziłam. Wcale nie jest jednak powiedziane, że gdyby zaistniały podobne okoliczności, znowu bym go nie zraniła.

A potem nasuwa mi się coś innego - na temat tego, dlaczego Abel pije - wstaję więc i podchodzę do okna, niepewna, czy już kiedyś taka myśl nie przyszła mi do głowy. Przypuszczam, że tak, ale ją odrzuciłam. Prawdopodobnie wciąż miałam nadzieję, że powód leży poza nim, w formie okropnego wspomnienia, wypowiedzi albo abstrakcyjnej życiowej dewizy, więc mógłby się z tego wydobyć, gdyby naprawdę chciał.

Wygląda na to, że moja wiara już się wyczerpała, ponieważ nagle wydaje mi się oczywiste, że on pije ze zwykłej bezsilności. Jeśli życie polega na wyrządzaniu krzywdy, podejmowaniu decyzji, dokonywaniu wyboru między jedną osobą a drugą, to on się do tego nie nadaje. A bezczynność nie jest wyjściem: jest niczym innym jak tylko decyzją wobec braku lepszej alternatywy. Lepiej być nikim, niż nic nie robić.

Czy właśnie w taki sposób on rozumuje? Wie, jak bardzo jego śmierć nas dotknie, a więc musi mieć wrażenie, że pozostając żywym, będzie nas ranił jeszcze mocniej. Może powinniśmy zacząć udawać, że przestaliśmy się interesować tym, co robi. Powiedzieć: „Zostawiamy cię, Abel. Dla nas się nie liczysz”. Cóż, to by go właśnie zadowoliło, nasze podporządkowanie się temu, do czego nas nakłania od miesięcy. Jak się mamy do tego zabrać? Jak go przekonać, że ma prawo zadawać ból i, co więcej, że to on powinien znosić ból, który zadaje?

Gdybym tylko mogła mu powiedzieć: „Jesteś wart własnego życia” i na dodatek przekonać go, by mi uwierzył. Ale już za późno. Za późno. Wydaje się całkowicie owładnięty myślą o schyłku własnego istnienia. Przypuszczam, że wyobraża sobie przestrzeń, którą zwolni, tę fizyczną przestrzeń, którą obecnie zajmuje, w której pozostaną jego rodzice i ja, przesuwający w niej po omacku dłońmi, by go odnaleźć. Przynajmniej nie będziemy musieli pokonywać żadnego oporu. Nie będzie tam nic, z czym przyszłoby się zmierzyć, tylko powietrze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

W sierpniu 1973 roku, w piątek w nocy umiera pan Fraser. Dowiaduję się o tym, kiedy przyjeżdżam w poniedziałek do pracy. Debbie szlocha z twarzą ukrytą w dłoniach, a Lorna, po drugiej stronie biurka, próbuje się uporać z telefonami. To Lorna przekazuje mi informację. Jej współczujący ton jest niemal równie szokujący jak sama wiadomość. Mówi, że pan MacLellan prosi, żebym przyszła od razu do jego gabinetu.

Pan MacLellan jest prezesem.

- Proszę usiąść - mówi, wskazując mi krzesło, potem podaje pudełko z chusteczkami higienicznymi, chociaż mam suche oczy. Przysiada na skraju biurka. - Już słyszałaś?

- Dowiedziałam się przed chwilą.

- Jeśli ci to ulży, odszedł spokojnie.

- A pan skąd o tym wie? - Nie chcę być niegrzeczna, jestem tylko ciekawa, skąd może wiedzieć, jeśli pan Fraser zmarł w samotności.

Dotyka węzła na krawacie. Bordo, w złote ciapki. Jest wysoki i uprzedzająco grzeczny, zbliża się do sześćdziesiątki. Ma szpakowate włosy, należy do tego rodzaju mężczyzn, którzy nie mogą zajmować się niczym innym tylko pełnieniem funkcji prezesa.

- Znalaziono go w łóżku - wyjaśnia. - W sobotę rano znalazła go sprzątaczką.

Wszystko wskazuje na to, że zmarł we śnie. Na zawał serca, najprawdopodobniej, ale jeszcze nie wiemy na pewno.

Mówi, że pogrzeb odbędzie się w środę po południu. Do tej pory, a także tyle, ile potem zechcę, mogę wziąć wolne. W tym czasie dział kadr znajdzie mi inne stanowisko o podobnym wynagrodzeniu. Prawie nie słucham. Cały czas myślę o panu Fraserze leżącym w łóżku, walczącym o oddech.

- Jestem wykonawcą jego ostatniej woli - ciągnie pan MacLellan - którą zmienił zaledwie miesiąc temu. Mogę ci powiedzieć, że wyznaczył ciebie na swego spadkobiercę.

Podnoszę głowę.

- Pan Fraser bardzo wysoko cię cenił. Zostawił ci piętnaście tysięcy dolarów i dwudziestoczerotomową Encyklopedię Britannikę.

Do pogrzebu nie płaczę, ale w czasie uroczystości płaczę tak bardzo, że jego synowa wciąż na mnie spogląda. Po raz pierwszy zobaczyłam jego wnuków. Byłam zaskoczona uderzającym podobieństwem najstarszego z nich do pana Fräsera. Te same brązowe oczy, identyczny, przelotny uśmiech sugerujący, że w lot wszystko rozumie, dojmujący i zagadkowy, tak jakby część pana Fräsera żyła w tym chłopcu. Na przyjęciu, które odbyło się w rezydencji pana MacLellana, Pat Penn z działu kadr zagaduje mnie, w ten swój apatyczny sposób, kiedy zamierzam wrócić do biura. W jednej chwili perspektywa podjęcia pracy sekretarki u innego wiceprezesa wydaje mi się nie do pomyślenia.

- Nie będę - odpowiadam. - Nie będę tu już pracować.

- Skoro tak - mówi bez zdziwienia - to przy okazji podaj mi swój nowy numer telefonu.

Ponieważ uznaje, tak zresztą jak ja, że skoro zbliża się wrzesień, będę się przeprowadzać. Jeszcze nie znalazłam nowego mieszkania, nawet nie zaczęłam szukać, ale już składam kartony, które rozłożone na płasko przechowuję od poprzedniej przeprowadzki.

Kilka godzin później, u Troya, zastanawiam się, czy nie zrezygnowałam z pracy zbyt pochośnie.

- Nawet nie w tym rzecz, że potrzebuję pieniędzy - rozważam. - Ale potrzebuję pracy. Muszę się czymś zająć.

- Zawsze możesz pracować u mnie w sklepie - mówi.

- Naprawdę?
- Czemu nie? Znasz się na muzyce. Masz miłą powierzchowność.
- Mam ujmujący charakter. Jestem z natury sympatyczna.
- Możemy o tym pomyśleć.
- Kto wie, czy nie powinnam w końcu się przełamać i zamieszkać z tobą -

podsuwam w przyływie zauroczenia. - Może powinniśmy spędzać każdą chwilę, kiedy nie śpimy, w zasięgu głosu. Mogłabym zająć oba wolne pokoje, prawda? Mieć własny salon i sypialnię?

- Co tylko zechcesz - mówi ostrożnie.
- Wiesz, zastanowię się nad tym.
- Naprawdę?
- Tak myślę. Chociaż właściwie sama nie wiem. Zobaczę, jak się będę czuła jutro.

Czuję się gorzej. Budzę się późno, z bólem głowy. Pan Fraser nie żyje, myślę. Trudno mi się z tym pogodzić. Był stary i wyniszczony jak drzewo albo głaz. Zapracował sobie na to, by tutaj być, bardziej niż ja. Myślę o czasach, kiedy było mi siebie żal, i jest mi wstyd. A on? Każdego wieczoru wracał do zupełnie pustego mieszkania, jego dni były policzone, pochowana żona i syn w głębi duszy czekający na jego koniec. Wyobrażam go sobie jedzącego samotnie kolację, płócienną serwetkę, wytworne sztuce. Widzę, jak podwija rękawy przed zmywaniem naczyń. Co robił potem? Pewnie czytał gazetę albo powieść w twardej oprawie, a może książkę o żaglowcach. Zapewne kładł się spać o przyzwoitej godzinie, jeśli wstawał o tak wczesnej porze. Wyobrażam go sobie w niebieskiej bawełnianej piżamie, jak nastawia budzik, który na pewno był staromodny, nakręcany. Czy nastawił go wtedy wieczorem, przed nocą, która była dla niego ostatnia? Mówił mi kiedyś, że w sobotnie poranki odwiedzał kogoś w domu spokojnej starości, ciotkę czy kuzynkę swojej żony (pamiętam, że byłam poruszona jego przywiązaniem do tak dalekiej krewnej). Czuję się przygnębiona, gdy myślę, jak nastawia budzik, ponieważ skromnie przyjmuje, że będzie mu potrzebna pobudka.

Patrzę na swój zegar. Za piętnaście jedenasta. Uznaję, że powinnam pójść do biura, opróżnić biurko i mieć to już za sobą. Godzinę później, właśnie kiedy wychodzę, rozlega

się dźwięk telefonu. To mój ojciec, dzwoni z kancelarii. Pyta, jak się czuję, jak było na pogrzebie, na koniec dodaje, że chciałby się ze mną zobaczyć.

- Teraz?

- Jeśli nie jesteś zajęta i nigdzie się nie wybierasz.

- Co się stało?

- Mam pewne nowe wiadomości.

- Złe wiadomości. Słyszę to w twoim głosie.

- Tylko się nie zamartwiaj. Może kupię coś na lunch, kilka kanapek z jajkiem, co ty na to?

Jego biuro jest niedaleko, przyjeżdża w ciągu półgodziny.

- Znowu przeprowadzka - robi uwagę na widok moich kartonów.

- No mów.

- Chodźmy do kuchni.

Kładzie torbę z jedzeniem na stole, potem siada i wyjmuje złożoną kartkę z wewnętrznej kieszeni kurtki.

- To przyszło wczoraj - wyjaśnia, podając mi ręcznie napisany list.

- Z Winnipeg? - dziwię się, czytając głośno adres zwrotny.

Resztę czytam po cichu.

Szanowny Panie Kirk!

Przypadł mi, jako partnerowi Helen Grace Kirk, z którą żyłem od lat w nieformalnym związku, przykry obowiązek poinformowania Pana, że zmarła dziewiętnastego lipca na raka płuc. Nie cierpiała długo i odeszła szybko. Nie powiadomiłem Pana o pogrzebie, ponieważ uroczystość była skromna, zgodnie z wolą Grace.

Nigdy nie mieliśmy zbyt wiele, ale Grace prosiła, żebym przekazał jej córce, Louise, ślubną obrączkę i pierścionek od Pana, by miała po niej jakąś pamiątkę. Życzyła sobie także, by Louise rozsypała jej prochy w miejscu, które uzna za odpowiednie. Zarówno jedne, jak i drugie wysyłam pocztą kurierską. Mam nadzieję, że nie jest to dla Pana zbyt wielkim wstrząsem. Powiedziała, że zawsze był Pan dla niej dobry i że Louise ma duże poczucie humoru.

Z poważaniem, Wendell Wells

- Rak płuc - powtarzam.

- Dobrze się czujesz?

- No cóż, to jest szok, nie uważasz? Wendell Wells. - Rozcieram palcami skronie, czuję, jak powraca ból głowy.

- Jest ogrodnikiem.

- Skąd wiesz?

- Znalazłem jego numer i zadzwoniłem.

- Kiedy?

- Dzisiaj rano. Przed telefonem do ciebie. - Odbiera mi list i chowa go do kieszeni.

- I dodzwoniłeś się?

- Oczywiście.

Dopiero teraz dostrzegam czerwone obwódki wokół jego oczu.

- Pewnie było ci ciężko.

- Nie aż tak bardzo, poszło łatwiej, niż przypuszczałem. Był bardzo miły, powiedział, że jest zadowolony z tego, że się odezwałem. Chociaż nie był w najlepszej formie. Kilka razy się rozkleił. Wygląda na to, że poznali się z matką pięć lat temu, w miejscu, gdzie oboje pracowali. W wiejskiej posiadłości bogatego bankiera. Była tam gosposią.

- Gosposią!

- Chyba zarządzała całym gospodarstwem domowym. Zawsze doskonale sobie z tym radziła, z doglądaniem, czy wszystko jest w idealnym porządku, zapięte na ostatni guzik. Przedtem trochę podróżowała, tak mu powiedziała. Pracowała w różnych częściach środkowych prowincji.

- Jako gosposia?

- Jako kelnerka.

- Ona kelnerką! Jakim cudem mogła być kelnerką? Nienawidziła, jak ludzie siorbali drinki. Chyba postradała zmysły.

- Wendell... - Rozkłada bezradnie ręce, by podkreślić, że nie ma pojęcia, jaki jest rodowód tego imienia. - Powiedział, że jej umysł do samego końca pracował na najwyższych obrotach. Nie wiedział, że była zamężna, nie znał nawet jej prawdziwego

nazwiska. Dopiero na kilka dni przed śmiercią postanowiła powiedzieć mu prawdę. Myślał, że Grace White była starą panną.

- White. Biała jak jej zęby. Jak jej skóra. - Wyciągam kanapki z torby. - A więc nie żyje. Zmarła w wieku czterdziestu pięciu lat.

- Skończyłaby czterdzieści sześć w listopadzie - mówi cicho.

Zaczynam jeść kanapkę. Jeszcze przed chwilą wcale nie byłam głodna, ale teraz czuję ssanie w żołądku.

- Czy babcia Hahn wie?

- Wendell mówi, że próbował się z nią skontaktować, ale nie udało mu się jej znaleźć. Nie ma jej nigdzie, w żadnych rejestrach.

- Rany, kobiety w tej rodzinie rzeczywiście wiedzą, jak przepaść bez wieści.

- Pozwól sobie przypomnieć, że ty też jesteś kobietą w tej rodzinie. - Sięga po kanapkę. - Cieszę się z powodu obrączki i pierścionka. Bardzo się cieszę.

- Żebym miała po niej pamiątkę. No cóż, obrączkę i pierścionek pamiętam.

- Powinny trafić do ciebie.

- Co niby mam z nimi zrobić?

- Mogłabyś je dopasować dla siebie.

- Nie noszę biżuterii. A co z resztą jej rzeczy? Zapewne Wendell, człowiek o skromnym stanie posiadania, zatrzyma je dla siebie.

Odkłada kanapkę.

- W dalszym ciągu kipi w tobie złość. Wciąż czujesz się zraniona.

- Nie wciąż kipi we mnie złość i czuję się zraniona, ale jestem nagle wściekła i zraniona. „Louise zawsze miała duże poczucie humoru”. Czy to wszystko, co mu o mnie powiedziała? Tylko tyle zapamiętała?

- Może on tyle zapamiętał z tak wielu rzeczy, które mu o tobie mówiła.

- Mam rozsypać prochy tam, gdzie uznam za stosowne. To znaczy gdzie? Na drodze, po której jeździ wóz dostawczy Eatona?

- No tak. - Wydaje się zdruzgotany.

- Och, przepraszam, przepraszam. - Sięgam przez stół i kładę dłonie na jego dłoniach. - Cała ta historia jest absolutnie zwariowana. Po prostu nie mieści mi się w głowie.

- Tak, rzeczywiście trudno w to wszystko uwierzyć. Grom z jasnego nieba.

Prochy, obrączka i pierścionek docierają do Greenwoods w następną środę po południu. Ojciec proponuje, że przywiezie mi je do domu, ale mówię, że mogą poczekać do niedzieli, kiedy przyjedziemy z Troyem na kolację. Odkładam słuchawkę, ale zaraz ją znów podnoszę i dzwonię do Troya, do sklepu.

- Chciałam zapytać o te dwa pokoje w słonecznym mieszkaniu w śródmieściu - mówię. - Czy w dalszym ciągu są wolne?

- O ile wiem, tak, są jeszcze wolne.

- Mogę sobie pozwolić nawet na wysoki czynsz.

- Tak się składa, że cena za wynajem jest śmiesznie niska.

- Czy gospodarz pomaluje jeden pokój na kanarkowożółty, a drugi na bursztynowy?

- To znaczy, oba żółte?

- Dwa różne odcienie żółci.

- Myślę, że da się to załatwić.

- Wobec tego proszę mu przekazać, że umowa stoi.

Pauza, w czasie której słychać dzwonek sklepowej kasy, po czym mówi:

- Zmieniłaś zdanie?

- Jeszcze nie.

- Skąd ta nagła decyzja?

- Nie wiem. Przyjechały prochy mojej matki.

- Louise...

- Chcę z tobą zamieszkać. Naprawdę.

- Jesteś pewna?

- Tak. Jestem pewna. Całkowicie pewna.

Tego wieczoru zaczynamy opróżniać pokój z kartonów. W sobotę rano kupujemy farbę.

- Żółty dla stymulacji - mówię. - Żółty dla zachowania pogody ducha.

Wcale nie dlatego. Żółty na szczęście. Ponieważ wcale nie jestem pewna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wracamy z Greenwoods. Obrączka i pierścionek matki są w kopercie, w mojej torebce, prochy w białej porcelanowej urnie, którą trzymam na kolanach. Jest mniejsza, niż przypuszczałam - sądziłam, że będzie wielkości wazonu na róże - i cięższa. Ma smukły kształt i ładną linię. Ojciec, podając mi ją, powiedział:

- Pomyślałem sobie, że kiedy już będziesz gotowa je rozsypać, moglibyśmy zorganizować w związku z tą okolicznością niewielką ceremonię. Zaprosić ciotkę Verne na kilka dni...

- To nie jest powód, żeby ciągnąć ciotkę Verne taki szmat drogi. Zaproś ją, jak ktoś będzie brał ślub albo urodzi mu się dziecko.

Wszyscy - mój ojciec, pani Carver, Troy - w jednej chwili się ożywiają. Czyj ślub? Czyje dziecko? (Już i tak zaskoczyłam ojca i panią Carver wiadomością, że Troy i ja zamierzamy zamieszkać razem.) A ja przecież tylko podsunęłam inne ewentualne zdarzenia, które mogą nastąpić w przyszłości i przy okazji których można zorganizować uroczystość, zamiast czczyć rozsypywanie prochów. Mogłam tylko zdobyć się na tyle, żeby je zabrać ze sobą, to wszystko.

- Cóż, decyzja należy do ciebie - powiedział ojciec, spoglądając na panią Carver, która zapewne podsunęła ten projekt. Taki gest dla uspokojenia duszy mojej matki.

W samochodzie trzymam urnę na poziomie wypukłości, którą można by nazwać biodrami, i próbuję sobie przypomnieć, czy moja matka kiedykolwiek wspominała o tym, gdzie chciałaby, żeby zostały rozsypane jej prochy. Jedyna rozmowa na ten temat, którą sobie przypominam, odbyła się z panią Bently. Moja matka opowiadała jej pewną zasłyszaną, dla niej zabawną historię. Była to rzecz o pewnej kobiecie, która dowiedziała się, że jej nieżyjący mąż ją zdradzał i wsypała jego prochy kotu do kuwety. Opowiadam ją Troyowi, który tylko potrząsa głową.

- A gdzie ty je rozsypiesz? - pyta.

- Nie wiem. Nie mam kota.

- Hej, to prochy twojej matki!

- Która była najmniej sentymentalną kobietą na świecie.

Przez pozostałą część drogi do domu nie odzywamy się do siebie. Z jego zamyślanej miny wnioskuję, że zastanawia się nad tym, co powiedziałam o małżeństwie i dzieciach. Gdy zatrzymujemy się przed moim domem, proponuje, że pomoże mi spakować naczynia, jest dopiero dziewiąta trzydzieści, ale w obawie przed dyskusją o naszej przyszłości wykręcam się, mówiąc, że chcę się już położyć do łóżka.

- Nie zapomnij zadzwonić do swojego gospodarza - mówi. To znaczy, że mam mu dać znać. - Wpadnę po ciebie koło dziewiątej - woła jeszcze za mną, a ja przypominam sobie, że jutro ma wolne, więc możemy zacząć malowanie pokoi.

Na górze, siedząc na łóżku, przymierzam obrączkę i pierścionek. Pasują idealnie. Mam takie same dłonie jak ona, z wyjątkiem starannie pomalowanych paznokci i papierosa między palcami. A jednak to dziwne, noszenie jej biżuterii wydaje mi się naruszeniem prywatności, to tak, jak przymierzanie jej bielizny (czego nigdy nie robiłam). Chowam obrączkę i pierścionek do koperty i kładę ją na toalecie. Urnę zanoszę do kuchni, stawiam na stole. Patrzą na nią przez chwilę, próbując ją sobie wyobrazić jako ozdobę, potem chowam głęboko do lodówki, usuwając z widoku. A jeśli zapomnę ją zabrać podczas przeprowadzki? Wyjmuję urnę z powrotem i otwieram pokrywę wyłożoną korkiem. Zapach prochów jest taki sam jak popiołu z ogniska. Wysypuję trochę na stół. Szare, proszkowe grudki. Rozcieram je między palcami, spodziewając się, że poczuję... sama nie wiem co, przyływ smutku albo odraze, ale nie potrafię przejść od tej materii, która w zasadzie jest brudem, do niej. Idę do salonu i siadam przy biurku. Cały przód swetra, który dawniej należał do niej, mam oproszony popiołem. A więc jednak wróciła po swoje rzeczy, myślę nawet bez cienia cynizmu. Nie otrzepuję swetra.

Otwieram książkę telefoniczną, by poszukać numeru mojego obecnego gospodarza. Nazywa się Salter. Szybko przerzucam kartki aż do „R”, po czym odwracam je wolniej. Ralston. Richie.

Richter, Karl. Grenadier Road 241. A pod spodem: Richter, Abelard, Ontario Street 249.

Serce zaczyna mi walić w piersiach. Kładę dłoń na słuchawce. Podnoszę ją. Jeśli gdzieś tu jest Anioł Miłości, trzyma się na odległość. Wykręcam pierwszą cyfrę, dziewiątkę. Stukot na łączach przypomina mi ogłuszające wystrzały. Przyciskam słuchawkę ramieniem i wybieram pozostałe cyfry, potem przykładam ją do ucha jak w przerażającym transie, jakby to był pistolet.

Odbiera po drugim dzwonku.

- Halo? - W słuchawce rozbrzmiewa jego charakterystyczny, zachrypnięty głos.

- To ja, Louise.

W tle słychać krzyki i śmiechy.

- Halo? - powtarza. Odchrząkuje.

- Tu Louise.

- Louise?

- Co u ciebie? Cisza, a potem:

- W porządku. Wszystko w porządku. A u ciebie?

- Och, ja... u mnie też. Tak mi się wydaje. Chciałam tylko sprawdzić, jak sobie radzisz. - Właśnie ktoś gra na pianinie *Chopsticks*. - Masz gości?

- Trochę u mnie gwarno, jak zwykle.

- Jest tam inny telefon? Ledwo cię słyszę.

- Skąd dzwonisz?

- Od siebie. Ze swojego mieszkania.

- Gdzie to jest?

Oczywiście on nigdy nie zajrzał do książki telefonicznej, by sprawdzić pod moim nazwiskiem.

- Spadina i Dupont.

- Miałabyś chęć gdzieś tam się spotkać?

- Co, teraz?

- Albo mógłbym wpaść do ciebie.

- Masz na myśli teraz?

- Chyba że wolisz, żebym zadzwonił później, kiedy tu będzie trochę ciszej.

- Nie. W porządku. Możesz przyjść do mnie.

Podaję mu adres. Gdy się rozłączył, ściskam słuchawkę jeszcze przez kilka minut. Potem biegnę do łazienki, myję zęby i maluję usta. Myślę, że zjawi się za mniej więcej trzy kwadranse do godziny, jeśli będzie jechał tramwajem albo metrem, ale on dzwoni do drzwi po dwudziestu minutach. Przyjechał na rowerze i wniósł go ze sobą na górę. Dziwny, zardzewiały pojazd z wysokim siodełkiem i szeroką kierownicą.

- Skąd wyrwałeś coś takiego? - pytam. To są pierwsze słowa, które do niego wypowiadam.

- Z piwnicy, w domu, w którym mieszkam. Wprowadza rower i stawia go pod ścianą.

Ledwo mogę na niego patrzeć. Na jego oczy. Na włosy, wciąż długie. Ma na sobie zielony T-shirt. Niebieskie džinsy. Jest wyższy, choć tego nie jestem pewna, może tylko tak mi się wydaje, bo przyzwyczaiłam się do Troya.

Na rowerze, w wiklinowym koszyku, leży spora butelka rumu.

- Jest już dorobiony - mówi. Dostrzega kartony. - Masz jakieś szkło?

- Gdzieś mam.

Szukam pudła z napisem „Dobre naczynia” i wyciągam dwa kieliszki do wina. Napełnia je po sam czubek.

- Nie mam lodu - mówię. - To znaczy, cała moja lodówka jest jednym wielkim blokiem lodu.

- Tak jest dobrze.

Rozgląda się dookoła, spoglądając na okna z witrażowego szkła i wbudowane szafki na książki, na mosiężne elementy oświetlenia. Teraz, patrząc na swoje mieszkanie jego oczami, doznaję olśnienia. Jest wspaniałe.

- Czemu się przeprowadzasz? - pyta.

- Nie przeprowadzam się. Zmieniłam zdanie. Właśnie w tej sekundzie.

- To dobrze - uśmiecha się.

Jestem oszołomiona. Przysiadam na kartonie z książkami. On siada na pudle naprzeciwko mnie.

- No tak - mówi, a ja patrzę na niego. Wydaje się, że to wszystko, co wiemy o sobie nawzajem i co sobie nawzajem zrobiliśmy, z gwizdem przelatuje między nami.

- Och, Abel... - Głos mi się urywa. Stawiam kieliszek na podłodze.

Stawia swój na kartonie. Wyciąga rękę i ujmuje moją dłoń. Czuję, jak dreszcze przebiegają mi przez całą rękę i docierają do klatki piersiowej. Nie mogę mówić przez dłuższą chwilę, a potem nagle wyrzucam z siebie:

- Ten list, który ci wysłałam... Wypuszcza powietrze.

- To było z mojej strony okrutne - kończę.

- Wcale nie.

- Ależ tak. Zachowałam się niegodziwie.

- Nie odczytałam tego w ten sposób.

- Nie?

Potrząsa głową. Ogląda czubki moich palców.

- Przecież ciebie też to musiało boleć - mówię.

- Cierpiałem dla ciebie. Czulaś tak, więc... musiałaś tak postąpić.

- Zobaczyłam cię z tą dziewczyną.

- Naprawdę wtedy przyleciałaś?

- A myślisz, że skąd bym o niej wiedziała? Od samego rana obserwowałam twój dom z parku po przeciwnej stronie ulicy. Poszłam za tobą do centrum. Słyszałam, jak grasz na pianinie w tym barze. W Bear Pit.

- Czemu do mnie nie podeszłaś?

- Czemu przestałaś dzwonić? Przygryza wargę.

- Cóż - kontynuuję - kiedy zebrałam się na odwagę, żeby do ciebie przylecieć, zobaczyłam, jak całujesz się z tą dziewczyną. Kim ona właściwie była?

Wzrusza ramionami.

- Dziewczyną.

- Kochałaś ją?

Potrząsa głową tak, jakby chciał zrzucić z niej to pytanie.

- Nie wiem - mówię poruszona. Uwalniam dłoń. - Może i tak usunęłabym ciążę, bez względu na to, jak ty byś postąpił. Może nie chciałam dziecka.

Spogląda na mnie, a potem spuszcza wzrok. Patrzą na jego twarz. Na jego pełne, łagodnie zarysowane usta, brodę z bruzdą, są mi tak znajome i bliskie jak kuchnia jego

matki w Greenwoods albo wawóz. Biorę jego dłoń i podnoszę do ust. Potem przesuвам ją w dół, po szyi i piersiach.

Kochamy się na podłodze, między kartonami. Zaczynam płakać. Przenosimy się do sypialni i tym razem kochamy się nieśpiesznie, prawie formalnie, uspokojeni wzajemnym zauroczeniem.

- Masz dziewczynę? - pytam potem, wierząc, że teraz potrafię znieść wiadomość o jej ewentualnym istnieniu.

Ale mówi, że nie ma.

Odwracam się, by mieć go na wprost siebie.

- W takim razie, czy jest jakaś dziewczyna, która uważa się za twoją dziewczynę?

Przelotny uśmiech.

- Nie.

- Kocham cię, Abel.

Śni mi się, że ojciec Troya, który wpadł do węgierskiej restauracji, strzela dezercerom w nogi. Otwieram oczy. Ktoś puka do drzwi.

- Louise? To ja!

Szarpię za prześcieradło, które jest owinięte wokół nóg Abła. Otwiera oczy. Zrywam się z łóżka i chwytam szlafrok wiszący na krześle. Po omacku szukam paska, kiedy w progu staje Troy.

Patrzy na mnie. Na Abła.

Abel podciąga na siebie róg prześcieradła.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi Troy, siląc się na uśmiech. Odchodzi.

Czekam na trzaśnięcie drzwi. Nie następuje. Słyszę tylko odgłos zamka.

- Kto to? - pyta Abel.

- Przyjaciel. Miał mi pomóc w pakowaniu. O Boże, powinnam była do niego zadzwonić - Słyszę, jak naturalnie brzmi mój głos: słyszę w nim zakłopotanie, ale niewielkie. Czuję się trochę winna. Tak, jakbym korzystała z zasobów sprytu, zachowanych na wszelki wypadek.

- Może powinnaś za nim pójść?

Rozlega się trzask drzwi od samochodu. Zaczyna pracować silnik.

- Za późno - mówię.

Godzinę później smażę jajecznicę z czterech jaj, które znalazłam w lodówce. Abel analizuje prochy, których mała kupka wciąż leży na kuchennym stole, od wczorajszego wieczoru, kiedy mu je pokazałam.

- Ta niewiarygodnie złożona istota, która była twoją matką - mówi - zredukowała się do czegoś takiego.

A ja jestem pod wrażeniem cudu, jaki się dokonał. Oto on tu jest, w mojej kuchni, bez koszuli. Wystarczyło tylko zadzwonić. Wystarczyło tylko przestać się opierać.

Chcę postawić talerze na stole, ale powstrzymuje mnie, czekam więc, aż zgarnie ostatnią odrobinę z powrotem do urny. Patrzę na niego, tak obezwładniona miłością, że zaczynają mi się trząść ręce i stawiam talerze z powrotem na kuchennym blacie.

- Gdyby tutaj była - mówię - starłaby to wszystko ścierką do naczyń.

- Gdyby stanęła oko w oko z własnymi prochami - zastanawia się - czy to nie byłoby coś?

Wychodzi zaraz po śniadaniu. Jest umówiony na kawę z przyjacielem filmowcem, a potem gra na pianinie na próbie innego przyjaciela tancerza. Później, około piątej, mam się z nim spotkać w barze, gdzie razem zjemy obiad.

Dopiero gdy zamknął za sobą frontowe drzwi, zaczynam myśleć o Troyu. Opadam na kuchenne krzesło, kiedy zaczynam sobie uświadamiać potworność tego, co zrobiłam. To, jak tam po prostu stał. „Przepraszam, że przeszkadzam”. Zasłaniam usta dłońmi i zaczynam płakać.

Natychmiast muszę z nim porozmawiać, wszystko wytłumaczyć, przekonać, że wcale tego nie planowałam. Ja sama, nikt inny, wiem najlepiej, jak to jest być zdradzonym. Z jakiego powodu miałabym chcieć, żeby spotkało go coś takiego? Nie chciałam. Chciałam go kochać.

Zamawiam taksówkę i jadę do niego do domu. Mimo że mam klucz, pukam. Brak odpowiedzi. Pukam jeszcze raz, po czym otwieram drzwi i wchodzę.

- Troy? - Zaglądam do sypialni. Tak, jakbym teraz grała rolę, która kilka godzin temu jemu przypadła w udziale. Ale w tej wersji zdarzeń łóżko jest puste.

Na wszelki wypadek zaglądam do każdego pomieszczenia. Na wypadek czego? Nie wiem. Sprawdzam łazienkę, kuchnię, dwa puste pokoje. Serce mi się kraje na widok gazet, które rozłożył, przygotowując pokoje do malowania.

- Och, Troy - wołam. - Gdzie jesteś?

Wracam do kuchni, wyglądam przez okno i widzę jego samochód. Dzwonię do sklepu. Słuchawkę podnosi Ginny, ekspedientka, którą zatrudnia.

- Tak, jest tutaj - informuje mnie radośnie. - Połączyć?

- Nie, nie trzeba, to nic ważnego.

Odkładam słuchawkę oszołomiona. Nic mu nie jest. Jest w pracy, zachowuje się normalnie. Ale mimo to muszę z nim porozmawiać. „Będzie ci lepiej beze mnie” - powiem. „Nigdy nie chciałam cię zranić. Jestem ci taka wdzięczna”. Każde stwierdzenie, które przychodzi mi do głowy, brzmi jak ze starego filmu. Jednak to wszystko prawda i jeśli jej nie powiem, z czym go zostawię?

Kiedy przychodzę, Ginny, która akurat obsługuje klienta, wskazuje na zaplecze. Przechodzę obok kartonów z płytami, stojących w przejściu. Zatrzymuję się w drzwiach. Siedzi przy biurku i przegląda piętrzące się przed nim rachunki. Wydaje się mniejszy, starszy. Uszy wystają mu spomiędzy włosów.

Spogląda na mnie.

- Cześć - mówię i oczy wypełniają mi się łzami. Opuszcza wzrok.

- Co ty tu robisz?

- Byłam u ciebie w domu. Myślałam, że tam cię zastanę.

- Czy to był Abel?

- Tak. On... - Chciałam powiedzieć „zadzwoił do mnie”, ale nie potrafię skłamać.

Ani powiedzieć prawdy.

Podnosi długopis i zaczyna mu się uważnie przyglądać.

- Zamierzasz się z nim jeszcze spotkać?

- Przepraszam. - Przechodzę przez próg. - Tak bardzo mi przykro. Ja...

- Od jak dawna to trwa?

- Spotkaliśmy się tylko wczoraj. - Wyjmuję z torebki chusteczkę jednorazową i wycieram oczy.

- To był pierwszy raz?
- Pierwszy raz, kiedy w ogóle z nim rozmawiałam, od...
- Powiedziałaabyś mi, gdybym cię nie przyłapał?
- Oczywiście, że tak.

Przesuwa długopis po brzegach kubka z kawą.

- A więc chcesz z nim być?

Nie potrafię zdobyć się na odpowiedź.

- Czyli chcesz. Domyślałam się, że on czuje tak samo.

- Tak - szepczę.

- Jesteś tego pewna? Milczę.

- Jezu! - pochyla głowę.

- Troy... - Dotykam jego ramienia.

- Nie rób tego! - Chwyta moją dłoń. Spogląda na mnie. Ma zaczerwienione oczy. -

Proszę. Błagam. Nie.

- Przepraszam. - Zaczynam płakać.

Dzwoni telefon. Wypuszcza moją dłoń, chwyta słuchawkę i rzuca na widełki.

Podnosi ją znowu i wykręca kilka cyfr. Zamyka oczy.

- Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić.

- Jezu! - mówi ze złością. Uderza się słuchawką tuż nad uchem w głowę. - Jezu! -

Uderza się jeszcze raz, mocniej. - Jezu!

- Przestań! - Wrywam mu słuchawkę i odkładam na aparat.

Opadają mu ramiona.

Klękam przy nim i obejmuję go.

- Nie musimy przestać się widywać. W dalszym ciągu możemy być...

Wrywa mu się gorzki śmiech.

- Nie mów tak.

- Jak?

- Nie możemy zostać przyjaciółmi. Nie chcę być twoim przyjacielem. - Wpatruje się w telefon. - Ja tylko chcę... - Wyzwała się z mojego uścisku. Trąca rękawem rachunek,

który spada mu na kolana. Podnosi go i odkłada na biurko. - Ja tylko chcę, żebyś sobie poszła - mówi cicho.

Wstaję.

- Zadzwoń do ciebie później? Potrząsa głową.

- Więc może jutro?

Podnosi głowę. Patrzy na mnie jak na kogoś zupełnie obcego, z roztargnieniem, jakbym wyrwała go z rozpaczy, która ze mną nie ma nic wspólnego.

- Louise - mówi - jesteś wolna. Uwalniam cię. - Podnosi słuchawkę i zaczyna wykręcać numer.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Po sprawdzeniu numeru w książce telefonicznej wiem już, że Abel wraz z rodzicami wrócił do Toronto w 1969 roku. Mówi mi, że to był koniec czerwca. Właśnie skończył szkołę. We wrześniu, mniej więcej wtedy, gdy zaczęłam pracować jako sekretarka pana Frasera, zaczął studia na Uniwersytecie w Toronto, na wydziale nauk humanistycznych, zanim zdecydował się specjalizować w angielskiej literaturze. Po trzech latach, zamiast zgodnie z programem, po czterech, ukończył je z wyróżnieniem.

- Zawsze myślałam, że będziesz studiował muzykę albo nauki przyrodnicze.

- Kiedyś rzeczywiście tylko one dla mnie istniały - odpowiedział. - Muzyka i przyroda.

Przez te lata mieszkał z rodzicami. W poniedziałkowe i wtorkowe wieczory, by zarobić na kieszonkowe, grał w barze jazzowym „Sherwood”, w zapuszczonym śródmiejskim hotelu. Powiedział, że to jest tak, jakby płacili mu za to, że ćwiczy, bo w rzeczywistości nikt go nie słuchał. Przynajmniej na początku. Po kilku miesiącach stali bywalcy zostali jego przyjaciółmi i to dla nich grał rock and rolla z lat pięćdziesiątych. Kierownik chciał go zatrudnić na cały etat, ale Abel tę propozycję przyjął dopiero po uzyskaniu dyplomu i wtedy, nie mając żadnych innych ofert pracy, zaczął grywać tam wieczorami sześć razy w tygodniu.

Wynajął pokój w pobliskim domu. Większość pozostałych mieszkańców stanowili bywalcy z baru. Już po paru tygodniach podjął się zbierania opłat za wynajem od wszystkich lokatorów, ponieważ właściciel groził opornym eksmisją. Gdy mi o tym mówi obruszam się.

- O nie, tylko nie to - protestuję, ponieważ czuję przez skórę, że dla niego poborca czynszu to ktoś, kto zbiera od mieszkańców tyle, ile mogą zapłacić, a resztę dopłaca z własnej kieszeni.

Przyznaje, że rzeczywiście tak jest, ale od razu dodaje:

- Ten system doskonale się sprawdza. Ja pokrywam czyjś czynsz, a w zamian ten i ów stawia mi drinki.

Nigdy nie mogłabym mieszkać w tym domu, narażona na nieustanny zgiełk i wizyty nieproszonych gości, odwiedziny kumpli przyjaciół, którzy zjawiają się bez uprzedzenia i kierują prosto do lodówki albo do łazienki, gdy akurat pławisz się w wannie. Szczekające psy, koty sikające po ścianach i dudnienie pianina, na którego klawiaturze ktoś wyżywa się w środku nocy. Jego pianina. Jak on to znosi?

Rozkoszując się tym wszystkim, właśnie tak. Rano w pogodnym nastroju odkurza wspólnie użytkowane korytarze, zbiera porozrzucane wszędzie puszkę od piwa i butelki po alkoholu. Czyścioch, tak jest nazywany przez współlokatorów, zresztą wszyscy tutaj mają przezwiska, jak grupka chłopców z domku na drzewie. Jest Wysoki Sąd (sześćdziesięcioletni sędzia z nieuleczalnym pociąganiem do hazardu), Czupryna (były zecer, chudy jak szczapa, o bujnych kręconych włosach, który stracił lewą dłoń, próbując naprawić kosiarkę), Szczęściarz (posepny, niedoszły dramaturg), Złota Rączka (potrafi wszystko naprawić, kiedyś był dżokejem), Podeszwa (niedoszły stepujący tancerz) i Jimbo (potężny, radosny facet... nie wiem, czym się zajmuje).

Również pokoje każdego z nich mają swoje nazwy. Na przykład idealnie wysprzątany pokój Abła to Świątynia. Mieści się na ostatniej kondygnacji domu i ma ogromne okno z widokiem na stary kasztanowiec. Mówi, że gdyby miał dobry aparat fotograficzny, postawiłby go na trójnogu przed oknem i codziennie rano, o tej samej godzinie robił zdjęcie, a potem, gdy już zebrałby trzysta sześćdziesiąt pięć z całego roku, każde z datą, rozwiesiłby je na wysokości oczu wokół całego pokoju.

- Zabrałbyś je, gdybyś się przeprowadzał? - pytam.

- Nigdzie indziej by nie pasowały. Cała rzecz polega na tym, że patrzysz przez okno dowolnego dnia i roku, powiedzmy, piętnastego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego, i widzisz, że kasztany są jeszcze zielone. Potem spoglądasz na zdjęcie zrobione piętnastego września pięć albo sześć lat wcześniej i stwierdzasz, że wszystkie są brązowe. Wtedy i teraz... żyjesz równocześnie w dwóch światach.

- Wspaniały pomysł - mówię zachwycona, chociaż to nie ten pomysł wprawia mnie w zachwyt. Chodzi o to, że nie obruszył się na wzmiankę o przewodzie. Nie powiedział: „Wyprowadzić się? A po co miałbym to robić?”

Najwyraźniej czuje się tu zadomowiony, szczególnie w tym pokoju, który bardzo przypomina jego pokój w domu w Greenwoods: ściany pomalowane w tym samym odcieniu oliwkowej zieleni, identyczny regał na książki, biurko i sztaluga. Jest też łóżko z baldachimem przykryte ciemnozieloną szenilową narzutą. Dla mnie leżenie na tym łóżku jest spełnieniem dziecięcych marzeń. Często kładę się na nim i czytam, gdy Abel gra w barze. Blokuję krzesłem klamkę w drzwiach, by zabezpieczyć się przed intruzami, potem wybieram kilka tomików poezji, ponieważ ich tu jest najwięcej. Książki na półkach są poustawiane według wysokości, najwyższe po lewej stronie na górze, najniższe po prawej na dole. Żeby znaleźć tytuł albo dzieło konkretnego autora, trzeba przyglądać się grzbietom książek, a ponieważ niektóre z nich są dość kuszące, zwykle na nich się zatrzymuję. (Mówi, że ustawia książki w takim porządku wyłącznie ze względu na wizualny efekt, ale mnie się wydaje, że dokładnie to sobie zaplanował, mniej lub bardziej świadomie, by nie poddawać się z góry narzuconym wyborom.)

Czytanie w samotności przychodzi później. Przez pierwszych kilka tygodni staram się każdą minutę spędzać przy nim. Najwięcej dni upływa mu na jeżdżeniu rowerem do różnych podupadających barów, a ja tułam się za nim na jednym z porzuconych rowerów, na które zawsze można się natknąć w korytarzu. Czeka tam na nas albo ktoś, kto ma wielkie plany, by założyć wydawnictwo publikujące wyłącznie poezję, albo by otworzyć wegetariańską restaurację ze sklepem zoologicznym, w której stoliki ze szklanymi blatami pełniłyby jednocześnie funkcję terrariów. Jeden facet, Abel mianował go najlepszym

fotografem w Kanadzie, chce nakręcić film dokumentalny - dwanaście godzin, minuta po minucie, z życia jakiegoś owada.

- Uważam, że pajak byłby o wiele lepszy - podsuwa Abel.

- Jaki pajak? - pyta tamten.

- Samica czarnej wdowy.

- Można ją znaleźć gdzieś w okolicy?

Wyrywa mi się krótki śmiech.

- Musisz jechać dalej na południe - tłumaczy Abel, jakby to pytanie miało jakikolwiek sens. - Na Florydę albo do Kansas.

- Będę potrzebował pieniędzy na podróż - mówi tamten.

Skąd Abel zna tych wszystkich ludzi? Ze szkoły, z knajp. Niektórzy są już siwi, inni nawet młodszy od nas, część z nich zdaje się mieć problemy z psychiką, zdarzają się też rzeczywiście błyskotliwi goście. Wśród jego znajomych właściwie nie ma kobiet, stwierdzam z ulgą (poza okropnie uczuciową kobietą, która gra w barze na kobzie i chce, by Abel nagrał z nią płytę, ale ponieważ nie jest ładna i ma co najmniej trzydzieści lat, uważam, że z jej strony nie ma zagrożenia). Wspólną cechą, która łączy tych wszystkich ludzi, jest upór i zapał do realizacji własnych koncepcji. Ubiegają się o dotacje rządu. Wyciągają schematy, piszą życiorysy, robią notatki. Na początku Abel tylko słucha, ale po dwóch, trzech piwach zaczyna podsuwać im rozmaite pomysły. Oni wszyscy bardzo na niego liczą, widać to wyraźnie. Nigdy nie spotkałam mężczyzn o heteroseksualnej orientacji, którzy patrzyliby na innego mężczyznę tak pożądliwie.

To samo jest w hotelowym barze, tyle że tam grono jego wielbicieli co najmniej w połowie stanowią kobiety i zamiast angażować jego umysł, podpalają mu papierosy, fundują drinki. Większość z nich to podchmielone kobiety w średnim wieku. Niektóre z nich są nawet ładne, mają mniej więcej tyle lat co ja albo niewiele więcej. Obcesowe, seksowne dziewczyny o zachrypniętych głosach. Czy Abel spał z którąś z nich? Wykręca się od jednoznacznej odpowiedzi. Uznaję to za potwierdzenie i wobec tego co wieczór przesiaduję w barze, by mieć pewność, że tą, z którą on wyjdzie, będę ja.

Przed zamknięciem jest już pijany. Nie kompromitująco zapijaczony, ale z półprzytomnym, tęsknym, nieobecnym wyrazem twarzy. Wolno pokonujemy trzy krótkie

przecznice dzielące nas od domu. Pójście do mnie nie wchodzi w rachubę. W tej okolicy nigdy nie można złapać taksówki, a ja nie pozwolę mu jechać na rowerze, nie w tym stanie. Lekko się zatacza. Ja zazwyczaj wypijam jedno małe piwo z beczki; jestem zupełnie trzeźwa. I zmęczona, spędziłam w barze ładnych parę godzin. Kaszlę od dymu papierosowego, a mimo to zaciągam się kilka razy jointem, którego Abel zapala. Marihuana dodaje mi energii, a minie jeszcze sporo czasu, zanim pójdziemy spać. Już sam spacer trwa około dwudziestu minut. Kiedy ci, którzy wyszli z nami, znikają w oddali, wpatrujemy się w gwiazdy i oglądamy cienie na chodniku. Jeśli usłyszymy świerszcza, staramy się odnaleźć miejsce, w którym się schował. Nie ma takiego bezpańskiego kota, który nie zostałby przywołany i ugłaskany. „O, mistrzowie uczuć! - krzyczy Abel, cytując Nerudę. - Tajna policjo z sąsiedztwa!”

W domu, w nienaturalnie wielkiej kuchni i przy stole zrobionym domowym sposobem z drzwi od stodoły, z podłogą pokrytą winylowymi płytkami w gwiazdki - jeden z psów zjada jedną lub dwie na tydzień - Abel przygotowuje dla nas coś do jedzenia. Kanapki albo odsmażane resztki z poprzednich posiłków. Jeśli ktoś z lokatorów domu jest jeszcze na nogach i odczuwa potrzebę rozmowy, zawsze znajdzie w nim towarzysza. A więc mija kolejna godzina. Potem myjemy i wycieramy naczynia, nasze i te, które pozostawili inni. W końcu nadchodzi czas, by pójść do jego pokoju. Najpierw jednak nalewa sobie dużą szklankę rumu z colą. Pyta, czy ja także mam ochotę, ale zawsze odmawiam, bo potem będzie mnie bolała głowa. On nigdy nie ma kaca. Uważam to za godne uznania. Ten apetyt na alkohol i narkotyki odbieram jako przejaw skwapliwego korzystania z uroków życia, ujmujący i typowy dla artysty.

Około piątej nad ranem w końcu zasypiamy. O siódmej wstaje sędzia i budzi mnie swoim kaszlem. Abel śpi jak kamień, otwiera oczy dopiero na dzwonek budzika o dziewiątej, wtedy wyskakuje z łóżka zregenerowany. Staram się jeszcze trochę pospać, ale to niemożliwe. Drzwi trzaskają, warczy odkurzacz.

Cztery godziny snu jemu być może wystarczy, ale ja potrzebuję dwa razy tyle i po kilku tygodniach jestem tak wykończona, że ledwo potrafię sklecić zdanie. Kupuje mi żelazo w tabletkach. Nakłania do ucinania drzemek. „Nie musisz przychodzić co wieczór do baru” - tłumaczy. Oczywiście, że muszę, ale może nie muszę tam spędzać pięciu

godzin. Zaczynam pojawiać się koło północy. Jem kolację w domu, jadę na jednym z wolnych rowerów do siebie, śpię, biorę prysznic, wracam do centrum, czytam w jego pokoju, a potem idę do baru, dbam, żeby nikt go nie zagarnął, i przyprawiam do domu.

Tylko jeden dzień jesteśmy u mnie, w niedzielę, ma wtedy wolny wieczór. W niedzielę rano chodzimy do High Park, potem do jego rodziców na obiad. Pani Richter przyciska mnie do siebie tak mocno, że tracę oddech. Gdy przyszedłam z pierwszą wizytą, szlochała przy powitaniu. Ja też, ze szczęścia, że Abel może zobaczyć, jak bardzo serdecznie jestem traktowana w tym domu, jak córka. Jego matka z siwiuteńkimi włosami wygląda jak staruszka, ale w dalszym ciągu spleta je w warkocz i upina dookoła głowy. Wciąż nosi się w krzykliwych kolorach i godzinami wędruje po ulicach, choć prawdopodobnie nikogo nie nawołuje.

Późnym popołudniem wsiałam do metra i jadę do Greenwoods. Nie zabieram go ze sobą. Ojciec i pani Carver jeszcze nie pogodzili się z tym, że zerwałam z Troyem; lepiej, żebym przyjeżdżała sama. Kiedy wracam do siebie i w korytarzu zastaję rower Abła, ogromna ulga, jaką nagle odczuwam, jest dla mnie w pewnym sensie ciężarem. Kiedy zacznę traktować jego obecność jako coś zupełnie naturalnego? Zwykle siedzi przy stole w kuchni, ze szklanką rumu z colą pod ręką i rozłożoną przed sobą Encyklopedią Britanniką. Podnosi głowę, jego umysł jest jeszcze zaprzątnięty tym, co przed chwilą przeczytał, co wydało mu się interesujące i czego nie zapomni. Gdyby był na moim miejscu, już dawno literę „B” miałby za sobą.

Pewnego wieczoru mówi, że zapisując w spadku piętnaście tysięcy dolarów, pan Fraser mógł chcieć kupić mi czas. „Daje ci encyklopedię i jednocześnie wypłaca pensję za kilka lat. Może chciał ci w ten sposób dać do zrozumienia, że jego śmierć dla ciebie nie oznacza utraty pracy”.

I może Abel chce mi powiedzieć, że marnuję życie, jeżdżąc za nim z jednego spotkania na drugie. Wiem, że dni mi się wymykają. A jednak przeraża mnie myśl, że możemy być rozdzieleni na kilka godzin. Gdyby tylko przyrzekł, że nigdy więcej mnie nie zdradzi. Ale nie potrafię się przemóc, by go o to poprosić. Co innego zapytać od niechcenia: „Spałeś z nią?” i udawać, że to tylko z przekory i ciekawości. A zupełnie inną

sprawą jest powiedzieć: „Obiecuj, że nigdy nie będziesz z nią spał” ...nie ma wtedy odwrotu. Zdradzam się z tym, że jestem przerażoną i zaborczą despotką.

Idę na kompromis, zaczynam zabierać ze sobą encyklopedię, trzeci tom z nie kończącą się liczbą haseł na „Br”. W czasie, gdy on odbywa swoje spotkania, ja siedzę przy innym stoliku i czytam. Ale trudno mi się skoncentrować. Jestem przyzwyczajona do ciszy, która panowała w biurze pana Frasera, a nawet gdybym nie była, nie potrafię wyłączyć się i nie słuchać głosu Abła. Mogę mówić o szczęściu, jeżeli przez całe południe zdołam przebrnąć przez jedno hasło. Zaczynam odczuwać niepokój.

I wtedy, w połowie października, dowiaduję się o czymś, co przynosi mi pewną ulgę. Wiadomość pochodzi od Howiego, emerytowanego dżokeja, którego wszyscy nazywają Złotą Rączką, a ja z szacunku Howiem. Lubię go bardziej niż innych lokatorów, może dlatego, że poza Ablem jedynie on nie przejawia skłonności do oszukiwania samego siebie i autodestrukcji. Jego kariera jeździecka zakończyła się po tym, jak przewrócił się na niego koń i zmiął mu kolano, teraz więc pracuje jako stajenny na torze Woodbine'a. W domu reperuje przeciekające krany i wypadające z zawiasów drzwi, a jeśli ktoś go zapyta, czy nie widział przypadkiem tej czy innej rzeczy, zawsze wie, gdzie można ją znaleźć. „Trzecia szuflada od dołu” - mówi swoim chrapliwym głosem. Jest szarmancki, aż do przesady. Rzuca się, by otworzyć mi drzwi, podsuwa krzesło. Strofuje innych za słownictwo, które mogłabym uznać za obraźliwe. „Miejcie wzgląd na damę” - podkreśla.

Jest wtorkowy poranek. Abel robi pranie w piwnicy. Siedzę przy stole w kuchni z Howiem, który ma we wtorek wolne, i czytam gazety sprzed trzech dni, popijając kawę. On je jajka na bekonie. W milczeniu, całą uwagę skupiając na jedzeniu. Prawie zapominam o jego obecności, i wtedy * się odzywa:

- Mam nadzieję, że nie uznasz tego za nietakt, jeśli powiem, że ty i Abel tworzycie dobraną parę.

- Jej, dzięki, Howie - mówię wzruszona. Marszczy brwi.

- Znalazł sobie dziewczynę we właściwym momencie.

- Znamy się od dawna. Zdaje się nie słyszeć.

- Te, które tu przyprowadzał - dodaje - nie mogą się z tobą równać.

Serce zamiera mi w piersi.

- Dziewczyny z baru?

- Och, są w porządku. Osobiście nic do nich nie mam. Tyle że brak im twojej klasy. Ty jesteś bardziej podobna do Abła, intelektualistka.

- No cóż - mówię - wstyd mi przyznać, ale obawiam się tych dziewczyn. Sposobu, w jaki z nim flirtują. Widziałeś je. A on jest dość łatwym celem, jak wypije.

- Nie masz się czym martwić. Abel swoje wie. Znasz Bonnie? Tę dziewczynę z rudymi włosami? Pamiętasz tamten wieczór, kiedy cię nie było w barze? Usiadła mu na kolanach, a on powiedział: „Jestem zajęty, Bonnie”. Ona na to: „Nie w tej chwili”. I wiesz, co on na to?

- Co?

- Powiedział: „Teraz i na zawsze”.

- Naprawdę?

- „Teraz i na zawsze”, to były jego słowa. „Teraz i na zawsze”. Był śmiertelnie poważny. Nie masz się o co martwić. Ręczę za to.

Tak więc mu zawierzam. Postanawiam zaufać jego instynktowi bardziej niż własnemu. Przypominam sobie, że wie, gdzie co jest w tym domu, a ponieważ bardzo pragnę mieć pewność, wydaje mi się, że - za sprawą tych samych niepojętych umiejętności, którymi kieruje się pani Carver - wie, co czują inni mieszkańcy tego domu.

Spędzam ten dzień z Ablem, ponieważ jest już po jedenastej. Następnego dnia wstaję razem z nim, jemy wspólnie śniadanie, potem jadę do siebie, siadam przy stole i czytam encyklopedię i tak od tej pory robię już codziennie, poza weekendami. Godziny tych moich zajęć niezupełnie pokrywają się z normalnymi godzinami pracy w biurze - zaczynam późno, robię sobie wiele przerw - ale mimo to staram się do czegoś dążyć. Oczywiście nie oczekuję, że w ten sposób zdobędę zawód. Nie spodziewam się nawet, że dobrnę do końca „C”. Moim marzeniem jest praca z Ablem nad jednym z jego projektów, jeśli którykolwiek z nich w ogóle dojdzie do skutku. Mówię mu, że jestem skłonna zainwestować część spadku w przedsięwzięcie, na które się zdecyduje, i pokryć koszty wynajęcia jedno- lub dwupokojowego mieszkania, żeby miał miejsce na biuro lub pracownię w domu. Ciągłe próbuję go przekonać do zamieszkania razem. Byle nie w tamtym domu.

- Ale przecież wszyscy cię tu kochają - odpowiada.

- Ja też ich kocham - kłamię. - Ale czuję się jak Królowna Śnieżka mieszkająca z siedmioma krasnoludkami i ich siedemdziesięcioma kumplami.

- Podpisałem umowę najmu - przypomina mi.

Którą mógłby wypowiedzieć, gdyby tylko chciał. Mogę poczekać. Mogę dalej snuć te mało realistyczne plany.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem sędzia kupuje do salonu o wysokości niewiele ponad trzy i pół metra czterometrowy świerk.

- Mogłem ci powiedzieć, że ma trzy metry sześćdziesiąt - mówi Howie, odcinając od góry kawałek drzewa. Robi drugie, małe, przymocowuje je do deski i daje Ablowi do jego pokoju.

Tamtej nocy, po powrocie z baru, dekorujemy je razem. Zwijam w kulki folię aluminiową. On robi anioła z bibułki do papierosów i patyczka do czyszczenia uszu. Do jego małej główki z wacika przykleja cienkie pasemko moich włosów.

- Wygląda, jakby był obłąkany - stwierdzam.

- Wszystkie prawdziwe anioły tak wyglądają - oświadcza.

Kilka dni później wspólnie z pozostałymi mieszkańcami domu urządzamy wielką imprezę z okazji ubierania dużej choinki. Okazuje się, że sędzia ma całe stopy pudeł i pudełek z różnymi ozdobami. Opowiada, że kiedy każde z jego trzech małżeństw legło w gruzach, to jemu przypadały w udziale te pudła. Tyle wynosił z kolejnych związków, odchodził z tymi pudłami. Tymczasem jego żony dostawały samochody i domy, porcelanę z Limoge, kryształy Waterforda.

- Ale to ja wychodziłem jako zwycięzca - oznajmia, oglądając pod światło niebieskiego szklanego ptaszka.

Przyszło około pięćdziesięciu osób i dla odmiany tym razem to oni przynieśli alkohol i jedzenie. Stepujący tancerz, który teraz studiuje śpiew operowy, raczy nas *Cichą nocą* w swojej płomiennej interpretacji. Abel gra na pianinie. Ktoś rozdaje kartki z

tekstami kolęd i wszyscy śpiewamy z zapałem. Kręci mi się w głowie ze szczęścia. I od likieru miętowego, którego starsza kobieta w błyszczących czerwonych spodniach ciągle mi dolewa.

Kacowi dokuczającemu mi następnego ranka towarzyszy ból gardła i kaszel, który nasila się akurat wtedy, gdy wybieram się do domu. Abel mierzy mi temperaturę i mówi, że mam trochę podwyższoną. Dzwoni po taksówkę.

- Daj sobie spokój i nie ciągnij się dzisiaj do baru - mówi. - Przyjdę do ciebie jutro z rana, jak tylko wstanę.

Przed moim domem już na mnie czeka Norman, facet, który chce nakręcić film dokumentalny o owadach. Tydzień temu dałam mu dwieście dolarów i poprosiłam, by znalazł mi porządny aparat fotograficzny, który mogłabym podarować Ablowi na święta. Wyjmuje z kieszeni odnowionego nikon, twierdząc, że wart jest co najmniej pięć stów. „Sprzedam okazyjnie za sto siedemdziesiąt pięć” - proponuje.

Pozwalam mu zatrzymać resztę, tylko dlatego, żeby się go pozbyć czym prędzej. Pozostałą część dnia przesypiam. Budzę się w porze obiadu i zjadam pomarańczę. Kiedy budzę się kolejny raz, jest trzecia w nocy. Ból gardła i kaszel ustąpiły. Czuję natomiast zawroty głowy, jestem trochę oszołomiona, jak po wypiciu lampki szampana. Ubieram się i dzwonię po taksówkę. Skoro i tak nie zasną już tej nocy, równie dobrze mogę spędzić jej pozostałą część, leżąc obok Abła. W ostatniej chwili postanawiam zabrać ze sobą aparat fotograficzny, tak byśmy mieli jakiś drobiazg pod naszą maleńką choinką. Gdzie się podział papier do pakowania? Nie mogę go znaleźć. Opróżniam fioletową torbę od Seagrama, w której trzymam drobne pieniądze, i wkładam w nią prezent.

Dom jest otwarty, jak zawsze. W holu przy wejściu zaspane psy podnoszą leniwie głowy. „To tylko ja” - uspokajam je szeptem. Buster, pekińczyk, szczeka raz. Światła palą się wszędzie, ale wokół panuje cisza.

Wchodzę po schodach.

Pod drzwiami Abła widać smugę światła. Pewnie czyta. Albo zasnął podczas czytania.

Wchodzę.

Kobieta, zwinięta w kłębek i przytulona do pleców Abla, otwiera oczy. Siada, podciągając prześcieradło na piersi. To ta, która gra w barze na kobzie. Patrzymy na siebie. Mam wrażenie, jakby ktoś na przemian zatykał i odykał mi rękoma uszy. Potrząsa Abla za ramię. Budzi się po chwili i ręką odgarnia włosy z twarzy.

- Hej - mówi, jeszcze solidnie pijany - Louise. Zbliżam się do łóżka.

- Kiedy przyszedłeś? - pyta.

Zdzielam go przez głowę torbą Seagrama. Podnosi rękę, by się osłonić. Uderzam jeszcze raz.

- Gnojek! Gnojek! - wydzieram się teraz. Kobieta podbiega do ściany. Rzucam torbą w choinkę, która się przewraca. - Wesółych świąt! - krzyczę.

Wychodzę na korytarz i idę chwiejnym krokiem. Poślizgnęłam się i spadam ze schodów. Wyłania się Howie. Widzę jego szczupłą i zmartwioną twarz.

- Louise? - Podbiega do mnie. Podnoszę się i go odpycham.

Otwierają się drzwi.

- Co się dzieje? - grzmi sędzia.

Teraz słyszę wołanie Abla, który zbiega w dół po schodach. Przyśpieszam. Frontowe drzwi nie ustępują.

- Louise.

Jest tuż za mną. Dotyka mojego ramienia. Odwracam się.

- Nienawidzę cię! - Uderzam go pięściami w klatkę piersiową. - Nienawidzę!

Zatacza się do tyłu.

- Jesteś nienormalny! - krzyczę. - Jesteś potworem! Nienawidzę cię!

Taksówka, którą przyjechałam, wciąż stoi na dole. Stukam w okno kierowcy. W domu, na dywaniku przed kuchennym zlewem, osuwam się na podłogę. Dzwoni telefon. Właśnie wschodzi słońce. Idę do łazienki i myję twarz.

Czuję się tak, jakbym została zepchnięta z powrotem w otchłań samotności, a na dodatek wszyscy, których dotąd znałam, już tu są. Don Shaw. Troy, biedny Troy. Tim Todd... czy Tim kiedykolwiek się stąd wydostał? Panu Fraserowi nigdy się to nie udało, tutaj umarł. Mój ojciec i pani Carver zdołali się wydźwignąć, ale oboje potrzebowali na to mnóstwo czasu.

Ci wszyscy samotni ludzie, o wiele dzielniejsi ode mnie. Alice, która sprzedaje książki, krążąc od drzwi do drzwi, Debbie, ze swoimi brydżowymi trofeami, ciotka Verna, taszcząca swój kufer aż z Teksasu. Nawet moja matka, po tym jak nas opuściła. Bez względu na to, co poza tym można by powiedzieć o mojej matce, trzeba przyznać, że potrafiła znaleźć w sobie niemało odwagi, by wędrować po środkowych prowincjach w poszukiwaniu pracy, nigdy się nie załamując i nie prosząc, by mogła wrócić do domu.

Może to ja powinnam odejść. Wsiąść do autobusu i pojechać tam, dokąd mnie zawiezie. Zmienić nazwisko.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Nigdzie nie wychodzę. Siedzę w domu i płaczę. Jem płatki zbożowe i kanapki z masłem orzechowym, oglądam telewizję przy wyłączonym dźwięku, bo od płaczu boli mnie głowa. Co kilka godzin, od ósmej rano do północy, dzwoni telefon. Trzeciego dnia zdejmuję słuchawkę z widełek. Niewiele później rozlega się pukanie do drzwi.

- Jest tam kto?

To ojciec. Wpuszczam go, a on wręcza mi torbę kruchych ciasteczek.

- Pani Carver upiekła wczoraj całą blachę. Pomyślałem, że podrzucę ci trochę po drodze. - Przygląda mi się uważnie. - Czy wszystko w porządku?

- Wydaje mi się, że coś mnie bierze.

Dotyka mojego czoła, ogląda język i patrzy w podpuchnięte oczy, w końcu stwierdza, że nie mam gorączki, więc to pewnie zwykłe przeziębienie. Czy piję dużo soku pomarańczowego? Czy wystarczy mi zupy? „Tak”, kłamię, ale i tak wychodzi i wraca z dwiema torbami pełnymi artykułów żywnościowych. A więc teraz jestem zaopatrzona na kolejne dni płaczu.

Następnego ranka, około wpół do jedenastej, znów budzi mnie pukanie do drzwi.

- Louise? To ja.

Leżę sztywno, tak jakby mógł usłyszeć mój najmniejszy ruch.

- Jesteś tam? - Puka znowu, delikatnie, cztery razy. - Nie mogę znieść tego, że cię zraniłem. Nie mogę znieść myśli, że ty...

Cisza, a potem:

- Jeśli tam jesteś, odezwij się. Powiedz, że bym sobie poszedł, ale przynajmniej coś powiedz!

Długa cisza. Czy użyje swojego klucza?

Słyszę, jak schodzi po schodach, a potem dobiega mnie odległe trzaśnięcie drzwi zamykanych na dole.

Później, po drodze do łazienki, dostrzegam kartkę papieru w korytarzu. Leży przy listwie, obok nie otwartych listów, które jeden z sąsiadów wsuwa mi pod drzwiami.

Podnoszę ją.

Tu jest twój klucz. Zadzwon, jeśli możesz. Abel.

Klucz jest tylko częściowo po stronie mojego mieszkania, tak jakby Abel chciał zostawić sobie szansę zabrania go z powrotem. Palcami stopy wciągam go do środka.

Kartkę wypuszczam z ręki.

Trzy dni później znajduję następną. Leży tak, że mogę zobaczyć, nawet bez schylania się, co jest na niej napisane.

Jeśli zadzwonisz do mnie do domu i linia będzie zajęta, zawsze możesz zostawić wiadomość w barze. Przyjdę, jak tylko ją dostanę. Abel.

Bez „Droga Louise” na początku. Bez „Kocham, Abel” na końcu. Podnoszę kartkę, idę z nią do kuchni, pod jego imieniem dopisuję: „Już nigdy ci nie zaufam. Nie chcę cię więcej widzieć”.

Skrzynka pocztowa nie jest daleko, pół przecznicy ode mnie. Wrzucam list z uczuciem, że zabijam Anioła Miłości.

Ale kiedy się odwracam, by odejść, czuję, że pierwszy raz od tygodnia swobodnie oddycham.

Spędzam święta w domu z ojcem i panią Carver. Zwykle na Boże Narodzenie pani Carver jeździ do Kingston, by pobyć z córką, ale w tym roku Stella z mężem wybrali się z wizytą do jego rodziny, do Calgary, więc pani Carver zostaje z nami. Ale nie na noc. W żaden sposób nie da się jej przekonać, ani żeby zajęła moje dawne łóżko, ani do spania w gabinecie ojca. „Nie, nie, nie. To jest jego pokój”. Zupełnie jakby tam przeprowadzał wielkie badania naukowe.

Nie mówię jej o Ablu. To zbyt skomplikowane i upokarzające. Zresztą nie miała pojęcia, że znowu się z nim widywałam. Informuję tylko - ponieważ nie mogę ukryć tego, jak podle się czuję - że spotykałam się z kimś i zerwaliśmy. Załamuje ręce. Wiem, że powie o tym ojcu i oboje się mną zaopiekują, tak też robią. Śpię do jedenastej, a kiedy zjawiam się w kuchni, dostaję od pani Carver szklanekę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Przez cały dzień przynosi mi herbatę, a ja leżę, trochę czytając, trochę drzemiąc. Ojciec, który wziął sobie tydzień wolnego, kupuje gigantyczne puzzle „Cuda jesieni” i układamy je na stole w jadalni. Czasami we trójkę gramy w kalambury, w których każde z nas jest przeciwko każdemu. Zwykle wygrywam, dzięki temu, że tak dobrze umiem odczytać znaczenie gestów pani Carver. Kiedy wypada jej kolej na prezentację, potrafię powiedzieć, co ma na myśli, niemal od razu, jak tylko podniesie rękę.

W dalszym ciągu płaczę w łazience i nocami w łóżku, ale nie zawodzę w głos, jak jeszcze przed kilkoma dniami u siebie. W tym domu panuje wyciszona i subtelna atmosfera, jak w angielskiej rezydencji. Mogłabym zawsze żyć w ten sposób, myślę: rozpieszczona córka, nadwrażliwa stara panna. Wydaje mi się to naprawdę możliwe, aż do Nowego Roku, kiedy razem z ojcem zdejmuję dekoracje i przyłapuję się na tym, że kurczowo ściskam pasmo opadającej lamety, i przyglądam się mu z ponurym zdumieniem, jakby stanowiło kwintesencję wszystkiego, co mam. Siadam na brzegu kanapy i mówię:

- Muszę znaleźć sobie pracę.

Ojciec stoi na krześle i zdejmuje anioła. Odwraca się do mnie, a ja spodziewam się, że powie: „Nie ma powodu się śpieszyć, masz przecież spadek, możesz tu zostać, jak długo zechcesz” albo: „Wiesz, nadszedł chyba dobry moment, żeby pomyśleć o studiach”, jednak zamiast tego słyszę:

- Praca pomaga człowiekowi się zająć, będziesz przynajmniej miała coś do roboty.

Przedstawia mi nawet propozycję. Emerytowany bankier, ktoś, kogo poznał przy okazji kontaktów służbowych, postanowił napisać historię swoich walijskich przodków i szuka maszynistki.

- Och, to już było - ziewam zniechęcona.

- Co było?

- Już pracowałam dla starszego mężczyzny.

- Oczywiście, młody nie jest, ale patrząc na niego, nie zorientowałabyś się, ile ma lat. To taki energiczny typ. Pełen wigoru, zawsze w ruchu. W dalszym ciągu prowadzi biuro w centrum. Byłem tam w zeszłym tygodniu. Zatrudnia księgową na cały etat, bardzo sympatyczną młodą kobietę, około trzydziestki, o wyjątkowo ujmującej powierzchowności. Chyba pracowali razem w banku, ale ona albo nie umie pisać na maszynie, albo jest zbyt zajęta.

- Nie umiem pisać szybko.

- Myślę, że dla niego ważniejsza jest dokładność. Dobra znajomość ortografii i interpunkcji. Może cię taka praca zainteresuje, poznasz trochę historię Walii. Poza tym otrząśniesz się i weźmiesz w garść, a potem zastanowisz się, co chcesz robić dalej.

- Przemyślę to - mówię, uświadamiając sobie, ile czasem zmartwień mu przysparzam.

Tydzień później idę na rozmowę w sprawie pracy i informacja, że jestem córką Saw Kirka, wystarczy, bym została przyjęta. Dręcą mnie mieszane uczucia. To prawda, że pan Roberts nie ma w sobie nic z nieporadnego starszego pana. Ma gęste blond włosy o rudawym odcieniu, trzyma się prosto i balansuje na stopach. Jest serdeczny, mówi głośno, często powtarza: „Na Boga!” i już po kilku minutach nazywa mnie Kirk, jakbyśmy pracowali ze sobą od lat.

Wciąż jednak się martwię, by nie utknąć na tym bocznym torze życia, które wiodę od czasu, gdy Abel ostatnio złamał mi serce. Znowu znalazłam się w takiej samej sytuacji jak kiedyś, z miłym szefem na emeryturze i pracą, która nie będzie ode mnie wymagała wiele wysiłku. Nieźle, jeśli się szuka bezpieczeństwa, a mnie wtedy było ono potrzebne. Myślałam, że w swoim cierpieniu będę musiała dryfować, aż spotkam swoje przeznaczenie, którego nigdy nie potrafiłam sobie w pełni wyobrazić, lecz w którym zawsze było miejsce dla Abla, nawet gdyby miało to być kuszeniem losu.

Ale - napominam się - nie tym razem. Niezależnie od tego, jak daleko w przyszłość wybiegam myślami, jego tam nie ma; nie zostało nic, co dałoby się rozpalić. Zniszczenia się dokonały, tkwią we mnie jak ułomność, a ja będę musiała się z nią pogodzić. Cóż, prawie mi się udało. Jeszcze przed kilkoma dniami nieodmiennie powtarzałam sobie,

choć ze słabnącym przekonaniem: „On jest nienormalny, jest potworem”. W swoich przemyśleniach doszłam do wniosku - i to jest równie zasmucające - że on niektórym ludziom nie potrafi odmówić. Historia Howiego o rudej dziewczynie, której się opierał, jest najprawdopodobniej prawdziwa. Przed flirtowaniem może się powstrzymać. Ugina się pod bezradnością. Zapewne z propozycją wystąpiła ta kobieta, a ponieważ jest od niego starsza, a on był pijany, nie wiedział, jak jej odmówić. Właśnie w tym momencie, czując, że sprawi jej przykrość, pozwolił sobie o mnie zapomnieć.

Księgowa jest wysoką, szczupłą kobietą o szerokiej uwodzicielskiej twarzy i ciemnoblonde włosach sięgających ramion.

- Kirk! - mówi pan Roberts, dokonując prezentacji. - Slung!

- Suzanne - wymienia swoje imię, przewracając w jego stronę oczami, i z brzękiem bransoletek podaje mi rękę.

- Louise.

Jej dłoń jest ciepła. Tak naprawdę nie pracuje dla niego, lecz dla siebie; on jest jednym z jej klientów, z których większość, podobnie jak pan Roberts, to emeryci, dawniej zajmujący eksponowane stanowiska. Zamiast rozmawiać z nią przez telefon, wolą przyjść osobiście. Wchodzą do jej pokoju i zamykają za sobą drzwi. Słyszę, jak się tam śmieją. Od czasu do czasu pojawiają się wtedy, kiedy jej akurat nie ma. „Mam poczekać?” - pytają mnie. Są zdezorientowani, zawiedzeni. „Kiedy wróci?” Ale ja nigdy nie potrafię udzielić dokładnej odpowiedzi. Ma nieregularne godziny pracy, ponieważ oprócz tego jest aktorką i często chodzi na jakieś przesłuchania. Pan Roberts także nie trzyma się ustalonych godzin. Nigdy nie mówi, dokąd idzie. Przypuszczam, że na spotkania, aż Suzanne mi wyjawia, że gra hazardowo w pokera w nielegalnym klubie. „Jest niegrzecznym, bardzo niegrzecznym chłopcem” - mówi, uśmiechając się zagadkowo.

Są dni, gdy żadne z nich się nie pojawia, a ja muszę sama odbierać telefony i ślezczyć nad odczytaniem pisma pana Roberta. Rodzinną historią zajmuje się zazwyczaj wieczorami, pracuje w biurze do późna, a to oznacza, że rano znajduję na biurku stos nabazgranych notatek. Dotychczas nie napisał jeszcze nic o sprawach osobistych, podaje tylko ogólne informacje o Pembrokshire w Walii, z połowy osiemnastego wieku: dotyczą miejscowego przemysłu, sposobu odżywiania się mieszkańców, religii, zwyczajów i tak

dalej. A więc teraz wiem wszystko o kolbach kukurydzy, oborach i czarnych jagodach, i o tym, że kot urodzony w maju sprowadza szczury do domu, a także o tym, że w tamtych czasach, gdy mąż był „bezpłodny, trędowaty albo miał cuchnący oddech”, żona mogła zabrać połowę jego majątku i wypędzić go z domu.

Ciekawa praca, tak jak przewidywał ojciec. Cóż, na tyle zajmująca, żebym mogła nie myśleć o Ablu, przynajmniej podczas przepisywania na maszynie. A jednak gdyby nie Suzanne, czasem odwoływałabym przyjscie do pracy z powodu choroby. Kiedy się budzę, myśl o tym, że zobaczę tę przemiłą kobietę, mobilizuje mnie do wstania z łóżka, a jeśli nie pojawi się w pracy, czuję się zdruzgotana, tak jak jej klienci. Jest jak przesyłka kwiatów, która gdy zostaje doręczona, zawsze wywołuje u adresata dreszczyk emocji; podobnie jest z nią, kiedy wychodzi ze swojego pokoju i siada na kanapie, by zapalić papierosa i pogawędzić. Zrzuca buty, krzyżuje nogi zgrabne jak u tancerki, odchyła się do tyłu i potrząsa włosami w taki sposób, że odnosi się wrażenie, jakby robiła to podświadomie, a zarazem z rozmysłem.

Wystudiowane zachowania, innymi słowy, ale jednocześnie tak dla niej naturalne.

„No i jak poszło przesłuchanie?” - zaczynam, by ją zachęcić do rozmowy. Na to ona wesoło, choć z żalem opowiada, jak to nie było cienia nadziei, tym razem szukali osoby o naiwnym wyglądzie (kilka dni temu potrzebowali kogoś w typie nauczyciela, a jeszcze wcześniej kogoś tryskającego zdrowiem), ale co tam, zawsze trzeba próbować. Jeśli nie była na przesłuchaniu, pytam o Howarda i Roya, jej dwóch „dżentelmeńskich adoratorów”. Nie „chłopaków”, ponieważ obaj dobijają do sześćdziesiątki, ale i nie kochanków; nie posunęłyby się do tego, by uprawiać seks z żonatym mężczyzną. Pozwala sobie natomiast na trzymanie za rękę i czułe przytulanie. „Szczęściarze” - mówię. „Nie” - zaprzecza, twierdzi, że to ona jest szczęściarą i nie ma na myśli wystawnych kolacji z winem, na które jest zapraszana. Chodzi o dojrzałą rozmowę, mądrość, perspektywę. Ma nadzieję, że pewnego dnia zakocha się we wdowcu, który nie oddaje czci pamięci swej zmarłej żony i który pragnie założyć nową rodzinę. Mówi - a mnie trudno stwierdzić, czy poważnie - że jej marzeniem jest mieć przy sobie dystyngowanego starszego mężczyznę, chodzącego na czworakach w otoczeniu gromadki dzieciaków.

Okazuje się, że pan Roberts także jest jej byłym dżentelmeńskim adoratorem, a dowiaduję się o tym, gdy widzę, jak obejmuje ją w talii przed wyjściem z pracy. Resztę wyjaśnia Suzanne.

- Właśnie dlatego cała sprawa się skończyła. Przez to obłapianie na oczach wszystkich. I zawsze próbował zaciągnąć mnie do łóżka, ale ja nie byłam zainteresowana, chociaż już wtedy był wdowcem. Kiedy to było? Pięć, sześć lat temu. - Zaczyna bujać się na stopach. - „Slung!” - krzyczy. - „Przekroczyliśmy już granicę! Tam jest granica, a myśmy ją już przekroczyli!”

Śmieję się. Doskonale go naśladuje.

- Co chciał przez to powiedzieć?

- Och, że kiedy raz pocałujesz kobietę w usta, nie ma już odwrotu.

- Pocałowałaś pana Roberta w usta?

- Trochę wtedy wypiliśmy. „Slung!” - Zaczyna niecierpliwie rozpinąć bluzkę. - „Zamierzam zdjąć ubranie! Teraz możesz zostać albo wyjść, ale na Boga, zdejmuję ubranie!”

Śmieję się tak głośno, że dostaję czkawki. Po policzkach zaczynają mi spływać łzy (tak jak na mojej pierwszej randce z Troyem). Przynosi mi pudełko chusteczek jednorazowych i poklepuje po ramieniu.

- Lubisz chińskie żarcie? - pyta.

Jedziemy jej białym volkswagenem do restauracji na Dundas Street.

- Uwielbiam to miejsce - mówi, kiedy już zamówiliśmy tutejszą specjalność za cztery dolary, kuleczki z kurczaka. - Ale przez długi czas go unikałam, ponieważ tutaj poznałam mężczyznę, który złamał mi serce. Przedstawił się jako samotny wdowiec, a potem, pewnego dnia, zobaczyłam go na pierwszej stronie „Financial Post” obejmującego „Margaret, czarującą dwudziestopięcioletnią żonę”.

- Wyobrażam sobie, jak okropnie się wtedy czułaś - mówię.

- Tak, rzeczywiście strasznie. Ale teraz... - rozkłada ręce - ...już mi przeszło.

Moja kolej. Wiem, że opowiedziała mi o sobie, bym nabrała odwagi i wyjawiała swoje bolączki. Ale nie potrafię. Na samą myśl o Ablu robi mi się tak ciężko na sercu, że

boję się, bym znowu nie zaczęła płakać. Dostrzegam, że mężczyźni siedzący przy sąsiednim stole przyglądają się jej z zaciekawieniem.

- Mogłabyś mieć każdego, kogo zechcesz - stwierdzam.

- Tak jak ty.

- Och, daj spokój.

Wspiera brodę na otwartej dłoni.

- Co zwykle robisz po pracy?

- Idę do domu. Czytam.

- Nie wychodzisz?

- Niezbyt często.

- Ale dlaczego?

Wzruszam ramionami. Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, potem zaczyna opowiadać o swojej stryjecznej babci Olive, która mieszkała gdzieś na Dundas Street w czasach Wielkiego Kryzysu.

- Pracowała jako windziarka w Batonie. Całe jej zawodowe życie toczyło się w czterech ścianach kabiny, gdzie wypowiadała około dziesięciu linijek tekstu: „Trzecie piętro, odzież damska. Czwarte piętro, męskie okrycia”. Mimo to lubiła swoje zajęcie. Nigdy nie wyszła za mąż, ponieważ w tamtych latach nie było mowy o tym, żeby założyć rodzinę i jednocześnie utrzymać pracę. Zwykła mawiać: „Nigdy nie wiesz, kto przejdzie przez te drzwi”.

Trzy dni później wspólnie spędzamy wieczór. Tym razem idziemy do kina, na film *Alicja już tutaj nie mieszka*, o kobiecie, która po śmierci męża decyduje się rozpocząć nowe życie jako piosenkarka estradowa.

- Ona ma już coś w garści - mówię potem. - Wrodzony talent. Tak jak ty.

- Jest w tym mieście około pięćdziesięciu reżyserów, którzy byliby innego zdania.

- Pana Robertsa naśladowałaś doskonale. Jesteś prawdziwą aktorką. Dobrze o tym wiesz. Masz inspirujący zawód. - Myślę o jej śmiejących się emerytowanych klientach i dodaję: - Dwa inspirujące zawody. - Wzdycham.

Klepie mnie po ramieniu.

- Ta cudowna walijska saga, jak się domyślam - mówi - nie jest tak porywająca, żeby krew szybciej krążyła ci w żyłach.

- Nie jest najgorzej. Tyle że... praca w biurze nie jest tym, czym praca windziarza. Ja wiem, kto wejdzie przez te drzwi.

- A więc co chciałabyś robić?

- Pracować w miejscu, w którym coś naprawdę się dzieje.

W godzinach lunchu przeglądam w gazecie strony z ogłoszeniami, ale wszystkie oferty dotyczące pracy na stanowiskach, do których mam kwalifikacje, wyglądają mi na ponurą niewolniczą harówkę. Przez chwilę zastanawiam się nawet nad pójściem na studia. Ale co miałabym studiować? I będę starsza od innych, zresztą nigdy nie pociągało mnie wysiadanie na wykładach. Rozmyślam o tym, by zostać kelnerką (jeśli matka nią była, ja też z powodzeniem mogłabym spróbować), kiedy Suzanne mówi mi o swojej znajomej, która jest psychologiem dziecięcym, prowadzi dobrze prosperującą prywatną praktykę i właśnie szuka recepcjonistki-sekretarki.

- Jaka jest? - pytam.

- Trochę przypomina Joan Fontaine, trochę Ingrid

Bergman. Delikatna i opiekuńcza, przy tym bardzo elegancka. Po czterdziestce.

Rozeszła się z takim niewydarzonym chirurgiem plastycznym, Blakiem.

- Myślisz, że mnie przyjmie?

- Czemu nie? Potrafisz stenografować?

- Jeśli ktoś mówi powoli.

- Ona mówi powoli. Jak tak teraz o tym myślę, powiedziałabym, że mówi bardzo powoli.

Dostaję tę pracę i zaczynam dwa tygodnie później, z błogosławieństwem pana Roberta, którego córka w ciąży postanowiła, że zostanie maszynistką. Zbliża się koniec kwietnia, drozdy wędrowne dokazują na trawnikach, żółte kwiaty forsycji przebijają się przez poranną mgłę. Idąc od stacji metra St. George do biura, które znajduje się na parterze wiktoriańskiego budynku niedaleko uniwersytetu, czuję wyraźnie ożywienie, które kiedyś rozpoznawałam w sposobie chodzenia innych sekretarek i którego im zazdrościłam. Może to dlatego, że jestem kimś więcej niż sekretarką. Od samego rana

pocieszam przerażone matki: „Jestem pewna, że doktor McIver nie pierwszy raz ma do czynienia z takim przypadkiem”, „Dzieciaki dochodzą do siebie szybciej, niż pani myśli” i biorę płaczące dzieci na kolana. Tego dnia wyszłam dopiero przed siódmą. Następnego po ósmej. Katherine - prosiła, żebym tak się do niej zwracała, kiedy jesteśmy same - powiedziała, że mogę iść do domu, gdy tylko ostatni pacjent wejdzie do jej gabinetu, ale nie czułabym się w porządku, zostawiając ojca, matkę albo kogoś z opiekunów samych w poczekalni. W oczekiwaniu na to, aż wszyscy pójdą, wykorzystywałam czas na przeglądanie historii chorób i poznawanie zdumiewająco zróżnicowanych, rozczulających zachowań nieszczęśliwych dzieci.

Po sześciu miesiącach dostaję od Katherine sporą podwyżkę, więc decyduję się na zmianę mieszkania. Mam skłonność do jesiennych przeprowadzek, ale tym razem głównym powodem jest Abel, którego duch wciąż jeszcze nie opuścił mojej sypialni. Jeśli śpię tam (zamiast w salonie), niezależnie od tego, czy w łóżku, czy na podłodze, jest niemal pewne, że będzie mi się śniło, jak kocha się z inną kobietą. „Nie wiem, co robić” - mówię pewnego dnia Katherine i to właśnie ona podsuwa mi myśl, że zmiana mieszkania może pomóc w rozwiązaniu tego problemu.

Pierwszy raz powiedziałam jej o Ablu pewnego upalnego lipcowego wieczoru, przy pizzy, którą przywieziono nam do pracy. To był szczególnie długi, wyczerpujący dzień, położyłyśmy stopy na jej biurku, włączyłyśmy wentylator na najwyższe obroty, skierowałyśmy go na nasze twarze i rozmawiałyśmy o ośmioletniej dziewczynce, Nicole, która zaklejała sobie usta taśmą samoprzylepną i groziła, że zaszyje je na stałe. Czułam, że po części winą należy obarczyć jej matkę, ze względu na jej zaskakująco nonszalancki sposób bycia, nie mówiąc już o tym, że nawet nie przyszło jej do głowy, żeby chować przed dzieckiem taśmę. Katherine przyznała, że matka z pewnością ma swój udział (unika sformułowań takich jak „obarczać winą”), ale bardzo troskliwy i ujmujący ojciec też bez wątpienia się do takiego stanu przyczynił. Rozmowa przechodzi na czarujących mężczyzn w ogóle, na flirciarzy, a potem byłego męża Katherine. Opowiada mi, jak pewnego razu, podczas przyjęcia, które wydawali w domu, podążył za żoną innego z mężczyzn do łazienki; żeby sprawdzić, czy są czyste ręczniki, jak później twierdził.

- Jestem przekonana, że połowicznie sam w to uwierzył - dodała Katherine. - Jak za nią szedł, z całą pewnością sobie powtarzał: „Muszę zobaczyć, co z ręcznikami”. W ten sposób mógł później tłumaczyć mi - uśmiechnęła się - zawsze tak robił, za każdym razem to samo, że seks zdarzył się przypadkiem i nie ma pojęcia, jak się to w ogóle mogło stać.

Zachowanie jej byłego męża wyprowadza mnie z równowagi - tak jak wyjaśnienia Abła, gdybym pozwoliła mu mówić - i opowiadam o własnych przeżyciach. Ale w porównaniu do tego, z czym ona musiała się zmierzyć - wyrachowana niewinność, okrucieństwo - zdrada Abła w mojej opowieści wydaje się niewiele znaczącym wybrykiem.

- Nigdy celowo mnie nie skrzywdził - mówię. - To wiem.

- Może nie - odpowiada Katherine. - Ale efekt jest taki sam, postąpiłaś słusznie, ostatecznie z nim zrywając. Zachowałaś się bardzo dzielnie.

Po tych jej słowach przypuszczam, że żałuje, że nie rozprawiła się ze swoim mężem wcześniej.

Jest kobietą o dużych szarych oczach, wypowiada się zawsze z lekką drwiną. Robi wrażenie nieobecnej myślami, tak że podczas rozmowy trudno się zorientować, czy cię słucha, aż w pewnej chwili wyraża tak zdecydowaną i przemyślaną opinię (na przykład, że powinnam poszukać sobie innego mieszkania), że twoje wynurzenia znajdują natychmiastowe rozwiązanie.

Liczę na mieszkanie z dwiema sypialniami, ale dzięki kolejnej znajomej Suzanne ostatecznie decyduję się na parterowy trzypokojowy domek. Właściciele, Stan i Ann Canary, starsi państwo na emeryturze, kupili sobie przyczepę kempingową na Florydzie, dom chcieli zatrzymać jako lokatę pieniędzy. Mam niewielki ogród z różami, słoneczną werandę i wieżyczkę, z której rozpościera się widok na jezioro. Mam też do towarzystwa dwa półdzikie koty, które przychodzą i odchodzą. W dniu podpisania umowy oba bawią się na trawniku, Suzanne flirtuje ze Stanem Canarym, a ja stwierdzam, że tym razem ze szczęścia czuję ucisk w gardle. Jestem szczęśliwa, myślę, jakby to była jakaś sztuczka w moim wykonaniu - jak taniec na linie - coś, co nieoczekiwanie udało mi się zrobić. Dręczy mnie pewien niepokój, że w wykonywaniu tej sztuczki wciąż brak mi wprawy, ale z czasem przyjdzie.

Przychodzi i odchodzi jak koty, które nazwałam Stan i Ann. Przemyka się przez pęknięcia w sercu. Mogę nic nie robić, patrzeć przez okno sypialni na wiewiórkę trzymającą łapki przyciśnięte do brzuszka, zupełnie jak pani Carver do piersi, i oto jest: bardziej gwałtowne pulsowanie krwi w żyłach.

Następnej wiosny ojciec i pani Carver ogłaszają swoje zaręczyny.

- Teraz, kiedy ułożyłaś sobie życie - oświadcza ojciec.
- Nie mów tylko, że to przez wzgląd na mnie z tym czekałeś!
- Nie, jasne, że nie - przyznaje. - Ale nie chcieliśmy wyskoczyć nie w porę.
- Tak jak zawsze ze wszystkim, co robisz. - Całuję go. Jestem szczęśliwa.

Ślub biorą w ciepły wrześnieowy ranek w ratuszu na Starym Mieście, w obecności mojej, Stelli, jej męża i Joego. Pani Carver ma na sobie fioletoworóżową lnianą suknię, którą pomogłam jej wybrać. Jej bukiet składa się z fioletowych i białych storczyków. Później, pod wynajętym białym namiotem w moim ogródku odbywa się przyjęcie na pięćdziesiąt osób z udziałem Suzanne, Katherine, pana Robertsa i Alice Keystone. Nie miałam z nią kontaktu od kilku lat, ale akurat zadzwoniła mniej więcej tydzień temu, by powiadomić mnie o swoich zaręczynach z treserem psów. Ponieważ powiedziała: „Och, bardzo lubiłam panią Carver” (najwidoczniej spotkały się kilka razy, choć zupełnie nie przypominam sobie kiedy), zaprosiłam także ją.

Przyjeżdża z dwiema ogromnymi paczkami, trzymając każdą pod jedną pachą. Jedna jest owinięta w jasnoniebieski papier, druga w różowy i zanim się orientuję, że to prezenty ślubne - w niebieskim opakowaniu dla pana młodego, w różowym dla panny młodej - przychodzi mi na myśl, że niezależnie od tego, co jest w środku, kolory papieru są dobrane tak, by pasowały do sukienki w niebiesko-różowy wzorek w konewki, którą Alice ma na sobie.

- To wałki - szepcze. - Wiesz, żeby podłożyć sobie pod głowę, kiedy czytasz w łóżku. Pamiętam, że twój ojciec zawsze był gorliwym czytelnikiem. Zrobiła je moja mama, ja tylko wyhaftowałam „Dla niej” i „Dla niego”.

- Wspaniały pomysł - chwale. Śmieję się, bo to naprawdę doskonały pomysł, a któż inny by na niego wpadł? I ponieważ ona stoi przede mną, w tej swojej sukience i z płonącymi policzkami, mówię: - Bardzo się za tobą stęskniłam - także zgodnie z prawdą.

Później, kiedy wszyscy goście już wyszli, siedzę na werandzie, zjadam resztki weselnego tortu i czuję dziwną tęsknotę. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że chodzi mi o Alice, o jej zaręczyny. Życzę jej jak najlepiej, ale samej nie spieszy mi się z zaręczynami, Bóg mi świadkiem.

Byłyśmy dobrymi koleżankami w liceum, a teraz ona ma kogo kochać, a ja nie.

Co oznacza, że chcę mieć kogoś, kogo mogłabym pokochać. Ale czy na pewno? Dorastałam przyzwyczajona do tego, że jestem samowystarczalna. Wiem, że samotność będzie ciągnęła się za mną jak widmo, jeśli nic nie zrobię.

A mimo to, gdybym miała poznać mężczyznę...

Jest taki jeden, który od czasu do czasu przychodzi do mnie, do pracy, po swojego siostrzeńca, Petera. Mały jąka się, chociaż zauważyłam, że nigdy mu się to nie zdarza w rozmowach z wujkiem Matthew. Słyszałam dość często, jak rozmawiają, i wiem, że Matthew mieszka sam i jest trenerem drużyny baseballowej, w której gra Peter. Wygląda na trzydzieści lat, może trochę więcej. Ma przyjemną, owalną twarz. Zauważyłam, jak raz uważnie mi się przyglądał.

Pojawia się w naszym gabinecie w następnym tygodniu, w piątek. Gdy już wychodzą z Peterem, pytam, czy ma jakieś plany na najbliższy weekend.

- Jasne, że mam - odpowiada. - A ty?

- Żadnych szczególnych.

- Mogłaby przyjść zobaczyć, jak gram - wtrąca się Peter.

I tak wygląda nasza pierwsza randka: obserwuję trening drużyny Petera przed zawodami. Jego wujek nie mógł pokazać się w lepszym świetle: serdeczny, dodający otuchy przywódca grupy chłopców. Nie jest ani trochę mniej serdeczny, gdy przegrywają.

Na naszej drugiej randce, we francuskiej restauracji, dowiaduję się, że jest księgowym, który był „zaledwie o krok od małżeństwa”. „Widocznie nie miało do niego dojść” - mówi bez emocji.

Jego optymizm i czułość w oczach, która pojawia się, gdy rozmawiamy o Peterze, są dla mnie zachętą, ale przy deserze oboje wiemy, że trzeciej randki nie będzie.

Aż nie mogę uwierzyć - mówi, kiedy przyznaje, że turniej Petera był nie tylko pierwszą grą w baseball, jaką widziałam, ale jedyną rozgrywką sportową z moim udziałem

w roli obserwatora. - Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie kibicowałaś swojej szkolnej drużynie? - pyta, naprawdę zaskoczony.

Ja z kolei nie mogę się nadziwić, że ma tylko dwie książki: *Zapytaj Złotą Rączkę i Almanach klęsk żywiołowych na świecie*.

- To nie była kompletna klęska. Przynajmniej mogłam mieć nadzieję, że coś z tego będzie - mówię Katherine następnego ranka.

- Może jeszcze za wcześnie - zastanawia się.

- Myślisz, że nie otrząsnęłam się jeszcze po Ablu? Nie, z nim to już koniec, tak myślę.

- Wciąż go kochasz?

- Zawsze go będę kochała. Nie przypuszczam, bym go jeszcze kiedyś miała zobaczyć, nawet tego nie chcę. I nie wydaje mi się, że pozostanie dla mnie jedynym mężczyzną, którego będę kochała. Ale ja go nie Kocham w sposób, w jaki Kocha się starego przyjaciela. To coś więcej.

Kiedy to mówię, wyobrażam sobie, jak trzymam dłoń kilka centymetrów nad ogromnym kamieniem. Jest lato, zapada zmierzch, robi się chłodniej. Kamień wydziela ciepło nagromadzone w ciągu dnia. Moja miłość do Abła jest jak ciepło między tym kamieniem a zapadającą nocą. To uczucie albo to miejsce.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Jedenaście miesięcy później, zupełnie nieoczekiwanie, dzwoni do mnie pan Richter. Słyszając ton jego głosu, od razu wiem, że stało się coś złego. Myślę, że z panią Richter, że umarła.

Ale chodziło o Abła. Wczorajszej nocy, kiedy był sam w mieszkaniu, zaczął wymiotować krwią. Zanim przyjechała karetka pogotowia, był już w szoku. Teraz jego stan jest stabilny.

- Wiem, że ostatnio nie widujecie się ze sobą - mówi pan Richter - ale jego matka uważa, że twoja wizyta dobrze by mu zrobiła.

Przyjeżdżam do szpitala, a pani Richter na mój widok wybucha płaczem. Mąż pomaga jej wstać i we trójkę wychodzimy z sali na korytarz.

- Jak on się czuje? - pytam. Widziałam go tylko przez krótką chwilę.

- Teraz śpi - odpowiada pan Richter. Dziękuję, że zdecydowałam się przyjść.

Pani Richter trzyma się kurczowo mego ramienia. Idziemy kawałek korytarzem, a potem pan Richter przechodzi do sedna. Mówi, że Abel cierpi na marskość wątroby.

- Ponieważ jest taki młody - dodaje - lekarze twierdzą, że jego wątroba zapewne jest uszkodzona w niewielkim stopniu. - Mówi spokojnie, jakby był lekarzem prowadzącym. - Tak czy inaczej marskość, jako taka, w obecnej chwili nie stanowi poważnego problemu. Najważniejszy jest wrzód, który rozwinął mu się w żołądku, a picie jeszcze pogarsza całą sytuację. Czasami takie wrzody pękają i to właśnie zdarzyło się zeszłej nocy.

- Mógł umrzeć - szlocha pani Richter.

Jest zbyt roztrzęsiona, by wrócić do sali, w której leży Abel.

- Louise, może ty byś przy nim posiedziała? - proponuje pan Richter. - Poszlibyśmy na kawę.

Krzesło, które zwolniła pani Richter, jest wciąż ciepłe. Myślałam, że będzie żółty i wymizerowany, ale wygląda wspaniale, z tą swoją bladą, spokojną twarzą i długimi, falującymi włosami. Biorę go za rękę. Ma zimną dłoń. Otwiera oczy.

- Louise - mówi i cała moja zawziętość, która dała o sobie znać po telefonie pana Richtera, opór zakrzepły, powstrzymujący łzy, ulatniają się w jednej chwili.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

W pewnym sensie ten rok, w którym próbowałam go ocalić, jest o wiele łatwiejszy niż wszystkie lata starań, by o nim zapomnieć, i miesiące prób zatrzymania go przy sobie. Wtedy byłam sama. Mogłam go kusić tylko tym, co było związane ze mną. Tymczasem teraz każdy, kogo zna, chce go ratować, a pokusą tym razem jest cały świat.

Na początku się nam nie przeciwstawia. Zapisuje się do kliniki w Marwood. Mimo że jego stan się pogarsza, chodzi na sesje dwa razy w tygodniu jeszcze przez trzy miesiące. Właściwie trudno powiedzieć, dlaczego przestaje, pewnie dlatego, że odszedł jego opiekun. „Gdyby tylko wrócił do domu, zaopiekowalibyśmy się nim” - powtarza pani Richter. Ale on, właśnie z tego powodu nie wróci do domu. Pozostaje w mieszkaniu na niskim parterze, w której mieszka od 1975 roku, od kiedy tamten dom z pokojami do wynajęcia został sprzedany. Mniej więcej w tym samym czasie zamknięto hotelowy bar, gdzie grywał na pianinie, i Abel zaczyna jeździć na taksówce. Czy zdarza się, że siada nietrzeźwy za kierownicą? Pytam go, kiedy jeszcze leży w szpitalu; uznaję, że to pytanie trzeba zadać. Odpowiada, że nie, a ja nawet mu wierzę. Z jednego powodu - wiem, że nie narażałby życia innej osoby. Mówi, że w tej pracy najbardziej odpowiada mu to, że może sam sobie organizować czas, jeździć po całym mieście, spotykać nowych ludzi i słuchać ich opowieści. Myśli o spisaniu najciekawszych. Wydaje się pełen nadziei.

Ale on zawsze jest pełen nadziei. Kiedy przestaje jeździć taksówką, a potem zaczyna spędzać całe dni w łóżku, twierdzi, że nadrabia zaległości w czytaniu i poświęca się nauce medytacji.

- Wszystko jest w porządku - zapewnia, aż do dnia, w którym umiera.

W swoje urodziny zaglądam do niego przed pójściem na obiad z Suzanne. Ma dla mnie prezent. Niewielki przedmiot, który zapakował luźno w kartkę wyrwaną z jednej z jego książek.

- Kamień - mówię, biorąc paczuszkę do ręki. Odwijam ją i okazuje się, że to rzeczywiście jest kamień. - Zawsze chciałam taki mieć.

- Meteoryt - wyjaśnia.

Przyglądam się uważniej. Jest czarny z rdzawymi żyłkami. Lśniący.

- Kawalek Układu Słonecznego - dodaje. Ujmuję jego dłoń i całuję ją.
- Gdzie to znalazłeś?
- Kupiłem.
- Naprawdę? - Nie sądziłam, że ma dość siły, by dojść dalej niż do sklepu

monopolowego po przeciwnej stronie ulicy.

- Wiele lat temu.

Spoglądam na wyrwaną kartkę. Jest na niej *Romans* Rimbauda. Wszystkie cztery zwrotki.

- Nareszcie - mówię.

- „Więc jesteś zakochany strasznie...” - powiedział, cytując fragment wiersza - „Przyjaciele odchodzą... śmieją ją tve sonety...”

Nagle kaszle i skrzep krwi spada mi na kolana.

- O Boże - zrywam się. - O Boże.

- Przepraszam. - Wyciera usta chusteczką. Skrzep zsuwa się po mojej spódnicy.

- Jedziemy do szpitala - decyduję.

- Wyczyszczę to - mówi, wstając z łóżka.

- Na litość boską, Abel! Natychmiast potrzebujesz pomocy!

Stoi, patrzy w podłogę i czeka, aż się uspokoję.

- Zostaw, ja to wyczyszczę - mówię i idę do łazienki.

Kiedy wracam, zastaję go na kolanach. Wilgotną gąbką usiłuje zmyć plamę z dywanu. Siadam na łóżku. Rozdziela puszyste włókna palcami, potem znowu szoruje gąbką. Przygryza wargi. Ramiona mu drżą. Powinnam go wyrećzyć, ale popadłam w odrętwienie i przyglądam mu się, jakby był nieznajomym z filmu, który wyświetla się na moich oczach. Kim on jest? Dlaczego jest taki wychudzony i blady?

Podnosi na mnie wzrok.

- Takie plamy najlepiej usunąć od razu - tłumaczy, a ja czuję przypływ ogromnego współczucia dla tej wyniszczonej istoty ludzkiej, która wciąż tak bardzo się stara, by chronić innych przed sobą. Nie przed własnymi żądaniami, nigdy ich nie miał. Przed obojętnością. Uświadamiam sobie, że dystans, który teraz wobec niego zachowuję, jest taki sam, jaki on zawsze utrzymywał w stosunku do całej reszty świata. Jak inaczej można

żyć złudzeniem, że ci, których kochasz, są doskonali? Albo znieść myśl, że pozwoliło się im odejść?

- Przepraszam - mówię. Przepraszam oczywiście za to, że rzeczy są takie, jakie są, ale kiedy to mówię, zastanawiam się, jakim cudem mimo tego, co jest między nami, mogłam być na niego tak wściekła. Zupełnie nie rozumiem, jak mogłam wysłać mu ten list.

Odrywa się od dywanu i spogląda na mnie z czułością.

- Nic mi nie jest - mówi. - Wszystko w porządku. Kiwam głową.

- I z tobą też wszystko będzie w porządku.

- Wiem.

Wychodzę około dziewiątej. Trudno powiedzieć dokładnie kiedy, ale z pewnością w ciągu następnych trzech godzin rozbiera się, bierze koc, butelkę whisky oraz fiolkę środków uspokajających i wychodzi na dach budynku, w którym mieszka. Noc jest jasna. Gwiazdzista. Wypija whisky i połyka tabletki, a potem układa się na kocu.

Trochę po północy znajduje go Archie, administrator, który zastanawiał się, dlaczego drzwi prowadzące do pomieszczenia z transformatorem i na dach są uchylone.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Zawsze jedenastego maja jest piękna pogoda - mówi pani Richter.

- Naprawdę? - dziwi się pan Richter. Prowadzi z prędkością mniejszą niż dozwolona, sztywno wyprostowany za kierownicą.

- Zawsze - podkreśla stanowczo. - Zawsze w urodziny Abla.

Jesteśmy w drodze do wąwozu, gdzie mamy rozsypać jego prochy. Na pogrzebie było mnóstwo ludzi, tyle że wielu z nich stało na trawniku przed kościołem, ale dzisiaj jesteśmy tylko w trójkę. Pani Richter trzyma szkatułkę, nie urnę, tylko rzeźbioną drewnianą szkatułkę. Ja mam trzy zielone plastikowe miseczki, które kupiłam wczoraj w Zellersie: zielone, ponieważ to jego ulubiony kolor, plastikowe, ponieważ szklane byłyby zbyt ciężkie. Otworzyliśmy wszystkie okna, jest bardzo gorąco... chociaż wybiła dopiero dziewiąta rano. Wiosna nadeszła wcześniej tego roku, forsycje przekwitły, drzewa są już

pokryte liśćmi. Kiedyś Abel prowadził dziennik, w którym zapisywał terminy pojawiania się liści na różnych gatunkach drzew. W tym roku przypomniałam sobie o tym. Kasztany - piętnasty kwietnia. Młode klony - szesnasty kwietnia. Dęby - dwudziesty dziewiąty kwietnia.

Nieopodal wąwozu znajduje się niewielki, wyasfaltowany parking, o tej porze zupełnie pusty. Stawiamy miseczki na masce samochodu i pani Richter wsypuje do nich prochy.

- A więc - odzywa się pan Richter, który nigdy wcześniej tu nie był - to jest ten słynny wąwóz.

Ale wąwóz już nie jest ten sam. Przecina go teraz sześciopasmowa autostrada, oddalona o mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów na wschód od rzeki i ciągnąca się niemal równoległe do jej koryta. Oczyszczalnia ścieków zniknęła. Teren obozu Wanawingo przekształcono w rozległy trawnik, na którym rozstawiono stoły piknikowe i kosze na śmieci. Ale ścieżka prowadząca w dół pozostała niezmienną, rozpościerał się z niej widok na zalesione strome zbocza, wznoszące się jak ściany. Na wschodnim stoku białe kwiaty z łodygami wydzielającymi czerwony sok wyglądają jak wyszczerbione porcelanowe filiżanki. Nad nimi trzepocze skrzydłami brązowy motyl.

- Spójrzcie! - woła pani Richter. - Co to za motyl?

- Żałobnik - mówi pan Richter.

- Ach tak.

Przystanęliśmy i obserwujemy go. Czy oni myślą, że to Abel lub znak od niego?

- Jeśli chcecie, możecie zacząć tutaj - przerywam milczenie pierwsza.

- Dobrze - zgadza się pani Richter, uśmiechając się do mnie - zaczynajmy.

Wchodzi między kwiaty i rzuca pełną garść popiołów, jakby rozsiewała ziarno. Pan Richter udaje się na przeciwległe zbocze. Przygląda mu się przez chwilę, by w końcu wybrać srebrzystą brzozę i ostrożnie rozsypać popioły dookoła jej pnia. Czekam; swoją część prochów chcę zanieść do jaskini. Wiedziałam, że będę musiała wchodzić pod górę, włożyłam więc tenisówki i dżinsy. Pan Richter ma na sobie czarny garnitur, a pani Richter jest ubrana na czerwono i pomarańczowo - czerwona spódnica, pomarańczowy szal, czerwona chustka na głowie. Można by pomyśleć, że wybierała się na karnawał, i

rzeczywiście, wydaje się, że jest w radosnym nastroju. Nuci pod nosem i kołysząc biodrami, schodzi ścieżką w dół.

Pokazuję im, gdzie znajduje się zagajnik sumaków, który - jak im powiedziałam w samochodzie - był jednym z ulubionych miejsc Abla. Potem kieruję się do jaskini.

- Nie spiesz się - woła za mną pan Richter. - Spotkamy się przy samochodzie.

Zabrałam ze sobą szwajcarski wojskowy nóż, okazało się jednak, że pokrzywy zniknęły, więc wspierałam się bez problemu. Ile lat temu to było? Czternaście. Piętnaście. Promienie słońca oświetlają występ skalny przed jaskinią i wpadają prosto do jej wnętrza. Wyobrażam sobie, że to znak od Anioła Miłości, który, czego można się było spodziewać, od śmierci Abla nie pojawił się ani razu. Wchodzę. Nawet bez spoglądania w górę wiem, że nietoperze się wyniosły. Robię kilka kroków w głąb jaskini. Włóczy też nie ma.

Zaczynam rozsypywać prochy. Co czuję? Ciężar na sercu. Miałam nadzieję, że poczuje coś więcej, że doznam olśnienia, ale to, co przychodzi mi na myśl, powracało wcześniej już setki razy. Jego porażająca nadwrażliwość na fizyczne aspekty świata. Jego entuzjastyczne marzenia. Jego poczucie winy za śmierć tego małego nietoperza i cierpienie, które potem go dręczyło. Jego strach przed zakłóceniem naturalnego porządku i podejmowaniem wyborów. Ale dlaczego w ogóle żywił te uczucia? Dlaczego był tym, kim był?

Wracam na występ skalny i odwracam miseczkę dnem do góry, pozwalając wiatrowi porwać to, co w niej pozostało. Szukam wzrokiem Richterów. Po chwili dostrzegam ich, jak podążają w kierunku rzeki. Lepiej zejść na dół, mogą zabłądzić. Ostatnio często są zdezorientowani i łatwo się denerwują. Nie sądzę jednak, żeby miało to jakikolwiek związek z wiekiem. Są raczej jak dzieci, wyrażają zachwyt nad wszystkim, co nowe, zatrzymują się, by czemuś się przyjrzeć, tak jakby to, przez co przeszli, czyniło świat bardziej malowniczym.

Jemy wczesny lunch w centrum handlowym w Greenwoods. Przy kawie pani Richter pyta, gdzie rozsypałam prochy mojej matki, a ja muszę się przyznać, że jeszcze tego nie zrobiłam.

- Och, Louise - mówi - już najwyższy czas.

W domu - podwieźli mnie na miejsce - schodzę do piwnicy, spomiędzy puszek starej farby wydobywam urnę i zabieram ją na górę. Właściwie mogłabym rozsypać prochy między różami w ogródku. Ale są czerwone, a ona, o ile pamiętam, lubiła tylko białe. Nie jestem pewna.

Wynoszę urnę na zewnątrz, rozglądam się dookoła po trawniku i to doskonale sobie przypominam: jej sprzeczki z moim ojcem, że lepiej mieć wybrukowany dziedziniec niż trawnik, bo kamieni nie trzeba kosić. Zaczynam iść w stronę Queen Street, w kierunku butików i sklepów. Sklep z odzieżą Melba's Fashions, gabinet kosmetyczny „Lila”. Kiedy tam dochodzę, zaczynam się zastanawiać, co właściwie zamierzałam zrobić. Nie mogę wysypać prochów na chodnik, by każdy mógł po nich deptać, a już na pewno nikt nie pozwoli mi rozsypać ich wewnątrz butiku.

Ruszam ulicą na wschód. Wchodzę do Kew Gardens.

Dzień wciąż jest wspaniały, bardziej przypomina te, które nastają pod koniec czerwca. W parku mijam ludzi leżących na kocach, rabaty z fioletowymi i żółtymi petuniami, korty tenisowe. Żadne z tych miejsc by się jej nie spodobało. Docieram do zatłoczonej promenady. Nienawidziła tłoku. A co z plażą? Ani razu nie wybraliśmy się nad jezioro. Wyobrażam ją sobie, jak patrzy na piasek i widzi jedynie brud albo jak spogląda na opalających się ludzi i dostrzega wyłącznie otyłych. Staję na brzegu i myślę: błękitne jezioro, błękitne niebo, białe mewy unoszące się na powietrznych prądach. Co mogłaby mieć do zarzucenia takiej scenerii? Och, woda jest zanieczyszczona, mewy zdziczałe.

Moja wizja rozplynęła się w nie wylanych łzach. Prochy Abla mogliśmy rozsypać w każdym miejscu. Więc dlaczego z jej nie mogę postąpić tak samo?

Nie mogę. Nie wiem dlaczego, ale nie mogę.

Wracam do domu i okazuje się, że drzwi są otwarte. Zapomniałam je zamknąć. Wchodzę do salonu i rozsuwam przedmioty na gzymsie kominka - książki, kamienną figurkę Buddy, meteoryt - i ustawiam urnę w samym środku. Jest przepiękna; matka prawdopodobnie sama ją wybierała. Nie ulega wątpliwości. Nie dopuściłaby do tego, żeby wsypano jej prochy do urny w złym guście.

No i na pewno nie chciałyby, żeby znalazły się na gzymisie kominka. Na widoku publicznym.

Biorę urnę, wychodzę na rozświetloną słońcem werandę i umieszczam ją na półce między wazonami i glinianymi doniczkami. Tak, tutaj jest lepiej. Za każdym razem, kiedy tu usiądę - oglądając zachód słońca, obserwując róże - będę ją widzieć i myśleć: „To moja matka”. Nigdy jej nie zapomnę, tego jednego jestem pewna.

I tak bym jej nigdy nie zapomniała. My nie zapominamy.

